

Antoni Marczyński

CZARCI JAR

Spis treści

1. Upiór
 2. Polski Sherlock Holmes
 3. Prawdziwy Baltazar
 4. Lista podejrzanych
 5. Tajemniczy podpalacz
 6. Śledztwo
 7. Milioner dziwak
 8. Priwim zabił królika
 9. Nieprzewidziane komplikacje
 10. Pułapka
 11. Stary rów strzelecki
 12. Przygody w podziemiach
 13. Fotografia ducha
 14. Podwójny sekretarz?
 15. Za późno!
 16. Towarzysz broni
 17. Wołanie o ratunek
 18. Wstrząsający seans
 19. Strzał i pocałunek
 20. Przyjazd Sherlocka Holmesa
 21. Spotkanie dwóch Baltazarów
 22. Żywcem pogrzebani
 23. Walka o cnotę
 24. Uchylenie rąbka tajemnicy
 25. Straszne oskarżenie
 26. Upiór mówi
 27. Potworna zasadzka
 28. "Płynne złoto"
- Epilog

Tekst wg wydania z 1943 r.

Rozdział I

UPIÓR

Nie spała. Nie mogła zasnąć, chociaż zmęczyła ją uczciwie dzisiejsza podróż w nabitym wagonie i trzęsionka na rozklekotanej bryczce, której stare miękkie resory były skrupulatnymi licznikami dla wszelkich wybojów i dziur kiepskiej drogi. Pełną piersią chłonęła wiejskie powietrze, czyste, rześkie, z lekka tylko wonią ostatnich bzów naperfumowane, istny haszysz dla płuc człowieka, który co dopiero z miasta przyjechał, powieki ciężły, kleiły się same, a sen nie przychodził.

— Do rana pewnie ani oka nie zmrzę... przez te bajki — irytowała się. Na wszystkich domowników, lecz najbardziej na siebie. Właśnie dlatego, że nie wierzyła w te bajki. Ha, ha, ha, ha, duch! Gospodyni go widziała dwukrotnie, kucharka nawet miejsce wypowiedziała, ponieważ „straszy” we dworze, żony fornali tylko pod eskortą mężczyzn chciały wracać do czworaków po wieczornym udoju, pastuch za żadne skarby nie wyjdzie wieczorem na stryżek nad oborą i tak dalej, i tak dalej, słowem, jakaś epidemia zabobonnego strachu poraziła całą służbę w Borach. No, pięknie, takie epidemie „chodzą po ludziach”, zwłaszcza wiejskich prostaczkach, ale żeby podobne brednie zdołały przepłoszyć sen z oczu młodej dziedziczki, studentki z trzeciego roku? Nie! Świat się kończy!

Ewa Turno przewróciła się na drugi bok z taką energią, że aż sprężyny łożka jęknęły żałośnie. — Nonsens warknęła odrzucając puchową koldrę — nie mogę zasnąć, bo za gorąco.

Ogarnął ją nagle niepokonany gniew. Zgodne zeznania całej służby i fakty tak niepokojące, jak na przykład tajemnicze wytrucie wszystkich psów na folwarku w ciągu ostatniego półrocza, utwierdziły ją jeszcze z wieczora w przekonaniu, że nie ma się tu do czynienia z halucynacjami, z przywidzeniami, z masową sugestią, lecz po prostu z psim figlem jakiegoś łajdaka, który przebiera się od czasu do czasu za owego „ducha” i tymi występami terroryzuje domowników...

— Ale nie mnie! Ja tej psychozie nie ulegnę! — zaperzyła się. — Ja cię zdemaskuję, drabie jeden i udowodnię tym osł...

Umilkła w pół słowa. Zamieniła się w słuch. — Jak gdyby ktoś drzwi z klucza odmykał — przemknęło jej przez myśl.

Przywidzenie? Skinęła głową skwapliwie, że tak.

— Przywidzenie, oczywiście — wmawiała w siebie. Przywidzeniem był także przeciąg, który zafalował firankami i przyniósł do sypialni zapach farby ze świeżo malowanego saloniku, przywidzeniem nazwała kilkakrotne skrzypnięcia parkietowej posadzki i inne szmery, wyolbrzymione ciszą nocną, czy fatalną „psychozą”, której nie chciała ulec ani rusz, lecz uległa z wolna. Nadśluchiwała dalej z sercem bijącym coraz szybciej.

Coś zgrzytnęło zardzewiałym głosem. Zakrzusnęło się, zachłysnęło i niski, dźwięczny ton zawibrował w powietrzu... Znowu... i znowu.

Odetchnęła. To wielki szafkowy zegar w jadalni. Z uczuciem ulgi liczyła jego uderzenia. Dwanaście naliczyła, więc była zaledwie północ.

— Dopiero? — zdziwiła się nieprzyjemnie. Nie bała się niby to, a jednak wolałaby, żeby już dniało. W głębi serca żałowała nawet, że nie zamknęła się w sypialni, jak radziła „kuchnia”, lecz, dla podkreślenia swojej brawury, poleciła pootwierać na oścież wszystkie wewnętrzne drzwi pomiędzy tymi pustymi pokojami. Nie byłaby się teraz denerwowała owymi szmerami, skrzypnięciami, które z miejsca na rachunek źle położonych parkietów zaliczyła. Jest na to rada pomyślała. Przeprosiła się z kołdrą, nasunęła ją sobie aż na głowę i zwinęła się w kłębek. Jeśli teraz nie zasną, to już chyba w ogóle nie zasną tej nocy.

Zanosiło się stanowczo na tę drugą możliwość. Bo w ciasnym tunelu pod kołdrą zrobiło się Ewie od razu bardzo gorąco, duszno, a jakiś niewytłumaczony lęk czy przecucie nie pozwalały wytknąć głowy na zewnątrz.

Jak długo tak leżała, nie potrafiłaby określić. Zresztą było to nic nie znaczącą okolicznością wobec tego co nastąpiło teraz.

Nagle zdrętwiała.

Coś opadło ciężko na jej stulone stopy. Co? Jakby szpony jakieś. Wczepiły się w dolną krawędź kołdry, szarpnęły leciutko, jak gdyby na próbę, potem zaczęły ją zdzierać powolutku ale nieustępliwie. Odczuła to, kiedy w samoobronnym skurczu dłoni chciała przytrzymać tę kołdrę, będącą jej jedyną tarczą, jedyną zasłoną przed nieznaną zgrozą.

Z okrzykiem przerażenia usiadła na łóżku. Skamieniała. Wrzask zamarł jej w krtani i z otwartymi ustami, bez tchu, spoglądała wybałuszonymi oczyma na straszliwą zjawę.

Widmo miało kształt ludzki, strój również, mianowicie długi do ziemi szynel żołnierza rosyjskiego, lecz wzrostem przerastało przeciętnego śmiertelnika o dobre trzy głowy. Szczególnie niesamowicie wyglądała jego żyrafia szyja i osadzony na niej olbrzymi łeb, nakryty futrzaną czapką, oraz głęboko wpadnięte ślepią, żarzące się zielonkawym ogniem.

Ewa Turno przychodziła do siebie niespodziewanie szybko. Nieruchoma bezczynność upióra ośmieliła ją, pozwoliła zebrać zdrętwiałe, rozpierzchłe myśli: Że duchy ukazują się tylko histeryczkom lub ciemnym, zabobonnym nieukom. Że ten potwór nie jest wprawdzie wytworem jej rozgorączkowanej wyobraźni, że stoi „jak drut” za jej łóżkiem, ale też nie jest jakimś tam duchem, tylko bezczelnym opryskiem, który dla niewiadomych celów urządza sobie takie maskarady. Że jego zuchwalstwo przebrało wszelką miarę, skoro próbuje sterroryzować ją, wykształconą dziewczynę, prawą dziedziczkę Borów, i skoro poważił się wtargnąć nocą do jej sypialni. Że to należy ukarać przykładnie. Że ona ma pod poduszką stary, ojcowski rewolwer. Że w końcu trzeba się tylko zdobyć na pewien wysiłek woli i mocnym epilogiem zakończyć tę błazeńską farsę. — Trzeba to zrobić dyskretnie, niepostrzeżenie — upominała się w myśli, i już drżąca ze wzruszenia dłoń skradała się po prześcieradle, w tył, poza plecy, pod poduszkę. Chłodne żelazo rewolweru wpłynęło zbawiennie na nerwy, palce objęły z ufnością chropowatą rączkę, kciuk odepchnął bezpiecznik, a wskazujący palec spłynął z lufy na twardy cyngiel. Błyskawicznym ruchem wyrwała Ewa broń, wciągnęła ją przed siebie i wrzasnęła, co tchu w płucach:

— Ręce do góry, łotrze!

Upiór ani drgnął. Albo kpił sobie z rewolweru, albo nieoczekiwane przyjęcie przygwoździło go do podłogi.

Upłynęło kilka sekund, może minut. Ewie zdawało się, że godzin.

Nic.

Wtem... Paszcza upióra kłapnęła, rozwarła się, ukazując długie obnażone aż do szczęk kły, za nimi czeluść zda się bezdenną, z której trysnęła smuga seledynowego światła, i szyderczy chichot rzygnął na sypialnię.

Nerwy odmówiły posłuszeństwa dziewczynie. Instynktowny odruch zgiał palec na cynglu

leżący, lewa powieka spadła sama, przelotne spojrzenie prawego oka umiejscowiło muszkę lufy na tle fosforyzującej paszczy.

— Giń!... Przepadnij!...

Huk wystrzału zagłuszył stłumiony charkot dalszych słów.

Nic! Żadnego efektu. Upiór stał jak przedtem, stał kilka sekund, potem szybko podciągnął w górę kołdrę, jak gdyby się chciał nią zasłonić przed dalszymi strzałami lub jakby ją chciał Ewie zarzucić na głowę! To drugie wydało się jej prawdopodobniejsze, jeżeli w ogóle jeszcze mogła myśleć i przewidywać zamiary niesamowitego przeciwnika.

Wszystko liczyło się na sekundy. Nie przebrzmiało jeszcze echo pierwszego wystrzału, gdy muszka rozdygotanego rewolweru, zakryła pół czarciego ślepie. Lewego. Naciskając powtórnie cyngiel zdawała sobie Ewa dokładnie sprawę, że mierzy w lewe oko widma.

— Trachchch!... Drrrrriń!

Z brzękiem spadły na podłogę kawałki szyby. To z jednego z portretów rodzinnych, jakie wisiały w sypialni.

A upiór stał nieporuszony!

Ewie wydawało się, że oszalała. Jak to? Kule przechodzą na wylot przez tego draba, tłuką szkło wiszących za nim portretów, a jemu żadnej krzywdy nie czynią? Więc może to naprawdę jakaś zjawa, jakiś przybysz z tamtego świata? Nie! Nonsens! To przeczy zdrowemu rozsądkowi, to absurd! A czy to nie przeczy rozsądkowi, że zwyczajny śmiertelnik, po dwóch celnych strzałach oddanych z takiej bliskości stoi nietknięty? I jeszcze gotuje się do ataku?!

Jakby przez mgłę dojrzała zbliżającą się do niej mordę upióra, ziejące trupim światłem ślepie i szpony wyciągnięte po rewolwer.

Chciała uciekać. — Byle do okna huczało jej w głowie. — Wskoczyć do ogrodu, biec do czworaków, do ludzi, dokądkolwiek, tylko stąd uciekać, uciekaaaać!

Szarpnęła się, zeskoczyła z łóżka, lecz jedna noga omotała się jej w prześcieradło. — Chwycił mnie za nogę, nie ujdę — zdołała pomyśleć w ostatnim przeblýsku świadomości i runęła bez zmysłów niemal do stóp upióra.

Rozdział II

POLSKI SHERLOCK HOLMES

Reporter Rafał Królik miał kociokwik. Podwójny! To jest zwyczajny w następstwie wczorajszej libacji, i moralny z powodu głupiej afery z posłem S. Na skutek tej afery ośmieszył się w Warszawie tak, że nie można dokładniej, czego konsekwencją było, iż wyleciał z posady w *Kurierze*. To znowu spowodowało konieczność zalania robaka i dzisiejszy kociokwik, ten zwyczajny. Tak więc wszystkie te fakty były jakby paciorkami w różańcu wzorowego związku przyczynowego, wszystkie zazębiały się wzajemnie z idealną, a z punktu widzenia Rafała, nader przykrą logicznością.

Sprawa będąca praprzyczyną teraźniejszych zmartwień Rafała Królika przedstawiała się w streszczeniu następująco:

Mniej więcej przed tygodniem poseł S. doniósł policji, że usiłowano dokonać włamania do jego willi, że opryszek wtargnął nawet na pierwsze piętro, lecz zbiegł spłoszony przez kogoś. Był to być może, zwyczajny złodziejasek, którego skusiło, by skorzystać z drewnianego rusztowania murarzy odnawiających willę z zewnątrz, i ściągnąć, co wpadnie pod rękę, lecz prasa stronnictwa posła S. zrobiła z tego aferę polityczną, że posłowi się odgrażano, że przechowywał w mieszkaniu dokumenty kompromitujące przeciwników, że różne zamachy i napady weszły znowu w modę itd., itd. Sprawcy jednak nie wykryto, a świeższe sensacje przygłuszyły tamtą sprawę.

Aż w sobotę dnia 31 maja reporter Królik przybiegł do swojej redakcji z nie lada nowiną, że afera posła S. ma podkład nie tyle polityczny, ile... erotyczny. Że w każdą sobotę kiedy poseł wyjeżdża do swojego okręgu wyborczego, jego uroczą małżonka gości w willi swego wielbiciela, że on to właśnie zmykał po rusztowaniu, zaskoczony niespodziewanym przyjazdem posła, że wiarygodne osoby mieszkające naprzeciw willi widziały na własne oczy to i owo, że owym wielbicielem pani posłowej jest pan O., znany sportsmen warszawski, że tenże sportsmen werandował kiedyś z rana na balkonie willi w zielonej pizamie, że cała ulica o tym gada i tak dalej.

Miało to wszystko pójść w niedzielnym numerze *Kuriera* z wielce pikantnymi nagłówkami, aliści naczelny redaktor mający jakieś osobiste porachunki z posłem, polecił „sensację Królika” puścić już w sobotnim numerze wieczornym, a jeden egzemplarz mocno pozakreślany, gdzie trzeba, miał sprytny goniec redakcyjny wcisnąć posłowi na dworcu, kiedy, jak w każdą sobotę, będzie wyjeżdżał na prowincję.

O tym zarządzeniu Rafał Królik na swoje nieszczęście nic nie wiedział, bowiem z racji angielskiej soboty wcześniej wywiął z redakcji. I jakieś licho skusiło go, by zakraść się do willi w nadziei, że osobiście podpatrzy więcej, niż u plotkarek ulicznych, czyli sąsiadek, nazbierał. Bo pamiętał, że to sobota, że poseł wyjedzie, a tamten przyjdzie nieomylnie, jak twierdziły bajczarki. Tylko przeliczył się z siłami. Co potrafił wygimnastykowany sportowiec, tego przeciętny reporter nie dokáže. Krótko mówiąc, Rafał Królik spadł z rusztowania, wleciał w koryto z wapnem, skąd „ekshumowany” przez energicznego dozorcę został zawleczony przed oblicze pani posłowej. —

Chciałem zrobić wywiad z panią — wybełkotał, przedkładając swoją legitymację dziennikarską, a to naiwne łgarstwo połaskotało tak skutecznie niewieścią próżność, że wbrew swemu przewidywaniu doznał Rafał najmilszego przyjęcia.

— W tym ubraniu nie może pan wyjść na ulicę — rzekła czarująca gospodyni. — Proszę podać adres, napisać odpowiednie polecenie dla swojej służącej, a Jan przyniesie panu inny garnitur.

— Ano pewnie. Ja chętnie, jak się da to się zrobi — dodał zachęcająco ów Jan, czyli dozorca; wykonał też mimowolnie wymowny ruch palcami.

Rafał Królik oderwał przemocą wzrok, utkwiony w maleńkie pantofelki. Z determinacją proletariusza, wstydzącego się swojej nędzy, lecz zdemaskowanego w końcu, odparł, patrząc uroczej blondynce w oczy wyzywająco:

— Nie mam ani służącej, ani drugiego ubrania.

— Golec — warknął nieprzyjaźnie dozorca, lecz posłowa odprawiła go natychmiast, a wezwała pokojówkę i dała jej jakieś zlecenie.

Potem wszystko było pięknym snem. Pokojówka zabrała ubabrane w wapnie ubranie do wyczyszczenia, a Rafał w zielonej piżamie gospodarza powędrował do buduaru, aby zrobić ów wywiad. Wywiad nie na sucho bynajmniej, lecz z koniakiem, herbatą, ciastkami, „specjalnymi egipskimi”, i z tak pociągającymi spojrzeniami gościnnej blondynki, że Rafał liczył już na najsympatyczniejszy deser. Ale piękne sny trwają krótko.

Poseł S. wsiadał właśnie do wagonu, gdy jakiś urwis wcisnął mu w rękę dziennik i zwał. Zachnął się poseł na widok *Kuriera*. I zawył. Zapomniawszy o walizce, wypadł z dworca, wskoczył do taksówki i kazał się wieźć co prędzej do... mieszkania prezesa swojego klubu sejmowego. Uważał, że wymaga tego karność partyjna i subordynacja wobec naczelnych władz stronnictwa. Kiedy pouczony, oświecony i wściekły zajechał na swoją ulicę, zastał tam już olbrzymie tłumy. Siaki taki warszawiak nie spieszący się do domu z reguły, a co dopiero w sobotę, wołał nadłożyć drogi, byle z ciekawości zerknąć na willę popularnego polityka, w której to willi miały się dziać tak niesłychane zberezeństwa.

Na nieszczęście poseł S. mało zajmował się sportem, inaczej byłby znał choćby z reprodukcji potężną sylwetkę pana O. i odgadłby także, iż ten maleńki chuderlawy człeczyna plątający się w przydługiej piżamie, nie może być słynnym sportowcem. W taki to sposób Rafał Królik zebrał straszliwe lanie przynależne sportsmenowi, wyleciał w piżamie jak z procy na ulicę w gęsty tłum, gdzie cnotliwe babiny, stojące zawsze w obronie rozbijanego stadła małżeńskiego, sprawiły mu poprawiny. Na próżno zaklinał się, że to nie on, że przeciwnie on był tym, który zdemaskował to „bagnó zepsucia”, jak sam napisał w *Kurierze*. Nic nie pomogło, bowiem świadczyła przeciwko niemu fatalna zielona piżama i wcale niedwuznaczna eksmisja z willi, i w ogóle wszystko.

W poniedziałek otrzymał Rafał z redakcji taki „pasztet”:

*Przychylając się do prośby Pana z dnia 20 lutego o miesięczny urlop wypoczynkowy, udzielam Mu z dniem dzisiejszym urlopu **bezterminowego** i oczywiście **bezpłatnego**. Po pobory za czerwiec zechce się Pan zgłosić do naszej kasy, gdzie otrzyma Pan również swoje dokumenty i świadectwa.*

We wtorek dozorca z willi posła S. odniósł mu ubranie z grubsza już wyczyszczone, ale nieodprasowane. Środę zajęło prasowanie oraz pertraktacje z krawcem, który dla zaspokojenia jakichś swych zadawnionych pretensji, usiłował wyzyskać przymusowe położenie klienta. W czwartek podjął Rafał w kasie *Kuriera* swoją ostatnią pensję, której osiemdziesiąt procent

pochłoneła pożegnalna bibka z kolegami, rodzona matka owych kociokwików. Za to w piątek puchlina na twarzy skłęsała tak dalece, że zdecydował się na spacer do Saskiego Ogrodu po natchnienie. Należało, bądź co bądź, zastanowić się, co począć dalej i jak się ustosunkować wobec faktu, że wypowiedzenie z *Kuriera* powiększyło o jedną osobę kadry bezrobotnych.

W pewnej chwili, przechodząc właśnie ulicą Marszałkowską, przystanął, by w najbliższej bramie zapalić papierosa, gdyż rzeński wietrzyk zgasił mu kolejno kilka zapalek, zaciągnął się z rozkoszą, mimowolnie zadarł głowę i wzrok jego padł na blaszaną tabliczkę z napisem:

BALTAZAR SZAFRAN

Detektyw prywatny

Dyskrecja. Ceny umiarkowane

Rafał Królik spoglądał jak urzeczony, po czym, całkiem bezwiednie, pochylił z szacunkiem głowę przed nazwiskiem, które tylokrotnie było na ustach wszystkich. Więc to tutaj? Tutaj mieszka polski Sherlock Holmes?!

Nagle podskoczył w miejscu, podrzucony niespodziewaną myślą, która się błyskawicznie przeobraziła w zamiar zuchwały: — Zrobić z nim wywiad! Tego już z rok nie było, a ileż to dramatów, zagadek, tajemnic zaprzętało w ciągu roku genialny umysł wielkiego Baltazara?

Ostygnął w nim ten ogień zapалу szybciej niż zaplanował. Za późno! Trzeba było o tym pomyśleć choćby z tydzień temu. Ostatnia sobota, fatalna przeklęta, przekreśliła od jednego zamachu reporterską karierę. Wydało mu się równie nieprawdopodobne, by taki Szafran nie czytał o arcygłupiej wyspie Rafała Królika, jak i to, by po tym co zaszło, chciał udzielić wywiadu ośmieszonemu, skompromitowanemu reporterowi... — A taki wywiad postawiłby mnie znów na nogi. Miałbym z czym przyjść do której bądź redakcji — rozmyślał Rafał melancholijnie.

Przydługie medytacje pod szyldem znakomitego detektywa nie przypadły do gustu panu dozorczy. Z uprzejmością cechującą większość stróżów warszawskich, rozpoczął indagacje w te lotne słowa: — Kogo uważa? Zgubił coś, czy chciałby coś nawalić, hę?

Rafał już się odwrócił na pięcie, już zamierzał odmaszerować na ulicę, kiedy jakieś natchnienie kazało mu wejść w bliższy kontakt z kamienicznym cerberem i poświęcić na ten cel pięćdziesiąt groszy.

— Pan Szafran? Ano, pewnie jest. W Warszawie na pewno, samemu mu walizy z taksówki przyniósł dzisiaj.

Okazało się, że Baltazar Szafran był z górą tydzień nieobecny i dopiero dzisiaj powrócił. — Więc może nie czytał jeszcze o mnie — ucieszył się Rafał i już pędził schodami na trzecie piętro.

Dopiero po piątym dzwonku rozległy się w mieszkaniu wielkiego detektywa jakieś niedźwiedzie pomruki, ociężałe człapanie butami i mocno zaspane indywiduum uchyliło drzwi na stopę. — Pan wróci za godzinę — rzekło, zanim reporter zdążył usta otworzyć.

— Nie szkodzi. Chętnie poczekam brzmiała odpowiedź.

Wydając wciąż nieprzyjemne pomruki, indywiduum wpuściło Rafała do długiego, ponurego przedpokoju, a stąd do małego saloniku, będącego snadź poczekalnią, i zniknęło, poziewując serdecznie.

Poczekalnia wyglądała jak przeciętna poczekalnia u początkującego adwokata lub małego wziętego dentysty, niemniej jednak Rafał Królik uniesiony zapalem wyjął swój duży notes i pisał

w formie wstępu:

Już w poczekalni umebrowanej z gustem bezcennymi antykami, ogarnia wchodzącego atmosfera sali rozpraw. Nic dziwnego, zaiste. Oto tam, poza tą ścianą, pracuje Człowiek, który czyta w sercach jak w otwartej księdze. I choć niewidzialny na razie, spogląda na ciebie stalowymi oczyma, przenika cię na wylot, ach, czujesz to i jakiś lęk cię ogarnia.

Ściśle biorąc, czuł reporter tylko zapach stęchlizny, widomy znak lenistwa lokaja, któremu chroniczna śpiączka nie pozwalała wywietrzyć poczekalni. Wzmiankę o antykach miał Baltazar zawdzięczać staremu fotelowi, którego trzy lub cztery sprężyny wychylały kokieteryjnie czubki z rozdartego obicia.

Tak upłynęło dziesięć minut w kontemplacyjnym skupieniu. Następnie, oglądając upstrzone brunatnymi plamami fotografie na ścianach, dotarł reporter do bocznych drzwi i stwierdził, iż są tylko przymknięte. Zelektryzowało go to odkrycie. Bez wahania pchnął skrzydło drzwi i, jak zahipnotyzowany przez czaszkę stojącą na biurku, wkroczył do pracowni detektywa. — Tu! — wyszeptał z przejęciem. Więcej nie mógł wykrztusić.

Jak się to właściwie stało, z tego Rafał Królik nawet później nie umiał sobie zdać sprawy. Dość, że kiedy z zachwytem oglądał kolekcję kastetów, noży, kajdanków oraz istny arsenał przedpotopowych rewolwerów rozwieszonych na tylnej ścianie tego sanktuarium, posłyszał lekkie trzaśnięcie drzwiami. Ktoś wszedł do poczekalni!

Reporter ścierpł na myśl, że może to detektyw, że zastanie go tutaj i że wywiad zakończy się podobnie, jak w willi posła S. Co rzecz, jak wytłumaczyć zuchwałe wtargnięcie do pracowni? Na próżno szukał odpowiedzi na to pytanie. — Idę naprzeciw memu przeznaczeniu — mrucał z tragicznym patosem, ciągnąc za sobą łożowane nogi. W progu sił mu zabrakło, oparł się całym ciężarem o skrzydło drzwi i wraz z nimi wjechał do poczekalni.

— Ach! Mistrz jest! Jakże się cieszę! Pański służący powiedział mi, że będę musiała czekać dobre pół godziny. Tymczasem...

Rafał Królik stał oparty o futrynę i osłupiałym wzrokiem spoglądał na młodą, ładną brunetkę, która paplała jakieś komplementy i z wyciągniętą dłonią szła szybko ku niemu.

— Niech mi będzie wolno uścisnąć tę rękę, która... która... — Panienska zacięła się przy *która*, ale nie zmieszało jej to wcale. Machnęła rezolutnie rączką, zachichotała srebrzyście, podeszła tak blisko, że Rafał, chcąc nie chcąc, musiał się cofnąć do gabinetu, po czym zamknęła za sobą drzwi skrupulatnie. — Sądzę, że tu nikt nie będzie podsłuchiwał.

— Ależ... ależ, proszę pani... zachodzi tu... — bąknął przerażony.

— Rozumiem pana, mistrzu — przerwała szybko. — Odpoczywał pan po trudach swego ciężkiego zawodu. Pański służący powiedział wyraźnie, że będzie pan przyjmował dopiero o jedenastej, to jest za pół godziny... Tak, lecz stało się. Moja sprawa jest tak zagadkowa i niecierpiąca zwłoki, że musi pan zrobić dla mnie wyjątek. Dobrze? Zrobi pan?

— Czy zrobię? — jęknął Rafał, podbity zupełnie czarującym spojrzeniem tych żywych oczu. — Ja najchętniej ale...

— Dziękuję mistrzu. Serdecznie dziękuję — wtrąciła, rozpoczynając znów energiczny pochód, na skutek czego Rafał musiał rejterować w stronę biurka. Biurka Baltazara Szafrana! Ach, cudne oczęta patrzące z takim nabożeństwem na rzekomego detektywa! Jak karcąco, a może nawet pogardliwie zmierzą go te oczy, skoro wyjaśni nieporozumienie. Jednak należy je wyjaśnić bezzwłocznie zaraz, natychmiast! — Dlaczego natychmiast? — zadał sobie w myśli pytanie, i nagle duch przekory, jakiego nosił w swej niepokażnej powłóce cielesnej, podszeptał mu urwisowski pomysł, by nie demaskować się przedwcześnie, grać, jak się da najdłużej

narzuconą rolę i wy badać, z jaką to wielce zagadkową i tajemniczą sprawą przybyła do wielkiego Baltazara Szafrana taka ładna, młoda dziewczyna. — Kto wie, czy z tego nie będzie lepsza sensacja niż z wywiadu z imię Baltazarem — pomyślał, a ta perspektywa rozproszyła ostatnie skrupuły.

— Nazywam się Ewa Tumo — rzekła przybyła, siadając w głębokim fotelu, ustawionym po drugiej stronie ogromnego biurka. A pan jest tym przesławnym pogromcą zbrodniarzy, naszą chlubą, naszym Sherlockiem Holmesem — dodała, ot, aby jakoś nawiązać rozmowę.

— Tak mnie zwa ogólnie — potwierdził reporter ze skromnością, zajmując „swoje” miejsce za biurkiem. — Jam jest Baltazar Szafran — dorzucił, wyciągając rękę do uścisku. To przedstawienie się było całkiem zbyteczne, ale skorciło Rafała, by choć na kilka sekund przytrzymać w dłoni te smukłe, śniade paluszki.

Rozdział III

PRAWDZIWIY BALTAZAR

Przy biurku, w obliczu szczerzącej zęby czaszki i równie grobowej miny Rafała drżącego w duchu, by prawdziwy detektyw nie wrócił zbyt wcześnie, opuściła dziewczynę dotychczasowa swada i pewność siebie.

— Może pan teraz nie ma czasu? — Spytała nieśmiało. Jęła też zaraz gorąco przepraszać, iż była tak natarczywa do tej pory.

— Istotnie, niezbyt wiele mam czasu — skinął głową poważnie. Położył przed sobą swój nikłowy zegarek i obwieścił z brwią zmarszczoną: — Mogę pani poświęcić najwyżej dwadzieścia minut. Potem mam ważną konferencję z ministrem sprawiedliwości. Proszę zatem mówić zwięźle, krótko, treściwie. O cóż właściwie chodzi?

— O ducha, mistrzu!

— O duuu... duchaaa??? — spytał przeciągle rozczarowany tą odpowiedzią, ale dalsze słowa Ewy, która bardzo treściwie opowiedziała przebieg niesamowitej sceny nocnej, jaką przeżyła, usposobiły Rafała przychylniej. Zauważył też z odcieniem dumy: — Nie chwałąc się, proszę pani, „duchy” w kryminalistyce to moja specjalność. Tak, niejednego już „zmaterializowało”, he, he, he, a upiór z Borów powiększył tę kolekcję oczywiście. Ja w tym, he, he, he... A teraz prrr...

Urwał. Umilkł. Zzieleniał z przestachu, bowiem w momencie, kiedy chciał spytać panienkę o bliższe szczegóły, zadzwieczał telefon na biurku. Rafał namyślił się tylko sekundę, ale w ciągu niej przeżył rok. Co teraz? Śpioch-lokaj, który nie troszczył się o osoby wprowadzane do poczekalni i znów drzemał zapewne, nie zignoruje chyba telefonu i... wsypa, kłapa generalna! — dopowiedział reporter w myśli. — Nie. Jeszcze nie! zbuntował się nagle i szybkim, błyskawicznym ruchem zerwał słuchawkę z widełek. — Kto mówi? — spytał cichuteńko, zerkając trwożnie ku drzwiom od korytarza. — Tak, to ja — dodał, kiedy rozmówca, nie wymieniając swego nazwiska, zapytał, czy ma przyjemność z Baltazarem Szafranem. — Chciałbym tylko nawzajem wiedzieć z kim ja mam honor.

Brawurował już teraz, czując na sobie rozmodlony wzrok młodej brunetki wpatrzonych w „mistrza” jak w tęczę.

I skamieniał od zgryzoty. Petentem, zgłaszającym się telefonicznie do słynnego detektywa był nie kto inny, tylko świeży „znajomy” reportera Rafała Królika, poseł S.! — Czytał pan zapewne o tej haniebnej prowokacji moich przeciwników politycznych, co? Czytał pan? — dopytywał poseł niecierpliwie.

— Czytaaałem, ooowszem wyjąknął Rafał, po czym gwałtownie zakasłał, aby zatrzeć wrażenie jego tak niemięsko brzmiącej odpowiedzi.

— Nie sądzi pan chyba, że moją żonę łączyło coś z tym głupkowanym reporterkiem. Tego matolka podstawiono umyślnie, bo trudno było zapewne znaleźć w Warszawie większego tchórza, idiotę, kabotyńca, cymbała...

— Panie! — przerwał Rafał groźnie — czego pan chce jeszcze ode mnie właściwie?

— Chcę aby pan, panie Szafran, wyjaśnił tę sprawę i w tym celu za chwilę wpadnę do pana. Omówimy ustnie wspólny plan działania. Musimy ustalić czym narzędziem był ten mizerny Zając...

— Jaki zając?

— Królik, chciałem powiedzieć. To wszystko jedno zresztą.

Teraz poniosło Rafała. Nie chcąc się zdemaskować wobec Ewy, musiał rad nie rad wysłuchać litanii wyzwisk miotanych na głowę niefortunnego reportera Królika, ale rodowe nazwisko było jego piętą achillesową; tu kpin nie znosił. A przy tym uświadomił sobie, że groźny w spotkaniu poseł S. nie jest groźny przez telefon i można mu teraz nawymyślać, co wlezie, rewanżując się za przesławne lanie sobotnie, które jeszcze czuł w kościach.

— Cóż pan sobie myśli, że ja nie mam ważniejszych zajęć, że będę mój bezcenny czas tracił dla takiego tam patentowanego rogowca?! - huknął, zapominając o wszelkiej ostrożności. Ulewa bardziej soczystych epitetów niż te, jakich używa wielu naszych polityków, lunęła w mikrofon ku zdumieniu Ewy, a zupełnym osłupieniu zaskoczonego posła. I upłynęło długich minut pięć albo więcej, zanim wytrawny parlamentarzysta odzyskał mowę:

— Pan oszalał, panie Szafran, albo jest pan nietrzeźwy — wycharczał — żałuję, że nie stoję na długość ręki od pana.

— Ja także żałuję — pieniał się Rafał i porwał w dłoń czaszkę, jak gdyby chciał tym pociskiem grzmotnąć w niewidzialnego przeciwnika.

— Ale tego płazem nie puszczyć — groził poseł. — Moi sekundanci stwierdzą, czy jest pan, w co wątpię, zdolny do udzielenia dżentelmenowi satysfakcji, czy raczej należy pana kazać obić kijem po...

— Milcz, durniu, brutalu!... Krwią mi zapłacisz za zniewagę! A teraz precz!...

Rafał Królik cisnął z pasją słuchawkę na widełki, lecz zdjął ją natychmiast i położył na biurku. — Wolę wyłączyć telefon, aby nam znowu jakiś dureń nie przeszkodził — rzekł wyjaśniająco w stronę Ewy i przeprosił ją uprzejmie, iż była świadkiem takiej przykłej rozmowy. Potem zamilkł, zagłębił się w wygodnym fotelu, rozmyślając jak zakończyć tę farsę odegraną w znacznej części kosztem tej pięknej dziewczyny. Ach, żeby nie to! Wzięłyby nogi za pas, wszak upłynęło już z pół godziny od chwili, kiedy przestąpił progi mieszkania Baltazara Szafrana i groźny gospodarz mógł się tu zjawić lada moment.

— Wie pani co? — rzekł po namyśle. — Może dokończymy rozmowy na ulicy. Zdenerwowałem się trochę, a nic tak nic uspokaja człowieka jak spacer na świeżym powietrzu. Dobrze?

— Dobrze, proszę pana — jakie to straszne, mistrzu, mieć tylu wrogów, co pan dodała ni w pięć, ni w dziewięć, zerkając znacząco w stronę kolekcji narzędzi morderczych na tylnej ścianie gabinetu. Czy wziął pan jakąś broń z sobą? Nie? — przeraziła się widząc niecierpliwy lekceważący gest Rafała.. Och, proszę się nie narażać, mistrzu! Niech pan zabierze coś z tego. Koniecznie mistrzu. Ja proszę, błagam!...

Aby nie przedłużać pobytu w siedzibie wielkiego detektywa, usłuchał, podbiegł do „arsenału”, pochwycił pierwszy ogromny rewolwer i wsunął go sobie do kieszeni. — Żeby tylko moje stare szelki wytrzymały — zaniepokoił się, poczuwszy ciężar tej kolubryny. Nie mógł jej jednak odrzucić, gdyż rozmodlone oczy dziewczyny nie wypuściły go ani na moment ze słodkich kleszczy spojrzeń. Razem wyszli do poczekalni, a stąd do długiego przedpokoju.

— Rany boskie — jęknął Rafał w duchu. Bo oto posłyszał chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych, a trzy sekundy później w progu, zagradzając drogę uciekinierom, stanął wysoki chudy mężczyzna w raglanie, w cyklistówce nasuniętej na czoło, z fajeczką w zębach, krótko mówiąc: idealny duplikat legendarnego Sherlocka Holmesa.

Rafał Królik poczuł nagle, że nogi ma z galarety. Zapadł się, skurczył, zmalął wobec tego tyczkowego wielkoluda, a jego zęby wydzwoniły koloraturowym sopranem, choć pianissimo, dwa wyrazy: — Baltazar Szafran!

Nie przytomność umysłu, nie spryt ani tupet, lecz wyłącznie instynkt samozachowawczy, wyostrzony po sobotniej przygodzie w willi posła S., kierował dalszymi czynami reportera.

Odsunąwszy energicznie detektywa, pchnął Ewę Turno ku klatce schodowej, a sam, mijając przyglądającego mu się bacznie Szafrana, rzucił przez ramię garść krótkich lapidarnych zdań, wypowiedzianych tonem niemal rozkazującym, choć głos mu drżał i z trudem przepychał się przez krtań:

— Czekałem na pana przeszło pół godziny. Ta pani odjeżdża. Jadę z nią na dworzec, potem wrócę. Proszę czekać koniecznie, sprawa ważna, bardzo poważna!

— All right — szczechnął Baltazar Szafran, uznawszy to wyjaśnienie za wystarczające. — Będę czekał na pana.

— A czekaj sobie do sądnego dnia — mruknął Królik z ulgą, pędząc na dół schodami. Dogoniwszy Ewę na pierwszym piętrze, oświadczył, iż chudy jegomość, którego co dopiero spotkali, to jego najzdolniejszy pomocnik. — Musiałem mu dać kilka wskazówek, instrukcji — łągał już całkiem śmiało — bo doskonali z niego robotnik w naszym fachu, ale bardzo niesamodzielnny. Trzeba nim kierować jak maszyną... No, tak.. A teraz możemy powrócić do sprawy pani, do tego upppp... Znów urwał. Proszę wyjść szybko i czekać na najbliższym rogu ulicy dodał szeptem, popychając Ewę. Wyszli właśnie z klatki schodowej do wielkiej sieni na parterze i tu, ku swojemu zdumieniu, ujrzał Rafał dwóch poważnych panów w czarnych zarzutkach i w melonikach. Rozmawiali z dozorcą kamienicy, zapytywali o Baltazara Szafrana. Tak, o niego. Rafał miał słuch świetnie wyostrzony od soboty. Potem obciągnęli płaszcze, przybrali miny długoletnich funkcjonariuszy zakładu pogrzebowego i naciągając rękawiczki, wkroczyli wraz z dozorcą do oszklonej klatki windy.

— Sekundanci posła S. Idą wyzwać Baltazara! — pomyślał Rafał z humorem, dziwiąc się tylko, skąd poseł wytrzasnął tak na poczekaniu swoich świadków. — Widocznie niektóre kluby parlamentarne mają zawsze pod ręką parkę takich honorowych karawaniarzy — przypuszczał i bodaj, czy się omylił. Nie tracił jednak czasu na długie deliberacje, wychodząc z założenia, że byłoby ostatnim głupstwem pozostawać w bliskości miejsca, gdzie lada moment miała bomba wybuchnąć.

Na ulicy obleciał go strach. Wydało mu się, że gruba baba z kiosku tytoniowego spogląda nań podejrzliwie, że mały kolporter kroczy za nim uparcie, że policjant zauważył już przedpotopowy rewolwer obciążający rozpaczliwie prawą nogawkę spodni, że wszyscy ci świadkowie wskażą Baltazarowi, którydy odszedł ten mały człowieczek upstrzony na buzi plastrami angielskimi. Nie namyślając się długo, wskoczył do przejeżdżającej taksówki, podjechał do miejsca gdzie czekała Ewa Turno, wciągnął ją do wnętrza, kazał się wieźć na Plac Teatralny, stamtąd autobusem pojechali na Plac Zbawiciela, by w końcu tramwajem powrócić na Nowy Świat i wysiąść przed *Italia*.

— W ten sposób zawsze wychodzę z domu, by zmylić moich wrogów, którzy każdy mój krok śledzą nieustannie — tłumaczył Ewie, nie tającej swego zdziwienia z powodu tak zawiłych peregrynacji po mieście z użyciem rozmaitych środków komunikacji. — Teraz jestem do dyspozycji pani.

— A która to godzina? — spytała. — Miał pan przecież odbyć konferencję z panem ministrem sprawiedliwości.

— Prawda! — przypomniał sobie, sięgnął po zegarek i zaklął. Zegarka nie było. Został tam, na biurku Baltazara Szafrana, zapomniany w pośpiechu. Za to kieszeń w spodniach pruća się

powolutku pod ciężarem potężnego parabellum. — Zamienił stryjek na siekierkę kijek — pomyślał Rafał z żalnością. — Ciekawym, co znowu zgubię? Czy nie byłby już najwyższy czas zakończyć tę kosztowną znajomość? — Odpędził tę myśl natychmiast, skoro spotkał wzrok Ewy, tak proszący, taki błagalny, ciepły. Wystrychnąć tę dziewczynę na dudka, uciec jej? Och, nie, za nic!!!

— Może wyznaczy mi pan spotkanie po tej konferencji podjęła po chwili milczenia.

— Rozumiem doskonale minister to...

— Gwizdź na niego przerwał Rafał energicznie. — Niech sobie czeka. Nie ja do niego, ale on do mnie ma interes.

— No dobrze, ale nie przystanę nigdy, by przeze mnie narażał pan sobie tak wysokie osobistości. Proszę iść przynajmniej zatelefonować do pana ministra, usprawiedliwić się jakoś, a ja tymczasem zajmę stolik na tarasie. Dobrze?

Nie ustąpiła, odszedł więc, co prawda nie tyle do telefonicznej budki, ile w jej bliskie sąsiedztwo, za którym tęsknił dość intensywnie, na skutek silnych wzruszeń, jakie przeżył w mieszkaniu Baltazara Szafrana.

Rozdział IV

LISTA PODEJRZANYCH

Rafał Królik wkroczył na taras kawiarni rozpromieniony, tryskający energią, zadowolony, jak gdyby się pozbył ogromnego ciężaru. Pomyślny przebieg „rozmowy z ministrem” napęłnił go optymizmem, jaki go cechował stale przed fatalną sobotą. Już nie czynił sobie wyrzutów, iż wprowadził w błąd Ewę, jej tajemnicza afera z „duchem” wydała mu się błahostką, którą każdy średnio inteligentny śmiertelnik potrafi wyjaśnić. Przewidywał też, że indywiduum, które tak naiwnymi środkami terroryzuje strachliwe kobiety, nie ośmieli się na dalsze występy, skoro do dworu zajedzie groźny Baltazar Szafran! — To niby ja — dodał w myśli, oswajając się powoli z cudzą skórą i nazwiskiem. Niemniej trzeba będzie draba zdemaskować, inaczej po wyjeździe rzekomego detektywa gotów znów zacząć swoje psie figle. To również nie wydało się Rafałowi zadaniem ponad jego siły. Naczytał się w życiu co niemiara romansów kryminalnych, uzupełnił swą wiedzę, oglądając filmy z niezapomnianym Lon Chaneyem czy niesamowite obrazy Pawła Leniego, i wiedział, że żaden zbrodniarz nie bawi się w takie maskarady bezinteresownie, bez celu, do którego zmierza choćby po trupach najbliższych.

Myśl tę wyraził też Rafał słowami, skoro ujrzał Ewę na tarasie i przysiadł się do jej stolika:

— Postaram się w drodze dedukcji ustalić, kto jest owym upiorem. W tym celu musi mnie pani zaznajomić ze swoimi stosunkami rodzinnymi i majątkowymi, zwłaszcza majątkowymi panno Ewo, bo stara to zasada, że w tych tajemniczych sprawach kryminalnych przestępcą *is est, cui protest*.

— *Cui prodest* — odważyła się poprawić nieśmiało.

Rafał prychnął śmiechem. — Miałem niedawno do czynienia z aferą zaprotestowanych weksli, stąd maleńki lapsus linguae — wyjaśnił, przemilczając przez skromność, że chodziło w tym wypadku o jego własny weksel wręczony ongiś krawcowi na pokrycie rachunku za ubranie. — A teraz zaczynamy — rzekł, zamawiając u kelnera lody „na odczepnego”.

— Zanim zaczniemy — odparła Ewa — chciałabym mistrzowi zadać dwa pytania. Po pierwsze, czy pan minister bardzo się gniewa, że...

— Ani trochę — przerwał Rafał — zaprosił mnie dziś na kolację i powiedział dosłownie tak: *rozumiem cię doskonale, mój stary i zawsze chętnie ustąpię pierwszeństwa pięknej kobiecie*.

— Z tego widzę, że moja niegodna osoba była przez chwilkę przedmiotem rozmowy dwóch tak znakomitych mężów.

Ze szczerą radością spoglądał „znakomity mąż”, Rafał Królik, na zapłonioną dziewczynę, rzucił garść komplementów i spytał o drugą kwestię.

— Druga dotyczy pańskiej zgody i honorarium — odparła z wahaniem. — Lubię stawiać sprawę jasno, mistrzu, więc proszę darować mi szczerą.. Wiem, że pański czas jest bezcenny, że pobiera pan królewskie honoraria, i ja, kiedy chodzi o moje ukochane Bory, nie powinnam się cofnąć przed żadnym wydatkiem. Niestety muszę się liczyć z twardą rzeczywistością. Krótko mówiąc, mogłabym panu dać na razie jakąś zaliczkę, a resztę dopiero po żniwach. Cóż pan na to,

mistrzu? — dodała cichuteńko, zaniepokojona jego milczeniem. — Jakiej sumy żąda pan za zdemask...

— Żadnej absolutnie — przerwał energicznie, zbudziwszy się z zadumy, której treścią była ostatnia potyczka ze skrupułami, czy grać nadal tę farsę kosztem Ewy. — Absolutnie! Zaprasza mnie pani do siebie na wieś, na wakacje, dostanę wikt, jakiś kął, opierunek i na tym koniec.

— Ależ, mistrzu. Pański cenny czas...

— Jest cenny, to prawda, lecz równie prawda, że należy mi się miesiąc wytchnienia.

— Mistrzu, drogi mistrzu, jak ja się panu odwdzięczę? — zawołała wzruszona i uściśnięła reporterowi dłoń serdecznie.

— Przedwcześnie o tym mówić — zauważył ze skromnością. — Kto wie, czy ten duch nie okaże się sprytniejszy ode mnie. Niczego nie przyrzekam z góry, panno Ewo, prócz tego, że dołożę wszelkich starań.

— Och, jestem spokojna o wynik meczu: „duch” contra niezwyciężony Baltazar Szafran! Ale, czy nie uważa pan, że byłoby przezorniej, gdyby genialny pogromca przestępców zjechał do Borów incognito?

— Właśnie, chciałem to powiedzieć.

— Musi pan sobie wyszukać jakiś pseudonim, jakieś nic nie mówiące nazwisko, jakiś zawód niegroźny, by „ducha” przedwcześnie nie spłoszyć.

— Słusznie, całkiem słusznie — potakiwał. — Będę miał w pani pojętą uczennicę, widzę już... Szukamy teraz pseudonimu... Mam! — zawołał olśniony nowym pomysłem. — Będę się nazywał: Rafał Królik!

— Doskonale — ucieszyła się. — A może: Zajac? Nie, to zanadto humorystyczne. Niech będzie: Królik, Króliczek, ha, ha, ha... Zamyśliła się nagle: — Mam wrażenie, że to nazwisko obięło mi się niedawno o uszy.

— Jest, zdaje się, pewien dziennikarz nazwiskiem Królik — zauważył niedbale, śledząc uważnie z pod oka grę twarzy swej towarzyszki. Był niezmiernie ciekawy, czy jego popularność jest tylko lokalna, czy też echa sobotniej przygody dotarły już na prowincję.

— Prawda! — ożywiła się Ewa Turno. — Tak się nazywał ten niefortunny reporterzyna, którego jakiś małżonek złapał in flagranti i srodze poturbował. Tak, tak, czytałam o tym. Doskonały pomysł, mistrzu, świetny pomysł, że postanowił się pan podszyć pod firmę tego głuptasa. Przestępca, który chce mnie wypłoszyć z ojcowizny, zlekceważy sobie oczywiście jakiegós tam „króliczka”.

Reporter stuknął ołówkiem w notes i rzekł chłodno:

— Może teraz przejdziemy do meritum sprawy, dobrze?

Przeprosiwszy go za niewieście gadulstwo, zaczęła opowiadać:

— Jestem właścicielką Borów, trzystumorgowego folwarku w Małopolsce Wschodniej. Moje dobra, że użyję ulubionego wyrażenia ekonoma Kochauta, leżą na północnych stokach Karpat Połonińskich, a właściwie jeszcze Beskidów Wschodnich, krótko mówiąc, między górnym Sanem a górnym Dniestrem. Majątek nieszczęśliwy, dużo skał, nieużytków, jeszcze więcej kwaśnych łąk i lichych pastwisk, ornego mało, hipoteka zadłużona „po uszy”, bowiem moc pieniędzy pochłonęła odbudowa gospodarskich budynków prawie z ziemi zrównanych w czasie wojny światowej... ale moje kochane Bory posiadają w głębi bezcenne skarby... ropę!

— Niby, naftę?

— Nafta jest już przetworem, fabrykatem, podobnie jak benzyna, albo...

— Ależ wiem, wiem doskonale — obraził się. — Chemia jest moją ulubioną rozrywką w rzadkich chwilach odpoczynku w mym zawodzie — dodał, łącząc już całkiem automatycznie,

jakby z przyzwyczajenia. — A jest to naprawdę pewne z tą naft... to jest ropa?

— Najzupełniej. Dość powiedzieć, że moimi najbliższymi sąsiadami są *Polish Petroleum Company*, a z drugiej strony Mateusz Rojek.

— Ten polski król naftowy? No, proszę! Myślałem, że jego przedsiębiorstwa znajdują się w Drohobyczu lub Borysławiu.

— Oba te miasta leżą sporo na wschód od Borów i na prawym brzegu Dniestru — wyjaśniła. — Ale wracam do naszej historii. Otóż Rojek, opętawszy całkowicie mego stryja Augusta, właściciela sąsiedniego majątku Rozłąka, zamierza z kolei opanować Bory i pozyskał nawet zgodę stryja będącego moim opiekunem. Na szczęście jednak Sąd Powiatowy, jako władza nadopiekuńcza, odrzucił propozycję zarówno Rojka jak i Rogersa, dyrektora *PPC* i nie przystał ani na sprzedaż Borów, ani na wydzierżawienie ich wstrętnym nafciarzom.

— Z tego widzę, że pani jest jeszcze małoletnia. Nie omyliłem się tedy, szacując panią na osiemnaście wiosenek — wtrącił Rafał, nie podnosząc oczu znad notesu, w którym kreślił coś zawzięcie.

Ewa Turno uśmiechnęła się jak na białogłową przysłało. — Pochlebca z mistrza — rzekła, grożąc mu śniadym paluszką. — Niestety, jestem grubo starsza, skończyłam już w zimie dwadzieścia lat czyli za pół roku osiągnę ustawową pełnoletność... I, jak przypuszczam, w związku z tym właśnie przypuszczono do mnie atak generalny. Od zimy nagabują mnie nieustannie różni pośrednicy, agenci Rojka, Rogersa oraz innych nafciarzy, licytują się wzajemnie, przyrzekają złote góry, byłem tylko podpisała jeden z przedkładanych mi świstków, czyli zobowiązań, i związała sobie ręce.

— A pani cóż na to?

— Wyrzucam wszystkich za drzwi, ani im się wygadać nie pozwolę. Jednego z nich, niejakiego Saula Immerglücka, omal szpicrutą nie przeciągnęłam, tak się zachował bezczelnie. Odszedł z pogróżką: *Uderzy pani jeszcze w pokorę, panno Turno, ale wtedy my ani połowy dzisiejszej ceny nie damy!*

— Kogo reprezentował ów wojowniczy Saul?

— Ach, nie wiem nawet. Zapomniałam spytać, taka byłam zdenerwowana.

— Kiedy to było mniej więcej. Dawno temu?

— O, dość dawno. Jakoś przed Bożym Narodzeniem, na kilka dni przed moim wyjazdem z Krakowa do Borów. Bo trzeba panu wiedzieć, mistrzu, że studiuje w Krakowie agronomię i, jeśli się nie zetnę przy ostatnich egzaminach, to będę w przyszłym roku gotowa z budą, po czym zacznę wreszcie sama gospodarować w Borach. Sama! Bez idiotycznej kurateli Priwima.

— Któż to zacz, ten Priwim? — spytał Rafał, notując sobie nowe nazwisko. Pomyślał też jednocześnie, że zastęp osób działających zwiększa się zatrwajając, i ustalenie, kim jest ów upiór nie będzie wcale tak łatwą rzeczą, jak to sobie przed chwilą wyobrażał.

Ewa wyjaśniła, że Jan Priwim jest prywatnym sekretarzem jej stryja stale od lat mieszkającego w Paryżu. Kiedy w zeszłym roku, w okresie świąt Bożego Narodzenia napisała stryjowi list z ostrymi wymówkami z powodu wydzierżawienia Rojkowi Rozłęki oraz fatalnej gospodarki w Borach, stryj August, zamiast sam wreszcie przyjechać, przysłał jej na kark tego Priwima, który od tego czasu siedzi w Borach i wtrąca się do wszystkiego.

— A od kiedy zaczęło „straszyć” we dworze?

— Koło Nowego Roku, jeśli pomnę... Tak, tak... ledwie przybyłam do Krakowa, otrzymałam alarmujący list od pocziwej Gładyszki. Tak ją nazywamy tę naszą gospodynię w Borach. Jej nazwisko brzmi: Amalia Pelagia Gładyszówna — dyktowała, widząc, że „mistrz” znów skwapliwie zapisuje.

Z kolei przeszła Ewa Turno do ostatnich wypadków. Raz jeszcze, choć dokładniej tym

razem niż w gabinecie detektywa, przedstawiła wypadki pamiętnej nocy, kiedy to po raz pierwszy sama stanęła oko w oko z upiorem, lecz dorzuciła nowy szczegół: Oto jej rewolwer, z którego dwukrotnie wystrzeliła do niesamowitej zjawy, był niezdolny do dalszego użytku; uścisk jakichś, czarcich chyba, kleszczy zgniół, spłaszczył lufę, a na osmolonej, rozhartowanej stali wyrył ślady nadludzko silnego uchwytu.

— Może pan sobie wyobrazić, mistrzu — mówiła Ewa, wyjmując z torebki zniekształcony browning — jakie wrażenie to wywarło na służbie, która mnie nazajutrz nieprzytomną koło łóżka znalazła. Nawet Priwim, który dotychczas pokpiwał z naszych „przywidzeń”, zbladł i chciał koniecznie wezwać komendanta posterunku z Rozłaki. Ledwie mu wyperswadowałam.

— Dlaczego? Czy nie było wskazane dać znać policji?

— Nie, mistrzu. Robiło się to kilka razy, kiedy upiór rozpoczął swą działalność i kiedy jakaś tajemnicza ręka wytruła w jedną noc trzy psy łańcuchowe, i potem także.

Niestety, nic to nie pomogło. Na próżno sam komendant na spółkę z moim ekonomem i stróżem nocnym zastawiał chytre pułapki. „Ducha” nie złapali, resztę psów także wytruto, nawet Pika, mojego ślicznego wyżła. W dodatku jakieś lichy wtrąciło jednego z policjantów do dołu z gnojówką i biedak nogę sobie zwichnął w tym wypadku. Po cóż więc miałam uczynnych lecz bezradnych stróżów bezpieczeństwa publicznego narażać na nową kompromitację. Wołałam raczej zwrócić się do niezawodnego pogromcy najgroźniejszych przestępców... do pana, mistrzu!

Rafał Królik podziękował jej skinieniem głowy i zapytał o nazwiska ekonomy oraz stróża nocnego. Ekonomem był niejaki Kochaut, którego ojciec zmarły przed czterema laty administrował ongiś folwarkami Augusta Turno aż do chwili, kiedy ten wydzierżawił je Rojkowi.

— Ten drugi zaś — ciągnęła dalej Ewa — nazywa się Marcin Rogalik, jest u mnie stróżem nocnym, kładzie się spać o świcie, gdy fornale wstają do rannego obroku, śpi do południa, a po popołudniu pełni funkcję dworskiego kowala. Bardzo sumienny i pracowity robotnik.

— Zapewne, zapewne, skoro pracuje we dnie i w nocy. Hm, zatem jest także kowalem — dodał w zamydleniu, oglądając znów piętno szatańskich kleszczy na rewolwerze Ewy.

— Tak — potwierdziła. — Mamy we dworze maleńką kuźnię, do...

— Ach, kuźnia jest także we dworze, nie tylko we wsi! — przerwał z nagłym ożywieniem. — Teraz rozumiem nareszcie, w jaki sposób „duch potępionego” zdążył porobić te znaki, zanim panią służba znalazła!

W toku dalszej rozmowy, zapoznając rzekomego detektywa z osobami, z którymi miała styczność w ostatnich czasach, nie mogła pominąć milczeniem Andrzeja Barskiego. Ten młodzieniec, bawiąc w jakimś interesie swojego szefa w Krakowie, odwiedził ją, przedstawił się jako jej daleki kuzyn i zaklinał ją na wszystkie świętości, by Borów z rąk nie wypuszczała, by nie poszła na lep najkorzystniejszych pozornie propozycji, gdyż ani nie przypuszcza, jak szalenie bogate tereny naftowe tam posiada...

— *Niech pani nie kroczy śladem swego lekkomyślnego stryja, zaklinam panią*, mówił. Ale, ale, drogi mistrzu: o tej wizycie Barskiego u mnie, sza! Ani słowa! Gdyby się coś doniosło do Rojka, Barski, który pracuje u niego jako inżynier, wyleciałby z posady momentalnie.

— Hm, hm, typek niezbyt lojalny wobec swego chlebobawcy, jak z tego widzę.

— Krzywdzi go pan, mistrzu. To naprawdę jedyny, budzący zaufanie człowiek wśród tych przebrzydłych naftowych geszefciarzy.

— W każdym razie ma w pani dzielnego obrońcę — zauważył Rafał z uśmiechem lekko zaprawionym zazdrością, bowiem nie uszły jego uwagi żywe błyski w oczach Ewy, gdy mówiła o Barskim, ani przelotne rumieńce na jej policzkach... — Jestem już z grubsza zorientowany w

pani stosunkach. Powiem więcej: zdemaskowanie upiora z Borów będzie dla mnie bagatelką, gdyż jego prawdziwe oblicze jest mi już znane... O tu! Tu go mam, panno Ewo.

Rafał potrząsnął zwycięsko swym notesem, rzucił go nonszalancko na płytę stolika i jął zacierać dłonie. Był nieźle głodny, namyślał się właśnie, czy zaproponować Ewie, by wspólnie zjedli obiad w jakiejś tańszej restauracji, gdy nieopodal ujrzał jednego z młodszych redaktorów *Kuriera*. Ów kłaniał się mu uprzejmie, ach, niebywale uprzejmie, oczywiście z tego powodu, że go zobaczył w towarzystwie tak pięknej kobiety i zezował pytająco w jej stronę. — Przepraszam panią na chwileczkę — rzekł Rafał, zerwał się jak podrzucony sprężyną i popędził naprzeciw eks-kolegi; lękał się, by tamten jakimś powitalnym okrzykiem nie wyspał go przed Ewą, toteż wołał zażegnać niebezpieczeństwo zawczasu. Powiodło się na szczęście. Redakcyjny donżuan omotany wymową Rafała, improwizującego niesłychane historie na temat pięknej dziewczyny, pozwolił się pod ramię uprowadzić z tarasu do wnętrza kawiarni.

Ewa Turno została sama. Sam na sam z pozostawionym na stoliku notesem, który stał się od razu nieprzewycięzoną pokusą dla kobiecej ciekawości. Ewa nie była oczywiście tak niedyskretna, by wertować kartki cudzego notesu i w innych warunkach ani by doń nie zajrzała. Ale Ewa nie miała skrupułów, kiedy chodziło o jej ukochane Bory. A przecież genialny Szafran powiedział sam, iż oblicze przestępcy jest mu już znane. *Tu go mam*, rzekł dosłownie, klepiąc swój notatnik.

Drżącą dłonią przysunęła notes i otworzyła go w tym miejscu, gdzie między kartkami leżał wsunięty ołówek. Spojrzała. I zdumiała się.

W górnej części stronicy znajdował się groteskowy rysunek, przedstawiający lasek świerkowy z napisem *Bory*, ponad którym to laskiem unosiło się monstrualne, skrzydlate straszdyło w aureoli niezliczonych pytajników i wykrzykników. Potwór ten, mający kształt jak gdyby nietoperza miał na łbie potężną papachę rosyjską z bolszewicką gwiazdą, a przez piersi przepasany był szarfą, ozdobioną czterema kunsztownymi literami: *DUCH!* Poniżej, pod wiele mówiących nagłówkiem: *LISTA PODEJRZANYCH*, figurowały kolejno nazwiska: Rogers, Rojek, Immerglück, August Turno, Priwim, Amalia Gładysz, Kochaut, Rogalik, wreszcie Andrzej Barski. Ten ostatni obok zwykłego wykrzyknika, jaki znajdował się obok każdego nazwiska jego poprzedników, posiadał także emblemat, przedstawiający odwróconą gruszkę przeszytą strzałą.

— Czyżby to miało być serce? — pomyślała Ewa, stając w pasach, nie wiedzieć z jakiego powodu. A potem ogarnęło ją zdumienie bezbrzeżne: — Ależ on podejrzewa wszystkich bez wyjątku! Wszyscy są na jego czarnej liście. — Długo jej przyszło czekać na powrót „mistrza”. Bo oto kolega redakcyjny, zapytany o najświeższe nowiny, powiedział w pewnej chwili:

— O wypadku samochodowym ministra sprawiedliwości pewnie już czytałeś. Nie? No, nic poważnego, nie rób takiej strapionej miny, jakby ci familia na galopujący świerzb wymarła. Auto się przekopyrtnęło, zleciało do przykopy, ale minister wyszedł tylko podrapany.

— Gdzie się to wydarzyło? — jęknął Rafał, tknięty złym przecuciem. — Tu, pod Warszawą?

— Ale skąd. Pod Krakowem. Czy nie wiesz, że on odbywa właśnie w Małopolsce podróz inspekc...

— Czemu właśnie w Małopolsce! Właśnie teraz! — wrzasnął Rafał z pasją, kalkulując w myśli, że jeśli Ewa weźmie dziś do ręki jakąkolwiek gazetę, to jego prawdomówność, jego dobra opinia w oczach tej ślicznej czarnuszki stanie pod znakiem zapytania. — To trzeba mieć mojego pecha — krzyknął jeszcze i popędził na taras, pozostawiając zdumionego eks-kolegę w hallu kawiarni. Ten zaś odprowadził uciekającego reportera współczującym spojrzeniem i westchnął: — Poseł S. musiał biedakowi i mózg nadwyreżyć, nie tylko fizjonomię. Plecie nieborak zupełnie

od rzeczy. I taki osioł ma szczęście, taki kwadratowy osioł! — dodał z zazdrością, wspomniawszy sobie czarującą brunetkę, w której towarzystwie widział przed chwilą Rafała Królika...

Rozdział V

TAJEMNICZY PODPALACZ

Rafał Królik otrzymał na własne żądanie pokój sąsiadujący z jadalnią, poza którą znajdowała się sypialnia młodej dziedziczki Borów: w ten sposób chciał zadokumentować swą gotowość czuwania nad snem Ewy.

Przyjechali do Borów po zachodzie słońca, toteż postanowił rozejrzeć się w sytuacji dopiero nazajutrz, a na razie wypocząć po męczącej podróży trzecią klasą. Przy kolacji poznał trójkę „dygnitarzy” dworskich, mianowicie Jana Priwima, dalej Kochauta czyli „pana rzomce”, jak go tytułowała służba folwarczna, wreszcie Amalię Pelagię dwojga imion Gładyszównę, eks-kucharke, a obecnie gospodynię. Kochaut i Gładyszówna wyglądali na operetkową parę wiernych sług, tępych, ograniczonych, zręcznych się między sobą, jakby im to było do zdrowia niezbędne, ale jednak rozkochanych w swej chlebobawczym. Za to małomówny, podejrzliwy Priwim, pono obieżyświat i sekretarz zdziwaczałego milionera, a nieobyty, żeby nie powiedzieć: nieokrzesany, i jedzący tak obrzydliwie nieapetycznie, jak przeciętny mieszcuch francuski... nie budził w Rafale najmniejszego zaufania.

— Przyszły od pana Augusta dwa listy w czasie pani nieobecności. Jeden do mnie, drugi do pani — rzekł, wymieniając siebie na pierwszym miejscu. Jeszcze gorzej ponosiło Rafała, kiedy antypatyczny zrzęda zaczął strofować Ewę z powodu jej podróży do... Krakowa. Tak, do Krakowa, bowiem Ewa umyślnie nie wyjawiała nikomu, że była w Warszawie, a nagły swój wyjazd upozorowała koniecznością osobistej interwencji w krakowskim oddziale Państwowego Banku Rolnego, w sprawie swego podania o pożyczkę długoterminową, której chciała użyć na konwersję uciążliwych długów majątku.

— No? Wskórała pani co? — utyskiwał Priwim, zażerając się nieprzyzwoicie, choć wszyscy już dawno jeść przestali. — Oni forsy nie mają, dawno wiem. Szkoda było kosztów podróży. Pan August, jak się dowie...

— Jak mu pan znowu doniesie — wtrąciła Ewa z ironią.

— To mój obowiązek, a pan August wciąż mówi: oszczędzać.

— I sam daję doskonały przykład, siedząc w Paryżu od lat i nie troszcząc się ani o własny majątek, dewastowany przez spekulanta, ani o majątek swej małoletniej pupilki. No, dziękuję panu za miłe towarzystwo.

Wstała, kiwnęła głową w stronę Kochauta, stojącego koło zegara, uśmiechnęła się przyjaźnie do Gładyszki, piorunującej wzrokiem Priwima i wyszła do ogrodu z Rafałem. Już w progu dobiegł ich niedźwiedzi pomruk Priwima.

— Jutro se chce pogadać z panią o tych listach.

Rafał tylko głową kiwnął ze zdumienia. — Chce se pogadać — przedrzeźniał, krocząc obok Ewy krętą ścieżką wśród okwitłych bzów. — Ładnego sekretarza sobie stryjek pani wyszukał, no — zauważył. — To chyba zwyczajny chłop bez najmniejszej ogłady towarzyskiej.

— A co gorsza — dorzuciła — stryj w jego towarzystwie także schłopiał doszczętnie. Gdybym panu przeczytała dawne listy stryja i obecne, nigdy by pan nie powiedział, że pisała je ta

sama ręka.

— Ale pismo to samo, co? — spytał Rafał zniechęcony, zasmakował już w roli detektywa i wszystko podejrzewał, wszędzie wietrzył nieczyste sprawki. Tym razem spotkał go zawód. Ewa odpowiedziała, że stryj kupił sobie przed laty maszynę do pisania i od tej pory stało się nieprawdopodobnym zdobyć jego autograf; wszystko pisze na maszynie, dobrze jeszcze jeśli się ręcznie podpisać raczy. — O dziwactwach stryja pomówimy sobie może innym razem, dziś należy się nam trochę snu i wypoczynku — rzekła. Stało też na tym i koło godziny dziesiątej Rafał znalazł się w łóżku. Nie znaczy to jednak, iż o dziesiątej zasnął. Och, przeciwnie, zmora odpowiedzialności padła mu głazem na piersi i spędziła sen z powiek na długie, długie godziny. Gdyby tu w grę nie wchodziło bezpieczeństwo Ewy potraktowałby, całą mistyfikację na wesoło jako wakacyjną przygodę i niechby sobie nawet tajemniczy „duch” tryumfował kosztem kompromitacji Baltazara Szafrana. Ale, nie! Nie mógł dopuścić, by jakakolwiek krzywda spotkała tę dziewczynę, która tak wiernie stawała w obronie swej ojcowizny zagrożonej przez niesamowitego wroga, czy całą szajkę wrogów.

Nie zapalając światła, podszedł Rafał do uchylonego okna. Wychodziło na park zasłuchany w srebrzyste pienia słowików. Rafał był dzieckiem wielkiego miasta, lecz zgiełkliwa pełna dysonansów melodia wielkomięskiej ulicy nie zdołała w nim zabić wrażliwości na prawdziwe piękno, z którym hałaśliwe dzungle kamienne mają niezmiernie mało wspólnego. Więc oczarował go z miejsca ten park dostojny, stuletni, niepomny już ran, jakie granaty w nim wyszczerbiły w czasie wojny światowej, upoił go śpiew słowicy, odurzyła woń kwiatów i, sam nie wiedząc jak ani kiedy, znalazł się w ogrodzie.

— Trzeba piękne połączyć z pożytecznym — rozmyślał może stąd prędzej dostrzegę tego upiora i dowiemy się w końcu, skąd przybywa.

Koło północy kiedy już zamierzał powrócić do łóżka, postyszał odgłos kroków gdzieś w pobliżu. Oddaliły się, ucichły, lecz w dziesięć minut później znowu ktoś przeszedł tą samą drogą, potem po raz trzeci i czwarty. Rafał pomyślał z humorem, że to pewnie „duch”, który za pokutę musi odbywać takie spacerów nocnych tym samym szlakiem, niemniej jednak zrobiło mu się trochę nieswojo.

— Ki diabeł? Stróż nocny? W każdy razie ktoś z domowników, sądząc po pewności, z jaką orientuje się po ciemku. Ale po kiego licha ta łazęga chodzi tam i na powrót?

Wspomnienie Ewy dodało mu odwagi. Ruszył tropem tajemniczego spacerowicza, orientując się tylko słuchem, gdyż chłodny północny wietrzyk pogasił gwiazdy, naspędzawszy chmur jakby na burzę. Ale wiatr ten był też sprzymierzeńcem; na jego rachunek poszły wszelkie szelesty, jakie wywoływał pochód Rafała, nieobeznanego z terenem i nienawykłego do poruszania się w mrokach

Idąc wciąż za niewidzialnym w ciemnościach jegomościem, obszedł lewe skrzydło dworku (mieszkał tu Priwim, a nad nim, na stryszku, poczciwa gospodyni, właścicielka aż dwóch staropanieńskich imion) i znalazł się przy otwartej furtce. Niski płotek z dość koślawych sztachet oddzielał park od folwarcznego dziedzińca, w którego obręb wkroczył już nieznajomy, posuwając się jeszcze pewniej i głośniejszo niż w ogrodzie. Szedł teraz wzdłuż północnego frontu domu mieszkalnego w stronę drzwi, przed którymi bryczka wysadziła Ewę i jej gościa. Przystanął, więc i Rafał zastygł w bezruchu, nad słuchując bacznie, co dalej nastąpi. Nagle stuknęło coś, rozległ się przeciągły plusk, jak gdyby ktoś dużą konewę wody przelewał, drugi plusk podobny, i znowu odgłos kroków; nieznajomy powracał tą samą drogą.

Kiedy kroki ucichły, Rafał pomaszerował śmiało w stronę drzwi dworku. Odnalazł je bez trudu, gdyż pomalowane na orzech deski stanowiły najciemniejszy punkt na tle białej frontowej ściany budynku i, grzęznąąc w błocie, stwierdził, iż cenną dla gospodyni deszczówkę wylano na

ziemię. Lecz mimo to beczka nie była próżna; stawiała srogi opór, kiedy ją szarpnął, trzymając oburącz za górne krawędzie klepek. Jakaś dobrze znajoma woń potęchtała nozdrza Rafała. Zanurzył rękę i cofnął się zdumiony.

— Benzyna?! — mruknął pytająco, jakby sobie jeszcze niedowierzał. Tak, to była benzyna. Ale w jakim celu ów tajemniczy osobnik trudził się po nocy, by beczkę przeznaczoną na deszczówkę, napełniać benzyną? I skąd wziął tak spory zapas tego płynu, gdzie go przechowywał? — W parku — odpowiedział sobie Rafał sam na to pytanie. — Czyżby tu było w planie jakieś podpalenie? — Aż ścierpł ze zgrozy na taką myśl, niemniej nie potrafił już jej odpędzić. Co począć? Co począć? biedził się, trąc czoło z pasją, jakby chciał stamtąd wycisnąć jakiś zdrowy pomysł. Czekać na dalszy rozwój wypadków? Nie, taka bierność byłaby karygodna, nawet gdyby nie chodziło o Ewę. Zatem zaalarmować domowników? Nie, bo może zażegnałby na teraz niebezpieczeństwo, ale nie w przyszłości. Należało raczej schwytać łotra in flagranti, zdemaskować go i unieszkodliwić raz na zawsze.

Jedną z niewielu zalet Rafała było to, że decydował się szybko i powzięty zamiar, choćby najbardziej nonsensowny, realizował na poczekaniu. Tak było i teraz. Umyśliwszy sobie, że tajemniczy jegomość nosi benzynę skądś z parku, że właśnie tam znowu odszedł, popędził Rafał ku furtce. Tu postanowił się zacząć i przychwycić tamtego. Nagle przypomniał sobie, że jest zupełnie bezbronny. — Trudno wymagać, bym szedł słuchać słowików z kolubryną Szafrana w dłoni — usprawiedliwiał się sam przed sobą. — I co teraz? A nuż ten drab będzie mocniejszy ode mnie, nuż mnie poczęstuje nożem, albo diabli wiedzą czym? — Osądził, iż nie ma innej rady, jak tylko pobiec do pokoju po rewolwer i powrócić spiesźnie na upatrzony posterunek, zanim śledzony typek nadejdzie z nowym transportem benzyny. Przeprowadziwszy tę słuszną kalkulację, pognał Rafał jak szalony ku oknu nie ścieżką nawet, ale na bliższe drogi poprzez rabaty i klomby kwiatów, tuż przy ścianie południowego frontu dworku. Nagle pociemniało mu w oczach. Poczł silne tępe uderzenie w okolicy lewej skroni, runął jak długi, a upadając, wyrznął znów głową o coś twardego i stracił czucie.

Pierwszym spostrzeżeniem jakie Rafał uczynił po odzyskaniu przytomności było to, że nie jest już tak przekłęcie ciemno, jak przedtem. Bez trudu rozróżniał kontury drzew oraz zarysy okapu dachu, nawet rynny, ale ani nie widział gwiazd ani nie posłyszał radosnego świergotu ptaków, witających poranek. Natomiast dobiegły go echa głośnej wrzawy, okrzyków i łoskotu przypominającego odgłosy pracy drwali. Tknięty złym przecuciem usiadł na ziemi i mimo zawrotu głowy jął się wytrwale windować na nogi. Upewnił się z każdą sekundą, że to, co w pierwszej chwili wziął za odbłask rannej jutrzeńki, było refleksem łuny. Palilo się tu, we dworze.

Zataczając się, szedł tą samą drogą poprzez klomby, którą biegł przedtem, póki nie grzmotnął głową w coś.

Gdy dotarł do końca ściany, wionęła mu w twarz struga ciepłego powietrza, przed którym go dotychczas osłaniał budynek mieszkalny. Odetchnął z ulgą. To nie dwór się palił, lecz stodoła i sterta słomy na środku dziedzińca. Na szkarłatnym tle ognistego gejzeru dojrzał ciemne sylwetki krzątających się ludzi, bliżej dwa samochody, a jeszcze bliżej koronkę sztachet. Nie od razu znalazł w tym płotku dobrze zamaskowaną furtkę przedtem na oścież otwartą, gdy śledził w ciemnościach zagadkowego jegomościa, teraz zaś zamkniętą. Otworzył ją i dość niepewnie ruszył w kierunku garstki osób, kierujących akcją ratowniczą. Ewa Turno stała pomiędzy dwoma dżentelmenami; wpatrzona tępo w ogień, potakiwała z zaciśniętymi kurczowo szczękami wywodom tęższego sąsiada, ale Rafał stojący na uboczu był pewien, że niewiele rozumiała, co do niej mówiono w takiej chwili. A barczysty pan mówił właśnie:

— Nie rozumiem doprawdy, czemu się tak guzdrają. Natrę im uszu, co się zowie. Kiedy wsiadłem w auto, zaprzęgali już konie do beczkowitzu. Całe szczęście, że kolega Rogers mnie

ubiegł.

— A mój droga być długi więcej, mister Rojek — odparł szczupły dżentelmen, nie wyjmując fajki z zębów.

Ewę denerwowały niewypowiedziane nieszczerze kondolencje tych potężnych sąsiadów oraz ich usłużność w ratowaniu jej dobytku. Była głęboko przeświadczona, że w duchu radowali się z jej nieszczęścia mogącego przyspieszyć upragniony dla nich moment jej bankructwa i licytacyjnej sprzedaży Borów. Tylko dlatego straż pożarna z szybów Rojka tak się dziwnie guzdrała i tylko dlatego Rogers pierwszy przybieżał, by zakasać rywala, a zaskarbić sobie wdzięczność dziewczyny. Różnymi drogami dążyli do tego samego celu i, udając współczucie, pragnęli gorąco, by budynki folwarczne Borów spłonęły do ostatniego. O tak! Byle tylko ziemia została. Byle zagarnąć tę ziemię i ryć w niej cuchnące, brudne szyby na gruzach stuletniego parku, na gruzach odbudowanego dworu.

Niemal jednocześnie z ochotniczą strażą zakładów Rojka nadjechał chłopską podwodą komendant posterunku w Rozłące, a wraz z nim czterech policjantów. O ugaszeniu stodoły i sterty nie było już mowy, wyteżono więc wszelkie siły w tym kierunku, by ogień nie przerzucił się na sąsiednie zabudowania, co przy wzmagającym się wietrze było zupełnie możliwe. Akcję ratowniczą utrudniał brak wody. Maleńki stawek obok czworaków, miejsce towarzyskich spotkań kaczek i gęsi, wypompowano niemal do dna, do rzeczki było zbyt daleko, więc dwa beczkowozy z Rozłaki miały stanowić rezerwę. Ilekroć płonący wiecheć słomy opadł na dach spichlerza lub obory, pompy szła w ruch i skąpy natrysk cennej wody tłumiał niebezpieczeństwo w zarodku. Trzeci beczkowóz, już próżny, wysłano do rzeki, a konie rwały z kopyta, przerażone rykiem komendanta posterunku.

Stary policjant pienił się z wściekłości. — Utrapienie z tym dworem — narzekał, rozpamiętując etapy swych niefortunnych łowów na „ducha”, a teraz znów pożar. I nie zwyczajny pożar od pioruna czy z nieostrożności, ale podpalenie. Może nie? A te resztki zwęglonego lontu, które sam znalazł pod okapem drugiej stodoły, to co? Komendant z Rozłaki miłował spokój nade wszystko. Rozumiał, że nie wszyscy ludzie są święci, że może się przytrafić kradzież polna, no, niechby i domowa, że się ludziska urzną i pobiją, ale grubszych „kawałków” nie cierpiał. Z rozrzewnieniem wspominał ów ranek, kiedy, idąc brzegiem rzeki, ujrzał napuchłe ciało topielca; zepchnął je łagodnie na wodę i popłynęło sobie w rejon komendanta sąsiedniego posterunku, który, o ile nie był równie dowcipny, miał ciężką orkę z protokołami, z sekcją zwłok, z dochodzeniem, z komisją sądowo-lekarską, z podwodami i pogrzebem. No, tak. Ale wyekspeduj tu „ducha” do rejonu kolegi-sąsiada, albo zataj taką zbrodnię jak podpalenie. Ani mowy nie ma! Po prostu pech!

Rafał Królik obserwował uważnie bohaterów swej czarnej listy. Wszyscy zachowywali się bez zarzutu. Rojek dyskutował nadal z Rogersem, Andrzej Barski, w kostiumie strażaka laźł w ogień z brawurą, jakby jakieś bezcenne skarby spoczywały w dogorywającej pustej stodole. Kochaut aż zachrypnął od komenderowania ogłupiałymi fornałami, dwojga imion Gładyszówna mogła była z powodzeniem zastąpić pełny beczkowóz, tyle łez ciekło nieustannie z jej przerażonych oczu, zaś Jan Priwim wyglądał jak Niobe, skamieniała z bólu po stracie swej licznej progenitury.

— Tyle dobytku z dymem — powtarzał, kiwając głową ponuro. Ocknął się z zadumy dopiero wtedy, gdy dwaj przemysłowcy pogodzeni już snadź, bo uśmiechnięci i częstujący się cygarem, podeszli tak blisko, że przysłonili mu ogień. Rafał obserwował tę trójkę bardzo troskliwie i zrobił spostrzeżenie, które go zadziwiło niemało. Oto z oczu Priwima wystrzelił płomień śmiertelnej nienawiści, a twarz, zaczerwieniona od krwawych blasków pożaru, wykrzywiła mu się w grymasie bezsilnej wściekłości i upodobniła się przedziwnie do mordy

podrażnionego buldoga. — Ale którego on tak „kocha”? — zastanowił się Rafał, podchodząc nieznacznie w tę stronę. Niestety, za późno. Dwaj panowie już odwrócili się frontem do Priwima, już zarzucili go pytaniami o Augusta Turnę, a niedawny buldog przeobraził się nagle w mruczącą z zadowolenia kotkę; łasił się, składał jak scyzoryk, odpowiadając uprzejmie na liczne pytania naftowych „szejków”, a miódowy uśmiech zataił mu ze szczerem zwykłą ponurość gęby.

Obserwacje Rafała przerwał ostry pisk niewieści.

— Gore!... Dwór gore!... tam, patrzcie... dach!

Zabeczana Amalia Pelagia dostrzegła to, co wszyscy przeoczyli. Oto ostrzejszy snadź podmuch wiatru przeniósł nad głowami zebranych mały snopek słomy, który spadł na kryty papą dach domu mieszkalnego i dopiero tam rozgorzał jasnym płomieniem.

— Beczkowóz! — huknął Andrzej Barski; pochwyciwszy leżącą nie opodał drabinę, popędził z nią w górę, w stronę dworu, a za nim garść ochotników skorych do ratowania ale niekarnych i hałaśliwych. Komendant posterunku ujął własnoręcznie lejce koni od pierwszego beczkowozu, podciął je batem, gdy dopadł doń z boku Marcin Rogalik, stróż nocny i dworski kowal w jednej, zaspanej osobie. — Nie trza, panie komendancie. Tam mamy dużą beczkę z deszczówką.

Trzech fornali, uzbrojonych w wiadra kopnęło się w tamtą stronę na wyścigi, aby w obecności dziedziczki okazać swą gorliwość lecz wszystkich wyprzedził Rafał Królik!

— Precz! — zapał takim głosem, że wszystkie spojrzenia przyciągnął ku sobie, niby magnes opiłki żelaza. Wyrwał pierwszemu chłopu jego wiaderko i jął nim wymachiwać straszliwego młyńca, broniąc innym dostępu do rzekomej deszczówki. Andrzej Barski skoczył w sukurs ochotnikom. Odepchnąwszy Rafała, zanurzył inne wiadro w beczce, krzycząc równocześnie w stronę komendanta, by unieszkodliwił szaleńca, utrudniającego akcję ratowniczą.

— Precz! — wrzeszczał dalej Rafał schwycony mocno za kołnierz przez przedstawiciela porządku publicznego. — Spalicie cały dwór, osły! To nie woda... to **benzyna!**

Barski wstępował właśnie na pierwszy szczebel drabiny szczytem opartej o okap, kiedy zabrzmiał ten okrzyk. Odruchowo pochylił twarz nad niesionym przed się wiadrem i odskoczył z okrzykiem grozy. Ten człowiek mówił prawdę. W beczce, przeznaczonej na deszczówkę była istotnie benzyna. Ścierpł na myśl, że gdyby nie ten okrzyk ostrzegawczy, byłby chlusnął wiadrem benzyny na ogień. Ale ocknął się szybko z wrażenia; podał wiadro jednemu z posterunkowych, a sam pospieszył na dach, zepchnął na ziemię płonący snopek, zdeptał ostatni ślad ognia i pozostał na tej placówce, przewidując, iż wiatr może więcej takich gorejących pocisków tu przynieść ze sterty słomy.

Komendant posterunku stwierdził osobiście, jaką to niebezpieczną ciecz zawiera beczka, splunął z obrzydzeniem po sumiennej analizie, polecił nakryć ów zbiornik łatwopalnego płynu, postawił przy nim jednego ze swych podwładnych, z surowym przykazaniem, by nikogo z papierosem na dziesięć kroków nie dopuścił, a potem, mrużąc oczy z nieopisaną złośliwością, zagadnął Rafała tymi słowy:

— Kto pan jest i skąd mu było wiadome, że to benzyna, a nie woda?

Rozdział VI

ŚLEDZTWO

Rafał zawahał się. Powiedzieć całą prawdę? A jeśli podpalacz znajduje się tu, w gronie słuchaczy? Jeśli dowie się teraz, że był śledzony?

Drugim względem, przemawiającym przeciwko wyjawieniu prawdy, była miłość własna. Jak to? Przyznać się wobec Ewy, że był już na tropie przestępcy i w tak arcygłupi sposób wypuścić z rąk nitkę wiodącą do kłębka?

— Widzi szanowny pan, to było tak — zaczął reporter, tłumiąc chęć parsknięcia śmiechem na widok kapitalnej miny komendanta posterunku z Rozłaki. — Zbudziłem się z zaschniętym gardłem. Chciało mi się piekielnie pić, a nie wiedziałem gdzie znajdę wodę. Nie wiedziałem, bo zaledwie wczoraj wieczorem przyjechałem do Borów... Nie chcąc budzić domowników, wylazłem przez okno i udałem się na poszukiwanie jakiejś studni. Zamiast niej odkryłem tę oto beczkę. Ha, deszczówka nektarem nie jest, zapewne, ale człek spragniony nie grymasi. Zacerpnąłem haust dłonią, no i plunałem potem, jak, nie przymierzając, szanowny pan przed chwileczką. W ten sposób stwierdziłem, że w tych ropodajnych okolicach nawet obłoki zawierają benzynę, boć nie ulega wątpliwości, że to autentyczna deszczówka, prawda? Aż teraz, kiedy ci zacni młodzieńcy chcieli użyć do gaszenia tej cieczy, zaprotestowałem, wychodząc z założenia, iż do tego celu woda nadaje się lepiej... Ot i cała tajemnica mej intuicji, czy jasnowidztwa.

Komendant wywnioskował z właściwą sobie bystrością, iż ten nieznaną jegomość pokpiwa sobie z niego, choć mówi na pozór do rzeczy. W dodatku dziedziczka Borów zaświadczyła skwapliwie, że ten pan był dawniej jej kolegą na uniwersytecie, a obecnie jest w Warszawie dziennikarzem, że przyjechał dopiero wczoraj, korzystając z jej zaproszenia, a nazywa się Rafał Królik. Tak, wszystko się tu zgadzało, szczytem głupoty byłoby więc sądzić, iż zaproszony dziennikarz, więc pewnie golec zamierzający się podżywić w czasie wakacji na wsi, zamierzał zaraz w pierwszą noc spalić gościnny dwór. No i skąd by szelma wytrzasnął dobre sto litrów benzyny. Z zapalniczki ją wycisnął, czy jak? Sto litrów?! A jednak należało smarkaczowi dać trochę po nosie; niechby wiedział na przyszłość z kim okoliczność... Po krótkim namyśle postanowił komendant wylegitymować Rafała.

Ewa zbladła. Wsypa wydała jej się nieunikniona, dalsze incognito Baltazara Szafrana nie do utrzymania. Przestępca, jeśli znajduje się w tym gronie lub posiada tu współnika czy konfidenta, przycichnie od razu na czas pobytu w Borach słynnego detektywa, potem znów zacznie terroryzować domowników i cała robota na nic.

Wszystkie te myśli przegalopowały w ułamku sekundy przez myśl dziewczyny odrętwiałej jeszcze po świeżym nieszczęściu i zbudziły jej energię. Śmiało natarła na komendanta posterunku Policji Państwowej, czyniąc mu ostre wymówki, iż ośmiela się legitymować jej gościa i przyjaciela. Stary wyga, który mimo awersji do „straszego dworu” rozumiał dobrze, iż z dziedziczką Borów i w przyszłości spadkobierczynią milionera Augusta Turno, należy żyć w zgodzie, spuścił natychmiast z tonu: machnął ręką z rezygnacją, oświadczył,

iż poręka panny Turno wystarcza mu w zupełności, kiedy zaprotestował sam zainteresowany, Rafał Królik. Niedbałym ruchem wyjął z kieszeni swój wykaz osobisty i podał go „władzy”.

Ewa zerknęła przez plecy komendanta. Osłupiała ze zdumienia. Ujrzała dosłownie czarno na białym, że właściciel tego wykazu nazywa się Rafał Królik, liczy lat dwadzieścia osiem, a z zawodu jest dziennikarzem. Z uznaniem spojrzała na uśmiechniętego człowieka, a zachwyty jej dla przewidującego Baltazara Szafrana przeszedł wszelkie granice. — Co za spryciarz myślała i kiedy on zdążył tę cudownie podrobioną legitymację spreparować, skoro tego samego wieczora wyjechaliśmy razem z Warszawy? Pojęła iż nie pojmie tak prędko arkanów trudnego zawodu Szafrana, nie siliła się nawet, mając głowę zaprzątniętą innymi troskami, lecz jednocześnie odpadła jej troska największa, o niesamowitego upiora. Baltazar Szafran nie zaśpi gruszek w popiele. Baltazar już się nim zajmie.

— Pan jest genialny mistrzu — wyszeptwała, uprowadziwszy Rafała na bok. — I panu zawdzięczam, że dom mieszkalny nie podzielił losu tej starej stodoły, że go nie gaszono benzyną!... Ach wzdrygam się jeszcze.

— Spokojnie, droga panno Ewo — odparł równie cicho. — Jestem już na prawdziwym tropie. Gdyby nie drobny wypadek, byłbym dziś jeszcze draba nakrył in flagranti.

— Ale kto jest tym łotrem? — spytała, wspomniawszy sobie długą listę podejrzanych z notesu rzekomego detektywa. Nie dowiedziała się jednak, bowiem na ustach Rafała wypełził uśmiech tak dyplomatyczny i tajemniczy, że nie tylko Sfinks mógłby mu go pozazdrościć, ale nawet sam wielki Sherlock Holmes!

— Cierpliwości, drogie dziecko — rzekł, ogarniając Ewę ojcowskim spojrzeniem. — Powiem pani gdy go osaczę jak wydawca literata.

Wielkie krople dżdżu posypały się z niebios otulonych chustą chmur. Deszcz, na który zanosilo się już od wieczora, zgasił tlejące zgliszcząca stodoły i coraz bardziej skurczony stos zeszłorocznej słomy, czyniąc „brudną konkurencję” dwóm hufcom ochotniczych straży pożarnych, które też niebawem odjechały, a w ślad za nimi dwaj potężni nafciarze. Wzmagająca się ulewa spędziła wszystkich z folwarcznego dziedzińca, co atoli nie ostudziło gorliwości komendanta posterunku, pana Kaspra Międoły. Międolił też i nicował na wylot wszystkich fernali, aż ustalił niezbitcie:

— Podpalaczem jest Marcin Rogalik!

Istotnie wszystko świadczyło przeciwko niemu. Któż, jak nie on pierwszy zwrócił uwagę na beczkę z rzekomą deszczówką, doradzając, by stamtąd czerpać wodę dla polewania zagrożonego dachu dworu? Kto, jak nie on właśnie, jako stróż nocny, powinien wiedzieć, skąd się benzyna wzięła w beczce, skoro wczoraj jeszcze była tam prawdziwa deszczówka? (Tak zeznał ogrodnik i gospodyni). On jeden miał prawo kręcić się po nocy po obejściu gospodarskim, więc albo sam był podpalaczem albo jego współnikiem, choćby „cichym”, jeśli terminy kupieckie wolno stosować do tak brzydkich uczynków.

Uporczywe milczenie posądzanego potwierdzało jego winę. Skuto mu tedy dłonie kajdankami, wsadzono na podwodę i wśród głośnych lamentów swej rodziny Marcin Rogalik odjechał do Rozłaki wraz z całym miejscowym „aparatem śledczym”.

Nie do snu było domownikom po nocy tak brzemiennej w wypadki. Tylko Rafał Królik poszedł się zdrzemnąć na kwadrans, aby nabrać sił do planowanej na po południu wyprawy. Zasnął wnet, a kiedy się obudził, stwierdził ze zgrozą, że zamierzony kwadransik wydłużył się w bite osiem godzin snu. Dochodziła bowiem jedenasta.

— Pani zupełnie nie spała? — zdziwił się i zawstydził jednocześnie, skoro spotkawszy Ewę na dziedzińcu, dostrzegł sine obwódki pod jej zmęczonymi oczyma.

— Nie mogłam — odparła w zamyśleniu — zresztą miałam dwie ciężkie przeprawy tak,

że nawet nie było kiedy głowy do poduszki przyłożyć. Pierwsza była z Gładyszką. Zabobonna gospośnia zapisała bez wahania dzisiejszy pożar na „credit” rachunków „ducha” i osądziła, że wobec takich objawów gniewu nadziemskiej potęgi ona, Amalia Pelagia Gładyszówna, musi stąd odjechać bezzwłocznie. Krótko mówiąc, wypowiedziała miejsce i zaczęła pakować manatki. Prośby i perswazje nie odniosły żadnego skutku, aż w końcu Ewa wyczerpana nerwowo po wypadkach tej nocy, zdradziła incognito swego gościa. Przyrzekła uroczyście rozplakanej Gładyszce, że w ciągu tygodnia „duch” wyniesie się z dworu tam, gdzie powinien się już dawno znajdować, to jest w kryminale.

— Czytam w pańskich oczach niezadowolenie z powodu mego kroku. Żałuję go teraz, ale byłam tak rozstrojona, że doprawdy nie wiedziałam, co mówię i robię — usprawiedliwiła się, patrząc prosząco w oczy Rafała. Zapewniła go też, że na absolutną dyskrecję Gładyszówny mogą śmiało liczyć.

Rafał wybaczył skwapliwie, bo jakże tu się boczyć na taką ładniulę. Ale jak przystało na autentycznego Baltazara Szafrana, spytał czy rozmowa była prowadzona przy świadkach, albo czy mógł ją ktoś podsłuchać.

— Nie — zaprzeczyła Ewa, ale jakoś niepewnie. Bo już wtedy, gdy w kuchni wyjawiała tajemnicę swego gościa, przywidziały się jej jakieś szmery za drzwiami; było to tak, jak gdyby się coś o deski z zewnątrz otarło.

— No, to w porządku — orzekł Rafał. Zresztą wystawię sam na próbę szanowną Amalię Pelagie... Choćby przy obiedzie.

— I nie zawiedzie się pan na niej, drogi mistrzu.

— Tak, najlepiej przy obiedzie! — powtórzył, bowiem w tym rozgardiaszu zapomniano mu podać śniadania i, czując dziwne łaskotanie w żołądku, robił teraz dość przejrzyste aluzje.

— Ach, dobrze, że mi pan przypomniał, mistrzu. Chciałam właśnie powiedzieć panu, że z powodu tych nocnych wypadków, będzie dziś obiad wyjątkowo później niż zwykle... Tak koło drugiej, myślę.

Przyjemny uśmiech, jaki wykwitł na twarzy Rafała po pierwszych słowach, zgasł szybko. Dopiero za trzy godziny uświadomił sobie z rozpaczą. Dla zabicia czasu zapytał Ewę z kim miała ową drugą przeprawę.

— Z Priwimem — odparła niechętnie. — Wręczył mi list stryja, o którym wspomniał wczoraj przy kolacji.

— Pamiętam — wtrącił Rafał — i cóż pisze stryjaszek pani? Oczywiście sprawy prywatne nic mnie nie obchodzą...

— Prywatne? — Ewa uśmiechnęła się z goryczą. — Od czasu wyjazdu za granicę, przestał stryj troszczyć się o te rzeczy. Jeśli pisze, a to zdarza się niezmiernie rzadko, to na pewno wyłącznie o interesach. Otóż w liście tym, zaadresowanym **do mnie**, radzi stryj, bym koniecznie sprzedała Bory i jako najlepszego nabywcę poleca Rojka. Rozpływa się wprost w pochwałach i zachwytach nad solidnością tego wstrętneho geszefciarza.

— Dlaczego położyła pani nacisk na słowach: „zaadresowany do mnie”? — spytał Rafał Królik, który mimo wilczego głodu, a może właśnie dlatego, że był głodny i nieociężały, miał uwagę wyostrzoną jak żyłotka, spoczywająca w swej woskowanej kopertce i nie znająca jeszcze szczytek męskiego zarostu.

— Dlatego, że oprócz oficjalnego listu otrzymałam także kartkę, załączoną do listu adresowanego do Priwima. Nie mam tych pism przy sobie, pokażę je panu później, po obiedzie.

— Po obiedzie — westchnął i dodał w myśli. — Czemu rozdrapujesz wciąż broczącą ranę? Czyż nie widzisz, iż słaniem się z głodu?

— Ale znam prawie na pamięć treść owej kartki — ciągnęła Ewa dalej, wyprzedzając w

zamyśleniu „słaniającego się” Rafała. — Otóż kochany stryjasek (słowa te wymówiła z wyraźną ironią) wbrew temu co napisał w liście do mnie, w owym oficjalnym liście, daje mi taką tajną instrukcję: *Udawaj, że pertraktujesz z Rojkiem, ale strzeż się tego lotra, nie dawaj mu żadnych wiążących przyrzeczeń. Priwim oznajmi ci, jaka jest moja wola, moja szczerą, serdeczną radą w odniesieniu do Borów, ale o tym sza. Jeśli więzy rodzinne coś znaczą dla ciebie, nie wspomnisz nikomu, żeś dostała jakąkolwiek inną instrukcję poza tamtym listem oficjalnym...* I cóż pan na to mistrzu? Można zwariować, co? Oczywiście więzy rodzinne znaczą dla mnie więcej niż dla stryjaska, niemniej uważam za swój obowiązek nie tać niczego przed panem... Prócz pana, nikt się o tym nie dowie!

Rafał nie ukrywał swojego zdumienia.

— Nie mogę sobie tego postępowania wytłumaczyć inaczej — rzekł po namyśle — jak tylko w ten sposób, że stryj pani uzależnił się od Rojka, że Rojek ma go w ręku, jak się to mówi. Wykorzystując to, wywarł Rojek nacisk na pana Augusta, by panią nakłonił do sprzedaży Borów, zmusił go niejako do napisania oficjalnego listu, którego treść stryj od razu anulował tamtą kartką... Ale chciałbym jeszcze wiedzieć, jak wygląda ta szczerą, serdeczną radą stryja pani, wypowiedziana ustami Priwima?

— Ta serdeczna rada wcale mi się nie podoba — brzmiała odpowiedź Ewy — bowiem zmierza także do sprzedaży moich Borów. Stryj radzi mianowicie, bym się starała w Sądzie Opiekuńczym o wcześniejsze upełnoletnienie mnie, przyrzeka jako opiekun, poprzeć moje podanie gorąco, ale żąda w zamian generalnej plenipotencji. *Zapewniam panią, że pan August trzy razy lepszą cenę wyżyłuje za Bory od Rogersa czy innego solidnego przemysłowca, niżby się to powiodło pani, dzielnej, ale niedoświadczonej dziewczynie*, powiedział mi Priwim dosłownie... Pochlebiał mi, jak pan z tego widzi, co?

— Więc Priwim forsuje Rogersa? — zainteresował się Rafał.

— Odniosłam takie wrażenie. W każdym razie ostrzegął mnie gorąco przed Rojkiem, nazywając go bandytą, oszustem i szantażystą...

— Szantażystą? Fiu, a to ciekawe! — Rafał zapomniał o głodzie. Był zadowolony, że rozwiązał zagadkę nienawistnych spojrzeń Priwima, które przechwycił tej nocy, nie wiedząc tylko do kogo się odnosiły, do Rojka czy do Rogersa. Teraz wiedział już, iż pierwszy jest wrogiem Priwima, zaś Anglik sprzymierzeńcem. Nie rzuciło to wprawdzie snopu światła w czarny labirynt tajemnic, ale było pewnym orientacyjnym wskaźnikiem na przyszłość.

Coraz mniej natomiast podobał się Rafałowi nieobecny stryjasek, a już zgoła podejrzenie wyglądała jego tęsknota za generalnym pełnomocnictwem młodej siostrzenicy, sieroty, której cały majątek stanowi ten zadłużony folwark, przedmiot gorącego pożądanego dwóch groźnych rekinów: Rojka i Rogersa.

— Priwim nalegał bym mu dał odpowiedź jeszcze dzisiaj — zaczęła znów Ewa — oczywiście odmówiłam; powiedziałam, że mnie się nie spieszy. Niemniej jednak trzeba będzie kiedyś stryjowi odpisać... Cóż mi pan tedy radzi, drogi mistrzu?

Rafał uśmiechnął się szelmowsko.

— Ja bym na pani miejscu udał zgodę, skorzystał ze stryjowskiego poparcia w Sądzie Opiekuńczym, a po uzyskaniu pełnoletności i, co za tym idzie, zupełnej swobody w administrowaniu swym majątkiem, pokazał wszystkim figę. No, a Priwima wyrzuciłbym na zbitą twarz.. Byłaby to metoda może nie całkiem etyczna, ale radykalna, jedyna w pani położeniu. Bo jest pani tu jako owieczka między wilkami — rozczulił się nagle.

W milczeniu szli w stronę furki, przy której Rafał zamierzał w nocy przycapnąć podpalacza, minęli ją i znaleźli się w parku. Z otwartego okna narożnego wychyliła się głowa Priwima, lecz zniknęła pośpiesznie.

— Pan sekretarz nas śledzi — szepnął Rafał, oglądając z zapalem równoległy do ścieżki pas rezedy. — Kocham kwiaty dowodził bardzo głośno. — Czy pozwoli pani, że po powrocie do Warszawy opiszę we „wspomnieniach z wakacji” ten cudowny park Borów?

— Będę niezmiernie dumna — odparła Ewa tym samym tonem — ale pójdźmy w głąb ogrodu. Pokażę panu moje herbaciane róże.

Kiedy oddalili się od zdradzieckiego okna, Rafał wyraził życzenie, by mu Ewa opowiedziała coś niecoś o swych rodzinnych stosunkach, w szczególności interesowała go osoba Augusta Turno... Wybrali sobie ławkę w alei lipowej, wiodącą do ruin dawnego dworku, i usiedli na niej, ostrożny Rafał upewnił się jednak osobiście, że nie ma nikogo ani za pniami najbliższych drzew, ani... pod ławką.

Rozdział VII

MILIONER-DZIWAK

— Mogę zacząć?

Nieufnym wzrokiem przetrząsnął raz jeszcze okolicę, wyjął notes, zatemperował ołówek, po czym skinął głową przyzwalająco.

— Matki nie pamiętam — rozpoczęła Ewa swe opowiadanie — straciłam ją w zaraniu dzieciństwa. Ojciec mój zginął w roku 1915 tutaj, w Borach, których mimo ostrzeżeń nie chciał opuścić, a które artyleria austriacka zbombardowała doszczętnie.

Byłam wówczas pięcioletnią dziewczynką i przebywałam na tak zwanej uciekinierce w Wiedniu, dokąd schroniła się rodzina mojego stryja Augusta. U nich mieszkałam. Byli dla mnie dobrzy, wieść o śmierci mego ojca długo skrywali przede mną, nie dali mi odczuć sierocej doli, a ich jedyny synek był moim rówieśnikiem. Wychowywaliśmy się razem ze Stasinkiem, uważaliśmy się jakby za rodzeństwo i naprawdę byłam traktowana przez stryjostwo, jak gdyby ich rodzona córka. Aż przyszło nieszczęście, służąca przywlokła szkarlatynę. Ja wyszłam z tego, lecz Staś nie przetrzymał wysokiej gorączki i umarł. Stryjenka, kobieta dobra lecz niezmiernie egzaltowana, w przypływie rozpacz popołniła samobójstwo. Pozostałam sama ze stryjem... Och, były to przesmutne dni, tygodnie, miesiące. W apatycznych na pozór spojrzeniach nieszczęśliwego człowieka czytałam coś, niby wymówkę, że to ja pozostałam przy życiu, nie jego ukochany synek, którego śmierć na domiar nieszczęść, spowodowała drugą katastrofę. — Czemu nie ty, sieroto, tylko on, on właśnie? — mówił jego wzrok, tępo utkwiony we mnie... Może go krzywdzę tym posądzeniem, ale tak mi się wydawało niekiedy, zwłaszcza później, kiedy pod wpływem smutnego naszego życia, obudziła się u mnie skora chęć do refleksji, do analizowania uczuć mego otoczenia... A wzrok stryja z tych czasów wrył mi się w pamięć na zawsze.

Przerwała swą opowieść na dłuższą chwilę, zbierając snadź myśli błądzące po pustych ponurych pokojach wiedeńskiego mieszkania, gdzie przedtem rozbrzmiewały okrzyki dwojga rozbawionych dzieciaków, gdzie z dala od łun wojennej pożogi pędziło spokojne życie dwoje szczęśliwych ludzi, August Turno i jego małżonka Zofia.

— Wypadki roku 1918 wyrwały stryja z apatii — mówiła Ewa dalej — umieściwszy mnie w Krakowie u urszulanek, wyjechał do Warszawy, gdzie odegrał pewną rolę w życiu politycznym. Potem wrócił do swej Rozłęki i tu spotkaliśmy się w czasie Świąt Wielkanocnych...

— To było w roku?

— W roku 1920.

— Najazd bolszewicki — mruknął Rafał, zapatrzony w dymek papierosa. Jako młody smyk brał udział w walkach o Lwów, miał nawet pretensje do tytułu kawalerskiego orderu *STANĄŁ W POTRZEBIE*, później w czasie inwazji bolszewickiej znów „w pole” wyruszył, choć co prawda przydzielono go do radiostacji warszawskiej i prochu ani nie powąchał... toteż taksował ludzi według tego, jaki był ich stosunek do służby wojskowej w owych ciężkich terminach... Ewa domyśliła się snadź tego, bo rzekła:

— Spełnił swój obowiązek patriotyczny, zgłosił się jako ochotnik, mimo swej wady sercowej i bardzo słabego wzroku.

— Więc stryj pani ma wadę sercową?

— Nie wiem jak z tym jest dzisiaj, nigdy o tym nie pisze, ale dawniej było bardzo kiepsko. Do tego stopnia, że nawet Austriacy, którzy i jednorekich brali do służby pozafrontowej, zwalniali stryja przy każdym asenterunku.. Po zawarciu pokoju stryj znowu powrócił do Rozłaki. Myślano, że nareszcie zajmie się gospodarstwem. Gdzie tam. I nie winiłam go dawniej o to. Przecież każdy pokój, sprzęt każdy w tym obszernym dworze, który cudem ocalał w czasie wojny, musiał mu przypominać dawne, dobre, szczęśliwe czasy, kiedy mieszkał tam z żoną, z maleńkim synkiem. I ta nazwa fatalna „Rozłaka”, przypominająca mu ustawicznie jego bolesną, dozgonną rozłakę z tymi, których ukochał najbardziej... Ponownie więc wyjechał tym razem do Gdańska, powierzając gospodarkę Kochautowi.

— Jemu? — Rafał zdumiał się bezbrzeżnie. — Ileż lat miał wtedy, albo w którym to było roku? — spytał.

Ewa wyjaśniła, że mówi o ojcu swojego dzisiejszego ekonoma. Stary Kochaut był niegdyś karbowym u jej dziadka, właściciela zarówno Borów jak i Rozłaki. Z pochodzenia Rusin, twardy dla chłopów, kosztowny dla swych chlebobawców, lecz giętki w karku, a przy tym sprytny i ambitny, przeszedł wszystkie szczeble swej kariery, jako ekonom, pisarz, kasjer, rządca i tak dalej, aż został „panem administratorem” u Augusta Turny. Odkuł się też niezłe na tym stanowisku i byłby się pewnie też tłustej dzierżawy dochrapał, jeśli nie własnego folwarczku, gdyby nie fatalny wypadek na polowaniu. Rykoszet czy coś podobnego; Ewa nie pamiętała już, wśród jakich okoliczności zginął. Załatwiwszy się w ten sposób z osobą starego Kochauta, zawróciła do Augusta Turno:

... W Gdańsku zakupił od pewnego Anglika mały jacht żaglowy, przechrzcił go na *Vistula*, i pewnego ranka...

— Na Boga! — krzyknął Rafał. Zerwał się, z takim impetem, że omal sfatygowanej wiekiem ławki nie przewrócił. — Więc to stryj pani? Ależ tak, tak.. August Turno, jacht *Vistula*, gdzie moja pamięć?! — wołał, klepiąc się w czoło, aż się rozległo po parku. Teraz rozumiem, dlaczego tknęło mnie coś, kiedy pani po raz pierwszy wymieniła swoje nazwisko. Naturalnie. Bohaterski August Turno! — Rafał zapomniał nagle o swych niedawnych uprzedzeniach do stryja Ewy.

— Nic dziwnego, że pan zapomniał, mistrzu — oświadczyła dziewczyna ze szczerą wyrozumiałością. — Lindbergh przejdzie do historii, Nungessera i z nim stu innych pechowców świat rychło zapomni. A stryjowi także nie powiodła się impreza, nie opłynął globu dookoła. Ponieważ te wypadki są panu zapewne znane, streszczę je pokrótce. Przebywszy niemal pół drogi, rozbiła się *Vistula* przy brzegach Nowej Gwinei. Z sześciu ludzi załogi ocalał tylko jeden człowiek, mój stryj. Szczątki jachtu, wyrzucone na jakiś atol, spowodowały, że rozpoczęto poszukiwania i znaleziono stryja wycieńczonego, wlokącego się ostatkiem sił wzdłuż wybrzeża.

Umilkła i spojrzała pytająco, zdezorientowana zachowaniem Rafała; kiwał głową w taki sposób jakby niedowierzał lub przeczył jej słowom.

— Dziwne — mruknął wreszcie — należy to za prawdziwy cud uważać, że ocalał właśnie stryj pani, człowiek chory poważnie na serce, a zginęło pięciu majtków, zapewne tęgich chłopów i świetnych pływaków, jakimi są wilki morskie po większej części.

— Stryj zawdzięcza ocalenie swojemu lokajowi, człowiekowi niezmiernie doń przywiązanemu, z którym się też nigdy nie rozłączał. On to właśnie, kiedy reszta załogi straciła głowę, zaopatrzył stryja i siebie w pasy ratunkowe, dowłókł swego pana do brzegu, ale sam zginął. Fala cisnęła nim o skałę, łamiąc mu zębra. Nastąpił krwotok wewnętrzny i dzielny Paweł

Kania zmarł na rękach stryja Augusta.

— Skąd pani zna te szczegóły? Jeśli pomnę, w gazetach nic o tym nie było — indagował Rafał. Na skutek rozmowy z Ewą pleśń zapomnienia ścierała się z historii głośnej ongiś imprezy sportowej Augusta Turno i reporter przypomniał sobie teraz z całą wyrazistością, że nie znano żadnych szczegółów katastrofy *Vistuli*, bowiem jej właściciel, a zarazem jedyny z jej rozbitków, który ocalał, nie udzielał prasie wywiadów nigdy. Nie chciał się reklamować jak dzisiejsi sportowcy, lub nie umiał; może też dlatego tak rychło o nim zapomniano?

— Stryj pisał mi o tym — wyjaśniła dziewczyna — pamiętał też o bohaterskim poświęceniu wiernego sługi i wyznaczył dożywotnią rentę jego matce, mieszkającej w Rozłące.

— We dworze?

— Skądże we dworze. We wsi... Ale wracam do mego opowiadania.

— Proszę bardzo. Już to, co dotychczas słyszałem, wzniosło fundamenty pod gmach mojej śmiałej hipotezy. Jedźmy więc dalej.

Te słowa zachęty uszły niestety uwagi zamyślonej Ewy, zajętej obliczaniem w pamięci, ile słomy na sieczkę i pościółkę trzeba będzie zakupić w miejsce spalonej sterty i skąd wziąć na ten cel pieniądze. — Ach, żeby to już były żniwa — westchnęła... Niecierpliwe chrząknięcie Rafała przypomniało jej przerwane opowiadanie o stryju...

— Po katastrofie *Vistuli* nie wrócił już stryj August nigdy do kraju — podjęła wątek swej historii. — Osiedlił się w Paryżu, gdzie mieszka dotychczas... Ten wypadek, zapewne rozpaczliwe zapasy z żywiołem, chwile trwogi śmiertelnej, musiały wstrząsnąć silnie nerwami stryja, gdyż od tej pory datuje się szereg jego dziwnych zarządzeń. Wymienię kilka tylko przykładów: Po śmierci Michała Kochauta powierzył administrowanie majątku jego synowi, który był wówczas uczniem średniej szkoły rolniczej i niedoświadczonym smarkaczem; nawiasem mówiąc, szkoły tej nie skończył. Potem moje biedne Bory „uszcześliwił” stryj tym samym zarządem, wszelką gotówkę z obu majątków kazał sobie przekazywać do Paryża, a tu nie było czym płacić. Aż wreszcie wydzierżawił całą Rozłękę Rojkowi, na warunkach, których wprawdzie nie znam, ale które są podobno śmiesznie dogodne dla sprytnego dzierżawcy. A przecież tego samego Rojka za drzwi stryj wyrzucił, kiedy pierwszy raz przyszedł doń z tą propozycją.. jeszcze do Rozłęki, przed fatalną podróżą. Jeśli dodam do tego niezrozumiałe dla mnie oziębienie się jego stosunku do mnie, to...

— Właśnie o tym pragnąłbym coś usłyszeć.

— Wobec tego muszę się nieco cofnąć w opowiadaniu.. Otóż, kiedy minął okres żałoby, stryj August, jak gdyby mi chciał wynagrodzić czasową i moim zadaniem, usprawiedliwioną obojętność, stał się dla mnie podwójnie czuły. Czy z Warszawy, czy z Gdańska, czy później w czasie podróży morskiej z miejsca każdego postoju *Vistuli* odbierałam olbrzymie listy, niekiedy nudne, ale zawsze czułe, serdeczne, dostawałam upominki, drobne sumki na swoje wydatki, słowem nie miałam nigdy powodu do skarżenia się na jego obojętność... Zmieniło się to, jak nożem uciął po pamiętnej katastrofie *Vistuli*. Dwie, trzy kartki w roku, bardzo rzadko krótki liścik, kilka telegramów, oto wszystko, a szereg pytań, zawartych w moich listach, pozostawiał zupełnie bez odpowiedzi, choć nieraz chodziło o sprawy pierwszorzędnej wagi. Och, były kwestie, w których, jako mój opiekun, miał obowiązek głoś zabrać, lecz milczał. Nie raczył odpowiedzieć... Nie dziw się więc mistrzu, że i ja zobojętniałam czasem, że ograniczyłam się do lakonicznych sprawozdań, że czuję się dotknięta maszynowym pismem...

— Jak to, maszynowym?

— Ano tak, to jedno z wielu nowych dziwactw stryja. Dawniej nawet owe sążniste, ośmiostronicowe listy pisywał zawsze własnoręcznie, teraz do ośmiu słów na kartce potrzebna mu maszyna. Dobrze jeszcze, że się podpisać raczy piórem, a i to nie zawsze. Niekiedy nawet

sakramentalne zakończenie *Twój stryj* jest wypisane na maszynie jak cała osnowa krótkiej kartki. Jak się to panu podoba, mistrzu?

— Oryginał z pani stryja — mruknął Rafał dyplomatycznie.

— Albo i to nie dziwactwo, żeby sobie takiego sekretarza wyszukać jak Priwim? No, powiedz pan, mistrzu. — Ewa chciała koniecznie pociągnąć za język swego gościa, zauważywszy jakieś żywe błyski w jego oczach, ale Rafał zabawił się w Sfinksa; obawiał się teraz, by to, co już, już chciał powiedzieć nie doniosło się do Gładyszki, a tamtędy i dalej. Wybaczył Ewie chętnie jej pierwszą niedyskrecję, lecz nie zapomniał o niej. Odrzekł więc powściągliwie: — Priwim ideałem nie jest ale ostatecznie dziwak-milioner mógł sobie pozwolić na dziwnego sekretarza, prawda?... Psst — syknął i pokazał na migi, że ktoś idzie w tę stronę.

Jakoż na zakręcie alei ukazał się Kochaut-junior. Przynosił swej pani nową sensację:

— Rogalika wypuszczono. Udowodnił swoje alibi i właśnie powrócił z Rozłęki.

— Jakże to mógł udowodnić swoje alibi? — wtrącił Rafał. — Przecież jest stróżem nocnym tutaj, nie? Zatem był tu w nocy kiedy...

Kochaut przerwał z kolei Rafałowi:

— Powinien był być, ale nie był. Świadkowie zeznali zgodnie, że jak zaszedł wczoraj koło dziesiątej do karczmy, tak siedział tam aż do chwili, w której spostrzeżono pożar na folwarku. Na tej właśnie podstawie komendant Międoła go zwolnił.

— I pan także powinien go zwolnić, panie rządco. Ładny stróż, ani słowa! — Rafał oburzył się szczerze. — Nic dziwnego potem, że „duchy” rządzą się jak szara gęś na folwarku, skoro stróż urzęduje przez całą noc w karczmie. Och, ja bym takiego draba ani dnia nie trzymał, ani godziny.

— To nie ode mnie zależy — westchnął Kochaut. — Jestem wprawdzie od tego, aby tę bandę trzymać za morrr... łeb, proszę pana, ale prawdziwym rządcą, którego i panienska słuchać musi, jest Priwim!...

Przykre milczenie zaległo po tym oświadczeniu. Znać było po Ewie, że hamuje wybuch słów bardzo ostrych. Opanowała się jednak i tonem rozkazu „poprosiła” Kochauta, by dotrzymał towarzystwa jej gościowi, by go oprowadził po parku i pokazał mu słynny na całą okolicę *Czarci Jar*, ona zaś pójdzie dopilnować obiadu, z którym Gładyszka tak się dzisiaj spóźniła pomimo niedzieli. Pożegnawszy Rafała przyjaznym uśmiechem, odeszła.

Rozdział VIII

PRIWIM ZABIŁ KRÓLIKA

— Jestem do usług.

Kochaut pochylał głowę z czcią i szacunkiem, a kiedy Rafał ruszył aleją przed siebie, obiegł go truchcikiem, aby iść po lewej stronie. Uważał też, by, broń Boże, nie trącić łokciem zamyślonego gościa swej chlebobdawczynie, by z nim krok trzymać, i raczej iść za nim, niż go wyprzedzać. Rafałowi pochlebily te oznaki poważania dla jego osoby, toteż raczył Kochauta zaszczyścić rozmową:

— Co pan sądzi o duchu, który ukazuje się tutaj podobno?

— O duchuuu? — powtórzył zapytany przeciągle, zezując ukradkiem na swego niskiego towarzysza. — Sądzę po prostu, że to babskie gadanie, proszę łaskawego pana. Bo ani ja, ani stróż nocny, albo który z formal, no... nikt. Tylko kobiety. A wszystkie te bajki wyszły od tej narwanej dewotki.

— To znaczy?

— Od Gładyszki. Ona to otumaniała wszystkie fornalki i dziewczyny, głupie zakute łby, które wierzą w takie gusa i zabobony. Panna Ewa kpiła z tego ducha, wiem, sam słyszałem, ale w końcu tyle się o nim nasłuchiwała, że jej się przyśnił.

— Hm, może pan i ma rację — rzekł Rafał zgodliwie. — Ależ czyż można przypuszczać, że strzelała także przez sen? Bo słyszał pan zapewne o tym, że strzelała dwukrotnie do tej zjawy, czy upiora.

— Jakże bym nie słyszał. Nawet ślady kul oglądałem na ścianie.

— A rewolwer widział pan po tym? Więc tak. I te ślady nadludzko silnego uchwytu na lufie. Co pan o tym sądzi? Czy te widome znaki również nazwie pan przywidzeniem albo babskim gadaniem?

Kochaut namyślał się przez chwilę.

— Gładyszka tłumaczyła to w ten sposób, że upiór musi być duchem jakiegoś potępieńca, że tylko piekielny ogień mógł stopić żelazo, któr...

— Eeech, to już słyszałem, ale ja pytam o pańskie zdanie, panie rządcu — wtrącił Rafał z widocznym zniecierpliwieniem.

— Nie wiem co o tym sądzić, proszę pana. Cóż tam ja, prosty człowiek wsiowy. Lepiej niech pan powie, jak to zjawisko wytłumaczyć. Pan jest z miasta, redaktor, człek odcytany, uczony — schlebiał Rafałowi niezdarnie, wymigując się z chłopską chytryością od odpowiedzi.

— Chce pan usłyszeć moje zdanie?

— Naturalnie! Przyznam się nawet łaskawemu panu, że te znaki na rewolwerze panny Ewy zabiły mi porządnego ćwieka do łba. Przedtem śmiałem się z babskich przesądów, ani te strzały panny Ewy mnie nie przekonywały, ale potem zgłupiałem z kretesem.

— A ja właśnie dopiero wtedy zmądrzałem, kiedym usłyszał o tej historii i kiedym obejrzał rewolwer panny Ewy, wie pan? Bo, uważ pan tylko: żelazo się topiło w piekielnym uścisku szponów tego potępieńca, ale brzeg kołdry ani się nie osmolił nawet, ani krawędź łóżka,

o którą się opierał, ani podłoga tych pięciu pokoi, po której stapał swymi czarcimi stopami, ani drzwi otwierane dorobionym kluczem. Nigdzie ani śladu, za to stal rewolweru rozhartowana, a lufa zgnieciona jak w prasie. Byczy kawał, co? Byczy, lecz diabelnie naiwny. Toteż kiedy mi panna Ewa opowiedziała tę historyjkę, zapytałem od razu, jak daleko jest z dworu do najbliższej kuźni. I ku swej radości dowiedziałem się, iż kuźnia znajduje się na miejscu. Sympatyczny „duch” miał więc wszystko, co trzeba, pod ręką. Mógł zdążyć bez trudu do „diabelskiej” kuźni, mógł przez odemknięte okno wrzucić opatrzony piętnem piekła rewolwer do pokoju zemdlonej panny Ewy, którą przecież dopiero rano ocucono.

— Wynikałoby z tego — rzekł Kochaut po dłuższym namyśle że nasz duch nie jest wcale wytworem hysterii Gładyszki, czy innych kobiet, lecz człowiekiem żywym, jak pan albo ja.

— Z tego założenia wychodzę od początku..

— Ba, kiedy przecież panna Ewa strzelała do niego dwukrotnie. Sądzi pan, że po dwóch kulach mógłby taki drab zająć do kuźni, i..

— Strzelała, ale mierzyła źle! Należy walić w brzuch w takich wypadkach. Niech pan pamięta o tej życzliwej radzie, jeżeli kiedy i pana postraszy nasz pomysłowy upiór.

Gawędząc tak dotarli do ruin starego dworu, zburzonego w roku 1915 przez artylerię austriacką. Była to jedna, ogromna sterta potrzaskanych cegieł, kamieni i dachówek, bowiem drzewo zbutwiało już do cna. Grzyb, mchy, głogi, pokrzywy, trawy, krzaki objęły dawno w posiadanie tę ongiś ludzką siedzibę, pokrywając ją niemal doszczętnie zielonym płaszczem roślinności, i tylko w jednym miejscu komin, cudem ocalały choć poszczerbiony i przeorany piorunem, wydzierał się ku niebu długim kikutem jeszcze nagim, jeszcze nie porośniętym zielonkawą sierścią mchów.

— Hum — odkaszlnął Kochaut, budząc się z zamyślenia. — Marcin Rogalik jest stróżem nocnym, a zarazem kowalem. On jeden ma klucz do kuźni. Czyżby on robił te hece? — Pan rządca mówił to jakby do siebie, jednak dość głośno, by Rafał siedzący nie opodał na kamieniu mógł słyszeć każde słowo. — Czy łaskawy pan ma na kogo podejrzenie? — spytał nagle.

Reporter zrobił dyplomatyczną minę. Szło mu to już świetnie po dwudniowym treningu. Cedząc łaskawie słowa, oświadczył wymijająco, że Rogalika nie posądza. Widział przy pożarze tego lenia, opoja, nie trzymałby go ani dnia, będąc na miejscu Ewy, ale podejrzewać takiego matółka? Nie! Również nikogo z fernali czy służby. Wszystko wskazuje na to, że „duch” jest osobnikiem wcale inteligentnym, że zdąża konsekwentnie do zamierzonego celu.

— Ale jakież cel ma ten hycel? — zawołał Kochaut zdumiony.

— Cel całkiem przejrzysty: obrzydzić pannie Ewie Bory do tego stopnia, by je sprzedała za bezcen któremuś z nafcjarzy.

Pan rządca bęcnął się dłonią w czoło i nagle nasrożył straszliwego marsa. — Mój panie! — zaczął ostro — takich inteligentniejszych ludzi, o których pan wspomniał, jest nas tylko dwóch w Borach. Priwim i ja. Rad bym wiedzieć, ale to zaraz, którego z nas pan łaskawie podejrzewa, hę?

— Kogo, to moja rzecz. Dość, że nie pana!

— Nie mnie? — spytał urażony oficjalista nieufnie. — Czemu nie mnie? Może to ja właśnie strugam wariata, latam po nocy w prześcieradle, straszę ludzi i co tam jeszcze? Może ja, co?

— Nie — odparł Rafał stanowczo. Pan jest zbyt dobrym kupcem, żeby się puszczać na taki kiepski interes.

— Dlaczego miałby być kiepski? Może który nafcjarz obiecał mi kilka tysięcy za nakłonienie panny Ewy do sprzedaży Borów?

— Ale tylko patentowany idiota narażałby się na kule i kryminał dla takich obietnic,

których mądry nafcjarz nigdy nie musi dotrzymać. Ano tak, nie musi. Wie pan, co to jest *turpis causa*? Jeśli panu powiem: *Skupuj mi pszenicę, a dostaniesz taką a taką prowizję*, to jest zobowiązanie prawnie ważne i pan może mnie skarżyć o wypłatę prowizji. Ale jak się umówimy: *Nabij panu X fizjonomię, albo podpal mu stodołę, a dostaniesz tyle a tyle...* to może mnie pan skarżyć o swoje honorarium, nic pan nie wskóra. To jest właśnie *turpis causa*! Skapował pan?... Powiedzmy jednak, że taki nafcjarz nie trzyma pana w garści, że dał forszę z góry, albo dobry weksel... Dla jakiegoś Priwima to byłby interes, lecz dla pana? Forsa się migiem rozejdzie, a posadę diabli wzięli. Tymczasem siedzi pan tu sobie w Borach jak u Pana Boga za piecem, kiedy panna Ewa odziedziczy po stryju Rozłakę i skończy się głupi kontrakt z Rojkiem, zostanie pan na pewno administratorem Rozłaki, odkuje się pan zdrowo, może weźmie który folwark od panny Ewy w dzierżawę, albo coś kupi na własność.. Ech, panie Kochaut! Musiałby pan być ostatnim frajerem, gdyby pan dla kilku niepewnych tysięcy ryzykował całą swą przyszłość. Dlatego nie pytaj mi się pan tak głupio, czy go podejrzewam... Owszem, podejrzewam pana, że pan ma trochę oleju w głowie, a nie sieczkę, ani tłustą wodę... No, a teraz powiedz mi pan, co tam jest wewnątrz?

— Tam? — Kochaut pobiegł wzrokiem za kierunkiem spojrzenia Rafała — W ruinach? Tam nie ma nic, proszę pana. Co nie zniszczało podczas wojny i co dało się użyć przy budowie nowego dworu, to usunięto dawno. Nie zostało nic, prócz tego, co pan widzi tutaj: gruzu.

— A można to zwiedzić od środka? Z wysokości tych ruin wnoszę, że nie tylko piwnice ocalały, ale pewnie niejedna izba na parterze.

— Możliwe, ale wejścia tam nie ma. Proszę zobaczyć.

— Po cóż mam się fatygować, skoro pan wie, że wejścia nie ma ziewnął Rafał.

Wygadawszy się za wszystkie czasy, czuł jakąś pustkę w sobie, stracił ochotę do dalszej konwersacji, tym więcej, że poniewczasie przyszło mu na myśl, iż zbyt wiele powiedział jak na tak świeżą znajomość. Kto wie, czy ten ambitny pan rządca pokpiwający z babskich przesądów, nie posiada babskiego języka i nie puści szybko w kurs tego, co tu usłyszał. Nie byłoby to pożądane przez wzgląd na Priwima, którego Rafał miał specjalnie na oku. — Ano, dąsałem się na gadulstwo Ewy, a sam co? — karcił się w myśli... Widząc, iż Kochaut znowu usta otwiera, ziewnął całkiem oficjalnie i podparłszy głowę rękami, udał, że ma ochotę na drzemkę. Na szczęście przyszło pewniejsze wybawienie w osobie służącej, niosącej wieść radosną, że obiad gotowy. Pojaśniała twarz reportera, jakby na nią padło światło wszystkich jupiterów z Hollywood i wszystkich reflektorów.

W niedzielę i święta Kochaut bywał proszony do stołu dziedziczki. Zasedli więc we czworo. Ewa na honorowym miejscu: naprzeciw niej pan rządca wyelegantowany z prowincjonalną pretensjonalnością, zaś po bokach Priwim i Rafał. Ku jego udręce Kochaut wziął na gadanie. Raz po raz nawracał do niedawnej rozmowy w ogrodzie, czynił nieśmiało przytyki do mrukliwego Priwima, za to rozplęwał się w pochwałach nad Rafałem, który męki przechodził, czując na sobie pytający wzrok Ewy. Wiedział, że ona się dziwi i przeklinał w duchu gadulstwo Kochauta i własną niepowściągliwość dzisiejszą. Kto by się spodziewał, że to bydlę takie głupie? — rozmyślał, wywierając swój gniew na szparagach, które pałaszował bez litości. Pragnąc skierować rozmowę na inne tory, dobrał się do skóry stróżowi nocnemu, pośrednio Priwimowi, w którego rękach spoczywał właściwie zarząd majątkiem Ewy. Przymówili też sobie dość ostro i Jan Priwim obwieścił urbi et orbi:

— Panie Kochaut, polecam panu Rogalika zwolnić natychmiast. I na przyszłość zechce pan te sprawy załatwiać wprost ze mną, nie przez trzecią osobę! Niech se pan to spamięta.

— Niech se pan to najlepiej zapisze — parsknął Rafał, wpadając w świetny humor nadanym mu mianem: „trzecia osoba”. Priwim połapał się, że tym „se” przedrzeźniają go

bezczelnie, zawrzał gniewem, ale że wymowny nie był i lękał się nowych docinków, ograniczył się do szpikowania zuchwalca morderczymi spojrzeniami. Naelektryzowana atmosfera przeczyściła się dopiero przy deserze, gdy Rafał jął z głupia frant rozpytywać o szczegóły katastrofy *Vistuli*. — Jeśli pomnę, to jacht rozbił się w maju — łągał gładko, bowiem ani nie pamiętał, ani Ewa o tym nie wspomniała...

— Nie w maju, a w lipcu. Trzeciego lipca — odparł Priwim.

— Jaką pan ma świetną pamięć — chwalił reporter.

— Ba, mało się to nasłuchiłem o tym wypadku od mego szefa? Jestem przecież jego osobistym sekretarzem odparł tamten z dumą.

— Od dawna?

— Od kilku lat... Ale co tam pan rządca dojrzał na dziedzińcu?

Rafał pomyślał sobie, że Priwim zagaduje naiwnie, by uniknąć dalszej indagacji. Omylił się jednak. Kochaut rzeczywiście patrzył w okno, wychodząc na podworec folwarczny i nagle skrzywił się niemilosiernie.

— Kaniowa — rzucił w stronę Ewy wraz z wymownym spojrzeniem. — Ciekawym, o co znów będzie ta baba nudziła. Skaranie boskie z nią. Koni dać nie mogę, słowo daję. Tyle roboty, prawda, proszę pani?

Szukał u Ewy poparcia wobec Priwima. Rafał pojął to natychmiast, w ogóle orientował się już świetnie w polityce wewnętrznej tego małego światka. Jakoż Priwim zmiażdżył wzrokiem Kochauta i przypomniał wszem wobec, że Kaniowej należy iść na rękę, jak najdalej można: taka jest wola pana Augusta, który zawsze podkreśla, iż chce spłacić dług wdzięczności wobec rodziny wiernego sługi. Paweł Kania nie wahał się złożyć życia w ofierze dla ratowania swego pana, a tu robi się kwestię z powodu drobiazgów.

— Ale tych drobiazgów przybywa zatrwając — wtrąciła Ewa.

Wtem Rafał wystąpił z nieoczekiwaną propozycją:

— Chciałbym uściskać dłoń matce tego bohatera — zawołał z emfazą — chciałbym z nią kilka słów zamienić o synu. Panno Ewo, niech pani to uczyni dla mnie i poleci przywołać tutaj tę kobiecinę.

Ewa przystała bez wahania. Baltazar Szafran, polski Sherlock Holmes, nie robi nic bez ważnego powodu, myślała, nie odgadując zresztą do czego mu potrzebne to uhonorowanie natrętej i chciwej baby. Kiedy Kochaut powrócił do jadalni z Kaniową, Rafał wybiegł jej naprzeciw.

— Jestem dziennikarzem — wołał, gniotąc w uścisku sękatą dłoń osłupiałej wieśniaczki chcę waszemu bohaterskiemu synowi poświęcić duży felieton. Panna Ewa opowiadała mi wszystko. Ach, co to będzie za felieton! Oczywiście z fotografią! Macie chyba jakąś podobiznę zmarłego syna?

Musiał powtarzać to pytanie trzy razy, zanim z szeroko otwartych ust Kaniowej wypsnęło się słabe: — Nie mam, proszę łaski pana. — Potem zaczęła pochlipywać rzewnie, zapewne rozczulona wspomnieniem zmarłego syna.

— Niebawem będzie rocznica jego śmierci — ciągnął dalej reporter, niby to zajęty tylko Kaniową, lecz obserwując wszystkich. — Oczywiście, że przyjdę na nabożeństwo żałobne. na Mszę Świętą za duszę bohatera.

Wieśniaczka wzdygnęła się i wyraz zabobonnego przestachu odmalował się dobitnie na jej pomarszczonej twarzy... Żałobne nab... nabożeństwo? wyjąkała zbielełymi wargami, po czym ryknęła ogromnym płaczem.

Rafał powrócił do stołu, natomiast Priwim powstał, skłonił się Ewie i podszedł do szlochającej. — Wezmę ją stąd chyba — rzekł, popychając Kaniową ku drzwiom. Kochaut

wyniósł się także, obiad był skończony. Pytające, niecierpliwe spojrzenie Ewy przylgnęło do uśmiechniętej twarzy Rafała.

— I cóż, mistrzu? Dowiedział się pan czegoś ważnego?

— Och, bardzo wiele — odparł z zapalem — Jestem prawie w domu. Ale zaznaczam: prawie! Teraz poproszę panią o papier listowy i przybory do pisania oraz o paryski adres Augusta.

— Chce pan pisać do niego? — zdumiała się.

— Och, nie do niego, lecz o nim.

Nie pytała więcej, czując, iż jej odpowiada niechętnie. Przyniosła mu osobiście do jego pokoju żądane przedmioty i wyszła na palcach, lękając się, by nie rozproszyć myśli rozpartego w fotelu „mistrza”.

Spotkali się dopiero przy kolacji, w czasie której doszło niespodziewanie do nowej, ostrzejszej tym razem, scysji między Rafałem a Priwimem. Ten ostatni zapomniał się do tego stopnia, że odszedł od stołu w połowie kolacji, nie usprawiedliwiając się przed Ewą ani słowem, odsunął krzesło z łoskotem i trzasnął drzwiami, aż szyby zadźwięczały w oknach.

— To wszystko moje eksperymenty — tłumaczył później Rafał uroczej gospodyni, zafrasowanej tym zajściem, i dodał po chwili szeptem: — Teraz muszę na jej wynik poczekać dłużej, niż na ten wywiad w Paryżu, w sprawie którego pisałem.

Nazajutrz rano, kiedy pocziwa Gładyszka przyniosła Ewie do łóżka śniadanie i kiedy rozpoczęły się zwykłe ceregiele, że panienka nie powinna zrywać się tak wcześnie, rozległa się głośna detonacja wystrzału. Ewa wyskoczyła z łóżka, zaczęła się ubierać pośpiesznie, zaś Gładyszka, sapiąc i jezuskując strachliwie, wybiegła do parku. Wnet potem doleciało stamtąd jej głośne zawodzenie i krzyki, i istny ryk furii Priwima.

— Gdzie mój szlafrok — irytowała się Ewa, bowiem w pośpiechu nie widziała nawet tego, co leżało pod ręką. Zmroziło jej krew w żyłach szlochanie gospodyni i zbliżające się szybko człapanie jej pantofli. Musiało się coś stać, coś strasznego. Wczoraj pożar, a dzisiaj...

— Morderstwo! — pisnęła Gładyszka, waląc się w drzwi całą osobą.

— Jezus! Maria! — Ewa schwyciła się za głowę. Priwim?

— Taak — szlochała tamta. — Łotr! Zbój! Zabił!... Zastrzelił!

— Kogo? Na Boga! Mów, kogo? Och!

— Królika!... Zabił... Zastrzelił nieboże... I za co? Za co?

Ewa osunęła się na łóżko, ogłuszona straszną wiadomością. Wielki detektyw nie żyje! Zginął tu, w jej Borach, które chciał uwolnić od tajemniczej zmary.

— Odgrażał się już wczoraj — jęczała Amalia Pelagia Gładyszówna otwierając śluzy nowego zbiornika łez.

— Odgrażał się? — Ewa podniosła głowę. Więc morderstwo z premedytacją!... Wczoraj pożar, dziś morderstwo, och Boże... Czy przekleństwo ciąży nad tym domem? — szeptała. — Znowu opadła na siłach i nieprędko wynurzyła się z odmętów apatii, przygnębienia. — Priwim uciekł? — spytała obojętnie.

Rozdzierający szloch wstrząsnął obfitym biustem gospodyni.

— Ucieekł? Żeby to!... Ale nie, nieee! Stoi z dubeltówką nad trupem i znęca się... kopie! Mnie odpędził załkała fortissimo.

Ewa skoczyła na równe nogi, a skry świętego gniewu tryskały jej z oczu. Pochwyciła sztucer wiszący na ścianie jej sypialni od pamiętnej wizyty „ducha” i, jak stała boso, w szlafroku, ruszyła z furią ku drzwiom.

Niech się dzieje, co chce — zawołała przejmującym głosem. — Ja na to nie pozwolę w moim domu!

Rozdział IX

NIEPRZEWIDZIANE KOMPLIKACJE

Popędziła przez pokoje leżące w amfiladzie, więc przez jadalnię, pracownię, w której zamieszkał Rafał Królik, przez salonik oraz trzy gościnne pokoje, dążąc ku sieni, skąd dwoje przeciwległych drzwi wiodło na dziedziniec i na drugą stronę do parku. Przebiegając przez pracownię, rzuciła współczujące spojrzenie w kierunku łóżka wstawionego tu onegdaj dla gościa; pościel była zmięta, kołdra leżała na dywaniku, jak ją Rafał odrzucił, kiedy wstawał. — Biedak — westchnęła czy przeczuwał, że to jego ostatni dzień w życiu? Ach, czemuż chybiłam, strzelając wówczas do tego zbrodniarza? — Ilekroć wspomniała sobie ową straszną noc, nie potrafiła się powstrzymać od robienia sobie wymówek, że ona, *pierwsza strzelba w powiecie*, mogła spudłować dwukrotnie na tak śmiesznie bliski dystans. — Chyba tylko dlatego, że mi ręka tańczyła z emocji — usprawiedliwiała się zarówno przed sobą, jak i przed tymi, którym opowiadała o tym niesamowitym zdarzeniu.

Drzwi z sieni do parku były zamknięte na klucz, zaś klucz pozostał w sypialni. — Zwykle się tak dzieje, kiedy człowiekowi spieszo — stwierdziła w bezsilnym gniewie, zawracając na pięcie. Była nazbyt rozgorączkowana, aby się zdecydować na powrót do sypialni. Wołała raczej wyjść drzwiami od strony dziedzińca i wpadła wprost w objęcia zapłakanej gospodyni, która z powodu tuszy i wieku nie mogła nadążyć za swą panienką. Dwojga imion Gładyszówna była niezmiernie rada, że złapała panienkę jeszcze przed jej spotkaniem z Priwimem. Bo w pośpiechu nie zdążyła jej w sypialni zakomunikować tego, co stanowiło okoliczność dokonanego zabójstwa. Powiedziała to teraz, lub raczej wyszlochała, zalana na wspomnienie tego nawrotną falą żalu i żądzы odwetu.

— To straszna zbrodnia, panienko... mordować w takim stanie.

— W jakim stanie? odburknęła Ewa, odsuwając Gładyszkę.

— Ano... kotne było biedactwo.

— He? Młoda dziedziczka Borów spojrzała z przestachem na swoją gospodynię. —

Zwariowała, czy ja źle słyszę? — przemknęło jej przez myśl. Nie zastanawiając się dłużej, która z tych dwóch ewentualności tu zachodzi, dopadła przymkniętych drzwi i wyszła na dziedziniec, a z tyłu ścigało ją człapanie pantofli Gładyszki i szybsze od jej ociężałych kroków biadolenie:

— Kotne, mówię panienko... A jakie śliczne małe miewało zawsze, moje trusiątko kochane. Nie ma cię już truś, truś malutki. Zabił cię ten zbój... mordercaaaa!

W kilkunastu szybkich susach okrążyła Ewa zachodnie skrzydło budynku mieszkalnego, minęła furtkę oraz okna pokoju stryjowego sekretarza, wyłoniła się spoza krzewów bzu, stanęła jak wryta i nagle chwycił ją spazm żywiołowego śmiechu. Na ścieżce pomiędzy dwoma klombami kwiatów stał Priwim, z dubeltówką przewieszoną przez ramię, naprzeciw niego Rafał Królik, żywy, zdrow i uśmiechnięty, zaś u jego stóp, w maleńkiej kałuży krwi, leżał zabity wielki królik. Całkiem autentyczny czworonożny królik z rodziny gryzoni, z odmiany olbrzymów belgijskich, które wzrostem przerastają zająca, w każdym razie przeciętnego „marcaka”, i dochodzą do ośmiu kilo wagi.

Pojawienie się Ewy ze sztucerką w ręku, przerwało rozmowę dwóch mężczyzn, a nagły wybuch jej homeryckiego śmiechu zdetonował ich zupełnie. Spoglądali po sobie ze zdumieniem i na przemian przenosili zaniepokojone już spojrzenia na dziewczynę zataczającą się i mającą łzy w oczach od serdecznego śmiechu. Dopiero przybycie Gładyszki zakończyło tę scenę.

— Mówiłem jej z dziesięć razy — oświadczył Priwim, wskazując na gospodynię — żeby swoją królicę trzymała w klatce, jak się patrzy. Ostrzegalem, że zrobię z tym porządek i zrobiłem. Nie na to se flacki sadzę, żeby mi je króliki zżerały.

Gładyszka nie oponowała ani słowem, nawet nie sztyletowała już „mordercy” nienawistnymi spojrzeniami. Fakt, że jej ukochana panienka zareagowała tylko śmiechem, i to jakim śmiechem, na taką „zbrodnię”, wytrącił zaczęłą przyjaciółkę zwierząt z równowagi ducha i chaos uczynił w jej myślach. W końcu, kiedy już przyszła do siebie, zapytała oschle, czy pan Priwim będzie się nadal pastwił nad „ciałem” jej ulubienicy, czy też wolno zabrać te zwłoki i pochować, a chce je pochować przed oknem swego pokoiku, aby, jak długo pozostanie jeszcze na tej niewdzięcznej posadzie, mogła spozierać na grób swego „biedactwa” i przypomnieć sobie, że tu się śmiano z jej smutku.

— Czemu pochować? — bąknął niefortunnie Rafał. — Czy nie lepiej zrobić z niego obiad? O ile słyszałem, mięso królicze...

— Niedoczekanie pańskie! — przerwała Gładyszka, porywając z ziemi zastrzeloną królicę. — Pan sobie pilnuj swego ducha, skoroś jest policjant, detektyw, czy jak tam...

— Amalio! — krzyknęła Ewa karcąco i stanęła w pasach.

Ale dwojga imion Gładyszówna już wzięła największy rozpęd, już nie panowała nad obrotym językiem i całą nienawiść do Priwima, całą dzisiejszą urazę do panienki za ten śmiech „bezlitosny”, wyładowała na Rafale.

— Ducha sobie pan przypraw na obiad, jeśli go złapać potrafisz, a mądrzejsi mu rady nie dali, nawet sam komendant Międoła!... Ale od mojego króliczka ci wara!... I tobie morderco! — zwróciła się do Priwima.

— Język se przykrócić radzę! — warknął sekretarz pana Augusta.

— Niech Amalia stąd odejdzie zaraz — rzekła Ewa rozkazująco.

— Mogę odejść jeszcze dzisiaj — odburknęła obrażona jejmość. — Nie dbam o tę służbę, gdzie się z ludzkich łez śmieją! — Odeszła na dziedziniec majestatycznym krokiem, niosąc na rękach swoją królicę.

Gładyszka oświadczyła uroczyście w kuchni, że tym razem już całkiem naprawdę odchodzi, poszła na górę spakować swoje manatki, guzdrała się tam do wieczora, a nie doczekawszy się zwyczajnej w takich wypadkach wizyty Ewy... postanowiła jednak pozostać. W ten przypadkowy sposób Ewa, serio dziś zagniewana na swoją gospodynię, wynalazła na nią niezawodny sposób streszczający się w zdaniu: nie reagować na babskie fomy. Dotychczas przejmowała się nimi, rozpaczała na myśl, co pocznie, jeśli niezrównana Gładyszka ją opuści, zniżała się do próśb i perswazji, a spoufalonemu babsztyłowi, jak to bywa z tak zwanymi „starymi sługami”, grymasił, straszył wypowiedzeniem miejsca, aż wreszcie pozwalał się łaskawie uprosić i zostawał. Dziś osiągnęła Ewa ten sam efekt drogą prostszą i stokroć lepszą dla jej autorytetu u służby. Gładyszka pozostała, co ważniejsze, spuściła z tonu i stała się nagle uległą, grzeczną jak nigdy dotychczas.

Lecz Ewa zdawała się tego nie dostrzegać, zajęta ważniejszymi kłopotami. Najbardziej martwiło ją to, że sama zepsuła całą robotę mistrzowi. Bo upiór zastrajkował od razu i wszystko wróciło do normalnego trybu. Byłoby to niewątpliwie nader rozsądnym objawem, gdyby nieuzasadniona obawa, że bezczynność „ducha” potrwa tylko tak długo, jak długo zabawi w Borach wielki detektyw, że po jego wyjeździe zacznie znowu „straszyć”.

— Uniemożliwiłam panu zdemaskowanie tego łotra — przyznała się ze skrucą wobec Rafała.

Było mu na rękę to oświadczenie, chociaż szczerze współczuł Ewie... bowiem dopiero teraz rozumiał, że sprawa wcale nie jest taka prosta, jak wpierw sądził. W duchu nie mógł zaprzeczyć, że nie mógłby się ani na krok dalej posunąć, chociażby nawet Gładyszka, czyli pośrednio Ewa, nie wyspała go była przed Priwimem. Cóż z tego, że podejrzewał go nadal, że raptowne uspokojenie się „ducha” potwierdzało te podejrzenia, skoro nie posiadał żadnych przekonywujących dowodów. Po czterodniowym czatowaniu na sposobność, zdołał się wedrzeć do pokoju Priwima (który w tym dniu pojechał do miasteczka), lecz nic nie wskórał. Szafa, biurko, walizy, ba, nawet szuflada w małym stoliku była zamknięta na klucz, a do zamków Rafał debiutujący dopiero w roli detektywa, nie umiał się jeszcze dobierać. Podobnym fiaskiem zakończyły się oględziny ruin starego dworku. Pełne dwie godziny łąził po gruzie i przetrząsał sąsiednie zarośla, lecz nie spostrzegł żadnego wejścia do wnętrza. A jakieś przeczucie mówiło mu, że znalazłby tam klucz do sezamu wielu tajemnic.

Ostatnim zawodem w szeregu tych niepowodzeń, zapoczątkowanych gniewem niedyskretnej Gładyszki, był list z Paryża. Rylski, dawny kolega z ławy szkolnej, obecnie zaś urzędnik polskiego konsulatu w stolicy Francji, odpisał Rafałowi bardzo szybko jak na polskie stosunki, ale za to chaotycznie, i, jak przystało na dyplomatyczny narybek, „makaronicznie”. W dosłownym brzmieniu wyglądał ten list następująco:

DEAR RAPHAELO!

Więc żyjesz jeszcze?! Zapewne, skoro listy pisujesz, „Cogito, ergo sum”, jak powiedział Homer. Ma fois! A może Sofokles? Phi! Ganz-egal. Dość, że jeden z tych gentlemanów.

Twoja lettera raccomandata była dla mnie przemiłą surprise. Myślałem już, że Señor zapomniał o towarzyszu doli i niedoli (to częściej) z ławy szkolnej. Mais pourquoi tak zwięźle pisawszy?

Ale, do rzeczy. Zaryzykowałem po wyjściu z budy podróz, do Quartier Latin, na wskazaną mi przez Ciebie rue de Tournon. (Bon Dieu, gdzie ci ludzie mieszkają! Lewy brzeg Sekwany? Shocking!) Jasne, że nie taksówką, bo przed pierwszym kuso, ani też metrem, gdzie grasują, excusez-moi le mot, pchły! Zatem autobusem „S”. Jak wiesz „S” jedzie koło Senatu, a stamtąd miałem 50 jardów do owego hoteliku.

I tu, fiasko. Twój August Turno od dawna siedzi w Polsce, ponoć w swym majątku. A propos: czy to z tych dobrych Turnów? Chyba nie, sądząc po tym, że mieszkał tu na lewym brzegu. Zatem wyjechał jakoby jeszcze w zimie. Korespondencję, jaka nadchodzi sporadycznie, odsyłają mu gdzieś tam.

Co się tyczy drugiego osobnika, Priwima, to moja milutka informatorka, la fille du propriétaire tego hoteliku, nie mogła mi nic powiedzieć. But, My dear nie trap się z tej przyczyny. Przypadkowo ja sam gdzieś poznałem to indywidualium. Jest to malarz. I think, że to Ci wystarczy. Malarz! Na szczęście nie spotkałem typa dość dawno, dzięki czemu oszczędziłem sobie fatygi z odmawianiem mu pożyczki.

Jak już wzmiankowałem, w hoteliku nie wiedzą, czy mister Turno utrzymuje jakoweś stosunki z tym malarzem. Lecz Corpo di Baccho, na co Ci te informacje? What is the matter? Pożyczyłeś forsę któremu z owych mołojców? No, to machnij ręką i powiedz sobie: Naplewat'!

Kończę na tym, bo pora się przebrać i do pracy! Mam jeszcze dziś do odwalenia proszony obiad, dwie wizyty, lożę na „Hugenotów”, a potem zwyczajną pielgrzymkę do najmodniejszych „Boîtes de Nuit”. Jak widzisz, nie próżnuje się tutaj. Więc, good bye, My old boy. Bin wirklich

sehr beschäftigt heute.
Ścisła Ci dłoń

Totek.

Po przeczytaniu tego elaboratu Rafał Królik czuł dziwny zamęt w głowie. List był rozwlekły lecz nader lakoniczny, jeśli chodzi o pożądane wiadomości o Augustcie Turno i jego sekretarzu Priwimie. Niemniej i te skąpe informacje zaskoczyły Rafała.

— Priwim jest malarzem. Hm, nie widziałem go jeszcze przy palecie, ani nie słyszałem, by kiedy w rozmowie napomknął cokolwiek o malarstwie. To dziwne, bardzo dziwne — monologował początkujący detektyw, odczytując raz jeszcze list Totka Rylskiego.

Nierównie więcej tajemniczo przedstawiała się historia ze stryjem Ewy. Jakże to? Tu listy siostrzenicy przysłała z Paryża, a z cudackiego elaboratu Totka wynika, że August Turno bawi w Polsce. W swoich dobrach, co dziwniejsze!

— Mam! — zawołał Rafał i smętnie pokiwał głową. — Ten zwariowany dziwak przykazał w hotelu, by mówiono, iż wyjechał, jeśli ktoś będzie o niego rozpytywał. To w jego guście, tak, tak. I Totek także pewnie się tam osobiście nie pofatygował, ale połączył się z hotelem telefonicznie, gdzie go poczęstowano taką bajką. — Tak czy owak — reasumował reporter, okrążając coś po raz szósty blok domów, w którym znajdowała się poczta — tak, czy owak, zaszły tu nieprzewidziane komplikacje.

— Jakież to komplikacje, szanowny panie? — zabrzmiał mu nad uchem męski głos, dźwięczny, spizowy, nabrzmiały energią promieniującą z całej okazałej sylwetki zaczepiającego, a przede wszystkim z jego piwnych, drapieźnych oczu.

Rozdział X

PUŁAPKA

Odruchowo wcisnął Rafał list w kieszeń, zrobił foremny „wstecz zwrot” i stanął oko w oko z Mateuszem Rojkiem. Nafciarz skrobnął ciekawym spojrzeniem kieszeń, w której skrył się list Totka Ryłskiego, a potem objął reportera wzrokiem przyjaznym, niemal czułym. Z jego wymownych ust trysnęła kaskada gładkich słówek usprawiedliwień za „zuchwałą” zaczepkę, komplementów, żarcików i okrzyków radości z powodu tak nieoczekiwanego spotkania.

— Nieoczekiwanego? — zdziwił się Rafał, którego to nadszkakiwanie ze strony polskiego króla naftowego nastroiło na nutę nieufności. — Wprost przeciwnie raczej. Gdzież może być łatwiej o sąsiedzkie spotkanie na prowincji, jak nie w miasteczku, w niedzielę koło...

— Poczty — odpowiedział Rojek skwapliwie.

— Koło kościoła! Rafał powiedział to z naciskiem.

— No tttak, w pobliżu kościoła — przystał tamten. — Jeśli wspomniałem o poczcie to dlatego, że...

— Że widział pan jak czytałem list.

— Istotnie widziałem.

Przez chwilę patrzeli sobie prosto w oczy, a Rafał doznał niemiłego wrażenia, że dwie ostre igły sondują mu gałki oczne aż w głąb do mózgu. Trwało to jednak kilka sekund zaledwie, po czym niezwykle ugrzecznony nafciarz ujął go pod lewe ramię i jął rozpytywać o Bory, o wynik śledztwa w sprawie tajemniczego podpalenia stodoły i o Ewę. — Nie przyjechaliście państwo razem do Sambora? — rzekł, odpowiadając leciutkim kiwnięciem ręką na ukłon Kochauta, siedzącego na małej bryczuszce węgierskiej.

Rafał odparł, iż nie. Ewa czuła się niedobrze, więc została w Borach.

— Wobec tego zrobi mi pan ten zaszczyt i wpadnie do mnie na skromne śniadanko — zaproponował Rojek, popierając to zaproszenie cygarem. Ale jakim cygarem! Rafałowi przyszło na myśl, że nawet jego eks-szef, naczelny redaktor *Kuriera*, takich nie palił, nie mówiąc już o tym, że nigdy nikogo ze współpracowników nie częstował. *Muszę się cenić, skoro ten burżuj przede mną w takich prysiudach*, to była następna myśl reportera. Zgodnie z tym postanowieniem, zaczął się wymawiać, że nie jest odpowiednio ubrany, że przyrzekł Ewie wrócić punktualnie na obiad, ale oponował coraz słabiej, coraz miękcej, aż uległ w końcu. Kochaut odjechał do Borów sam z wiadomością dla Ewy, żeby z obiadem na swego gościa nie czekała, po czym dwaj panowie ruszyli w stronę starostwa.

— Tam czeka mój wózek, który później odstawi szanownego pana do Borów — objaśnił po drodze Rojek. A „szanowny pan”, widząc jak wszyscy dokoła czapkują przed nafciarzem i patrzą z respektem na małą osobę drepzczącą po prawicy milionera, odął się ważnie i z niedbałą elegancją wsunął rękę do kieszeni marynarki. — Aha, list — przypomniał sobie, gdy jego palce dotknęły papieru. „Wózek” Rojka był sobie minierwą, którą Rafał oszacował z miejsca na pięć tysięcy dolarów. Bez długich ceregieli zasiadł po prawej stronie, jak gościowi przystało, wyciągnął nogi, zagłębił się w poduszkach, puścił kłąb dymu i zapadł w błogostan. — To

rozumieć — rozmyślał, kiedy tuż za miastem prześcignęli rozklekotaną bryczkę z podskakującym na niej komicznie Kochautem.

Niestety, gospodarz przesadnie uprzejmy nie pozwolił gościowi na deliberacje i raz po raz wszczynał rozmowę, poważnie przeszkadzającą w pełnym rozkoszowaniu się hekatombą świetnych cygar.

— Dobrze niesie co? — zagaił znów. — A szanowny pan ma wóz jakiej marki, jeśli wolno wiedzieć?

Rafał drgnął. Szybko podciągnął pod siebie stopy, których „pokrowce” o wykoślawionych skośnie ściętych obcasach, przykro wyglądały przy eleganckich, półzamszowych trzewikach Rojka. — Czy on kpi ze mnie? — pomyślał.

— Eeeh, wolne żarty zaśmiał się z przymusem. — Skąd chudemu dziennikarzowi do własnego samochodu.

— Dziennikarzowi — mruknął nafcjarz, potakując uprzejmie. — Oczywiście, że dziennikarstwo nie należy do zawodów rentownych, przynajmniej u nas... Ale można być dziennikarzem z zamiłowania, a posiadać przy tym osobisty majątek lub też inny zawód, bardziej zyskowy. Przy wyrazach *inny zawód*, przenikliwe oczy nafcjarza musnęły reportera „pod włos” ostrą szczotką spojrzeń. — Myślałem, że pan jest także w tym szczęśliwym położeniu.

— Niestety nie! — oświadczył Rafał oschle; coraz mniej mu się podobała ta pogawędka i te żółte natręte oczy wywołujące dreszcz jakiejś nieokreślonej trwogi, chociaż uśmiechnięte słodziutko.

— No, nic straconego — zarechotał Rojek — jak słusznie powiedział jeden Amerykanin, miliony leżą na ziemi, trzeba je tylko umieć podnieść.

Mateusz Rojek nadskakiwał gościowi z zapalem. Uwydatniło się to zwłaszcza wtedy, gdy limuzyna minęła ostre serpentyny, osiągnęła szczyt wyniosłego wzgórza i zatrzymała się u stóp pałacyku nafcjarza.

— Oto moja chałupka — rzekł skromnie gospodarz, pomagając gościowi wysiąść, z takimi ceregielami, jak gdyby był leciwą matroną lub staruszką, cierpiącym na „kwartet”, czyli reumatyzm, artretyzm, ischias i podagrę. Potem znowu go ujął pod ramię i poprowadził do wspaniałego hal u, gdzie odebrał od nich kapelusze i zarzutki lokaj z bokobrodami à la Franciszek Józef I i ostatni, a sztywny niczym gors nowej koszuli frakowej. — Ciekawym, czy by się roześmiał ten uroczysty bałwan, gdybym go tak połaskotał — pomyślał Rafał, któremu wrócił dobry humor na widok sługusa w liberii. Nie stało jednak czasu na przeprowadzenie tego eksperymentu, bo gospodarz już ruszył ku drzwiom i pchnąwszy je, ukazał proletariackim oczom długi szereg zbytkownie urządzonych pokoi. — Komnat — poprawił się Rafał w duchu, stąpając ostrożnie by czegoś nie rozbić, nie przewrócić.

— Wybacz szanowny pan, że go na maleńką chwilę pozostawię samego; chcę tylko wydać dyspozycje służbowe. Zawiodła mnie intuicja, mój przysłowiowy świetny węch i nie przeczułem, że będę miał zaszczyt przyjmować w tych niskich progach **takiego** gościa!

Wygłosiwszy tę wersalską formułkę, wyszedł Rojek spiesźnie, zaś „taki gość” z rozkoszą, acz nie bez obawy, powierzył swą cielesną powłokę sprężynom przepaścistego głębokiego klubowca. Domyślił się szybko, że Rojek pozostawił go umyślnie samego, aby mógł swobodnie obejrzeć te skarby rozwieszane na ścianach, rozścielone na lśniących parkietach, i odczuć różnicę klasową pomiędzy nimi; wszakże można było przywołać tego „Franciszka Józefa” i tutaj wydać dyspozycje co do owego śniadania. Domyślił się więc i zdraśnięty w swej dumie, opuścił bezzwłocznie rozkoszny hotel. — Niech sobie dorobkiewicz nie myśli, że mi tym zaimponuje — warknął, maszerując ku oszklonym drzwiom, poza którymi dostrzegł jakiś wielki balkon.

Nie był to balkon lecz rozległy taras ciągnący się wzdłuż całego frontu pałacu. Tu zastał

Rojek swojego gościa, podziwiającego panoramę okolicy. Przystanął, jakby nie chciał przeszkadzać w tym zajęciu, wreszcie chrząknął, zakasłał. — Ładnie tu prawda? — spytał, aby jakoś zacząć.

Rafał potaknął łaskawie i poprosił o wyjaśnienie, czy te maleńkie z tej odległości kostki budynków, to Bory. Był tego pewien, ale chciał skierować rozmowę na interesujące go tematy.

— Tak, to Bory. Nie myli się pan. Ale może zaczniemy od góry, aby się pan łatwiej zorientował w naszej pięknej okolicy... Tu, zaraz poniżej, to moje wieże wiertnicze, a tam dalej budynki mieszkalne moich ludzi.

— Ziemia także pańska? — przerwał Rafał obłudnie, bo przecież wiedział dobrze, że wszystko dokoła, to grunty rozłąckie, czyli własność stryja Ewy, pana Augusta Turny.

— Nie — odparł Rojek niechętnie. — Wydzierzawiłem te tereny.

— No proszę! — „dziwił” się gość. — A nie było to ryzykiem z pańskiej strony budować tak kosztowne gmachy, jak chociażby ten pałacyk... na nie swojej ziemi? — Dostrzegłszy chmury gromadzące się na czole gospodarza i nieprzyjemny błysk w żółtych oczach, dodał reporter skwapliwie: — Chyba, że wydzierzawił pan tereny na dłuższy czas.

— Tak na dłuższy czas — warknął nafcierz. — Zresztą zastrzegłem sobie prawo pierwokupu i nie omieszkam z niego skorzystać!... Ale odbiegliśmy od tematu. Panu chodzi przecież o poznanie okolicy — zauważył z wyraźnym naciskiem. — Zatem idźmy dalej: jest to niewłaściwe określenie ale tak się utarło... otóż siodło czyli zagłębienie pomiędzy tymi dwoma wzniesieniami przechodzi, jak pan widzi, w wąwóz rozszerzający się hen, poniżej, w dolinę, którą zajmują grunty folwarku panny Ewy Turno i jej dworek.

Rafał potakiwał ustawicznie, dopóki mu stożek popiołu z cygara nie spadł na ubranie. Orientował się coraz lepiej w okolicy, przynajmniej w tej części, która go interesowała ze względu na Ewę. Gdyby mu przyszło naszkicować w kilku kreskach mapkę terenu, narysowałby po prostu literę Ypsilon, o nóżce bardzo wydłużonej. Jej podstawę stanowiły budynki gospodarskie Borów, powyżej leżał park, okalający ruiny, jeszcze wyżej wąwóz, którego dna nie było stąd widać, a potem prosta linijka rozwidlała się na dwa ramiona; u szczytu wschodniego stał pałac Rojka, zaś ramię zachodnie wiodło do kompleksu budynków, zamieszkałych przez inżynierów i urzędników kopalni i dalej do starego dworku Rozłąki, w którym obecnie mieszkali robotnicy, a w którym niegdyś rezydował August Turno.

— Gdzież znajduje się granica? — spytał w pewnej chwili, przerywając gospodarzowi wywody na temat wydajności jego szybów, których nazwy Rojek wymieniał kolejno, wskazując odnośne wieże wiertnicze.

— Granica między Rozłąką a Borami jest właściwie sporna, jeśli chodzi o dolinę — brzmiała odpowiedź. Przedtem tak długo oba folwarki były pod tym samym zarządem, że nie robiono kwestii z tego powodu, może nie interesowano się w ogóle kopcami granicznymi. Dopiero ja jako dzierżawca Rozłąki, zająłem się tym i stwierdziłem, że moje „królestwo” sięga aż do południowego muru parku panny Ewy. Mógłbym z tego wyciągnąć konsekwencje, ale jestem zgodnym sąsiadem. Zwłaszcza wobec tak czarującej sąsiadki, he, he, he... Zresztą powiem panu szczerze, że mało mnie to wzrusza, iż ludzie z Borów, zwłaszcza pastuch dworski, szwendają się po Czarcim Jarze. Gdybym był rolnikiem, trząsłbym się o te pastwiska, zapewne. Na szczęście dla panny Ewy jestem przemysłowcem.

— *Czarci Jar* — powtórzył Rafał — wcale romantyczna nazwa.

— Idiotyczna! — wybuchnął Rojek, ale szybko ochłonął i jął przeproszać gościa za wygłoszenie tak radykalnie sprzecznej opinii o mianie wąwozu, który zabobonna ludność okoliczna nazwała po wojnie Czarcim Jarem. Dodał też z wyraźną niechęcią, że w tym wąwozie pochowano żołnierzy austriackich poległych w czasie walk o Bory.

- I polegli od ognia własnej artylerii — wtrącił Rafał.
- Skąd pan wie o tym?
- Panna Ewa mi opowiadała.
- Aha...
- Jej ojciec także wówczas zginął.
- Tak to prawda.
- Te wypadki miały miejsce w czasie walk o Przemyśl?
- Mmmm, tak. Ściśle mówiąc, w trakcie forsowania karpackich przełęczy przez Rosjan.
- Pan służył wówczas w wojsku?
- No, oczywiście. Walczyłem nawet w tych stronach i wówczas to odkryłem tu ropę...

Ale, może przejdziemy do jadalni, co? Warto by trochę gardło przepłukać jakimś dezynfekcyjnym środkiem, he, he, he.

Zadrżała z radości dusza w Rafale na widok potężnej baterii butelek, zawierających tak znakomite środki dezynfekcyjne jak koniak, jarzębiak, żubrówkę i wyborową. Pijakiem nie był nigdy, lecz tym mniej eleuterykiem, za to wody nie cierpiał zarówno w butach jak i w żołądku, może właśnie dlatego, że na obu tych odcinkach frontu życiowego stykał się z nią tak często z racji swego ubóstwa.

Biesiadowali we trzech to jest Rafał, Rojek i jego czworonożny ulubieniec czarny jak smoła seter *Trocki*.

— Pysznie go nazwałem, co? — rechotał nafciarz, klepiąc łaszącego się psiaka. — Komuniści, bo i tych mam wśród swoich robotników, pienią się w bezsilnej wściekłości, ile razy mnie widzą z tym psiakiem. A ja wtedy gwizdzę na niego i krzyczę *Trocki do nogi! warować mi posłusznie łobuzie*. Taaak, waruj piesek — potężną łapą przygiął ku podłodze miękki kark setera, demonstrując wobec zdziwionego gościa, w jaki to sposób urządza irytujące przedstawienia dla „swoich komunistów”.

Rafał miał słabą głowę. Nie wiadomo, czy brak treningu był tego powodem, czy tanie i niedostateczne odżywianie się w Warszawie, dość, że po marnych sześciu kieliszkach wpadł w czarną melancholię. Przypomniawszy sobie od razu, że kiedyś chorował na płuca, na szkarlatynę i dyfteryt, że z sercem też jest nie całkiem w porządku, że miewa kurcze w żołądku i niewątpliwie umrze w najbliższym czasie. Za to po następnych sześciu stał się Napoleonem, Metternichem, Demostenesem i... pogromcą bolszewików. Zagarnął Gdańsk, zmiótł z mapy Europy Litwę, po czym sprzymierzony z Niemcami, Anglią i Japonią natarł na Rosję. Zatrzymał się dopiero przy Uralu. Wreszcie przewidując snadź możliwość odwetu ze strony bolszewików, zaczął budować państwka buforowe.

Mateusz Rojek wciąż potakiwał i napełniał nowe kieliszki, Rafałowi większy, sobie mniejszy, ponieważ lekarz mu w ogóle pić zabronił, jak się usprawiedliwiał zaraz na wstępie libacji. Słuchał cierpliwie, ale kiedy Rafał przy podziale łupów pokłócił się z Anglią i Indiom zagroził, gościnny gospodarz poprosił pokornie o głos:

— Rozumiem pana doskonale, jak rozumiem konieczność ekspansji jednostek, które energia i nadmiar sił żywotnych rozpięra. Ja sam, proszę wybaczyć to zestawienie, jestem w podobnej sytuacji — westchnął i szybko wcisnął cygare w otwierające się usta wymownego partnera. — Bo przecież każde przedsiębiorstwo jest jak gdyby państwkiem, takim małym kraikiem, który, zależnie od zdolności swojego kierownictwa, chyli się ku upadkowi, albo się rozwija pomyślnie. U mnie na szczęście zachodzi ten drugi wypadek. Trzymam wszystko żelazną ręką, doglądam każdej roboty osobiście, dzięki czemu moje przedsiębiorstwo może za wzór służyć innym... Ale cóż z tego kiedy nie mam widoków na dalszy rozwój...

— Nnnnie rozumiem — wtrącił Rafał, kołysząc poziomym ruchem ociężałą głowę.

— Przedtem się pan rozwijał, teraz znów nie widzi pan widoków.
— Słusznie — przystał cierpliwy Rojek. — Otóż nie mam widoków na przyszłość dlatego, że nie mogę kupić nowych terenów. Rozumie pan?
— Rrrrozumiem po trochu.
— I ręce załamuję w bezsilnej rozpaczy, widząc, jak nasi ziemianie i chłopcy wyprzedają bajeczne tereny naftowe Anglikom, Francuzom i...
— Hańba! — ryknął Rafał. — Ziemią frymarczą? Ojcowizną? Wara! Wara powiadam!
— Sprzedają cudzoziemcom, ale mnie rodakowi ani piędzi nie oddadzą, chociaż chcę płacić, jak tamci... Lepiej nawet!
— To niemożliwe. Pokaż mi pan tych sprzedawczyków, zdrajców. Do nogi powystrzelam! W pień wytnę! — odgrażał się wstawiony reporter.
— No, sądzi ich pan może zbyt surowo. Bo trudno przecież nazywać w tak dosadny sposób naszą wspólną znajomą pannę Ewę Turno!
— Ewę? Tur... Turnooo? Aha, aha — przypomniał sobie. — Prawda, że pan chce od niej kupić Bory. Ale z tego nici!
Skurcz gniewu przemknął przez twarz nafcjarza, lecz wypogodziła się natychmiast.
— Dlaczego drogi panie? Czy te bogate tereny powinny leżeć tak bezproduktywnie? — spytał Rojek, obejmując czule dłoń gościa.
— Nie powinny i pan je kupić powinien, ale nici z tego, bo Priwim panu bruździ!
— Priwim???! — Rojek więcej nie mógł wykszusić przez dłuższą chwilę, tak go ta wiadomość zaskoczyła. Rafał nie panował już nad językiem, a jeśli nawet w ostatnich przebłyskach trzeźwości uświadomił sobie, że wszelka niedyskrecja może być szkodliwa dla interesów Ewy, to natychmiast ogarnęło go pijackie przeświadczenie o zacości gościnnego Rojka, o jego patriotyzmie i jak najlepszych intencjach wobec świata. Bo sympatyczny gaduła skończył już z niedawną wojowniczością i wkroczył w następne stadium opilstwa objawiające się u niego rozczuleniem, tkliwością, łzami i... czkawką, a będąc w tak pacyfistycznym nastroju sądził wszystkich według siebie. Czarne charaktery nie istniały wtedy więcej, sami aniołowie chodzili po ziemi, płonąc żarliwą miłością ku bliźnim, zatem i Priwima należało wybielić i ująć się za nim:
— Szyje panu buty, to prawda — potakiwał ale cóż ma robić, skoro mu tak każe August Turno? Musi słuchać czy nie?
— Musi! — warknął Rojek. — Więc Turno pisał do Ewy?
— Pisał do Ewy dwa listy, dwa... powiadam. — Rafał wyciągnął dwa palce aż pod sam nos wzburzonego nafcjarza. — Jeden oficjalny, gdzie radzi sprzedać Bory panu, drugi poufny, gdzie znów panu wymyśla od draniów, złodziei, oszustów, szantażystów... zaraz jeszcze coś było...
— Mniejsza z tym syknął Rojek, bębniąc gwałtownie po stole.
— Wcale nie mniejsza... Więc od oszustów, szantażystów...
— I radzi by mi Borów nie sprzedawać tak? — wrzasnął nafcjarz, lękając się, że nie wytrzyma dłużej i grzotnie czym twardym w gościa.
— Tak, właśnie, ot co. Więc gdzie tu wina Priwima? No, mów pan.
— Zgadzam się na wszystko... Hmm, hmm, hmm... I jestem panu niezmiernie wdzięczny za tę informację... Pozwoli pan teraz, że zrewanżuję się, wzniosę toast na jego zdrowie.
— Oooowszem.
— Ale nie wódką. Szampana się napijemy, drogi panie! — Rojek łaknął szampana przede wszystkim dla siebie. Nie przypuszczał zaiste, że tak cenną wiadomość wyłowi z pijackiego gładzenia swego gościa... Wydawszy odpowiednie polecenie służącemu, przechadzał się

nerwowo po jadalni, zasypując Rafała zdradliwymi pytaniami, na które ten ze szczerością człowieka dobrze pijanego odpowiadał. A kiedy oziębiony lodem szampan zapienił się w kieliszkach, podszedł do stołu i rzekł: — Piję na zdrowie mego znakomitego gościa, polskiego Sherlocka Holmesa, genialnego Szafrana! W pańskie ręce panie Baltazarze!

— Bal... Baltazarze? — wyjąkał Rafał, przewracając oczyma niesamowicie. Jakby błyskawica rozjaśniła na chwilę mroczne krążganki myśli w pijanej głowie. — Skądże jakiś Baltazar? — bronił się, przecząc gwałtownie gestykulującymi rękami. — Jestem Rafał Królik, do usług...

— He, he, he, he. Królik. Pyszny pseudonim, mistrzu — chichotał gospodarz, klepiąc gościa po plecach aż dudniło. — Ale nie mnie brać na to, he, he, he... Zresztą pańska wina mistrzu, że incognito się nie uchowało. Męska twarz Baltazara Szafrana jest tak znana w tysiącach reprodukcji, tak popularna, że każdy musi pana poznać natychmiast. Trzeba się było trochę ucharakteryzować, dobrodzieju, he, he, he — rżał, tarmosząc Rafała bez ceremonii za włosy. — O tutaj trzeba było nałożyć jakąś perukę i wąsy przylepić, i bródkę, he, he, he. — Rojek łągał oczywiście, gdyż nigdy w życiu nie widział podobizny prawdziwego Szafrana, a polegał tylko na poufnej wiadomości z Borów, że gość panny Ewy, podający się za dziennikarza, jest w rzeczywistości słynnym detektywem warszawskim. Zaś Rafał byłby się niewątpliwie połapał w sytuacji, gdyby nie to przeklęte zamroczenie. Bo on widział przecież autentycznego Baltazara Szafrana i wiedział dobrze, że nie przypomina go w żadnym szczególe jego sylwetki. Tak, lecz obecnie Rafał był zupełnie niezdolny do zdemaskowania naiwnego kłamstwa Rojka i leciał mu przez ręce w uciążliwej „podróży” do sąsiedniego pokoju.

— Tu się kochany mistrz prześpi troszkę — słyszał jak przez ścianę i runął na wznak na tapczan, pchnięty potężnie w piersi. Poderwał się jeszcze, usiadł z wielką biedą i objął gospodarza za szyję...

— Niechże cię pocałuję, druhu ser-ser-serdecznyyy, eppp — zaczął i trzymał kurczowo Rojka, odpychającego go ze wstrętem — skoroś już jest dla mnie taki zacny, dobry, kochaaaany, eppp, to ci wyznam prawdę.

— No? Rojek nadstawił ucha.

— Ja nie jestem żaden Szafran, tylko prawdziwy Król, eppp. Królik!

— Dobrze, Dobrze. Tymczasem jednak niech się Królik prześpi...

— A ty będziesz czuwał nad-e m-nąąą?

— Będę — odparł Rojek z rezygnacją i rzeczywiście siedział przy tapczanie póki gość, uspokojony jego zapewnieniem nie zasnął. Potem wstał obrzucił śpiącego ironicznym spojrzeniem i wyszedł na taras, by zaczerpnąć świeżego powietrza w płuca, zatrute dymem tyłu cygar, wypalonych w trakcie tej libacji. — I kto by pomyślał — mruknął z dumą — że największego detektywa tak łatwo wciągnąć w pułapkę. — Znowu zarechotał swym zardzewiałym śmiechem, lecz krótko tym razem. Jakieś wspomnienie zapaliło mu błyskawice gniewu w oczach i muskularne ramiona wyrzuciły nad głowę zaciśnięte kulaki.

— Policzymy się jeszcze! — wycharczał, potrząsając pięściami.

Rozdział XI

STARY RÓW STRZELECKI

Rafał Królik zbudził się z normalnym kociokwikiem. Zrazu nie mógł się zorientować w sytuacji, co to za komnata wspaniała, skąd się wziął tutaj, ani dlaczego głowa mu pęka z bólu. Ale podniósłszy z wysiłkiem tę głowę, cetnary zda się ważącą, dojrzał w przeciwnym rogu pokoju ogromne biurko i stojącą na nim lampę okrytą abażurem. Za biurkiem siedział ktoś i pisał z takim rozmachem, że słychać było każdy es-flores pióra na papierze. — Rojek? — mruknął reporter, nie dowierzając oczom. — Skąd pan się tu wziął właściwie? — spytał już głośno.

Nafciarz odłożył pióro, wstał, podszedł do głównego tastra przy drzwiach i puścił na pokój strugę światła z wszystkich lamp wiszących na ramionach olbrzymiego pająka.

— To pytanie lepiej by brzmiało w moich ustach — odparł, idąc powoli w stronę legowiska swojego gościa... Jego kpiący wzrok pomógł Rafałowi znakomicie do zupełnego wytrzeźwienia, a jeden rzut oka na zegar antyczny stojący nie opodal na postumencie, zmiotł go z tapczanu.

— To już tak strasznie późno? — zawołał. — Czemu mnie pan nie zbudził, panie Rojek. Co sobie panna Ewa pomyśli.

— Nic strasznego. Zresztą pamiętałem o tym. Zawiadomiłem ją przez posłańca, że prawdopodobnie będę miał wieczorem gościa i pana także zatrzymam. Ale skoro pan woli odejść, to proszę bardzo. Auto jest do dyspozycji.

— Dziękuję, dziękuję panu. Jednak... pójdę pieszo.

— Gościńcem? To kawał drogi. A tędy na przełaj zabłądzi pan.

— Ech, zabłądzi. Mam elektryczną latarkę.

— Wiem... Wypadła panu z kieszeni, o, tam ją położyłem — dorzucił Rojek z uśmiechem, dostrzegłszy przerażony wzrok Rafała. Przez dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie. Rojek uśmiechnięty zwycięsko, Rafał zmieszany, zawstydzony i ogłuszony wściekłym bólem głowy. Przypomniał sobie list z Paryża, chciał się upewnić, czy ten elaborat przyjaciela nie wypadł także z kieszeni jak owa latarka, ale nie śmiał. Czuł, że byłoby to ogromnym nietaktem obmacywać się po kieszeniach przy gospodarzu.

— Zatem... pójdę już — rzekł, wyciągając niepewnie dłoń do pożegnalnego uścisku. Chciał odejść i nie chciał. Niepokojące pytanie swędziało go w język nieznośnie, aż padło wreszcie... — Wypiłem trochę zanadto; czy ja coś panu mówiłem? Coś mi się płacze po głowie, że rozmawialiśmy o...

— Och, o wielu sprawach — wtrącił gospodarz, zacierając ręce w sposób denerwujący. — Czyżby pan już zapomniał? No, chyba żart? Przecież zawarliśmy formalny sojusz, przymierze, he, he, he.

— Jakie przymierze? — przeraził się Rafał.

Rojek udał obrażonego. Jest mu niewymownie przykro, że gość nie chce sobie przypomnieć, o czym konferowali i w jakiej to sprawie doszli do całkowitego porozumienia. — Może odłożymy tę obecną pogawędkę do innej godziny, skoro szanowny pan już definitywnie

przyjdzie do siebie — zakończył swe wymówki i nadąsany wrócił do biurka, dając Rafałowi niedwuznacznie do zrozumienia, że powinien już zakończyć tę pierwszą wizytę tutaj. Nagle odwrócił się i rzekł z wyraźnym szyderstwem:

— Ale najciekawsze było to co pan przez sen tu mówił!

Efekt został osiągnięty w pierwszej chwili. Rafał stał jak murowana statua. Lecz jak wówczas, gdy wychodząc z Ewą z mieszkania detektywa, spotkał w drzwiach Baltazara Szafrana, a wybrnął z tej sytuacji, tak i obecnie, mimo bezmiernego przygnębienia, zdobył się na ironiczną odpowiedź:

— A pan nie miał nic lepszego do roboty jak podsłuchiwać!

— Pozwolę sobie zauważyć, że to mój gabinet. Więc dlatego, że się panu zachciało gadać przez sen różne niedyskretne rzeczy, miałem sobie przerywać pracę i pisać na tarasie? Nie, szanowny mistrzu. Baltazar Szafran powinien był wszystko przewidzieć... Ale oto moja ręka, mistrzu — dodał z nagłą serdecznością — że panna Ewa nie dowie się ani słowa z tego, co pan powiedział... Z tych zwierzeń! — zakończył z naciskiem. Potrząsnął kilkakrotnie dłonią Rafała i znowu ujął go pod ramię. — Nie dowie się powtarzam raz jeszcze, jeżeli pan będzie wobec mnie lojalny i dotrzyma warunków sojuszu, któryśmy tak solidnie oblali, he, he, he. — Sylabę za sylabą wsączał w ucho niesłyszącego reportera, prowadząc go z honorami do hallu. — Więc woli pan wracać pieszo? — spytał raz jeszcze.

— Wolę — skinął głową zapytany.

Powróciwszy do swej wytwornej pracowni, zamyślił się Rojek. — Ten Szafran nie jest jednak taki głupi, jak początkowo sądziłem — monologował w duchu — wszystkie papiery opiewają na nazwisko *Rafał Królik*. Jakby szelma przeczuwał, że mu ktoś niepowołany będzie portfel przetrząsał... Ba, nawet ten kapitalny koleżka z Paryża pisze doń per Rafale. Hm, hm. Szczwany lis, ale tylko dopóki trzeźwy. Po pijanemu zero... Zupełne zero... Dwa zera! — prychnął śmiechem i zabrał się do pracy.

Tymczasem Rafał Królik, poprzedzany przez lokaja z bokobrodami w stylu Franciszka Józefa I, kroczył główną aleją ogrodu Rojka. Starannie był utrzymany ten ogród, ścieżki miał wysypane czerwonym piaskiem i barwnymi kaflami odgradzone od klombów, posiadał sztuczną sadzawkę z wodotryskiem, jakieś posążki, grotty, wazon, posiadał bezlik z dala sprowadzonych krzewów, przedmiot zazdrosnych westchnień okolicznych ziemian, lecz mimo tego wszystkiego mniej się spodobał Rafałowi niż stary, zapuszczony park Ewy w Borach. — Znadto pachnie świeżością i dorobkiewiczostwem, podobnie jak jego pan — zauważył trafnie, szukając na próżno choćby jednego dużego drzewa, jakiegoś dębu, lipy, jesionu czy choćby kasztana; a ileż tego rośło w malowniczym parku Turnów.

Zgrzyt klucza przerwał Rafałowi studia porównawcze. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy, na ciemnym tle muru zajaśniał mały prostokąt otworzonej furtki, a przewlekłe podzwonne pęku kluczy przypominało gościowi, że z racji takiego przyjęcia, służbie także się coś niecoś należy. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, Rafał, nieco zaskoczony i „Franciszek Józef” zdziwiony niemal grubą niedomyślnością swego vis à vis. Wreszcie zniecierpliwiona łapa wysunęła się płasko przed sztywny korpus. Dojrzał ją Rafał. Domyślne: *Ach, prawda*, wyrwało mu się z ust i jego obie dłonie pochwyciły natrętną rękę w serdeczny uścisk pożegnalny.

— Do miłego zobaczenia się z panem — pisnął reporter, przeskoczył wesoło wysoki próg i żurawim krokiem ruszył w dół przed siebie. Zrobił już chyba z osiemdziesiąt kroków, gdy rozległo się gniewne echo zatrzęsnięcia furtki. — Mogę stąd wyciągnąć dwa pewne wnioski — chichotał Rafał łobuzersko — pierwsze, że „Franciszek Józef” stał przez minutę jak nieboszczka żona Lota po solnej kuracji, secundo, że ten grubianin nie potrafił ocenić gestu prawdziwego demokraty; więcej mu ręki nie podam!

Niebawem zwolnił kroku. Kierunkowo był nieźle zorientowany, wiedział, że Bory leżą stąd na północ, że aby tam dojść, musi iść wciąż z góry, nie wiedział natomiast, któredy będzie mu najbliżej i którą drogę obrać w tym labiryncie ścieżek rozwidlających się i krzyżujących z sobą raz po raz. Próbował tędy, tamtędy, zawracał zawiedziony i już zaczął żałować, że odrzucił propozycję Rojka, proponującego mu auto, kiedy łaskawe losy zesłały mu przewodnika w osobie jakiegoś robotnika z kopalni. Ten doprowadził go aż poza obręb ogromnego placu, upstrzonego kostkami szop, baraków, drewnianych budek, podrutowanego we wszelkich kierunkach szynami wąskotorowej kolejki, na których błądzący Rafał potknął się niejedną raz, i zatrzymał się dopiero w tym miejscu, gdzie płaska kotlina rzekomego siodła górskiego spadała w wąwóz rozszerzający się hen poniżej w dolinę.

— Pan chce do Borów? spytał przewodnik

— Tak, mieszkam w tamtejszym dworze.

— I nie zna pan drogi?

— Jestem zaledwie tydzień w tych stronach.

— Aha. Hum... A nic panu nie mówiono o Czarcim Jarze?

— Owszem mówiono, że straszy, ale na to gwizdząc odparł Rafał z brawurą i machnął ręką wzgardliwie. Pan może widział tego stracha?

— Nie. Ja tam nigdy nie chodzę, nie mam po co, skoro tu na górze pracuję i mieszkam... Ale byli tacy, co widzieli to i owo.

— Na przykład?

— Eeech, po co gadać. Pan, człek miastowy, widać zaraz.. i tak nie uwierzy, jeszcze się będzie prześmiewał... No, mnie czas wracać..

Rafał zastanawiał się, czy by nie nakłonić w jakiś sposób tego człowieka, aby go poprowadził jeszcze dalej. Bo trochę niewyraźnie zrobiło mu się w okolicy serca, gdy się zanurzył wzrokiem w tą czarną czeluść wąwozu, cieszącego się w okolicy tak nieszczególną reputacją.. Ale jak tu go namówić, jakim efektywnym argumentem poprzeć swą prośbę? Bo Rafał, mimo iż wstawił się tak szybko na dzisiejszym śniadanku, zdążył przecież zmagazynować w kieszeni kilka doskonałych cygar nafcjarza i jednym z nich poczęstował zaraz na wstępie przygodnego przewodnika.

— Bardzo ładna noc — zaczął reporter zachęcająco...

— Parna. Będzie burza, myślę... Musi się pan dobrze zwiijać, żeby przed deszczem zdążyć do Borów — brzmiała odpowiedź, przekreślająca od razu plany Rafała. Pomimo to stał dalej, wymyślając sobie w duchu, że nie skorzystał z zaproszenia gospodarza; wspomnienie pięknej limuzyny opadło go ze złośliwą gwałtownością.

Stary robotnik, obserwując uważnie swego towarzysza zarechotał nagle rubasznym śmiechem.

— Spietrał się pan, widzi mi się — rzekł.

— To źle się wam widzi, mój kochany - odparł reporter wyniośle, po czym tym samym tonem poprosił o garść wskazówek, któredy iść powinien.

— Ciągłe prościutko przed siebie tą ścieżką. I nie schodź pan z niej, bo można zlecieć w jaki dół albo stary rów strzelecki. A ścieżka bardzo zarośnięta miejscami, łatwo pobłądzić.

— Dobrze — jęknął reporter.

— Można też zbroczyć na cmentarzyk, a tam najgorzej straszy — ciągnął dalej robociarz, koloryzując umyślnie.

— Nonsens zachnął się Rafał. — Tylko analfabeci mogą wierzyć w takie głupstwa. Człowiek wykształcony z nich kpi!

— Nie każdy. Nasz stary na ten przykład...

— Jaki *wasz stary*? Chyba nie Rojek.

— Właśnie on.

— Cooo? On miałby się lękać tego tam... Nie, kpiny! Chcecie mnie nastraszyć, co?

Dobrze, zapytam się jutro pana Rojka, czy to prawda.

Robociarz przeraził się nie na żarty. Nie przypuszczał, że ten mizerak wyglądający na oficjalistę albo niższego urzędnika zna osobiście nafcjarza; zna to za mało, ale musi z nim być w dobrych stosunkach, skoro chce go wypytywać o tak dyskretne historie. Więc uderzył w ton pokory...

— Tak mówią, ja nic nie wiem, proszę pana. Pewnie, że głupstwa plotą. Skądże by taki pan jak nasz pan Rojek wierzył w strachy.

— Jednak twierdziliście przed chwilą..

— Eee, tak mi się język zaplątał... Pan Rojek miałby się bać? Ho, ho. Taki wiarus? Toż on jeden ocalał z tej kompanii, która padła do nogi w Czarcim Jarze... I taki miałby się pietrać przed strachami?

Rafała zainteresowała szczerze ta nowa wiadomość. Więc Rojek należał do tego oddziału, który walczył o Bory; że też nie wspomniał o tym w rozmowie. I był tym jedynym, który ocalał... Grad pytań posypał się na starego robotnika, ale na próżno; nauka nie poszła w las. Poniewczasie zrozumiał reporter, że tą naiwną pogroźką popsuł wszystko; nic teraz nie wyciągnie od nowego znajomego, który jest zapewne niezgorszym gadułą.

— Zawróci pan, he? Po życzliwości mówię, że przez Czarcia Jar niedobrze nocą chodzić.

— A ja właśnie pójdę! — zapiał Rafał z wielkiej alteracji. Kiwnął głową niedbale w odpowiedzi na niski ukłon dotychczasowego przewodnika i pogwizdując *Torreadora*, ruszył ostro wskazaną ścieżką. Lecz niebawem zwolnił kroku, bowiem wąska ścieżynka zaczęła się wić w licznych serpentynach, opadając jednocześnie wraz ze stromym zboczem terenu; siłą faktu ognisty marsz z *Carmen* stał się rozwlekłym majestatycznym hymnem, zakończonym nagle w połowie refrenu nagłym zgrzytem okrzyku, po którym nastąpiła cisza. Miało to miejsce wówczas, gdy odchylona ręką Rafała sprężysta gałąź, palnęła go w kark tak figlarnie, że kapelusz sfrunął z głowy, jakby wichrem zdmuchnięty. Znalazł go tylko dzięki temu, że miał latarkę kieszonkową. Ach, gdyby nie ta latarka, byłby natychmiast zawrócił; nie miałoby najmniejszego sensu narażać się na dalsze, nieuchronne karambole w ciemnościach. Mała elektryczna latarka sprawiała, że poszedł dalej odważnie. Przeklinał ją za to w ciągu tej nocy, przebogatej w denerwujące przygody, lecz błogosławił później, bowiem dzięki temu, że zdecydował się przeciw na przemarsz przez niesamowity wąwóz, dokonał odkrycia, które w przyszłości przyczyniło się walenie do wyjaśnienia wielu tajemnic.

Ale na razie kroczył Rafał z duszą na ramieniu, przyświecając sobie od czasu do czasu ową historyczną latarką. Nie stale, bo lękał się, że bateria się wyczerpie przedwcześnie, a miał przed sobą szmat drogi. — Co najmniej trzy kilometry — przesadził, dopingując się w ten sposób. Drugim biczem, jeszcze skuteczniej popędzającym go w marszu, były nieomyłne znaki nadciągającej burzy. Złośliwe poświsty wiatru smagały mu twarz chłodnymi chłaśnięciami rozchybotanych gałęzi i mroziły krew w żyłach odgłosem tysięcy szmerów, szeptów, szelestów wyolbrzymionych mrokiem i świadomością, że sam jest jak palec na tym pustkowiu. Duże krople dżdżu z chmurki odbitej od skłębionego stada siostrzyc i pędzącej w przedniej straży zaszumiały wśród liści drzew i krzewów jakby rozfalowane skrzydła chmury drobnego ptactwa. W migotliwym świetle zamajaczyły nie opodal kontury ogromnego głazu zawieszono nad ścieżką.

— Rromantyczna okolica. Ani słowa — zażartował Rafał z wisielczym humorem.

Przystanął. Przesunął guziczek latarki. Droga rozwidlała się tutaj na dwie odnogi.

Bardziej zarośnięta biegła w lewo, druga, udekorowana niedwuznacznymi dowodami pochodzą zle wychowanej krowy, skręcała łagodnym łukiem w prawo, czyli w kierunku północno-wschodnim w stronę grupy skał, którą Rafałowi pokazał miecz co dopiero zgasłej błyskawicy. I stamtąd właśnie zahuczało coś z piekielnym skowytom: — Uhu. Uhuuu.

— Zwyczajny, ordynarny puchacz — orzekł Rafał ze wzgardą, niemniej wybrał od razu ścieżkę wiodącą w lewo. Przewidując, iż przyjdzie mu wyszukać jakieś rozłożyste drzewo i pod tym parasolem przeczekać burzę, zaprowadził wielkie oszczędności w swej elektrowni, czyli schował latarkę do kieszeni. — Święty Piotr mnie wyręczy — kalkulował, przyśpieszając kroku, aby się odsunąć jak najdalej od zwyczajnego, ordynarnego puchacza, który uwziął się chyba, żeby właśnie teraz dawać swe ponure koncerty...

Nagle potknął się Rafał na małym kopczyku i zęby mu zadzwoniły nieprzyjemnie, kiedy wyrznął brodą w jakiś kawałek drewna, poziomo wiszący.

— Cóż to za bariery, psiakrrr... — Nie dokończył. Struga selektywnego światła trysnęła z chmur i wyjaśniła sytuację w dosłownym jak i przenośnym znaczeniu: Rafał zaszedł w ciemnościach na cmentarz austriackich żołnierzy, zaś ową „barierką”, z którą jego szczęka zawarła bolesną znajomość, było poziome ramię małego krzyżyka na pierwszej z brzegu mogile.

— Rrrrany Boskie!... To cmentarz!

— U-hu, u-hu — potakiwał szydlerzo ordynarny puchacz.

Ogłuszający huk gromu spłaszczyl na powrót przy ziemi małego reportera, na pół oszalałego z przestachu i zbierającego się do ucieczki. Ponowna błyskawica ukazała mu dalsze groby, pochyle krzyżyki i roztrzepotane wichrem łachmany cmentarnych krzaków, które upodobniły mu się na poczekaniu do stada skrzydlatych wampirów. — Tak musiały wyglądać średniowieczne sabaty czarownic — przemknęło mu przez myśl kiedy wreszcie odlepił się od skłęsłego kopczyka. I dlatego zapewne uderzenie w twarz, jakie otrzymał od mokrej, niesionej wiatrem gałązki, uznał za swawolną pieszczotę straszliwej wiedźmy, niewidzialnej w ciemnościach, a podróżującej na miotle czy łopacie. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki na oślep, ścigany szelestami potrącanych krzewów, szczuty dzikim poświstem wichury. Potykał się, upadał, lecz wstawał jeszcze szybciej i gnał jak opętany kilka, kilkanaście kroków, by po chwili znowu się rozciągnąć na pierwszej spotkanej przeszkodzie.

W pewnej chwili runął na twarz w dużą kałużę. Plując błotem i siarczystymi przekleństwami, dźwignął się zaraz, ale nadprogramowa kąpiel górnej części korpusu, ochłodziła go nieco, rzec można: chlusnęła wiadrem wody na buchające ognisko trwogi. Zaczął myśleć po raz pierwszy od rozpoczęcia bezmyślnego biegu na przełaj. Pierwsza jaka-taka przytomna myśl skontrolowała kierunek dotychczasowej ucieczki. Przypadkowo był wcale dobry. Reporter gnał na wschód, w stronę właściwej ścieżki, porzuconej z powodu puchacza; nie zawrócił, skąd przyszedł, nie nadkładał drogi, lecz pędził na przełaj w poprzek rynny wąwozu.

— W porządku! — huknął co tchu w płucach, pragnąc snadź podkreślić, że w tej szatańskiej symfonii żywiołów, on także ma głos. W drgającym blasku nowej błyskawicy dojrzał przed sobą, nieco powyżej, grupę skał, koło których iść był powinien, a między nimi ów ogromny głaz, zwisający nad właściwą ścieżką niczym miecz Damoklesa. Tam należało się dostać, a potem już maszerować wydeptaną przez pastuchów drożyną, aż do południowego muru parku Ewy. — Więc w drogę, bo za minutę ten nędzny kapuśniak zamieni się w ulewę — pomyślał i spizowym: — Naprzód! — obwieścił żywiołom, że skrzepiony króciuteńkim przystankiem, rozpocznie zaraz dalszy ciąg biegu. — Z przeszkodami! — dodał w myśli, zsuwając się już na wstępie w jakiś dołek.

Zacharczał, zadygotał, zawył, bowiem okrzyk zgrozy i bólu skonał mu w krtani, gdy w końcowym stadium świeżego upadku, tysiące wnikliwych igieł wbiły mu się w tę niedocenianą

na ogół część korpusu, z której wyrastają nogi... Wstał błyskawicznie; każda z owych igieł była stalową sprężyną, przyspieszającą proces dźwignania się z ziemi. Rozdygotane strachem dłonie popędziły na odsiecz w uszkodzony punkt cielesnej powłoki i odskoczyły przerażone stokroć więcej. Bowiern natrafiły na ciepłą, żywą kulę, nieco przyplaszczoną, kolczastą i miotającą się rozpaczliwie w widocznym zamiarze zerwania wszelkiego kontaktu ze spodniami reportera.

— Przeklęty jeź! — uświadomił sobie Rafał po chwili. — Usiadłem na jeża! Tu akurat musiało nocować głupie bydlę. Właśnie tutaj!

Zdołał w końcu odrzucić kolczastego potworka, który zapewne burzą zaskoczony wśród nocnych łowów wybrał sobie tak nieszczęśliwą kryjówkę i był stanowczo więcej od dwunożnego przeciwnika przerażony dzisiejszym spotkaniem. Zaś Rafał speszony doszczętnie nową przygodą popędził dalej w skomplikowanych podskokach, bowiem jeź, wbrew własnym i jego intencjom, obdarzył go na pamiątkę zawartej znajomości kilkunastoma kolcami. Utrudniały one swobodę ruchów dolnych kończyn, żgały przy skokach i przypominały nieustannie fatalny upadek. — Boże, gdyby to Ewa była widziała! — Na samą myśl o takiej kompromitacji Rafał dostał wypieków. — Nie dowie się na szczęście — warknął ponuro, wyskubując w biegu niektóre igielki ze spodni. — Trzeba teraz uważać. Tu mają być gdzieś leje po granatach i jakiś rów strzelecki — upominał się, przypomniawszy sobie ostrzeżenie starego robotnika, który go doprowadził aż do górnej krawędzi wąwozu...

— Trzeba bardzo uważaaa...

Zakończył gardłowym rykiem, gdyż w tej samej chwili rozpędzona noga trafiła na próżnię. Pochylony korpus zatrzepotał rękami, pragnąc odzyskać utraconą równowagę.

Na próżno!

Za późno!

I Rafał Królik runął w czarną czelusć nieznannej przepaści...

Rozdział XII

PRZYGODY W PODZIEMIACH

Mokry po deszczowym prysznicu, utaplany w błocie dosłownie po uszy, pokłuty (zasługa jeża), potłuczony, ale z całymi kośćmi i skórą nie bardzo uszkodzoną, powstał Rafał na nogi.

— Mój eks-przewodnik miał rację; tu są naprawdę stare rowy strzeleckie — przyznał, wysyłając stożek światła ze swej latarki elektrycznej w oba czarne tunele lub raczej w obie części krytego krużganka, w którym znalazł się tak niespodziewanie. — Tamtędy wszedłem — dodał niechętnie i skierował swój mały reflektor w górę, w stronę niesymetrycznego otworu w „suficie”, przez który obecnie wlewała się deszczówka kilkoma małymi strugami.

Złośliwe myśli opadły reportera jak rój pszczół: — Aleś wpadł, idioto! I jak stąd wyjdiesz, niezdaro patentowana? Czy w ten sam sposób, jak tam, w Warszawie wchodziłeś do willi pośła S.? Myślisz, że ci tu kto drabinę przyniesie? Prędkiej z głodu zemrzesz. Dobrym reporterem nie byłeś nigdy, ale już na detektywa tak się nadajesz, jak weterynarz na ministra. Kanarki iskać i wróble doić, to w sam raz zajęcie dla ciebie. Czy ci nie mówiono, że można zlecieć w jakiś dół albo w rów strzelecki? Że można zabłądzić na cmentarz? Nie ostrzegano cię, tchórzliwy mikrusie?

Zachnął się Rafał srodze dotknięty w swej miłości własnej i, jak gdyby owe szydercze refleksje były żywymi istotami, dał im taką głośną odpowiedź:

— Wszystko, co się stało, było zgodne z moim planem. Cóż! Miałem może moknąć w czasie ulewy? Tu mam przynajmniej dach nad głową. A co dotyczy moich kwalifikacji na detektywa i zacytowanego przez was, idiotki, porównania, to w społeczeństwie składającym się z wołów rozkochanych w jarzmie, na ministra pasuje najlepiej weterynarz! The right man is on the right place. Skończyłem!

Skłoniwszy się oziębłe niewidzialnemu audytorium, wyruszył w drogę tym tunelem, który wybrała sobie maleńka struga ściekającej wody.

— Woda nie lubi płynąć pod górę — rozumował całkiem trafnie — więc idąc za nią, będę się przybliżał do Borów i może znajdę bardziej komfortowe wyjście niż ta dziura. Zatem naprzód! Z oreżem w dłoni — (z wielkim animuszem potrząsnął znalezionym patykiem, mającym odegrać rolę laski, sztandaru i szpady) — z pieśnią na ustach!

Pieśń ścichła, żołnierski krok urwał się jakby po komendzie: *Stój*. Z duszą na ramieniu jeszcze, ale koło obojczyka, spoglądał Rafał na łagodny zakręt krużganka. Coś się tam poruszyło, zaszeleściło nieprzyjemni, coś czarnego oderwało się od ściany i zniknęło poza kolanem korytarza.

— Ki diabeł? — spytał z wątpliwą energią w głosie. Znów szelest, drugi, trzeci i syk ziemi, czymś potraconej i osuwającej się po koślawej ścianie ku dnu wąskiego tunelu.

— Wąż? — przypuszczał zmylony owym sykiem.

Ruszył naprzód walecznie, a latarkę ścisnął zębami, aby mieć do walki obie ręce wolne. Przypomniawszy sobie, że pan Michał Wołodyjowski szedł do ataku, osłaniając się straszliwym młyńcem swej mistrzowskiej szabli, puścił znaleziony patyk w wartki wir kolisty i... wytrącił

sobie lampkę z zębów. Upadła na ziemię, zgasła, nieprzebite mroki otoczyły zaskoczonego Rafała. Żebyż to tylko mroki! Ale z chwilą nastania egipskich ciemności rozpętało się piekło w tunelu. Jakieś macki zaczęły reporterowi twarz muskać, drapać, kapelusz strąciły w ciemną czeluść i do włosów stających dęba przypuściły szturm generalny. Jakieś obrzydliwe potwory skrzydlate ocierały się o niego, dążąc w panicznym pośpiechu tam, skąd właśnie przychodził. Skulił się więc na ziemi, szukając przeklętej latarki jedną ręką, u drugą osłaniając głowę, przedmiot nieustannych zaczepek tajemniczych prześladowców. Wreszcie znalazł. Przesunął obluźniony guziczek. Upragnione światło wytrysnęło z lampki, płosząc i tak już płochliwe stworzenia. Obijając się między ścianami, leciały na wyścigi ku mrokom i szeleściły niesamowicie kanciastymi skrzydłami.

— Nietoperze — odetchnął Rafał. Najpierw jeź, teraz nietoperze. Co to jest właściwie?! — tupał nogą z gniewem. — Rów strzelecki czy ogród zoologiczny, zapytuję.

Odpowiedziały mu tylko milknące szelesty chwiejnego lotu nietoperzy oraz stłumione echa burzy, szalejącej tam, nad głową, w Czarcim Jarze...

Rozejrzał się w sytuacji. Kryte okopy rozgałęziały się snadź tutaj, oczywiście dawniej, zanim je zryły granaty i zażb czasu pokąsał. Dziś z zasypanej odnogi pozostała tylko głęboka nisza służąca za kryjówkę nietoperzom, którym chyba nie często składano wizyty, skoro takim przestrachem zareagowały na odwiedzinę małego reportera. Rafał zrozumiał teraz swoją omyłkę. Nisza nietoperzy była ślepym zakończeniem dawnej odnogi, a główny korytarz biegł dalej do wąskiego otworu, który Rafał wyminął lekceważąco. Nawrócił się do niego teraz, nadrabiając niepotrzebne kilkadziesiąt kroków, przecisnął się przez ciasny wyłom i przystanął zawiedziony. — Więc tu się kończą romantyczne podziemia? Myślałem, że dalej zajdę — zmartwił się, gdyż nie nęciła go wcale perspektywa powrotu, mozolnego windowania się z rowu przez otwór, przez który tu zleciał, a przede wszystkim konieczność dalszego błądzenia po Czarcim Jarze. — Myślałem, że tędy zbliżę się do Borów — westchnął, kiwając głową ze smętną rezygnacją.

Znajdował się w niewielkiej, niskiej pieczarze, która, sądząc po gmatwaninie przeżartych rdzą drutów zwisających ze ścian, była niegdyś centralą telefoniczną lub ziemianką komendanta tego odcinka okopów. Prócz wąziutkiego przesmyku, łączącego ją z głównym tunelem, znajdowały się tutaj ujścia dwóch odnóg, płytkich i ślepo zakończonych, podobnie jak pamiętna dla reportera nisza nietoperzy.

Aby się upewnić, czy przecież nie ma jakiegoś przejścia, chociażby na pół zasypanego, postanowił dokładnie zbadać obie odnogi. Z płytszą uporał się bardzo szybko, potem zapuścił się w głębszą liczącą ze dwadzieścia metrów długości. — Także guzik — stwierdził niezadowolony. Już chciał rozpocząć odwrót, kiedy jakiś głuchy, stłumiony łoskot zmusił go do szybkiego zgaszenia latarki.

Nadsłuchiwał w ciemnościach. To nie było echo srożącej się burzy. Nie! Źródło tajemniczego łoskotu znajdowało się gdzieś tutaj lub raczej jeszcze głębiej, jak gdyby pod labiryntem kopów.

— Ładna historia — mruknął reporter. — Sądząc z odgłosów, zawrę za chwilę znajomość z żubrem albo niedźwiedziem — dodał, będąc wciąż jeszcze pod wrażeniem swych dotychczasowych spotkań zoologicznych.

— Czeczłowiek?! — wyszeptął, rozplaszczając się w zagłębieniu nierównej, poobrywanej ściany korytarza. Bowiem pochwyił nagle niewyraźne odgłosy krótkiego kaszlu, a potem charknął ktoś, jak tylko nałogowy palacz to potrafi i splunął soczyście. Równocześnie w głębi płytszej niszy naprzeciw kryjówki reportera ukazała się przy ziemi szpara mdłego światła, zrazu wąska lecz rozszerzająca się szybko w okazały prostokąt i z otworu w dnie krótszego korytarza wyjrzała ręka, odpychająca wieko, potem druga, uzbrojona w zakopconą latarkę

naftową, wreszcie głowa całkowicie zakryta dużym lśniącym kapturem. Sapiąc snadź z wysiłku wygramolił się zagadkowy jegomość z głębin, opuścił z hałasem wieko, podniósł latarkę, którą przed chwilą postawił na ziemi, aby mieć ręce wolne i rozejrzał się dookoła. Nie było jednak cienia podejrzliwości w jego zachowaniu ani obawy. Musiał się też doskonale orientować w podziemiach, gdyż zaraz przekreślił knot swojej latarki tak, że ledwie się tliła i poruszał się w ciemnościach z widoczną swobodą.

Rafał przylepiony do ściany lepkiej od wilgoci, patrzył, wstrzymując oddech. Nagle ścierpł. Zakapturzony osobnik, postawiwszy znów gasnącą lampę na ziemi, ruszył w jego stronę. Rafał nie widział go teraz, bo znowu mroki zajęły podziemia, ale słyszał zbliżające się kroki i oddech głośno świszczący.

Ucichło. Czyżby zwietrzył obecność przyczajonego reportera? Czy zbudził jego podejrzliwość szelest grudki ziemi, jaką niebacznie potrafiła rozdygotana dłoń detektywa-debiutanta? Nie wiadomo. Nie można było odgadnąć, jaki spisek knuje pod osłoną grubego płaszcza ciemności. Próżno Rafał wyteżał oczy i słuch wyostrzony... Nie! Słuch, nie na próżno! Pochwyił bowiem suchy szmer ceratowej peleryny. — Rozumiem: przebiera się. Kto wie, czy to nie nasz „duch” właśnie, czy łaskawe losy nie pozwoliły mi być świadkiem tej lajdackiej maskarady — pomyślał reporter.

Nagle rozległ się jęk, jeden, drugi, trzeci przeciągły, zakończony żalonym postękiwaniem.

Rafał był znów zdezorientowany. Nie ulegało wątpliwości, że tajemniczy przybysz porał się mozolnie z jakąś ciężką robotą, że się nie lenił i nie skąpił pracowitych wysiłków. Tak, tak. Potwierdzało tę hipotezę głośne westchnienie ulgi, po którym echa tytanicznych zmagania się ścichły, jak nożem uciął. Ale jakie to były wysiłki? Jaka praca? Jakie skutki?

Najbardziej fantastyczne przypuszczenia zawirowały w głowie reportera, obdarzonego niezmiernie bujną wyobraźnią. — Może on mnie tu wyniuchał i wyjście zawała głazami? Żywcem mnie chce pogrzebać — przeraził się, kiedy podniebny lot rozigranej fantazji doszedł do kulminacyjnego punktu. Odrzucił jednak tę nieprawdopodobną kombinację i znowu nadśluchiwał z napięciem, rozprzegającym do reszty nerwy napięte jak struny fortepianu.

Nic. Aha, jest coś: papierowe szelesty, ceratowe szmery, znów siarczyste charknięcie, pięć sekund ciszy grobowej, wreszcie tupot kroków.

Nocny wagabunda podniósł swą latarkę, podkreślił knot leciuteńko i opuścił pieczarę tym wyjściem, przez które Rafał tu się dostał. Szedł dość ostro, poświstując sobie wcale muzykalnie.

— Ale, co on tu robił — zastanawiał się reporter, czekając niecierpliwie na moment, kiedy będzie można zapalić latarkę elektryczną. Za chwilę. Jeszcze nie! Jeszcze kroki słychać — upominał się.

Wreszcie umilkły echa szybkiego chodu osobnika w kapturze. Drżącym z niecierpliwości palcem, przesunął Rafał guziczek swej lampki i zaklął.

— Świnia! — zmełł w zębach, krocząc ostrożnie ku przeciwległej niszy. Że też nie domyśliłem się od razu.

Z kolei pochłonał go całkowicie problem, skąd przybył tutaj ten wróg nowoczesnych urządzeń asenizacyjnych, czyli dokąd wiedzie otwór w podłodze przykryty wiekiem tak świetnie zamaskowanym, że on, Rafał, go nie zauważył, kiedy zwiedzał płytszy korytarzyk. Znalazł zardzewiałe kółko, pochwyił je w obie dłonie i z wielką biedą otworzył tajemne przejście. W świetle latarki policzył troskliwie szczeble drabiny, której szczyt ledwie sięgał do kwadratowego otworu. Dwanaście! Hm, dobre pięterko kalkulował. Był to jak gdyby maleńki szyb albo wyschła studnia z wierzchu zakrywana owym wiekiem, w dnie posiadająca niesymetryczny otwór, przez który mężczyzna średniego wzrostu mógł się przedostać bez trudu, byle by tylko głowę pochylił.

Mały reporter nie potrzebował nawet tego. Zeskoczył z przedostatniego szczebla (ostatni był złamany) i puścił na zwiady pęk światła. — Fiu, fiu — pokręcił głową ze zdziwienia. — To ma chyba z paręset metrów długości. — Istotnie nie widział końca tego nowego tunelu, choć zasięg jego doskonałej latarki był ogromny jak na lampkę kieszonkową. — Ciekawym dokąd by mnie to zaprowadziło.

Był naprawdę niezmiernie ciekawy i ciekawość przewyciężyła wszelkie obawy, wszelkie pesymistyczne przewidywania zrodzone na oczekaniu przez chorobliwie niespokojną wyobraźnię.

Wspiął się na powrót, by zasunąć wieko za sobą, bo nużby tamten wcześniej tu powrócił od niego? — A czy je potem uniosę z drabiny? — zakłopotał się znowu. Potem zaś, gdy wieko szarpnięte za skobel, jaki miało przytwierdzone od zewnątrz, zapadło się z hukiem i omal nie straciło niezgrabiasza z drabiny, doznał Rafał przykrego ucisku w piersiach. — Mam wrażenie, że płyta wali się grobowa, że słońca już nie ujrzy moja biedna głowa — zaimprovizował z ponurym patosem i żalność bezmierna wywołana wizją własnego pogrzebu podyktowała mu nowe dwie strofy, równie wspaniałe jak tamte: — bo już pewnie nie wyjdę z tej przekłętej dziury! — Zatrzymał się na przedostatnim szczeblu, wznosił ręce i oczy ku zatrzaśniętej ciężkiej klapie i dokończył podniesionym głosem: — *Kto nade mną zapłacze? Ach, te zimne mury.*

— **Szczury!** — huknęło szydercze echo zbudzone głosem ludzkim, a nieczułe snadź na piękno poezji.

— Szczury? Brrr! — wzdrygnął się reporter i westchnął z rezygnacją. Wszystko dla ciebie, Ewo!

Przypomniał sobie ni stąd ni zowąd zagadkowe słowa, jakie mu rzekł Rojek na pożegnanie: *Ale najciekawsze było to, co pan przez sen tu mówił.*

— Cóżem ja gadał u licha? — zaniepokoił się na to wspomnienie. Maszerując prostym jak strzała korytarzem, grzebał w zakamarkach pamięci, szukając owych słów *ciekawych*, więc niedyskretnych... lecz na próżno. Sen albo kociokwik lub może obaj na spółkę przysypali popiołem zapomnienia rozmowy prowadzone w trakcie dzisiejszej libacji. Za to zaczął analizować to, co posłyszał od nafciarza po swoim wytrzeźwieniu. Szczególnie niepokojąco wyglądało zapewnienie Rojka, że potrafi być dyskretnym: *Oto moja ręka, że panna Ewa nie dowie się ani słowa z tego co pan tutaj powiedział. Z tych zwierzeń! ... — Z tych zwierzeń!* — powtórzył Rafał ogłuszony i w nagłym porywie gniewu jął wymyślać od ostatnich szubrawców Rojkowi, a od patentowanych głupców... sobie.

Dotychczas nawet wobec siebie odpędzał natrętną myśl, że Ewa Turno zapadła mu w serce od pierwszego wejrzenia, że pod ciepłym muśnięciem jej wzroku dusza w nim topnieje jak masło na patelni. A z tym większym i z tym bardziej nieszczerym zapałem odpędzał mgliste, obezwładniające, czarowne nadzieje. Marzyły mu się tylko w snach wymykających się spod srogiej cenzury refleksji sytuacje nieprawdopodobnych niebezpieczeństw, z których on, Rafał Królik, ratuje słabą białogłową, zawsze oczywiście Ewę Turno, ona zaś z wdzięczności zarzuca mu ręce na szyję i z uwielbieniem oświadcza, że.. Niestety w tym miejscu miraż się rozwiewał, spłoszony snadź objawami nadmiernego wzruszenia marzyciela, który nierzadko budził się na podłodze albo z poduszką aż wilgotną od jej gorących, nieprzytomnych pocałunków.

— No tak, śnić mi chyba wolno wszelkie nieprawdopodobieństwa — usprawiedliwiał się przed samym sobą. — Ale kto mógł przewidzieć, że moje sny posiadają rozgłośnik? — dodał, nawracając znów myślą do przejrzystych aluzji Rojka, triumfalnie uśmiechniętego, gdy napomknął o Ewie.

— A może ten łajdak domyślił się tylko tego i usiłuje we mnie wmówić, że to przez sen powiedziałem.

Warunki terenowe położyły kres dalszym rozważaniom. Korytarz prościuteńki dotychczas, załamał się pod kątem ostrym, a tuż poza zakrętem miał wgłębienie, w które zamyślony Rafał omal nie wleciał. Była to jama głęboka na prawie trzy metry, na dnie pokryta błotem, a zajmująca całą szerokość tunelu. W jakim celu ją wykopano niewiadomo. Może miała służyć za zbiornik przeznaczony na odciąganie wilgoci z podziemnego ganku, może odegrała bardziej prozaiczną rolę w życiu oddziału wojskowego z tych okopów, dość że obecnie przerwała pochód reportera i postawiła go wobec alternatywy: *Zawrócić, albo wleźć w ten rzadki kompot i windować się mozolnie po drugiej stronie.*

— Ani jedno ani drugie — orzekł Rafał, uczyniwszy odkrycie, które w przyszłości miało zadecydować o zwycięstwie nad nowym, bodajże najgroźniejszym przeciwnikiem, przed którym musiał zmykać tą drogą.

Oto tuż pod lewą ścianą ganku dojrzał długą, grubą deskę obecnie leżącą na kant i przez to trudną do spostrzeżenia w pierwszej chwili, lecz normalnie służącą za kładkę, jak na to wskazywały odcisnięte ślady na brzegu. Położył ją tedy tak, jak należało, i nie bez obawy przeszedł po tym kołyszącym się moście na drugą stronę jamy. Tu pochwyciwszy deskę za drugi koniec, obrócił ją znowu na kant, otrzepał dłonie z ziemi i ruszył dalej.

Korytarz miał jeszcze ze sto kroków długości, potem kończył się pieczarą zasypaną gruzem. Naprzeciw znajdowały się zbutwiałe drzwi obecnie uchylone, za nimi druga podobna jaskinia, dalej trzecia i czwarta. Do tej nie zapuszczał się już, znalazłszy w trzeciej schody kamienne, niezgorzej zachowane, a wiodące w górę. — Jeśli mnie przeczucie nie myli jestem w piwnicach starego dworku Borów — odsapnął Rafał, rozglądając się ciekawie dookoła. Schody zaprowadziły go do komnat parterowych zbombardowanego ongiś budynku, ze trzy razy większego niż dzisiejsza rezydencja Ewy Turno. Ale na próżno szukał jakiegoś wyjścia do parku. Ogromne sterty gruzu zakryły wszelki ślad drzwi i okien, jak to już był stwierdził przed tygodniem, kiedy nadaremnie próbował się tutaj dostać od zewnątrz, z parku.

W pewnej chwili zauważył, że światło jego elektrycznej latarki nie jest już tak oślepiająco białe jak przedtem, że słabnie i żółknieje z zastraszającą szybkością; bateria ostrzegała go, że niebawem się wyczerpie. Rafał wzdrygnął się na myśl, że będzie musiał odbyć długą powrotną drogę po omacku, jeśli tutaj jakiegoś wyjścia do parku nie znajdzie, więc co prędzej schował lampkę do kieszeni. I teraz dopiero, gdy znowu spowiły go mroki, zauważył małe szczeliny w murach. Ukazywały mu się, ilekroć tam, na zewnątrz nowa błyskawica przeżegnała zachmurzone niebo.

— Może nareszcie znajdę jakąś większą dziurę — pocieszał się, zaczepiając stopami o kupy gruzu i tym podobne przeszkody niewidzialne w ciemnościach.

Wtem... stanął. Przyłgął oburącz do odrapanego muru wyłomu, który był kiedyś drzwiami. Zamierzał właśnie wkroczyć do nowego pomieszczenia, gdy ujrzał przed sobą dwa fosforyzujące punkciki. Tkwiły nieruchomo, jakby wpatrzony w niego, tkwiły gdzieś wysoko, niemal u sufitu, potem w bezszelestnym zeskoku obniżyły się na wysokość jego głowy i szły ku niemu.

— Tttto może ten duch, którego Ewa widziała? — przemknęło mu przez myśli porażone strachem.

Cofnął się gwałtownie, zaczepił o coś nogą i bęcnął na wznak, lecz mimo tych nadprogramowych ewolucji nie oderwał wzroku od świecących punktów bliźniaczych. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w nie, podciągając nogi dyskretnie ku sobie w zamiarze kontynuowania strategicznego odwrotu. A błyszczące ogniki zniżały się już do samej podłogi i parły naprzód.

— Raczej najgorsze, niż dalsza niepewność — pomyślał Rafał i wyrwawszy z kieszeni

latarkę, zaświeceł ją ruchem pełnym determinacji.

— Kot!... Naturalnie! Mówilem, że ogród zoologiczny — zrzedził, ale nie kłął tym razem. Przeciwnie zaczął pieścić mruczącego kocura, ciesząc się szczerze, że będzie miał teraz jakiegoś żywego towarzysza przy sobie. Był to zresztą stary znajomy, bury kot Gładyszki, „pół-angora”, jak twierdziła, cytując na poczekaniu wszystkich jego dostojnych przodków, aż do prababki włącznie, owej lekkomyślnej prababki, która będąc „czystą angorą”, zapomniała się w jakąś noc marcową i popełniła fatalny mezalians. Spotkanie z sympatycznym Burkiem utwierdziło Rafała w jego przypuszczeniach, że tu jest przecież jakieś bliższe wejście do podziemnego labiryntu; było nieprawdopodobnym, by pogromca myszy robił tak fatygujące spacerunki do Czarciego Jaru, aby odwiedzić bliskie tereny łowów w ruinach. — A jeśli to kocisko tamtędy przelazło, to i ja się zmieszczę — pochlebił sobie. — Przewodnikiem mi będziesz kotku kochany. — Był pewien, że rozpieszczony czworonóg zatęskni do rannej porcji mleka i wyprowadzi go stąd uwiązany uprzednio na sznurku, aby nie uciekł przedwcześnie. Sznurka nie miał Rafał wprawdzie przy sobie, ale chciał go zastąpić sznurowadłami, wyciągniętymi z trzewików. A do rana już chyba niedaleko pocieszał się, obliczając przesadnie czas zużyty na pobyt w podziemiach. W rzeczywistości spotkanie z kotem nastąpiło około jedenastej godziny w nocy; lecz Rafał nie posiadał zegarka od czasu swej wizyty w mieszkaniu Baltazara Szafrana, toteż orientował się tylko na oko i popełniał grube pomyłki.

Tak i teraz. Wykombinowawszy, że niebawem świtać zacznie, postanowił zaczekać, tam gdzie upadł w czasie haniebnego odwrotu przed kotem. Przy całym swym szalonym zmęczeniu, wynikłym z owego biegu na przelaj przez Czarciego Jar i z denerwujących przygód, czuł się doskonale na kupie gruzu, porośniętej miękkim kożuchem mchów. — Lepszej kanapy tu nie znajdę — słusznie przewidywał. Zabrał się zaraz do wyciągania sznurowadeł z trzewików i, zarzuciwszy protestującemu kotu pętlę na szyję, omotał sobie drugi koniec „lassa” dookoła palca. — Usnąć nie usnę, ale sicher ist sicher — perswadował Burkowi, którego niewątpliwie po raz pierwszy w życiu spotkał taki afront.

Pomimo tych zastrzeżeń Rafał zasnął natychmiast i kiedy się obudził, czworonożnego przewodnika już nie ujrzał. Zniknął chytry burek, a z nim...

— Moje sznurowadła — rzekł smętnie reporter.

W ruinach nie było już tak przeraźliwie ciemno jak przedtem, kiedy tu dotarł. Przez maleńkie, ale dość liczne szczeliny w suficie wdzierały się do wnętrza złote włosy słońca wiszącego zupełnie prostopadle nad ziemią, jak wolno by wnosić ze świetlanych odbitek owych szczelin na podłodze lub raczej na tym ogromnym śmietniku gruzów. Rafał wysunął stąd logiczny wniosek, że jest już południe i że on spał tutaj ładnie parę godzin. Mimo to nie był wyspany ani wypoczęty. Bolały go wszystkie kości po wczorajszych przygodach i po długotrwałym leżeniu na tak twardym posłaniu. Ale poza tym istniało jeszcze coś, co najwybitniej dawało mu się we znaki: sny. Ponure, makabryczne, krwawe, rozbójnicze, niesamowite, słowem okropne!

Zapalił cygaro i zamyślił się, pragnąc wywołać w pamięci choćby jeden z owych snów straszliwych.

Niestety, nie zdołał. Plątały mu się po głowie niewyraźne wspomnienia krwawych scen, gwałtów, napadów, utknął mu w pamięci rozdzierający okrzyk jakiegoś człowieka: — Mordują! ratunku! — Wydało mu się, że jeszcze słyszy zduszony charkot, jaki zabrzmiał po owym wołaniu, lecz na tym koniec.

— Wszystko to są reminiscencje wczorajszych wydarzeń — orzekł Rafał, podnosząc się z niewygodnego legowiska. Raz jeszcze przeszukał wszystkie parterowe pomieszczenia opuszczonego dworku i zrezygnowany zszedł do piwnicy. Rad nie rad musiał wracać tą samą

drogą, którą tu przyszedł. W piwnicy panowały egipskie ciemności, musiał więc rozniecić światło. Przesunął guziczek i stanął jak wryty. Drzwi wiodące do czwartej piwnicy, przedtem otwarte, były teraz zamknięte na dwie potężne kłódki, a na szarym tle zakurzonych desek zamajaczył czarny odcisk dłoni ludzkiej.

Wiele, wiele czasu upłynęło, zanim Rafał ośmielił się podejść na palcach do otwartych drzwi. I doznał wstrząsu.

— Krew! — wyjąkał, opierając się o mur, gdyż nogi zaczęły pod nim tańczyć jakiś płaś zdenerwowanej galarety.

Nie omylił się. Ten czarny odcisk dłoni, te rdzawe paciorki od klamki ku ziemi i plama na progu, to wszystko była krew niedawno zakrzepła.

— Tu popełniono zbrodnię — szepnął z przejęciem — ten człowiek uciekał widocznie, wołał o ratunek, a ja, idiota, spałem! Sądziłem iż te okropności śniły mi się tylko.

Powoli przychodził do siebie. Szczególnie uspokajająco podziałał na niego widok kłódek przy drzwiach. Zwyczajny zamek można od wewnątrz zamknąć i otworzyć, kłódkę tylko z jednej strony, gdzie ją powieszono, zatem morderca, czy mordercy nie przebywają wewnątrz, ale odeszli. Przeprowadziwszy to rozumowanie, odetchnął Rafał z ulgą ogromną i z ciekawości zaczął oglądać skoble. — W tak zmurzałym drewnie chyba mocno nie siedzą — powątpiewał, tarmosząc kłódkę w obie strony. Lecz skoble ani nie drgnęły, za to odgłos jego śmiałych wysiłków zbudził niepożądane echo...

— Co-o-o to? — pisał cichuteńko i choć czuł, że mógłby każdy włoskę policzyć na swojej głowie, takiego mu dęba stanęły, przyłożył ucho do drzwi i lekko zapukał.

Odpowiedział mu stłumiony bełkot nieludzki i głuche odgłosy, jak gdyby echa wściekłego, lecz bezsilnego szamotania się w więzach.

Wówczas siódme poty wstąpiły na Rafała. W bajecznych susach, których kangur by mu mógł pozazdrościć, przebiegł trzy piwnice, wpadł na ganek podziemny i... wleciał do jamy z błotem, zapomniawszy w panicznej ucieczce o „zwozonym” mostku z deski leżącej na kant pod ścianą. Dobrze dwie godziny trwało wspinanie się na stromy, oślizgły brzeg przeklętej pułapki i wyczerpana całkowicie bateria przestała zasilac latarkę, kiedy zablocony, półprzytomny reporter stanął wreszcie w długim tunelu. I tu, w nieprzebranych ciemnościach odbył się wspaniały bieg, podczas którego padły wszelkie rekordy Kusocińskich, Nurmich, Petkiewiczów, bieg niestety nienotowany oficjalnie, a uświetniony ostrym finiszem na... drabinie, w którą Rafał wyrzwał głową tak solidnie, że nowy szczebel wyłamał.

Nic to. Z dziką energią darł się po innych szczeblach, póki mały karambol potylicy z drewnianym wiekiem nie oznajmił mu, że stanął na progu nowych trudności i wysiłków. Z całym impetem runął plecami w wieko... Ani nawet nie drgnęło. Po kilkunastu bezowocnych próbach, zwiesił bezradnie ręce i omal nie wybuchnął płaczem.

— Tam chyba fortepian postawili na tym wieku przeklętym — jęknął, i nie mogąc się pogodzić z myślą, że został uwięziony w podziemiach, że naprawdę słońca więcej nie ujrzy, jak to przedtem w wieszczym natchnieniu przewidział i w nieśmiertelnych strofach odmalował. I z naiwnością dziecięcia, która każe małemu berbeciowi pomścić guza na jego sprawcy, piecu, stole czy innym meblu, rzucił się z pięściami na upartą klapę. Urażył ją kilkoma knock-outami i nagle namacał skobel przetknięty patykiem. Wyrwał go natychmiast, wymyślając sobie od kretynów, uwolnił skobel od żelaznej klamry, po czym, nabrawszy tchu w płuca, podsadził się uczciwie pod klapę. Podskoczyło na pół metra i pocałowało go w plecy zanim zdołał ją rękami podeprzeć. Za drugim razem był ostrożniejszy i wreszcie znalazł się we właściwym rowie strzeleckim. Dalsza droga była już drobiazgiem, podobnie też i wydostanie się na powierzchnię przez ów otwór fatalny, bowiem nauka zdobyta w czasie żmudnego treningu w jamie, nie poszła w las jeszcze.

Wyprostował się Rafał i wdzięcznym, rozkochanym spojrzeniem objął słońce, znikające właśnie poza zachodnią krawędzią Czarciego Jaru. Jedną dobę spędził w podziemiach, a wydawało mu się, że spędził tam lata...

Zaś mały pastuszek, pilnujący chłopskich krów, podkarmiających się nielegalnie na dworskim pastwisku, popędził jak szalony do wsi z elektryzującą nowiną, iż w Czarcim Jarze nawet za dnia straszyć zaczyna. Że jakiś potwór, z grubsza ludzkie kształty mający, lecz ziemią „obrośnięty” po uszy, wylazł ze starego rowu strzeleckiego i kozły fika i kwiczy tak przeraźliwie, że flegmatyczne krowy się płoszą. Wyruszyła tedy ekspedycja właścicieli krów, uzbrojonych w widły i tym podobny oręż, aliści potwora ziemią porośniętego nie znalazła. Za to ojciec pastuszka znalazł wcale przylepny patyk, którym wygzekwował synowi doraźne „dwadzieścia pięć cesarskich”, żeby bajek nie puszczał i ojca z karczmy bezpotrzebnie nie wyciągał w przyszłości...

Rozdział XIII

FOTOGRAFIA DUCHA

Rafał spotkał się z Ewą dopiero przy kolacji już ogolony, odświeżony i wodą kolońską na kilometr pachnący.

— Czy pani uwierzy, że od wczorajszego śniadania u Rojka nic w ustach nie miałem? — rzekł, aby usprawiedliwić swój straszliwy apetyt i odsunąć rozmowę na później. Ach, jakże jej był wdzięczny za tę delikatność, że go nie dręczyła pytaniami, i za ten wzrok współczujący. Bo rozumiał doskonale, że bezlik pytań ciśnie się jej na usta: gdzie miły gość bawił całą dobę, że mu jeść nie dali, gdzie się tarzał w błocie i dlaczego, gdzie oberwał te guzy i od kogo, i po co się narażał na takie nieprzyjemności, czy to mu źle tu taj, w jej gościnnym dworku?...

Kiedy zaspokoił pierwszy głód i drugi uciszać zaczął, Ewa, stoczywszy w duchu ciężką walkę, powiedziała z niekobiecą zgoła determinacją:

— Już raz zepsułam panu całą robotę przez moje gadulstwo. Jeżeli tedy pańskie przygody stoją w jakimś związku z naszą sprawą, to proszę mi nic nie mówić.

— Zatem nie powiem ani słowa, droga panno Ewo, bowiem każdy szczegół mej niebezpiecznej wyprawy wczorajszej dotyka sprawy naszego upiora. Ma pani rację; nie powtarzajmy błędów. Raczej mówmy o czymś innym.

— Tak, tak — westchnęła. — Ale o czym?

— No, są chyba jakieś nowiny. Czyżby chytry „duch” nie skorzystał skwapliwie z tego, że groźny Baltazar Szafran był nieobecny przez całą dobę? Czyżby kilku dób potrzebował, aby się ośmielić na nowe występy?

— Widocznie — odparła w zamyśleniu — bo, dzięki Bogu, nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego podczas pańskiej nieobecności, mistrzu.

— Ano, upiory i duchy mają snadź respekt przede mną. — Reporter wyprostował się dumnie, zabębnił po stole palcami i uśmiechnąwszy się tajemniczo, dodał z wielką pewnością siebie: — Wiedziałem, że nic się nie wydarzy! Nie może się wydarzyć, jak długo JA tu jestem!

Potakiwała z roztargnieniem, gdyż opadła ją nowa fala pokus, by zaspokoić ciekawość i dowiedzieć się czegoś o nocnych przygodach „mistrza”. Widziała w kuchni jego ubranie oddane do gruntownego wyczyszczenia i już ten widok uprawniał do najbardziej fantastycznych przypuszczeń co do zagadkowej eskapady rzekomego Baltazara Szafrana.

— A gdzież bawi szanowny mister Priwim? — spytał Rafał nagle, bowiem wilczy apetyt przytępił do tego stopnia jego zmysł obserwacyjny, iż dopiero teraz zauważył, że na stole są tylko dwa nakrycia, jak gdyby nikt nie oczekiwał mrukliwego sekretarza pana Augusta Turno.

— Ach, zupełnie zapomniałam powiedzieć mistrzowi. Priwim wyjechał.

— Taaak? Dokąd to, jeśli wolno spytać?

— Do Paryża.

— Tak nagle? Przecież ani słowem nie wspomniał wczoraj.

Ewa machnęła ręką tak, jakby chciała powiedzieć, że przywykła już do nieobliczalnych wyczynów tego mruka

— Ani się pożegnać nie raczył — dodała. — Oczywiście zależy mi niezmiernie mało na jego pożegnaniu, lecz byłabym skorzystała ze sposobności i posłała przez niego większy list do stryja... Nic, ani słowa nie powiedział, gdyż tym razem nie kazał się odwozić dworskimi końmi na stację. Widocznie znowu się o coś obraził na „niżej podpisaną”.

— Więc skąd pani wie, że wyjechał do Paryża?

— Otrzymałam po południu depezę od niego z drogi, ściśle mówiąc: z Przemysła. *Wezwany przez szefa wyjeżdżam Warszawa, potem prawdopodobnie Paryż...* oto cała treść telegramu.

— Wynikałoby z tego, że pan August bawi w Warszawie, co? Jak pani myśli? — spytał Rafał, przypomniawszy sobie list od Totka Rylskiego.

— W Warszawie? — zdumiała się i zaczęła energicznie zaprzeczać. — Niemożliwe. Przecież napisalby mi o tym.

Wejście Gładyszówny z potężnym garncem kwaśnego mleka pchnęło myśli reportera w dwóch innych kierunkach: 1) ku zsiadłemu mleku, za którym przepadał, 2) ku zabezpieczanej gospodyni, wyglądającej, jak z krzyża zdjeta.

— A cóż się tej znowu za krzywda stała? — spytał, kiedy dwojga imion Gładyszka „wyemigrowała” z jadalni, pociągając nosem wzruszająco. — Powinna przecież tańczyć z radości, że „morderca” jej pięknej królicy stąd wyjechał.

— Zapewne. Lecz, jak panu wiadomo — uśmiechnęła się ostatnia z rodu Turnów — nieszczęścia zwykle chodzą w parze. Prawo serii, czy jak tam. Otóż tym razem przydarzyło się „wielkie nieszczęście” jej Burkowi.

— Burek, to pies? — spytał Rafał obłudnie.

— Wyjątkowo, kot. Nie widział go pan nigdy? Takie kocisko, podobno pół-angora.

— Nie miałem przyjemności — zełgał. — I cóż z tym kotem.

— Jakiś łobuz przywiązał mu sznurek do szyi, pętlica zacisnęła się i biednemu kociakowi grozi śmierć przez uduszenie. Cytuję panu dosłownie słowa mojej gospodyni, która od rana ściga na próżno swojego ulubieńca. Bo nieborak tak jest przerażony, że nawet od niej ucieka... Swoją drogą, trzeba być łajdakiem, żeby się tak znęcać nad bezbronnym stworzeniem.

— Chciałbym go dostać w ręce, tego łajdaka — warknął Rafał groźnie, mając jednak na myśli kocura i swoje sznurowadła.

Ewa skierowała znów rozmowę na Priwima. Po wymianie kilku zdań, kiedy Rafał zauważył z uśmiechem, że jest chyba zadowolona z wyjazdu gburowatego osobnika, którego przez wzgląd na stryja nawet przy stole musiała tolerować, odparła z westchnieniem ulgi:

— Oczywiście, ale przede wszystkim przez wzgląd na niego. Bo choć nie czułam doń ani odrobiny sympatii, to jednak źle mu nie życzę i cieszę się szczerze, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa. Nie mówię już o tym, że moje Bory w razie takiej zbrodni...

— Jakiej zbrodni? Nic nie rozumiem — przerwał Rafał.

— Pan nie słyszał, mistrzu, o tych pogroźkach Rogalika?

— Rogalik, to ten sławetny stróż nocny i kowal, co?

— Tak.

— Kochaut miał go wydalić.

— Uczynił to, ale jak to zawsze Kochaut, wiejski dyplomata, pragnący ze wszystkimi żyć w zgodzie, nagadał Rogalikowi, że wyrzuci go na rozkaz Priwima.

— Rozumiem. A Rogalik odgrażał się Priwimowi.

— Ale jak jeszcze!

— Eeech, wie pani, nie straszny taki przeciwnik, który się otwarcie odgraża, podobnie, jak nie odbierze sobie nigdy życia błazen, terroryzujący swoje otoczenie głośną reklamą swoich

zamiarów samobójczych.

— Nie zna pan tego draba, mistrzu, ale ja go znam od lat. I dlatego, powtarzam, cieszę się serdecznie, że moje Bory nie staną się terenem krwawych porachunków i że Priwim wyjechał tak daleko. Gdy wróci tu kiedyś, Rogalik ochłonie, albo znajdzie sobie miejsce w jakimś oddalonym folwarku...

— Albo, co najpewniejsze — wtrącił Rafał, wstrzymując gwałtem chęć ziewnięcia — pani osiągnie w międzyczasie pełnoletność i pokaże drzwi Priwimowi, gdyby się później ośmielał narzucać z swoimi radami i naukami.

Zauważyła, że gość walczy rozpaczliwie ze śpiączką, więc zakończyła rozmowę życzeniem dobrej nocy, po czym rozeszli się do swoich pokoi.

Ale mimo zmęczenia po wczorajszych i dzisiejszych awanturach arabskich, nie miał Rafał dobrej nocy, ani nikt z domowników. Ledwie pogasły światła, zjawił się wygłodzony „pół-angora” i rozpoczął pod oknami dworku płaczliwy spacer. Miauczał przeraźliwie, ilekroć wlokący się ogon „lassa” zaczepił o kolczaste krzaki agrestu lub wysokopiennej róży, potem z okna pokoju na stryżku rozległo się pieścizotliwe wabienie Gładyszki, lunęła ulewa jej straszliwych przekleństw na głowę dręczyciela zwierząt i z małymi przerwami rozbrzmiewał koci duet do północy, ściśle mówiąc do chwili, w której celny rzut Rafałowego trzewika odpędził kocura spod okien.

Nazajutrz zbudził się reporter bardzo późno, obolały, rozbiły, osowiały, jak nigdy jeszcze. — Teraz dopiero zaczyna się pokuta za te wszystkie upadki w podziemiach — postękiwał, opukując poszkodowane miejsca swojej cielesnej powłoki z sumiennością młodego internisty, który nareszcie złapał pierwszego pacjenta i rozpoczyna od niego swą samodzielną praktykę lekarską. — Duszę dał ci Bóg, Rafałku, wspaniałą, nieustraszoną, ale ten doczesny jej pokrowiec bardzo tandetny — roztkliwiał się nad sobą.

Zwłókł się z łóżka i w piżamie poczłapał do kuchni, aby dyplomatycznie zasięgnąć języka w sprawie tak aktualnej jak śniadanie. Zastał tu tylko Amelię Pelagię Gładyszównę i dowiedział się, że wszyscy domownicy z Ewą na czele wyruszyli na łąki do siana.

— Bo, widzi pan, w niedzielę była burza, wczoraj też trochę mżyło, a dziś słońko grzeje pięknie... Pan woli bez kożuszka? Mój Burek także... Nieboraczek, wieszając go chcieli, pętlę mu założyli, zbrodniarze... Na wsi trzeba pogodę łapać za poły, proszę pana... Zaraz chleba ukraję, pan woli razowy, prawda? A jak Bozia zdarzy pogodę, to przy żniwach albo sianokosach wszyscy idą w pole, czy panienka, niby nasza dziedziczka, czy pan rządcą, czy... chce pan trochę miodu? Lipowy lepszy od akacjowego, ale na lipowy musi pan poczekać... Tak, tak, nikt nie powinien próżnować w taki dzień jak dzisiejszy. I ja bym woląa iść siano grabić, niżli smażyć się tutaj w kuchni... Zanieść to panu do jadalni?

— Dziękuję uprzejmie, sam sobie zaniosę — odparł Rafał i pochwyciwszy tacę obładowaną artykułami pierwszej potrzeby, uniósł ją żwawo do jadalni, aby tam spożyć śniadanie w spokoju.

Posiliwszy się, reporter odczuł potrzebę małego wypoczynku i wyszedł do parku. Same nogi zanosły go do ruin, do których ciągnęło go przemożnie po onegdajszych przygodach. Wciąż jeszcze łudził się, że znajdzie jakieś wejście do nich, a tym samym dowód, że słuszne były podejrzenia, jakie się w nim obudziły zaraz w pierwszych dniach jego pobytu w Borach.

Niestety i tym razem przejścia nie znalazł, natomiast znalazł coś, co go zelektryzowało: ślady stóp!

Zamazała je przed przedwczorajsza ulewa, niemniej jednak można je było dostrzec na dość gładkim tle ścieżki wichrem zamiecionej i posiekanej dużymi kroplami deszczu.

— Trzech ich było! — zdumiał się Rafał, nabrawszy szybko wprawę w rozróżnianiu tych

odcisków na pozór bardzo do siebie podobnych, a jednak innych. — Jeden miał na sobie ciężkie, chłopskie buty z żelaznymi podkówkami, drugi był w turystycznych trzewikach, nabijanych gwoździami, tak, o proszę tutaj znowu... ale gdzie u licha zniknęły ślady trzeciego, który tu promenował, zabawne doprawdy... w kaloszach? A to co, u diabła?! — zawołał, cofnąwszy się ze zgrozą... Na liściach dużego krzewu ogrodowych malin leżały rdzawe cętki, a u jego stóp czerniła się plama, uderzająco podobna do tych, które Rafał znalazł na progu drzwi czwartej piwnicy, zamkniętej na dwie kłódki przez jakąś tajemniczą rękę. I przy tym samym krzaku kończyły się ślady stóp trzeciego osobnika...

— tego w kaloszach — głośno dokończył swej myśli. — Rozumiem. Tu go napadli i obezwładnionego ponieśli na spółkę do ruin.

Rozumowanie było słuszne, niestety nie doprowadziło Rafała do pożądanego odkrycia wejścia do ruin, bowiem kilka kroków dalej ślady zbaczają z ścieżki w trawę, która po deszczu przysła już całkiem do siebie i osłoniła tajemnicą dalszy kierunek drogi nocnych włóczęgów. Za to nie opodal stąd na ścieżce znalazł zupełnie świeże ślady osobnika, używającego butów z żelaznymi podkówkami i ślady te wiodły w stronę nowego dworku.

— To znaczy, że ten obwieś spacerował tędy ostatniej nocy i może znowu jakieś podpalenie planuje — przypuszczał, denerwując się coraz więcej. Mimo wygłoszonego w łóżku zdania, że duszę ma nieustraszoną, nie kwapił się Rafał do nocnej eskapady w głąb parku, ani do walki z zagadkowym osobnikiem, który, w razie przychwycenia go in flagranti, dążyłby niewątpliwie do sprzątnięcia przeciwnika.

— I to powiodłoby mu się, bo fizycznie jestem na pewno słabszy od draba, posiadającego takie duże giczoły — rozmyślał smętnie reporter. — Żeby tak miał porządny rewolwer, ba! Ale kolubryna, którą wymieniłem u Szafrana za mój zegarek, może służyć tylko jako maczuga. Prędeż z kija wystrzeli, niż z niej, myślę... Idioto! — krzyknął nagle, olśniony kapitalnym pomysłem. Rzeczą detektywa jest ustalić nazwisko albo rysopis przestępcy. Ujęcie go, walka z nim, to już należy do policji. A zatem, kochany, genialny Rafałku, głowa do góry! Twój kodak cię wyreczy w nocnej wyprawie do parku. Tak, tak, na szczęście magnezję zabrałem, a resztę tu sfabrykuję na miejscu.

Zawrócił też bezzwłocznie do dworku, aby przygotować, co trzeba. Dzięki przyborom zabranym przezornie z Warszawy, pod wieczór dzieło było skończone, a oto jak wyglądało: W poprzek ścieżki, w tym miejscu, gdzie widniały najwyraźniej świeże odciski butów z podkówkami, przeciągnął Rafał sznurek. Jeden koniec przywiązał „na głucho” do pnia drzewa, drugi okrężną drogą poprowadził do miejsca, gdzie znajdował się ładunek magnezji i połączył go z kapslowym zapłonem własnego pomysłu, potem troskliwie ukrył swój aparat fotograficzny, mianowicie w dziupli spróchniałej wewnątrz lipy rosnącej na zakręcie ścieżki.

Dzieło było gotowe. Pozostało jeszcze zaczekać, aż noc zapadnie i wtedy otworzyć blendę w obiektywie, a wreszcie, przed wschodem słońca zamknąć ją ponownie, aby światło nie zepsuło nocnego zdjęcia, jeżeli oczywiście w ogóle do zdjęcia dojdzie. Ale Rafał był optymistą. Wierzył święcie w pomyślny skutek eksperymentu, nie przywiązując specjalnej wagi do tego, czy to nastąpi tej nocy, czy następnej, lub nawet później, ba, na dnie serca żywił nadzieję, że może los zgotuje mu miłą niespodziankę i pozwoli uwiecznić na kliszy „ducha” w pełnym rynsztunku.. i galowym stroju — chichotał, zacierając dłonie z radością.

Wypróbował dwukrotnie i z pomyślnym wynikiem, czy samozapalający się mechanizm funkcjonuje sprawnie, powrócił Rafał do dworu spracowany, z wilczym apetytem, na którego ukojenie trzeba było jednak dobrze poczekać, bo Ewa nie wróciła jeszcze z pola.

Kiedy wieczór zapadł, reporter pospieszył do swej pułapki i otworzył blendę aparatu fotograficznego.

Noc przeszła bez żadnych wydarzeń, jeżeli nie liczyć drugiego, jeszcze bardziej głośniego koncertu kociej muzyki. Po drugiej godzinie nad ranem zaterkotał budzik pożyczony wczoraj od Ewy. Z ociąganiem się i wielką niechęcią opuścił Rafał ciepłe łóżko, narzucił piżamę na płaszcz, wciągnął trzewiki, pozbawione sznurowadeł i przez okno wślizgnął się do parku. Było diabelnie ciemno i chłodno, i mokro, toteż nastrój reportera, brnącego po omacku w stronę ruin, ukształtował się wybitnie pesymistycznie. — Niepotrzebnie człowiek sobie noc zepsuł — narzekał. — Na pewno znajdę magnezję nietkniętą.

Dotarł w końcu do swojego kodaka, wyjął go z dziupli starej lipy, zamknął blendę, po czym dopiero zapalił kieszonkową latarkę elektryczną. Zakołysał głową na pół z niedowierzaniem, na pół ze zdumieniem. Bowiem sznurek przeciągnięty z wieczora sztywno tuż nad ścieżką leżał na niej przerwany, poskręcany, a blaszane pudełko było osmolone jak po eksplozji.

— Magnezja spalona, jak Boga kocham — dziwił się, jakby nadal oczom nie dowierzał. — Zatem, Rafałku, tędy ktoś spacerował po nocy i masz go na kliszy pięknie sfotografowanego... Pięknie? — Pesymistyczny nastrój wywołał nowe wątpliwości. A jeśli szelma stamtąd nadchodził, czyli od ruin? W takim razie mój nieopatentowany mechanizm sfotografował go z tyłu. Na zdjęciu będą tylko plecy i... — odruchowo podrapał się tam, gdzie naciśnięty jeź wbił mu onegdaj porcję kłujących igieł. Zirytowany takim przypuszczeniem, postanowił skończyć od razu z dręczącą niepewnością. Na szczęście przywiózł ze sobą wywoływacz, utrwalacz, miseczki, ramkę, papier do kopiowania, słowem wszystko to, co daje pełnię szczęścia fotografowi amatorowi. Pozostało tylko poszukać jakiegoś czerwonego abażuru na lampę.

Wreszcie nadszedł moment decydujący. W mdłych blaskach świecy, osłoniętej podwójnym rulonem czerwonego papieru, kołysał Rafał miseczkę z wywoływaczem i z natężeniem wpatrywał się w kliszę na pół zatopioną w płynie. Zamajaczyły na niej niewyraźnie plamki, kształtujące się z wolna w jakąś określoną formę, która coraz bardziej przypominała ludzką sylwetkę. Sfotografowany osobnik musiał mieć na sobie powłóczystą szatę białego koloru, gdyż na negatywie cały korpus wyszedł czarno. Za to front głowy pozostał jasny, co niezmiernie ucieszyło reportera, bowiem było niezbitym dowodem, że w chwili wybuchu magnezji sfotografowany stał przodem do ukrytego w dziupli kodaka.

— Biała szata, biała szata czyli schwyciłem naszego „ducha”, nie jakiegoś tam głupiego świniokrada — tryumfował Rafał, oplukując kliszę troskliwie. — A to dokoła, teraz jasne, później na pozytywie ciemne, to jest tło: drzewa, krzaki i czarne mroki nocy. Hu, hu, Rafałku. Nareszcie masz coś pewnego w garści. Tylko, idioto, nie zbij kliszy teraz, upomniał się, niepotrzebnie zresztą, gdyż obchodził się z negatywem z przesadną ostrożnością.

Znowu zbliżył kliszę do światła, pragnąc rozpoznać rysy twarzy sfotografowanego osobnika, lecz to mu się nie udało. Nie było innej rady, jak uzbroić się w cierpliwość, osuszyć kliszę i zrobić pierwszą kopię. Na nieszczęście nie posiadał pod ręką alkoholu, który by mógł przyspieszyć proces suszenia. Ustawił więc kliszę na kant, aby wilgoć prędzej z niej spłynęła i pełen najlepszych myśli położył się do łóżka.

Obudziło go pukanie i miły głosik Ewy:

— Bardzo przepraszam, ale mistrz kazał się od dzisiaj budzić — o dziewiątej usprawiedliwiała się przez drzwi.

— Dziewiąta? Więc zasnąłem? Przerażony wyskoczył z łóżka i popędził w stronę gablotki, gdzie umieścił kliszę. Odetchnął. Była na swoim miejscu, nikt jej nie porwał, ani czarna sylwetka „ducha” z niej nie zniknęła. Czym prędzej włożył ją w ramkę wraz z kartką papieru do kopiowania przy dziennym świetle, położył cały kram w oknie i zaczął się pośpiesznie ubierać. Do jadalni zabrał ramkę ze sobą, lękając się wciąż, że ktoś zainteresowany może świsnąć tak

bezcenny dokument i przywitawszy się z Ewą, opowiedział jej historię nocnego zdjęcia w parku.

— Tu mamy tego łotra — twierdził chępliwie, wskazując na ramkę, którą postawił skośnie na krześle, blisko okna, aby słońce na nią nie padało.

— Więc za chwilę dowie się pan, kto był owym upiorem?

— Jaaa?! — zachnął się Rafał. — Pani się dowie! Ja od pierwszego dnia wiedziałem, chodziło mi tylko o zdobycie rzeczowych dowodów!

— Pan jest geniuszem, mistrzu! — zawołała z entuzjazmem. — Czy wolno mi uścisnąć pańską dłoń bohaterską? — Ucałował żarłocznie małą rączkę i puścił na zapłonioną z radości dziewczynę snop spojrzeń płomiennych, wymownych, palących jak piaski Sahary w sierpniu. — Może już? — spytała, wskazując wzrokiem ramkę stojącą na krześle. — Umieram z ciekawości.

— Właściwie jeszcze trzy minuty — orzekł, zerknąwszy na budzik, który przyniósł tu z swojego pokoju. Ale proszę spróbować. Tylko ostrożnie.

Ewa odskoczyła od krzesła jak pocisk z katapulty Archimedesesa, ale w połowie drogi przystanąła. — Naprawdę ja mogę pierwsza zobaczyć?

— To się pani słusznie należy — stwierdził dobrotliwie.

Podbiegła więc do okna, pochwyciła pół wieczka, spojrzała i... wyraz zawodu odmalował się na jej twarzyczce, zarumienionej od emocji... — Trudno mi uwierzyć doprawdy — bąknęła nieśmiało, wracając z ramką do stołu — ale skoro mistrz twierdzi...

Tknięty niedobrym przecuciem, odebrał ramkę z rąk Ewy, odsunął całe wieczko i fizjonomia wydłużyła mu się nieprawdopodobnie... Na czarnym tle zarośli spowitych grubą chustą mroków jaśniała sylwetka okazałej niewiasty z rozwianym włosiem, w długiej do kostek koszuli nocnej.

— Ależ to to to jeeest — wyjąkał zmieszany i umilkł, pragnąc, by go ziemia prędzej pochłoneła. Wówczas Ewa dokończyła półgłosem:

— To jest Amalia Pelagia Gładyszówna!

Rozdział XIV

PODWÓJNY SEKRETARZ

— Co, proszę panienki? — zabrzmiał zboląły głos. Obejrzeliby się jednocześnie jak na komendę. W drzwiach stała gospodyni, ale w jakże złej formie. Błada, niewyspana, z oczami czerwonymi od płaczu i podkrążonymi parą ogromnych, sinych podków, z dłońmi splecionymi na podolku w geście beznadziejnej rozpaczki wyglądała jak posąg nieszczęścia. Ale Rafał był nieczuły na to: musiał ratować swój prestiż u Ewy, tak fatalnie podminowany fotografią „ducha”.

— Co pani robiła dzisiejszej nocy? — spytał ostro, po czym dodał tonem straszliwej pogróżki: — Zapytuję o to urzędowo!

— Jaaa? — wykrztusiła i ostatni ślad rumieńca uciekł z jej twarzy.

— No chyba, że nie ja — fuknął przygodny sędzia śledczy.

— Spałam, proszę pana. Źle spałam, bo moje kociątko...

— Gdzie pani spała, w parku, czy w ruinach, co? — przerwał jej.

Babina zachwiała się na nogach pod obuchem tych pytań, potem, ochłonawszy nieco z wrażenia, posłała swej chlebobawczym błagalne spojrzenie.

— Niech Gładyszka mówi prawdę — rzekła Ewa łagodnie — szczerłość i skrucha mogą tylko pomóc w takim wypadku, a kłamstwo zaszkodzić.

Otworzyły się upusty łatwych łez, a po nich zawarta na razie śluz wrodzonej gadatliwości i przed oczyma słuchaczy rozwinął się korowód barwnie odmalowanych scen tragedii, tragedii serca przyjaciółki zwierząt, zmuszonej patrzeć bezsilnie na tortury czworonożnego ulubieńca, „jedynaka” po skrytobójczym „morderstwie”, popełnionym przez Priwima na „osobie” olbrzymiej królicy belgijskiej. Dwie noce spędziła Gładyszka w niespokojnym oczekiwaniu na powrót Burusia, aż tej nocy, nie mogąc dłużej słuchać jego jęków, wyszła do parku. Niestety kocur przerażony uciskającą go pętlą nie dał się złapać. Uciekał przed swoją opiekunką i cofał się przed nią w stronę ruin, ona zaś szła za nim wytrwale i we łzach tonęła.

— Już, już go miałam, proszę państwa — ciągnęła dalej wytarłszy nos z hałasem — gdy nagle błysnęło się przede mną okropnie, a ja rymnęłam jak długa na ziemie. Myślałam że to piorun, że we mnie trafił i dlatego huku nie słyszę. Ale chyba nie. Bo pozbierałam się i na własnych nogach doszłam do domu.

W zapale opowiadania przysunęła się coraz bliżej do stołu i nagle wzrok jej upadł na odbitkę wyjętą z ramki. Wzrok miała świetny, więc z daleka poznała swoją podobiznę w kompromitującym negliżu.

— Skąd pan ma to?! — zagrzmiała, stając w szkarłatnej łunie dziewiczych rumieńców. — Takie świństwo! Ja jestem uczciwa kobieta, proszę pana, ja się fotografowałam w koszuli nie pozwolę, ja będę skarżyć, ja...

— Niech Gładyszka w tej chwili umilknie — wtrąciła Ewa surowo i w krótkich słowach wyjaśniła wstydlivej niewieście, że ten pan bynajmniej jej nie podglądał w nocnej toalecie, ani osobiście nie fotografował, lecz po prostu zbudował mechanizm, który ją sam zdyktował w parku. To

był właśnie ów oślepiający błysk, który wzięła za piorun...

— I który przeraził, mniejsza mnie, mojego Burusia! — Skry wściekłego gniewu strzeliły z oczu Gładyszki, która momentalnie przedzierzgnęła się w megierę z piekła rodem. I odesłana do kuchni rzuciła Rafałowi takie spojrzenie, że ciarki go przeszły. — Mogę sobie pogratulować, jeśli mnie ta baba nie struje — powiedział do Ewy z nader wątpliwą żartobliwością.

W południe stangret wysłany z końmi do weterynarza przywiózł z Sambora pocztę. Wśród paczki gazet był tylko jeden list do Rafała z Paryża od Totka Rylskiego. Rafał rozerwał kopertę i rzucił się łapczywie na nieoczekiwaną lekturę:

CARO MIO!

Bin glücklich, że mogę Ci donieść coś obszerniejszego o interesujących Cię personach. I am glad, indeed, bo lubilem Cię zawsze, Kochany Wirtuozie Czystej Dziennikarskiej Błagi, Mais. Drogi Rafałku nie posądzaj mnie o perwersję z powodu tych enuncjacji o mym stałym k'Tobie przyjacielskim afekcie.

Incipiam tandem: W dwa dni po wysłaniu mego pierwszego komunikatu natknąłem się w Lido na Twego Priwima. Imaginuj sobie moje zdumienie. W Lido! Butelka szampana 250 fr! i w takim lokalu malarz, w dodatku dość przyzwoicie odziany. I was astonished. Priwim w Lido! Selbstverständlich przywitałem się z nim uprzejmie, dopytując, czy znalazł jakiegoś głupiego Yankee na swoje płótna, czy też odkuł się w inny równie „godziwy” sposób.

Chłopiec był wlany jak Holender z Sumatry. Przysłowie „ivre comme un Polonais” jest anachronizmem nawet tutaj. Przysiadł się do mego stolika (czekałem na pewnych znajomków, tj. miłe stadelko, w którym on ma zamilowanie à la Rex Ingram, ona zaś jest w jednej ponętnej osobie: Venus, Kleopatra i trochę sadystka). Otóż Priwim przysiadł się do mnie i w pijackim rozczuleniu zaczął mi opowiadać historię, która brzmi jak nowela ultrasensacyjna:

Mieszkając jakiś czas (póki go nie wyrzucili) na rue de Tournon w tym samym hoteliku, co August Turno, zaprzyjaźnił się z nim i często razem popijali. Aż w zimie ni stąd, ni zowąd, zaproponował mu Turno czasową zamianę nie tyle swych osób, ile paszportów. Krótko mówiąc: Turno, który z jakiś tam rodzinnych powodów zapragnął przyjechać do Polski icognito, ucharakteryzował się na Priwima i z jego paszportem wyjechał, zaś Priwim został w Paryżu i pocztę dla Turny wysłał do Sambora na poste restante. Za tę przysługę i za ryzyko dostaje od Turny 1000 frantów monatlich. I think, że on dostaje więcej i uprawia niezgorszy szantażyk na zwariowanym Turnie, który chyba wie, czym taki szwindel pachnie i buli teraz słono za swą fantazję.

Naturellement to ścisła tajemnica, za zapewnienie której musiałem dać podwójną parole d'honneur. Nie łamię tego słowa, pisząc Ci o tym, przeciwnie na straży tej tajemnicy stawiam drugiego gentlemana, Ciebie Rafałku. Ale zbyt wielu przyjaciół na straży nie dostawiaj, inaczej się rozniesie, a Priwim który jest teraz przy forsie, ergo miłym kompanem, mógłby mieć do mnie pretensje, wątpliwie słuszne zresztą.

— Mistrz zajęty?

Rafał oderwał wzrok od listu, a w jego oczach malowało się tyle bezbrzeżnego zdumienia, że Ewa, już wycofująca się dyskretnie, przystanąła.

— Co się stało, mistrzu? Złe nowiny?

— W każdym razie niezwykle. Panno Ewo — zerwał się i podbiegł do niej w widocznym podnieceniu. — Czy pani poznałaby stryja, gdyby mu przyszła dziwna fantazja ucharakteryzować się na kogoś innego?

— Nie rozumiem pana. Stryj miałby się bawić w maskarady i...

— Droga panno Ewo, proszę o zwięzłość i uwagę. Czy na przykład Priwim nie przypominał pani stryja? W sylwetce w mowie, w nawykach, albo...

— Absolutnie nie, mistrzu. Takie porównanie ubliża mu nawet. Boże, stryj August i ten gbur antypatyczny, wysławiający się jak prostak.

— A może stryj umyślnie się tak zachowuje, aby utrudnić domownikom zdemaskowanie go?

— Nie, nie...

— Czy stryj Pani posiada ten sam wzrost, co Priwim?

— Nie, stryj był wyższy i szczuplejszy.

— Może się tak pani wydaje. Przecież nie widziała pani stryja cały szereg lat. Kiedy stąd odjeżdżał, była pani małą dziewczynką i dzięki temu zakorzeniło się w pani przeświadczenie o wysokim wzroście stryja. Tymczasem dzisiaj, kiedy Pani wyrosła na dużą, urodziwą dziewczynę...

— Myśli pan?

— Jestem głęboko przekonany.

Załamano ręce, zamyśliła się lekko i pobladła

— Przypuśćmy, że to był on — rzekła cicho, powoli ważąc każdy wyraz na wadze głębokiego namysłu — przypuśćmy lecz jakież cel miałby w tym, żeby przyjeżdżać tu incognito i robić błazeńskie maskarady?

— Tu stoimy przed zagadką. Biorąc jednak pod uwagę, że stryj pani zdziwaczał po katastrofie, która nim tak wstrząsnęła, że stał się samotnikiem, odludkiem, oryginałem... możemy równie dobrze przypuścić, iż jego terażniejsza maskarada nie miała żadnego celu. Była po prostu kaprysem milionera, którego stać na takie historie, albo też...

— Albo też? — powtórzyła machinalnie.

— Albo też objawem manii prześladowczej, która u mizantropów rozwija się najbujniej. Ot, na przykład wyobraził sobie, że Kochaut go okrada, że prowadzi tu złą gospodarę, że... ach, Bóg wie, co jeszcze, i postanowił osobiście zbadać, jak sprawy stoją, mieć rękę na pulsie, lecz jednocześnie pozostać odległym, nieobecnym „niewidzialnym”...

— Tak, zgadza się! krzyknęła i zaklaskała w dłonie.

— A co? — triumfował. Wiedziałem, że panią przekonam...

— Ależ nie to, mistrzu. Zgadza się, powiedziałam, to znaczy zgadza się, że Priwim nie może być przebrany stryjem Augustem. Czy obserwował pan kiedy te wstrętne, krótkie, grube paluchy Priwima?

— Owszem — przyznał niechętnie — chce pani powiedzieć, że pan August miał wąskie, rasowe palce podobne do pani paluszków, tak? Lecz to nie dowodzi niczego. Mógł się w międzyczasie nabawić reumatyzmu, który powoduje znaczne zgrubienie stawów, a zarazem...

— Czy przyjrzał się pan kiedy uważnie dłoniom Priwima?

— Ma pani na myśli ich zaniedbany wygląd, czy tę podłużną bliznę w poprzek wszystkich palców lewej ręki?

— Mam na myśli lewą dłoń. Stryj takiej blizny nie posiadał.

— To również niczego nie dowodzi. Blizna jest zapewne pamiątką po jakimś późniejszym skaleczeniu, na przykład w czasie rozbicia się jachtu.

— Powiedzmy. Ale czy pan zauważył może, by Priwim miał który palec zdeformowany? Ucięty?

— Nie. A pani?

— Ja również nie. Priwim miał przy obu dłoniach w „komplecie” wszystkie swoje

brzydkie paluchy. Zaś stryj August posiadał palców tylko dziewięć. Ściśle mówiąc, dziewięć i pół — dodała, rozbawiona rozczerowaną miną swojego gościa, któremu się dzisiaj stanowczo nie wiodło, widocznie niefortunna fotografia „ducha” zapoczątkowała jego dzień pechowy.

— Jak... jak to?

— Tak to, mistrzu, że jeszcze za swoich gimnazjalnych czasów, przy jakimś nieszczęśliwym wypadku z rewolwerem stracił pół kciuka.

— Hm, o tym nie wiedziałem, nic mi pani nie mówiła — oświadczył Rafał tonem łagodnej wymówki. Tymczasem Ewa tryumfowała; szczebiotała z wielkim ożywieniem że jakkolwiek przywykła w ostatnich latach do rozmaitych dziwactw stryja, to jednak o taki nietakt nie może go posądzać. Jak to? Miałby tu w Borach siedzieć przez pół roku, podszywając się pod cudze nazwisko? I w jakim celu? Czy żeby śledzić swoją pupilkę i bratanicę, szpiegować, myszkować? Nonsens, najbardziej śmieszny nonsens! Zaraz jej to przyszło do głowy, że nonsens.

— Skąd pan w ogóle otrzymał tak nieprawdopodobną wiadomość, mistrzu? — spytała zreasumowawszy wszelkie argumenty zwalczające hipotezę o wzajemnej zamianie ról Augusta Turny i malarza Priwima.

Rafał wręczył jej oba listy Totka Ryłskiego, zapominając w swym przygnębieniu, że znajdowały się w nich ustępy niezbyt odpowiednie na lekturę dla młodej dziewczyny, zwłaszcza w drugiej części dzisiejszego listu, którą pobieżnie przeleciał oczyma w trakcie rozmowy. Zmiarkował to poniewczasie, kiedy dostrzegł wyraz wstydliwego zakłopotania na twarzy Ewy...

— Ten pański przyjaciel, mistrzu... — zaczęła.

— To tylko dawny kolega z ławy szkolnej — przerwał szybko, zorientowawszy się, że wobec Ewy, lepiej wyprzeć się takiego przyjaciela.

— Zatem ten pański kolega, sądząc z chaotyczności najróżnorodniejszych wieści, wyrażań, cytatów, musi być, proszę mi darować szczerłość...

— Dyplomatą — wtrącił pospiesznie — lub raczej narybkiem na dyplomatę. Dlatego proszę się nie dziwić, panno Ewo.

— Nie dziwię się nigdy niczemu; chciałam tylko coś stwierdzić. Ale mniejsza z tym... Otóż, abstrahując od obciążającego list balastu niepotrzebnych dodatków, znajdujemy w nim jedną cenną wiadomość, że malarz Priwim znajduje się w Paryżu. Nie mamy powodu wątpić w prawdziwość słów pana... pana...

— Totka — odpowiedział.

— Totka?

— Ryłskiego, tak brzmi jego nazwisko... Tak, jaki jest, taki jest, ale kłamać nie kłamię, oczywiście w sprawach zasadniczych.

— Z listu pana Ryłskiego wynika niezbitcie, że Priwim przebywa stale w Paryżu.

— Wynika — wtrącił Rafał żywo — że istnieje dwóch osobników tego nazwiska lub raczej istnieje prócz prawdziwego Priwima, malarza, jakieś drugie indywiduum, podszywające się pod to samo nazwisko... O, prawda, dobrze, że mi to na myśl przyszło: Czy nasz Priwim (tak go możemy na razie nazywać) zabierał kiedyś głos o malarstwie? Czy w ciągu tego półrocza widziała go pani kiedykolwiek z paletą w dłoni? Czy jest do pomyślenia, aby malarz, chociażby mający chwilowo jakieś inne, może rentowniejsze zajęcie, nie uczuł nigdy potrzeby, aby to, co go tutaj otaczało, jakieś krajobrazy, typy, sylwetki... rzucić na papier czy płótno? Żeby nie gryzmolił w szkicowniku chociażby dla zabicia nudy, dla rozrywki?

— Odpowiadam hurtownie: nie, nie, nie — odparła Ewa — Ma pan rację zupełną. Priwim, ten „nasz”, nie brał się nigdy do rysowania. Jego ulubionym zajęciem było zakładać inspekty, hodować różne warzywa...

— Kwiaty — podsumował Rafał.

— Nie! Kwiatów nie lubił. Uznawał tylko róże, ponieważ, jak powiadał, można za nie osiągnąć najlepsze ceny na targu w miasteczku.

— Więc tylko dlatego? Hm, zatem był łasy na gotówkę?

— O, jak jeszcze! Więszego skąpca i bardziej chciwego osobnika nie spotkałam w życiu, i większego brudasa — dodała ciszej.

— Są to zasadnicze cechy — ciągnął Rafał powoli, w zamyśleniu — naszych chłopów i, w równej mierze, drobnego mieszczaństwa francuskiego.

— Cooo? Priwim Francuzem? — zdumiała się Ewa.

— Mówił po francusku, zdaje mi się...

— Ale z jakim akcentem! Z jakimi błędami gramatycznymi!... Prowokowałam go nieraz umyślnie i zachodziłam w głowę, skąd stryjcio sobie takiego sekretarza wytrzasnął. Bo ani to po francusku nie umiało się dobrze wygadać, ani nawet po polsku.. Priwim, drogi mistrzu, przypominał mi żywcem tych oficerów austriackich, którzy mówili po polsku z czeska, po niemiecku z węgierska, ale ani czeskim, ani węgierskim językiem zupełnie nie władali...

— Zreasumujmy wyniki naszego rozumowania przemówił Rafał w końcu. Posiadamy następujące przesłanki: 1) malarz Priwim przebywa stale w Paryżu, 2) pan August Turno wynajmuje sobie od Priwima jego paszport, a zatem jego nazwisko, 3) osobnik, który bawił w Borach nie jest Augustem Turno, któremu, jak pani twierdzi, brakuje pół palca przy lewej ręce... Jaki stąd wniosek?

— Że wchodzi w grę jakaś trzecia osoba, właśnie ten „nasz” Priwim, który w nocy z niedzieli na poniedziałek tak nagle odjechał.

— Doskonale.

— Że mój narwany stryjasek wynajął sobie tego człowieka i nie wieciec dlaczego, przysłał mi go na kark jako jakiegoś Priwima, choć ten osobnik mógł równie dobrze przyjechać tu pod własnym nazwiskiem.

— A jeśli nie mógł.

— Jak to? Dlaczego?

— Pozwoli pani, że na razie nie odpowiem jej na to pytanie. Natomiast poproszę, aby pani jeszcze dzisiaj wysłała list do stryja, treść zupełnie obojętna.. list polecony za zwrotnym recepisem! Uważa pan? Za zwrotnym recepisem! Takiego listu nie będzie mógł listonosz doręczyć żadnemu pełnomocnikowi. Tak. Albo otrzyma go adresat, albo list wróci, czego zresztą jestem pewny!...

— Zatem pan sądzi, że stryja w Paryżu nie ma..

— Nie ma — powtórzył, jak echo, i ugryzł się w język. — Zresztą przekonamy się niebawem. W ciągu tygodnia, myślę.

— A ja panu mówię, że stryj siedzi w Paryżu, tylko po dawnemu stroni od ludzi. W tym właśnie celu rozpuścił wiadomość o swoim wyjeździe.

— Po cóż jednak Priwim, ten prawdziwy, odsyła mu pocztę do Sambora?

— Lecz listy stryja do mnie noszą niezmiennie stempel poczty paryskiej... Nie, doprawdy coraz mniej rozumiem! Najlepiej raz skończyć z tą niepewnością. — Zerwała się, aby natychmiast napisać ów list, który, stosownie do rady swego gościa, miała wysłać jako *polecony za zwrotnym recepisem*, zaś Rafał pośpieszył do parku, zamierzając raz jeszcze przetrząsnąć okolice ruin i poszukać nowych śladów.

Zasiedział się tam do południa, zaintrygowany świeżymi odciskami męskich stóp na głównej ścieżce, aż zastał go przy tym Kochaut.

— Dzień dobry, bardzo się cieszę — zapewniał Rafał, wścickły, że mu przerywają w pracy — myślałem, że pan w polu przy ludziach.

— Teraz mamy południową przerwę — zauważył z godnością pan rządcą, wyczuwszy wymówkę w słowach „mikrusa” — a zresztą panienska odwołała mnie z pola przed dwunastą.

— Zaszło coś? ziewnął reporter.

— To pan nic nie wie?

— O czym?

— No o tym, jakiego piwa nam nawarzył pan sekretarz Priwim?

— Nie! Siedzę tu w parku od dwóch godzin.

— Od dwóch godzin — mruknął Kochaut, przetrząsając podejrzliwymi spojrzeniami sąsiednie krzaki. Gruchnęło już we dworze o nocnej przygodzie Gładyszki, którą „ten bezwstydnik” odfotografował w nocnej koszuli, więc kombinował pan rządcą, że figlarnie usposobiony gość nowe jakieś potrzaski pozostawiał, skoro aż dwie godziny się tu szwendał. — Ano, nawarzył nam piwa Priwim, jako się rzekło — zaczął. — Wystawił kupę weksli, o których ani panienska, ani ja, nic nie wiedzieliśmy, puścił toto w obieg i teraz panna Ewa musi je wykupić, inaczej do protestu pójdą.

— Znam się trochę na sprawach wekslowych — nadmienił Rafał ze skromnością, wspomniawszy sobie własne perypetie z krawcem, który w swej kołtuńskiej ciasnocie umysłu nie chciał pojąć, iż autograf Rafała Królika na czystym blankiecie warta nierównie więcej, niż suma złotych wypisana na wekslu. — Znam się trochę i stanowczo nie mogę pojąć, dlaczego panna Ewa musiałaby wykupywać weksle wystawione przez Priwima.

— Musi, bo ten hycel podpisał się pod naszą pieczętką i legalnie był do podpisywania upoważniony przez pana Augusta Turnę.

— Jaka znów pieczętka?

— *Zarząd dóbr Bory*, proszę szanownego pana.

— Ha, to niech teraz pan August płaci za swojego sekretarza.

— Aha, jak rak świśnie, to on zapłaci — parsknął Kochaut. Mówi pan tak, bo pan nie zna pana Augusta.

— To się go zmusi! — krzyknął Rafał, oburzony tą nową krzywdą Ewy to się go zwali z opieki w sądzie i wlezie mu się na hipotekę Rozłaki, rozumie pan, panie Kochaut? Ja w tym!... A duża kwota? — spytał ochłonawszy nieco.

— Razem przeszło dziesięć tysięcy, ale pierwszy weksel na trzy kawałki płatny jest już za cztery dni. Przyszło zawiadomienie.

— A komuż on oddał te weksle? Gdzie je dyskontował?

— Prywatnie. U Saula Immerglücka.

— Immerglück?! — Rafał zatarł dłonie. Niechże mi pan opowie coś bliższego o tym jegomościu.

Kochaut był rozmowny z natury, żywe przeciwieństwo Priwima, lecz tym razem niewiele korzyści Rafał odniósł z tego. Dowiedział się tylko, że Immerglück żyje z lichwy, że jest postrachem niepunktualnych dłużników i ma często jakieś konszachty z Rogersem, dyrektorem *Pol-Pet-Co*, jak brzmiał skrót tego polsko-angielskiego towarzystwa.

— I cóż panna Ewa?

— A cóżby? Martwi się, popłakuje, a po południu wybiera się do adwokata w Samborze, szukać u niego rady... Szkoda jazdy, moim zdaniem. Gdyby Priwim nie był upoważniony do podpisywania, aaa, rozumiem. Ale tak?

— A pieniędzy nie ma?

— Ano nie ma. Wierzyciel wlezie nam na hipotekę, zlicytuje Bory i szlus. Jedna korzyść z tego.

— Mianowicie? — Ja żadnej nie widzę.

— A ja widzę! — odparł Kochaut twardo — widzę tę korzyść, że panna Ewa przejrzy, a konkurent, który na posag leciał, spłoszy się nareszcie.

Rafałowi krew uderzyła do głowy. Ujął się pod boki, zmiażdżył mówiącego straszliwym spojrzeniem i ryknął:

— Kogo pan ma na myśli?!

— Kogóż by, jak nie pana inżyniera Barskiego — zasyczał zjadliwie pan rządca, nie patrząc na zaperzonego Rafała.

— Widziałem go tu tylko raz w czasie pożaru — wykrztusił po chwili reporter, na którego ta wiadomość nieoczekiwana podziałała tak jak lekko chybiony sierpowy cios boksera ciężkiej wagi; ogłuszyła go więc, otumaniała w lepszym tego słowa znaczeniu, lecz nie była jeszcze nokautem. Jeszcze nie wierzył w prawdziwość tej informacji. Jakże? W ciągu niemal dwóch tygodni Andrzej Barski był tu raz tylko, kiedy w kostiumie strażaka przybył na czele ochotniczej straży pożarnej z kopalń Rojka.

— Pan go może raz widział, ale ja więcej razy — odparł Kochaut. — Ot, choćby wtedy w niedzielę, kiedy to pana nie było w Borach, inżynier Barski siedział u panienki pół dnia bez mała. Żeby nie burza, siedziałby pewnie dłużej, bo tak im dobrze z sobą było, tak dobrze! — zazgrzytał zębami. — Chodzili sobie po parku pod rękę, na ławeczce siedzieli i...

— Dość! — przerwał Rafał ostro. — Nie jestem ciekawy, ani pana o te sprawy nie pytałem, panie Kochaut — dodał wyniośle, śledząc spod oka swego informatora. Czyżby on się także podkochiwał w Ewie? — przemknęło mu przez myśl i poirytował go od razu ten dodatek *także*. Uważał, że ubliża mu takie zestawienie: Kochaut, zacięty chłop z grubsza oheblowany, klasyczny typ barbarzyńcy z trudem tłumiący swe odruchy pod kruchym kloszem kultury, taki Kochaut i... on, Rafał Królik, dziennikarz, warszawiak, bywalec!

— Przepraszam, szanownego pana — rzekł pokornie „klasyczny typ barbarzyńcy spod klosza” — u mnie co w sercu, to i w głębie, więc zagalopowałem się trochę. Cóż mnie te historie obchodzą. Moja rzecz trafić się o te weksle pana Priwima... pana sekretarza...

— Pana sekretarza — powtórzył Rafał machinalnie i dodał w duchu, skinąwszy rządcy głową — muszę się zająć przede wszystkim podwójnym sekretarzem pana Augusta. W jego dwuosobowości leży klucz wszystkich zagadek, przeczuwam.

Miał słuszość, ale tylko częściowo. Bowiem istniała inna tajemnica, inna tragedia, od której zaczęły się wszelkie niepowodzenia i nieszczęścia rodziny Turnów. I jeden z bohaterów tej tragedii zbliżał się właśnie ku Borom i ku Rozłące, aby za zrządzeniem losów odegrać rolę mściciela...

Rozdział XV

ZA PÓŻNO!

Ewa nie zastała swojego zastępcy prawnego w Samborze, nie wrócił jeszcze z Przemyśla, jak twierdził jego koncypient, doktor Oktawian Grzmot-Pękalski, wcale sympatyczny młody człowiek, szczupły, niski, o chorowitym wyglądzie, jaskrawo kontrastującym z nazwiskiem o tak groźnym brzmieniu.

— Męcenas nie wróci, aż jutra — gęgał nosowym głosem, odmieniając „panią dziedziczkę” we wszystkich przypadkach i omalże nie liczbach. Jak przystało na syna dawnego c.k. urzędnika, nie wyobrażał sobie nawet, by można było kogokolwiek nazywać per „pan” czy „pani” bez jakiegoś tytułu. A co dopiero właścicielkę Borów i przyszłą spadkobierczynię Augusta Turny. Poznęcawszy się uczciwie nad „dziedziczką”, wyjaśnił jej od siebie, że skoro Priwim był upoważniony do podpisywania się w imieniu zarządu majątku, to Bory odpowiadają za jego zobowiązanie. — Za tą pani dziedziczka może mieć pełen rękęś dą Priwima alba dą jęga macądawcy — oświadczył.

— To samo mówił mój rzadca — westchnęła Ewa, żegnając się z młodym prawnikiem, który natychmiast wyraził swoje ubolewanie, że nie może jej służyć jakąś inną, lepszą radą.

Nadała na poczcie list do stryja, stosownie do życzenia „mistrza”, a zdemaskowanie wekslowych kombinacji Priwima dostarczyło jej doskonałego pretekstu do wysłania tego listu *express* i za *zwrotnym recepisem*, po czym, załatwiwszy kilka drobnych sprawunków, zawróciła na miejsce, gdzie czekała na nią mała węgierska bryczka. Konie zaczęły przyjaźnie parskać na widok tej, której przybycie do stajni wróżyło porę obroku, a spotkanie w zaprzęgu kostkę cukru, ale tym razem wróżba zawiodła. Zaś Ewa z głową nabitą wekslowymi historiami, wsunęła przyniesione pakuneczki pod siedzenie, wskoczyła na bryczkę i, ocknąwszy się z zadumy dopiero wtenczas, jęła się rozglądać dokoła...

— Pietrek — zawołała.

Nie opodał był postój dorożek. Ich właściciele, przeważnie starozakonni, otaczali kogoś zbitym pierścieniem, czyniąc straszliwą wrzawę, i z tej grupy wyrwał się nagle mały wyrostek...

— Leceee, panienko, lece — wołał, biegnąc ku bryczce. Przeczul snadź, że oberwie małe „pater noster” za oddalenie się od koni, więc zaczął zagadywać co prędzej: — Ale go chcą kiwnąć, panienko, no! Zaczęli od stu złociszów, teraz już spuścili na sześćdziesiąt i szarpia gościa aż...

— Co nas to obchodzi, chłopcze? — wtrąciła. — Zdejmij derki z koni i wracamy.

— Pewnie, że nie obchodzi — przyznał zgodliwie, składając derkę z naręcznego wałacha. — Ale to rozbój, panienko! Sześćdziesiąt złotych do Borów? A ścierwa... — palnął się dłonią w głębę, wspomniawszy sobie, że panienka srodze zakazała przeklinać.

— Do Borów? — zainteresowała się — Któż to taki? — Uniosła się trochę na bryczce i spojrzała w stronę kłębiącej się masy chałatów, płaszczysk i mocno sfatygowanych meloników na kudłatych głowach; w pośrodku tkwił, niby dzik opadnięty przez sforę psów, rosły mężczyzna w popielatym raglanie i czapce sportowej tej samej barwy.

— A jakiś obcy, panienko. Ale po polsku mówi, tylko, jakby z ruska... Ej, żeby tak panienka pozwoliła!... Podwiozłoby się gościa i Pietrek zarobiłby ładny tryngeld — domawiał się dyplomatycznie, przeciągając umyślnie nieskomplikowaną operację składania derek.

Ewa uśmiechnęła się przyzwalająco.

— Żeby cię tylko tutejsi dorożkarze nie pobili — ostrzegła.

Nie dosłyszał pewnie, bo popędził jak strzała, dopadł do wirującego koła solidarnych woźniców i zaszczekał tak przeraźliwie, że zwarty pierścień pękł przed nim jak dojrzały owoc granatu. Zanim pojęli, że to był żart czy podstęp, sprytny wyrostek już trzymał za rękaw podróżnika i już mu zakomunikował swoją ofertę.

— Co jeeest??? — zabrzmiało zgodnym chórem, gdy obcy ruszył ku bryczce, osłaniając barczystą sylwetką Pietrka. Wobec tak „brudnej” konkurencji dworskiego ekwipażu, pękły spoidła dotychczasowej solidarności i rozpoczęła się głośna licytacja w dół:

— Pojadę za pięćdziesiąt!

— Tyż. Siadaj pan u mnie. Najczystszy dorożke!

— Wusyst? Komu czyste potrzebne? Jadę za czterdzeszczy.

— Paszoł won — huknął obcy, odtrącając tego od *czterdzeszczy*, bowiem pochwycił go za poły raglanu i ciągnął się za nim niczym Almanzor w *Alpuharze*, choć na razie w stojącej pozycji.

— Panie dzedzycu!

— Panie dyrektorze!

— Panie prezesze! Trzydzeszczy! Już siadać! Niży nie mogę, słowo uszczywośczy.

Samemu mi więcy kosztuje.

— Da, a przedtem ty chciał sześćdziesiąt — rżał serdecznym śmiechem nieznajomy, skłonił się grzecznie przed Ewą i przedstawiając się, mruknął niewyraźnie jakieś nazwisko. Kończyło się na pewno na *ski*, tyle Ewa dosłyszała, a odwzajemniając się tą samą monetą, bąknęła swoje nazwisko jeszcze ciszej.

— Proszę usiąść obok mnie, powożę zawsze sama — rzekła, odsuwając gestem dłoni Pietrka, który w obawie przed spodziewanym konfliktem z poszkodowanymi dryndziarzami, wolał być jak najbliżej panienki. — Ty siądziesz z tyłu — dodała, ściągając lejce.

— Pani dzedzyczko — przemówił poważnie przedstawiciel brodatego grona szwargoczącego dokoła bryczki. — Wobec takie konkurencje musimy się zastszczec najkategoryczni... Dalsze słowa zagłuszył turkot okutych kół bryczki, liczących cierpliwie wszystkie kocie łby samborskiego bruku...

— Nie rozmawiali z sobą, lecz dyskretnie obserwowali się wzajemnie. Ewa zdążyła zauważyć, że nieznajomy ma cerę żółto-oliwkową, w tym charakterystycznym odcieniu, jaki posiada skóra ludzi białej rasy, którzy długi czas spędzili w tropikach, że ma czterdziestkę z dokładką, ale pięćdziesiątki pewnie jeszcze nie przekroczył, że naciska sobie czapkę dlatego tak głęboko, gdyż pragnie ukryć ogromną bliznę na głowie. To ostatnie spostrzeżenie uczyniła wówczas, kiedy przejeżdżali koło krzyża na rozstajach dróg i jej przygodny pasażer uchylił czapki leciutko.

Ewa nie była dziś usposobiona do towarzyskiej rozmowy, lecz dręczyła ją ciekawość, w jakim celu ten obcy wybiera się do Borów, do jej ukochanych Borów. — A może do wsi? — pomyślała. W końcu wzięła na odwagę i spytała wprost o to, oczywiście bardzo uprzejmie.

— Chwilowo interesuje mnie okolica Borów — odparł, a mówił bardzo powoli, starannie dobierając słów, które snadź przysłoniły mgławicę zapomnienia. Potem zobaczę... może dwór, może wieś, nie wiem... A teraz będzie rzeczka, prawda? — spytał, jakby chciał odwrócić jej uwagę od co dopiero napoczętego tematu rozmowy.

— Istotnie. Pan widzę zna te strony.

— Da, znam po trochu... Był ja tu w czasie wojny...

Ewa umilkła. Straciła ochotę do dalszej pogawędki, bowiem przekłety wyraz *wojna* przywołał jej zaraz na myśl stratę ojca, który po śmierci matki, stał się dla niej wszystkim na świecie i niestety tak prędko podążył w ślady swojej żony...

Dobre pół godziny jechali w milczeniu, urozmaiconym tylko przyśpiewkami Pietrka, który ze znanstwem otaksował powierzoną mu małą walizeczkę obcego, i obliczywszy na podstawie rachunku prawdopodobieństwa wysokość oczekiwanego napiwku, dawał wyraz swemu zadowoleniu.

Nieznajomy raz po raz zerkał na Ewę i marszczył czoło, snadź rysy twarzy dziewczyny nie były mu obce i przypominały mu kogoś. Wreszcie zagadnął nieśmiało, jak brzmi jej nazwisko; nie dostyszał, kiedy zawierali znajomość w Samborze, tłumaczył się... a chciałby wiedzieć, wobec kogo zaciągnął ten mały dług wdzięczności.

— Dług wdzięczności? — uśmiechnęła się. — Żartuje pan chyba. I tak musiałam wracać do Borów; jedna osoba więcej, czy mniej, konie nie poczują. A co się tyczy nazwiska, to jestem Turno... Ewa Turno.

— Turno! — zawołał. — Tak, zgadza się — potakiwał głową — tak się nazywał ówczesny właściciel tego folwarku.

— Rozłąki, czy Borów? spytała w zamyśleniu.

— Rozłąki? — poruszył głową poziomo. — Nie pamiętam tej nazwy.

— Ale Bory pan pamięta.

— Pamiętam. Właściciel tego majątku... jakże mu było na imię...

— Stanisław — wyszeptwała... — Więc pan go znał...

— Jakże! — ożywił się — Przecież umarł na moich rękach.

Umilkł, dojrzaawszy wilgotne lśnienie w oczach dziewczyny, zadumanej, zapatrzonej tępo gdzieś w szczyt wzniesienia, ku któremu zbliżali się powoli krętym, stromym gościńcem.

— Przepraszam — bąknął zakłopotany — pani pewnie jego krewna?

Odwróciła ku niemu opaloną twarzyczkę, świeżą, młodą, czarującą, lecz spochmurniała w tej chwili, jakby za nią padł zimny cień od czarnego obłoku smutku.

— To był mój ojciec — rzekła.

Znowu zapadło milczenie. W końcu Pietrek cmoknął energicznie na konie, które, wykorzystując nieuważę Ewy, wlokły się krokiem zgoła „karawaniarskim”, jak flegmatyczne wałachy z zakładu pogrzebowego. Poderwały się do leniwego klusa, lecz na pierwszym zakręcie znowu zwolniły.

Ewa ocknęła się z zadumy. Wskazując batem łysy grzbiet wzniesienia, zaczęła tłumaczyć nieznajomemu, że tam na szczycie są rozstaje; jeżeli chce się dostać do wsi Bory, albo do Rozłąki, to będzie musiał iść na prawo, a Pietrek poniesie mu walizkę. Podwiozłaby go chętnie, ale z pewnych względów nie chce się pokazywać w tamtej stronie. Gdyby natomiast chciał się dostać do dworu w Borach, natenczas pojedą dalej razem i będzie jej naprawdę bardzo miło, jeśli użyczy gościny jednemu świadkowi ostatnich chwil jej biednego ojca.

Gość podziękował uprzejmie, oświadczył, że zapewne z zaproszenia skorzysta, oczywiście na jeden nocleg tylko, lecz teraz wysiądzie, gdyż ma coś do załatwienia we wsi. Prawdopodobnie nie mówił szczerze, bo o ile przedtem patrzył Ewie prosto w oczy, o tyle teraz unikał wytrwale spotkania z jej wzrokiem. Wreszcie poprosił, by stanęła. Stanowczo nie przystał na towarzystwo Pietrka, wcisnął mu jakiś banknot do łapy, raz jeszcze podziękował Ewie i pochwywszy swą maleńką walizeczkę, zeskoczył z bryczki sprężyscie.

Ewa domyśliła się łatwo, że nieznajomy chce sam pozostać, bez świadków, i dlatego

ociąga się, przystaje, udając, że sznuruje sobie trzewiki. Zacięła więc konie i mijając go, rzuciła mu przyjazny uśmiech. — Proszę pamiętać o Borach zawołała, a Pietrek aż się w pas pokłonił...

— Panienko — rzekł po chwili, kiedy ostatni zakręt osłonił potężną sylwetkę obcego.

— Co?

— To bardzo porządny gość!

— Z czego wnosisz — uśmiechnęła się.

— Dał dwadzieścia złociszów. Dwadzieścia!... Ech, panienko...

— No?

— Żeby to on był we dworze zamiast pana Priwima albo tego mikrusa; co Gładyszkę w koszuli sfotografował...

— Cóż za głupstwa znowu? Kto to mówił, co?

Chytry Pietrek udał, że nie słyszy, z ogromnym zapałem jął kręcić korbką hamowidła i wychyliwszy się na zewnątrz, badał uważnie, czy żelazne kostki hamulców dobrze dochodzą do tylnych kół bryczki. Bowiem minęli najwyższy punkt wzniesienia i droga zaczęła opadać ku dolinie. Ewa zaciągnęła lejce i poświęciwszy całą uwagę koniom, zapomniała rychło, że pyskаты chłopak nie odpowiedział jeszcze na pytanie w sprawie niepożądanego popularności „mistrza” jako fotografa. Za to Pietrek z żelazną konsekwencją wygłosił do końca swój pogląd:

— Pół roku go woziłem i grosza nie dał ten pan sekretarz. Z tego małego także pociechy nie będzie... Ale to... pan całą gębą! Dwadzieścia złociszów dał jak nic. Ech, żeby to on był we dworze.

Tymczasem „pan całą gębą” dochodził dopiero do szczytu wzniesienia i twarz ogorzała od podzwrotnikowego słońca mieniła mu się wzruszeniem bezmiernym.

Błogosławił w myśli Ewę Turno za to, że wysadziwszy go, nie zainteresowała się jego dalszymi krokami, nie śledziła go i odjechała.

— Piętnaście lat czekałem na tę chwilę — mówił głośno, jakby pragnął przekrzywić poświsty wiatru, grającego zwykłą smętną melodię na strunach drutów telegraficznych, bowiem tutaj, bliźutko wierzchołka wzgórza, panującego nad całą okolicą, dmuchało niezgorzej... — Piętnaście lat!

W błyskawicznym skrócie, na jaki tylko myśl ludzka może sobie pozwolić, ujrzał te piętnaście długich lat, ich trudy, przygody, niebezpieczeństwa, ich pracę, tęsknotę i marzenia o powrocie do kraju, który opuścił, kiedy stąd odjeżdżał ciężko ranny, szybujący już nad czarną przepaścią śmierci i chyba z litości albo raczej przez omyłkę przygarnięty do rosyjskiego pociągu sanitarnego.

Piętnaście lat! Dwa słowa na pozór, lecz w rzeczywistości ogromny strzęp czasu, jeśli mierzyć czas długością życia ludzkiego. Więcej niż połowę tego okresu stracił z winy wrogiego losu, ale w ciągu pozostałych lat sześciu pracował morderczo, jak potrafił pracować człowiek opętany jakąś ideą i posiadający przy tym żelazną wytrwałość. Osiągnął dobre wyniki. Lepsze, niżli ci, którzy rozpoczęli tam z dużymi kapitałami, harowali dwa, trzy razy dłużej i mieli poparcie władz. Zdobył ładny majątek, imię budzące respekt w całych Indiach, Indochinach i na Archipelagu Malajskim, lecz było to dlań zaledwie połową zamierzonego dzieła, było środkiem do celu. A teraz wracał do kraju tak biednego na pozór lecz jakież bogactwa, choć nie wyzyskane na razie, posiadającego. I oto on, szczęśliwy odkrywca nieodkrytych skarbów, wracał tutaj po latach piętnastu, aby założyć ogromne przedsiębiorstwo, zatrudnić rzesze bezrobotnych, zmuszonych szukać chleba na emigracyjnej poniewierce, wzbogacić właścicieli tych pól, łąk, nieużytków, ziemian i kmiotków, ani nie przeczuwających jakie bogactwa kryje ziemia w swym łonie, aby last not least zelektryzować giełdę świata wiadomością, że nowe pokłady nafty to nie żaden humbug, skoro potężna firma *John Smool* inwestuje w ten interes cały swój majątek.

— Cały majątek w to włożę i moją pracę i doświadczenie zdobyte tam, gdzie ludzie naprawdę umieją pracować — monologował przybysz, rozglądając się ze zgrozą po barwnej szachownicy maleńkich pól anemicznego owsa, jęczmienia i pastwisk usianych kamieniami, których widać nie chciało się nikomu pozbierać.

Gdyby był szedł gościńcem, byłby już dawno dotarł do szczytu. Ale skorciło go zboczyć w stronę krzyża otoczonego wieńcem sztachet żelaznych. Przeczytał napis i ruszył w dalszą drogę...

— Myślałem, że tu leżą moi towarzysze broni mruknął.

Wreszcie dotarł do celu i spragnione, ciekawe spojrzenia cisnął w dolinę. Hen w oddali majaczyły prostokąty budynków. Domyślił się, że to odbudowane Bory, bowiem dojrzał zbliżającą się tamtą stroną bryczkę, którą tutaj przyjechał, wyglądała z tej odległości jak mucha, zaś gościniec przypominał mu jednego z jawajskich węzów, białoskórego truciciela.

— To tam! — rzekł, dostrzegłszy park i w jego południowej części ruiny starego dworku. — Chciałbym zobaczyć te piwnice — dodał.

Jego wzrok posunął się znowu na prawo. Dolina zwężała się, przechodziła w wąwóz, którego najwęższą gardziel ochrzciła ludność okoliczna mianem Czarciego Jaru. Wracalo stamtąd stado owiec, a za nimi kilka sztuk bydła, pod strażą całej czeredy dzieci, gdyż po pamiętnym spotkaniu pastuszka z umorusanym w biocie Rafałem, żaden chłopak wiejski nie chciał dozorować bydła w Czarcim Jarze bez licznej asysty.

— Tam był opuszczony rów strzelecki, do którego chcieliśmy się dostać podkopem — mówił półgłosem nieznajomy i cieszył się jak dziecko, że pamięta tyle szczegółów z owych dni przywalonych tomami wydarzeń z długich piętnastu lat.

Znowu odwrócił głowę o maleńki kąt dziesięciu stopni i znowu jego wzrok ogamnął nowe hektary terenu...

— A tam... — zaczął i urwał. Znieruchomiał, zamarł, stał się posągami kamiennym... — wizja przyszłości? — wyszeptał.

Przetarł oczy, rozejrzał się dokoła i znowu wypuścił niespokojne spojrzenia na lasek wież wiertniczych i na porozrzucane budynki przedsiębiorstwa Mateusza Rojka.

Jeszcze nie wierzył, jeszcze snił, że to wizja obrazu, jaki on dopiero wyczaruje na tym pastwisku, na tych nieużytkach, skałach, w tych wąwozach, które ongiś przemierzał bezmyślnymi krokami jako żołnierz.

Niestety. To była rzeczywistość! Stały te wieże wiertnicze na pewno i te maleńkie mrówki były ludźmi, robotnikami... i ten zadyszany pociąg włókł za sobą najprawdziwsze w świecie cysterny. A ponad wszystkim panował zbudowany na przeciwległym wzgórzu pałacyk. Czyj?

— Tego, który mnie ubiegł — odpowiedział sobie w duchu zgnębiony przybysz. Za późno! — jęknął i walizeczka wysunęła mu się ze sztywniejących palców. — Przybyłem za późno — powtórzył.

Dużo minot zamarło mu w beczynnym odrętwieniu, które tak potępiał zawsze, od kiedy pokochał nade wszystko pracę. Aż wreszcie wyrwał się przemocą z apatii i podniósł walizkę.

— Dowiem się czyje to wszystko, czy nie w obcych rękach — szepnął, ruszając w dół, aby przeciąć drogę pastuszkom i u nich dowiedzieć się czegoś. — Jeśli w obcych, to jeszcze mam pole do działania — rzekł i, jakby rzucał wyzwanie, krzyknął z mocą: — Będzie znów nasze. Wykupię, żeby miał nie wiem jak przepłacić!

Rozdział XVI

TOWARZYSZ BRONI

Mateusz Rojek podpisał zamasyście ostatni „kawalek” z okazałej sterty dzisiejszej korespondencji handlowej swojego przedsiębiorstwa i sięgnął po kalendarz.

— Nie zwrócił tej forsy, czyli, zgadza się — kombinował, uśmiechając się szyderczo — co więcej, puścił ją do tej pory, bo takiego bubka pieniądze się nie trzymają. Ergo będzie musiał tańczyć, jak mu zagram, będzie musiał przyjąć wszystko za dobrą monetę, co w niego wmówię... Ha, przecież był pijany jak bela... *Szanowny Pan chyba zapomniał* — zasyczał i zmrużywszy oczy w sposób niezmiernie złośliwy, wpił bazyliškowy wzrok w pusty fotel stojący naprzeciw, jak gdyby na nim siedział nieszczęsny gość, który się tutaj w ostatnią niedzielę tak uraczył wódecznościami.

Rojek zatarł dłonie, sięgnął po bloczek z papierem i pisał:

Wielmożny Pan Baltazar Szafran

Warszawa.

Dla porządku rzeczy potwierdzam niniejszą treść ustnej umowy, w której zobowiązał się Szan. Pan doprowadzić do skutku wiadomą transakcję za ryczałtowym wynagrodzeniem zł

6.000 (słownie: sześć tysięcy złotych).

Na poczet tej sumy otrzymał Sz. Pan zł 600 (sześćset złotych), reszta płatna w dniu, w którym nastąpi podpisanie kontraktu z wiadomą osobą.

O ile by transakcja doszła do skutku bez pośrednictwa Szan. Pana, zwróci Sz. Pan wręczony mu zadatek i do omawianej tu prowizji nie będzie mógł rościć żadnych pretensji.

Byłoby bardzo wskazany, gdyby Sz. Pan pofatygował się do mnie w najbliższych dniach celem omówienia kilku spraw, związanych z naszą umową. Prosiłbym o przyniesienie przy tej sposobności pokwitowania na wręczony Sz. Panu w niedzielę zadatek.

Z poważaniem

Z szatańskim uśmiechem odczytał Rojek jeszcze raz ustęp trzeci listu, zaczynający się od słów: *O ile by transakcja* itd...

— Tu mam furteczkę, panie Szafran — zarechotał — że mi zadatku nie zwrócisz, to pewne... już go dawno przepił myślę... ale, że reszty nie dostaniesz, choćbyś się na głowie postawił, to jeszcze pewniejsze, he, he, he.

Nacisnął dzwonek. W uchylonych drzwiach stanął bezszelestny, świetnie odprasowany sekretarz.

— Pan dyrektor już podpisał pocztę? — spytał, pochylając nabożnie głowę, kiedy sekretarskim ustom przyszło wymówić święte słowo *dyrektor*. Chwyciwszy w lot potakujący ruch rzęs dyrektorskich, podszedł kocim, giętkim chodem do biurka i białymi palcami począł zgarniać podpisane „kawałki” do prostokątnego koszyczka.

— Będzie coś jeszcze? — spytał uniżenie, łypnąwszy okiem na zapisaną stronicę bloczka. Skurczył się pod lodowatym tuszem szefowskiego spojrzenia i zabełkotał w przerażeniu. — Pytałem, bo panna Zofia dowiadywała się przed chwilą, czy może już odejść.

— Może sobie w ogóle odejść i więcej nie wracać, jak się jej tak spieszy — warknął Rojek, odsuwając szorstko bloczek w stronę białej, drżącej dłoni, która już ujęła go natychmiast z szacunkiem i kartkę oddała.

— Zwyczajny list?

— Zwariował pan? Polecony ze zwrotnym recepisem!

— Tak jest panie dyrektorze... Ale...

Brwi Rojka podniosły się nieprawdopodobnie wysoko, zdumione, że może tu istnieć jakieś *ale*.

— Co, ale?

— Jaja... ja nic, panie dyrektorze, tylko... że to jest... właściwie chciałem spytać o dokładniejszy adres... Boję się, że samo Warszawa nie wystarczy... Poczta... pan dyrektor wie, sucha biurokracja...

— Nie znam bliższego adresu tamtego jegomościa i samo Warszawa musi wystarczyć! Mają u licha biuro adresowe, czy coś w tym guście. Wiem. Nieraz już doręczano takie listy... No znikaj pan. To musi odejść dziś!

— Odejdzie, panie dyrektorze.

— Zna mores — mruknął Rojek z zadowoleniem. Sprawiało mu szczególną przyjemność tresowanie strachliwego młodzieńca. W podobny sposób terroryzował wszystkich swoich urzędników, inżynierów i stenotypistki; na robotnikach nie mógł sobie używać tą metodą, miał respekt przed związkami, lękał się awantur, strajku, za to miał na nich inne sposoby. — Trocki, do nogi — huknął i zagwizdał na palcach, rozległo się drapanie do drzwi i żałosny skowyt psa nie umiejącego sobie poradzić z taką przeszkodą, ale już zatętniły usługne kroki sekretarza, szcęknęła klamka i przez uprzejmie odemknięte drzwi wpadł w długich susach seter, ulubieniec. Poślizgnął się na wywoskowanej posadzce, rymnął i zajechał aż do stóp rozweselonego nafciarza. — Posadzki mi będziesz froterował urwisie? — rżał, pieszcząc psa ciężkimi klapsami. Waruj, Trocki, taaak, poliz trzewik, o to, to, mądry piesku... musisz mi to zaprodukować przy moich komunistach.

Rojek nie miał nigdy czasu na długie karesy, toteż skończyło się jak zawsze, lekkim kopniakiem oznaczającym, że Trocki może już odmaszerować do kąta.

Nafciarz zastanawiał się jeszcze czy dobrze czyni, wysyłając list do Warszawy, a nie do Borów, gdzie jego niedzielny gość przebywał.

— Gdybym wysłał do Borów, adresując per Baltazar Szafran — monologował półgłosem — natenczas mogłoby zdziwić Ewę, skąd znam prawdziwe nazwisko jej zakonspirowanego gościa. A pisać Rafał Królik, to znów łobuz może się wszystkiego wyprzeć, boć on nie Królik, ale Szafran. Zaś w obu wypadkach Ewa domyśliłaby się, że mamy ze sobą jakieś konszachty... Tak, tak, najlepiej do Warszawy. Jak mu stamtąd odeślą, to już mnie nic do tego. Na pewno podał *poste restante* w Samborze albo jakąś skrytkę pocztową... Krótko mówiąc tracę czas bezpotrzebnie. Pierwszy pomysł zawsze najlepszy.

Drzwi uchyliły się znowu, ze szpary wychynął spłaszczony peryskop sekretarza, czyli jego głowa.

— Musiał go ginekolog za mocno ścisnąć kleszczami — pomyślał Rojek z humorem — za dziesięć, dwadzieścia wieków antropolodzy dobrze się nabiedzą nad zakwalifikowaniem tej kapitalnej czaszki.

— Pppanie dyrektorze...

— Czego znów? — burknął rozbawiony nafcjarz, siląc się, by nadać głosowi ton opryskliwy, groźny.

— Jeden pan prosi, aby go pan dyrektor zechciał przyjąć.

— Teraaaz?

— Mówiłem, tłumaczyłem, ale... powiada, że jest przejazdem.

— Nazwisko?

— Jan Smólski — odczytał sekretarz z kartki, którą każdy petent, reflektujący na audiencję u dyrektora Rojka, musiał wypełnić uprzednio.

— Smólski, Smólski... hm, nie przypominam sobie - odparł, choć jakieś niewyraźne echa tego nazwiska załopotwały mu w napiętej pamięci.

— Powiada, że był towarzyszem broni pana dyrektora.

Rojek skrzywił się, jakby omyłkowo haust octu połknął zamiast wina.

— Towaaarzysz broooni? — powtórzył przeciągle.

— Tak powiedział, panie dyrektorze.

— Czego chce? Wsparcia? Posady? Czy go pan informował, że nie jesteśmy instytucją dobroczynności? Jak wygląda? Ubranie? Bardzo obszarpany?

Z ulewy pytań zdołał złękniiony człowieczek uchwycić za poły tylko ostatnie...

— Ubrany wcale zamożnie, raglan, angielska wełna, jeśli się nie mylę, garnitur także wcaaa... — Urwał, dojrawszy władczy, niecierpliwy ruch chlebobawczej ręki. — Pan dyrektor nie przyjmuje? — domyślał się.

— Przeciwnie, wprowadź go pan — rzekł Rojek łaskawie — dla dawnych towarzyszy broni, z którymi dzieliło się straszliwe niebezpieczeństwa wojenne.. muszę mieć pewne względy. — Lubił przy personelu podkreślać, że niegdyś był żołnierzem, choć w rzeczywistości liźnął frontu tylko odrobinę i dzięki stosunkom szybko się zadekował w intendenturze.

Dźwignął się niedbale na widok wchodzącego i wyciągnął potężną prawicę na powitanie. Upewniał się z każdą chwilą, że ta spalona na brąz twarz orla jest mu zupełnie obca, lecz jednocześnie dręczyło go coraz więcej nazwisko *Smólski*, stanowczo znał je skądś, pamiętał, ale skąd?

Zasiedli w fotelach naprzeciw siebie i po obu stronach biurka. Rojek chwycił już pudełko z cygarami, które trzymał w dolnej szufladzie, lecz dostrzegłszy osad smętku na twarzy przybyłego, cofnął rękę i przybrał minę nieprzystępną, wyniosłą. — Nos ma na kwintę, zatem chce o coś zebrać; byłoby więc nonsensem ośmielać go i zachęcać — rozumował w duchu.

Tymczasem przybyły wyjął fajeczkę, nabił ją, zapalił, puścił kłęb dymu, który niemile zapachniał w nozdrzach gospodarza i niezrażony nieuprzejmym milczeniem, rozparł się wygodnie w fotelu. — Dobryś. Zamierzasz, widzę, dłużej tu posiedzieć — pomyślał nafcjarz i wygłosiwszy kilka komunałów o braterstwie broni, zapytał, w jakim interesie gość przybywa.

— W interesie? Broń Boże! — zaprzeczył Smólski. — Po prostu z wizytą. Przybywam dzisiaj w te strony, a dowiedziawszy się o panu, postanowiłem odwiedzić dawnego podwładnego.

— Ach tak — odetchnął gospodarz i przychylniej spojrział na *brązowego orla* (tak go w myśli określił, chociaż trochę go ubodło wspomnienie, że był kiedyś czyimś podwładnym).

— I cieszę się, że mój feldfel Rojek tak obrósł w piórka.

Tym razem nafcjarz skrzywił się niedwuznacznie i zadzwoniwszy na sekretarza, wysłał go z jakimś najbliższym poleceniem do najodleglejszego szybu. Wiedział, że „płaskogłowy”

mimo swej służalczości lubi podsłuchiwać, a tutaj padły słowa zgoła niecenzuralne. Feldfebel! Boże, to tyle co dzisiejszy sierżant! A płaskogłowy zaszczycony kiedyś zaproszeniem na brydża (czwarty partner zawiódł w ostatnim momencie), spytał Rojka dużo rozprawiającego o swoich przewagach wojennych, czy był w austriackiej armii pułkownikiem, czemu nafciarz przez grzeczność nie zaprzeczył. Zrozumiałe więc, że sekretarz musiał teraz człapać w błotku do odległego szybu.

Zażegnawszy w ten sposób niebezpieczeństwo kompromitacji w oczach zahukanego urzędnika, postanowił Rojek zabrać się do gościa energiczniej.

— Istotnie, byłem feldfeblem — przyznał. Pańskie przypomnienie tego faktu potwierdza, że ongiś byliśmy towarzyszami broni. Niemniej jednak nie mogę sobie przypomnieć, gdzie, na którym froncie, w którym miejscu byliśmy razem, ani kim pan jest właściwie.

— Służyliśmy w tym samym pułku piechoty, czyli w trzynastym.

— Ale nie byliśmy chyba w tej samej kompanii — mruknął Rojek, grzebiąc z wyraźną niechęcią w wojennych wspomnieniach.

— Tylko przez tydzień, kiedy to po zupełnym rozbiciu naszego batalionu utworzono nowe jednostki bojowe; wtedy to do kompanii, której szefem zostałem mianowany, przydzielono mnie między innymi pana, panie Rojek.

— Aha, aha.

— Ejże, panie Rojek, jeszcze mnie pan sobie nie przypomina? — zdumiał się gość. — Nasza przelotna znajomość z roku 1915 łączy się ściśle z pańskim dzisiejszym zawodem, z pańską pozycją społeczną obecnie.

Nafciarz drgnął bezwiednie. Wpijając przenikliwy wzrok w Smólskiego pykającego spokojnie swą fajkę, zaczął powoli cedzić ostrożnie słowa:

— To znaczy, że walczyliśmy razem w tych stronach, czy tak?

— Znaczy sssię — wtrącił śpiewnie Smólski — byliśmy obaj w kompanii, którą zaporowy ogień artylerii rosyjskiej odciął od swoich i która zdychała z głodu w Borach w nędznych okopach koło dworu. Ja byłem komendantem tego oddziału.

— Pan?! — Rojek zerwał się na równe nogi i zabobonna trwoga zamigotała mu w żółtych ślepiach, nieustraszonych zazwyczaj. — Pan ocalał?! — wykrztusił.

— Jak pan widzi — uśmiechnął się przybysz i wysunął rękę naprzeciw muskularnej dłoni, niosącej mu gratulujący uścisk.

— Szczerze się cieszę... szczerze — zapewniał nafciarz. — Więc to pan — (jeszcze nie ochłonął z wrażenia) — od razu mnie uderzyło pańskie nazwisko. Bo tak nie poznałbym nigdy! Zmienił się pan ogromnie.

Smólski potakiwał uprzejmie, potem spytał, czy jeszcze kto ocalał z jego oddziału. — Chyba niewielu — dodał sam.

— Nikt! Zginęli wszyscy, prócz nas dwóch... I pana uważaliśmy za zmarłego.

— Przecież nie znaleziono mojego ciała ani dokumentów.

— Ech, proszę pana. Kiedy Austriacy znowu wkroczyli do Borów, mogiła naszych towarzyszy broni dawno już trawą porośla. Rosjanie ich pochowali, przeważnie we wspólnym grobie. Tylko kilku, których nazwiska ustalili, pogrzebali osobno i na krzyżach wryli odpowiednie napisy... No, ale nie mówmy o tych smutnych historiach. Raczej niech pan opowie coś o sobie. Musiał pan przeżyć ogromnie interesującą odyseję. Ba, Rosja...

— Niech ją wszyscy diabli — zaklął Smólski.

— Już ją wzięli — parsknął Rojek, namyślając się, czy przywołać setera i zademonstrować przed dawnym komendantem swą niechęć do bolszewizmu, czy też pozbawić go tej przyjemności.

Tymczasem gość zaczął opowiadać krótko, treściwie o swym pobycie w niewoli rosyjskiej, w szpitalu, gdzie przeszedł tyfus, potem na Syberii, skąd dopiero na wiosnę roku 1923 udało mu się zbiec do Chin, a stamtąd przedrzeć się do Indii Angielskich. Na tym uciał i znowu powrócił do niezapomnianych wypadków z roku 1915.

— Niechże mi pan teraz powie panie Rojek, co się z panem działo? — spytał. — Był pan także w niewoli?

— Na szczęście nie.

— Więc przebił się pan do naszych?

— Przebiłem się, jednak celu nie osiągnąłem, bom zemdlał.

— Celu pan nie osiągnął? Nie rozumiem.

Rojek trzepnął palcami niecierpliwie; mówił z niezmierną powściągliwością, a jednak powiedział więcej, niż chciał.

— Pan był wtedy nieprzytomny — odparł — i komendę objął porucznik, jakże mu było... zaraz, zaraz, ach, mniejsza... Otóż polecił mi przedrzeć się do naszych i złożyć w komendzie raport o rozpaczliwej sytuacji kompanii. Wybrał mnie, gdyż zbiegiem okoliczności byłem jedynym, który nie odniósł jeszcze najłżejszej kontuzji.

— Aha, aha... I poszedł pan podkopem i potem starym rowem strzeleckim, co?

— Podkop nie był gotowy! — odrzekł nafcziarz z naciskiem — zresztą zasypał go już koło dworu pocisk ciężkiego kalibru... Więc czołgałem się przez wąwóz, kryjąc się wciąż, bo księżyc świecił diabelnie jasno, jakby na złość.

— No i...

— I przysypało mnie nagle. Jak długo tam leżałem, ogłuszony bliskim wybuchem granatu, nie wiem. Kiedym się dowłókł półprzytomny do naszych przednich straży, Austriacy rozpoczynali odwrót i na pożegnanie bombardowali Bory. Ryczałem, że tam są nasi, ale nagle opuściły mnie siły i obudziłem się dopiero w miesiąc później w jakimś szpitalu na Węgrzech... O, to była przekłeta noc — westchnął.

Milczeli znowu dłuższą chwilę, po czym gość jak gdyby patrzył w otwarte wrota wspomnień, zaczął mówić powoli w zadumie:

— A poprzedni wieczór pan pamięta? Pogrzebaliśmy właśnie trumnę właściciela Borów i przetrząsaliśmy piwnice dworu w poszukiwaniu jakiegoś worka ziemniaków albo flaszki wina.

— O, tak, tak; pragnienie nam więcej dokuczało niż głód.

— Zwłaszcza rannym, których gorączka paliła.. Wiem coś o tym, bom już jedną kulę nosił w sobie i krew się z rany sączyła — ciągnął Smólski, dotykając bezwiednie lewego ramienia, a potem głowy — i we łbie mi szumiało piekielnie od chwili, gdy mnie spadająca belka pocałowała w stodołę... I wówczas to mój ordynans przybiegł z pełną konewką do piwnicy. Pamięta pan?

— Owszem, pamiętam — przyznał bardzo ostrożnie, czując, że tamten dochodzi do kulminacyjnego punktu opowieści.

— Rzuciło się na nią bractwo hurmem, na wyścigi, ranny czy zdrowy, szarża, nie szarża... aż tu bęc: nie woda w konewce, ale jakaś ciecz cuchnąca, tłusta, obrzydliwa! Podszedłem i ja w końcu, a ledwie się już dowłokłem o własnych siłach. Poznałem od razu: to była ropa! Dokoła zawiedzione twarze nędzarzy, zgłodniałych, palonych ogniem gorączki i łaknących, a tutaj takie odkrycie: ropa! Coś jak w tej bajce o człowieku, ślaniającym się z wycieńczenia, który na pustyni znalazł wreszcie wypchany worek, lecz w nim tylko złoto i skarby bezcenne, nie bochen chleba, ani pęcherz z wodą, nie tę najtańszą, pogardzaną żywność, ale skarby... Pamięta pan tę scenę?

— Pamiętam — zabębnił palcami po biurku niecierpliwie.

— Klęliśmy wszyscy wrogi los i wojnę; żołnierze nie krępowali się moją obecnością, a ja

rozumiałem ich i sam kłąć zacząłem. Nagle w rozgorączkowanej głowie ocknęła się myśl. Zebrałem wszystkich rannych prócz tych, co leżeli jak bez ducha pod ścianami piwnicy. Zacząłem im wyklądać ogromne znaczenie przypadkowego odkrycia: Patrzcie, oto wojna płaci nam za trudy i cierpienia. Gdy nastanie pokój, powrócimy tutaj, wykupimy te tereny i zaczniemy kopać ropę, *płynne złoto!* Będziemy wszyscy do równości współnikami. Do góry głowy, chłopcy! Nie będziecie już biedy klepać po wojnie. Zostaniecie burżujami, nafcjarzami. Tylko teraz zęby ścisnąć i wytrwać. Tylko teraz, jak mówią Niemcy: *aushalten, durchhalten und Maul halten!* Powtarzam wam: *Maul halten!* Gęba na kłódkę, inaczej ubiegną nas tacy, co mają forsę jak lodu... Takem do nich mówił, na pół już majacząc i na pół jeszcze przytomnie...

Smólski rozgadał się na dobre, a chociaż od czasu do czasu wtrącał wyrazy rosyjskie, których tu przytaczać nie trzeba, to jednak na ogół szło mu gładko i coraz tu nowe słowa, wyrażenia, lapidarne powiedzonka polskie wyławiał z otchłani zapomnienia.

A Mateusz Rojek przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem. - Niby to z wizytą tylko przyszedł, nie po wsparcie, ani po jakąś posadę, ale do naftusi przymawia się coraz wyraźniej — myślał. Wreszcie rzekł chłodno:

— Wszystko to pamiętam. Dozorowałem wówczas ludzi pracujących przy podkopie i z konieczności często zachodziłem do waszej piwnicy. Pan miał głowę obandażowaną niby turbanem jakimś, przypominam sobie teraz dokładnie. Pewnie dlatego nie poznałem pana dzisiaj od razu.

— No i zarośnięty człek był i ubabrany w błocie po uszy.

— Tak... Przypominam sobie nawet więcej.

— Przysięgę?

— Tak, tę niedorzeczną przysięgę, którą mi pan kazał odebrać od półprzytomnych ludzi, albo apatycznych, obojętnych na wszystko. Że nikt drugiego nie podejdzie, że do czasu będzie się przestrzegać tajemnicy i co tam jeszcze było wśród tych nonsensów...

— Nonsensów — powtórzył gość spokojnie, spowijając się kłębam dymu.

— Daruje pan, ale nonsensów!... Lecz bądźmy szczerzy. Do czego ma właściwie zmierzać cała ta czcza gadanina? Czy może chce pan przez to powiedzieć, że rości pan sobie do mnie jakieś pretensje?

— Uchowaj Boże!

— Odkryliśmy ropę w tych stronach wspólnie, wszyscy!

— Przypuśćmy.

— Tu nie ma co przypuszczać. To pewnik! — Zirytowany grzmotnął pięścią w biurko, aż pokrywki na kałamarzach zadzwoniły i Trocki szczerknął gdzieś w ciemnym kącie, oznajmiając, iż jest obecny, solidaryzuje się z swoim panem, jak zawsze i chętnie skoczy do gardła każdemu oponentowi.

— O co się pan irytuje, panie Rojek? Czy zgłaszam jakieś pretensje? Nic podobnego! Był pan w zupełnym porządku nie tylko wobec prawa, ale wobec kolegów, a niedoszłych współników swoich. Skoro pan jeden pozostał przy życiu, o moim ocaleniu nie mógł pan przecież wiedzieć, gdyż nie posiadając żadnej rodziny, nie pisałem nigdy z Rosji do kraju... skoro zatem, powtarzam, pozostał pan przy życiu sam jeden, miał pan prawo sam zagarnąć wszystko...

— No, przecież zrozumieliśmy się — odsapnął nafcjarz udobruchany i nieco życzliwiej spojrzął na gościa. — Zresztą, to się tak mówi „zagarnąć”. Musiałem płacić słono za te ziemie.

— Rozłąkę dzierzawi pan, o ile słyszałem.

— Ach, już się pan informował? — zgnął ironią. — Istotnie dzierzawię Rozłąkę, ale mam hipotecznie zastrzeżone prawo pierwokupu.

— Z którego pan skorzysta zapewne, skoro pan taki pałac wybudował na obcym gruncie.

Rojek spojrział ostentacyjnie na zegarek.

— Może odłożymy tę miłą pogawędkę na inny dzień — rzekł, uprzątając porozkładane papiery na biurku. — Mam dzisiaj jeszcze ważną konferencję z moimi inżynierami.

— Ha, to nie będę przeszkadzał... Czy nie mógłby mnie pan odesłać jakimś wozem do dworu w Borach?

— W Borach? — wyszeptał. — Nie! — rzekł szorstko — Mam tu pod ręką tylko swój samochód, którego potrzebuję właśnie... Czego pan szuka w Borach? Chce pan tej biednej dziewczynie ranić serce opowieściami o śmierci jej ojca? Chce się pan może zwalić jej na kark? A wie pan o tym, że ona stoi przed ruiną? Ach, to oczywiście pana niewiele obchodzi. Lepiej rozdrapać rany zabliznione, rozczulić ją historyjkami o ostatnich chwilach świętej pamięci Stanisława Turny i skorzystać z gościnności przy tej okazji. — Wściekał się na siebie wewnątrz, że wpada w niepotrzebne rozdrażnienie, lecz brnął dalej i dalej, wyprowadzony z równowagi niezrównanym spokojem Smólskiego, który ani słowem nie zareagował na te zarzuty głupie, obrażające, chamskie.

— Wie pan co? — ozwał się gość nareszcie, czyszcząc skrupulatnie fajkę z gorącego popiołu. Kiedym tu dziś zaszedł i kiedy ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu, nie przeczę, ujrzałem szyby naftowe, ogarnął mnie żal, iż nie powróciłem wcześniej. Ba, nawet kiedy dowiedziałem się, że kopalnia jest w rękach Mateusza Rojka, mego towarzysza broni, pomyślałem sobie: *Zaproponuję mu spółkę, będziemy razem pracowali...* I to był właściwy cel mojej wizyty. Ale teraz dziękuję uprzejmie. Wspólnik, który nie posiada minimum kultury czy choćby ogłady towarzyskiej, który obraża gościa w swoim domu...

— He, he, he, spółka z gołym wspólnikiem — Rojek ryknął salwą prostackiego śmiechu, a flegmatyczny Smólski przyglądał mu się ciekawie.

— Z gołym? — spytał wreszcie. Skąd pan może znać moją sytuację majątkową?

— Wystarcza mi to, że przywędrował pan tutaj pieszo i teraz prosi o jakąś furmankę.

— A pan, panie Rojek, kiedy pan tu przybywał po raz pierwszy, czy nie przyszedł pan pieszo, albo przyjechał chłopskim wozem? Co, może limuzyną przyjeżdżać? Zwracać ogólną uwagę i zaostreć apetyty właścicieli gruntów? Nie, panie. Jestem uczciwy, ale przepłacać nie lubię. I dlatego przywędrowałem pieszo lub, mówiąc ściśle, podwiozła mnie tu pewna urocza osóбка z Borów, której się na kark wcale zwalać nie myślę, jak się pan obawiał, panie Rojek.. A co do moich stosunków majątkowych, to są dobre, zapewniam pana. Mógłbym pana kupić wraz z tuzinem okolicznych folwarków. O, widzę błysk niedowierzania i chciwości w pańskich złotych oczach... Czy słyszał pan kiedyś o firmie *John Smool*? Jest to, jak pan widzi, niezmiernie nieskomplikowany kryptogram nazwiska Jan Smólski. A oto, jak wygląda saldo w jednym z banków, z którymi pracuję.

Niedbałym ruchem wyjął z kieszeni książeczkę czekową jakiegoś banku amerykańskiego i odchyliwszy okładkę, podsunął osłupiałemu Rojkowi pod nos odcinek pierwszego czeku, na którym było wypisane saldo rachunku.

— Może pan więc być spokojny, że ciężarem dla panny Turno nie będę... I na tym żegnam kochanego towarzysza broni.

— Ależ... — Rojek zerwał się, jak podrzucony miną. — Czyż mamy się rozstawać w niezgodzie? — spytał, demonstrując najśłodszy z kolekcji swoich przyjaznych uśmiechów, które hodował pieczolowicie dla warszawskich dygnitarzy i dyrektorów kredytowych instytucji... Z żalem opuścił wyciągniętą dłoń, której gość widać nie spostrzegł i spytał nieśmiało, czy limuzyna może zajeżdżać pod schody domu...

— Ach, nie, dziękuję uprzejmie — przecież potrzebuje pan auta dla siebie — przypomniał Smólski.

Rojek opadł ciężko na fotel. Taką okazję przepuścił, zaprzepaścił idiotycznie. Dusił się z braku płynnej gotówki, musiał przerwać budowę nowych zbiorników, w dodatku rabunkowa gospodarka szybów rozłackich zaczęła już wydawać owoce, i w takim momencie zraził sobie człowieka, z którego można było pompować pieniądze jak wodę z jeziora, jeżdżąc umiejętnie na koniku braterstwa broni. — Chciał zostać współnikiem, byłbym mu wkręcił trzydzieści procent udziału za sumę większą, niż ten cały kram wart, nie mówiąc już o moralnym sukcesie kombinacji: *John Smool* współnikiem Mateusza Rojka! — rozpoczął nafcjarz, a jego bezsilna wściekłość wzrastała w miarę, jak przychodziły mu na myśl dalsze komplikacje, prawdopodobne po świeżym incydencie.

Oto zawział się na Bory, gdzie według wszelkich obliczeń fachowców, musiały się znajdować najbogatsze tereny naftowe. A posiadanie Borów było dlań kwestią utrzymania dotychczasowego stanowiska w eksploatacji ropy i kwestią dalszego rozwoju jego przedsiębiorstwa. Inaczej budowa nowych, kosztownych zbiorników była niepotrzebnym wydatkiem, bo dla szybów rozłackich stare wystarczały aż nadto.

— I właśnie w takiej chwili diabli przynieśli Smólskiego rozmyślał. — Już dlatego, żeby mi na złość zrobić, pożyczę Ewie te kilka, kilkanaście tysięcy i cała precyzyjna robota na nic. A może on kupi Bory? — przeraził się, lecz na krótko. — Nie, ta uparta koza nie sprzeda ani morgi dobrowolnie. Tak, jemu nie sprzeda, ale mnie tym bardziej... I pomyśleć, że wszystkiemu sam jestem winien.

Wstrząsnął się. Nie! Tego jeszcze nic było, żeby on poczuwał się do winy! Zawsze znalazł się jakiś kozioł ofiarny, a tym razem miałoby go zabraknąć?

— Ten idiota winien wszystkiemu! — ryknął z furją.

Jak w złą godzinę ukazała się w drzwiach głowa zadyszanego sekretarza; wypełnił swą misję w odległym szybie i przychodził zapytać, czy jeszcze będzie potrzebny szefowi. Ale nie doszedł do głosu.

— Kogo mi pan tu wpuścił, co? — grzmiał Rojek, wybijając każdą sylabę ciężką suszką na biurku. Dlaczego się pan nie wywiedział dokładnie, kim jest ten człowiek? Mimo mych instrukcji. Mimo surowego nakazu. Czy pan wie, na jakie straty naraziłeś firmę przez swą opieszałość? No, mówić, do stu tysięcy rogatych diabłów!

— Pppapanie dyrektorze... jaja... ja faktycznie nic nie wieem...

— Stać! Bliżej tu, do biurka — pienił się nafcjarz, uwierzywszy już sam w to, że sprawcą fatalnego rozstania się ze Smólskim jest ten załężniony tuman. — Pytam raz jeszcze: Kim jest człowiek, któregoś mi pan tu wprowadził, he?

Biedny, drżący o swoją posadę płaz w ludzkiej skórze zachwiał się na nogach, zamierzając posłusznie wykonać rozkaz, ale trwoga przygwoździła go do podłogi; ani krokiem od drzwi nie ruszył. Wreszcie, kiedy Rojek rzucił swe idiotyczne pytanie, wyjąkał.

— Papani towarzyszu brooo...

— Idioto! — zacharczał nafcjarz; ciężki kolebacz wyrwał mu się z dłoni, zatoczył łuk i wylądował na wypomadowanej fryzurze „płaskogłowego”, który z jękiem zwałił się na ziemię.

Rojek ostygł momentalnie. Zrozumiał, że przebrał miarę, przeraził się następstw. — Chybam go nie zabił, do diabła — mruknął, idąc szybko w stronę swej ofiary. Przed wszystkim zamknął drzwi na klucz i odniósł suszkę na biurko, potem zabrał się do badania tętna zemdlonego. — Wiedziałem, że nic groźnego — uśmiechnął się, podsuwając ręce pod bezwładny korpus. Sekretarz był lekki jak piórko dla takiego siłacza. Przeniósł go z łatwością na otomanę, na której ongiś Rafał Królik odsypiał wypite koniaki, rozpiął mu kołnierzyk i wodą z karafki zaczął mu nacierać skronie. Po chwili westchnął „płasko głowy”, odemknął oczy i przymknął je natychmiast przerażony niezwykłą sytuacją: Jak to, on, nędzna kreatura wyleguje się na

otomanie, a pan dyrektor służy mu osobiście? Wodę mu podaje? Nie, to koniak nawet! Jakże doszło do takiego absurdu? Coś się stało, tak, ale co?

Rojek nie omieszkął nastawić tego automatu odpowiednio.

— Co pan wyrabia, u licha? — zaczął rubasznie, ale z ciepłym ojcowskim wejrzeniem. — Huknąłem sobie pięścią w biurko, a pan tu się nagle nogami nakrywa i mdleje. Poślizgnął się pan. prawda? — Brzmiało to tak apodyktycznie, że „płaskogłowy” potępił u myśli wszelkie inne przypuszczenia co do powodów swojego upadku.

— Poślizgnąłem się, panie dyrektorze — przypomniał sobie i był gotów przysiąc, że tak się rzecz miała — bardzo przepraszam.

— Leż pan jeszcze, no... słyszał pan? Ho, ho i guza sobie pan nabił, badając głową posadzkę czy twarda. Oczywiście posadzka, He, he, he...

Kreatura zachichotała do wtóru, lojalnie, choć bardzo sztucznie.

— Pamięta pan coś?

Nastąpiła mała konsternacja. Dyrektorskie pudło rezonansowe było zupełnie zdezorientowane, czy należy coś pamiętać, czy przeciwnie nic.

— Nnnie... to jest, eeech, śmieszne, panie dyrektorze.

— No, proszę mówić...

— Sen miałem zdaje się, głupstwo, naprawdę, nie ma o czym mówić.

— Jaki sen?

Rojek wołał się upewnić, bo nuż tematem owego snu był mistrzowski rzut bibularza. Zaś tamten nieborak wypieków nagle dostał i długo, długo się wzbraniał, aż nadziany niczym owad na szpilkę, przewiercony na wylot rozkazującym wzrokiem chlebobdawcy, zaczął bełkotać z przymkniętymi od strachu oczyma:

— Pan dyrektor wybaczy... przecież sen... ja nigdy bym nie śmiał o tym myśleć... Już, już mówię — zadrżał, przynaglony niecierpliwym stuknięciem obcasów o posadzkę. — Śnił mi się ślub... papana dyrektora.

— Co? Ha, ha, ha. Ale nic więcej pan nie pamięta. Absolutnie?

— Absolutnie!

— Ślub? A z kimże to? — dopytywał rozbawiony.

— Ja bardzo przepraszam... to sen, więc nie mogę odpowiadać...

— Z kim ślub, pytam!

— Z panną Ewą Turno... A co najdziwniejsze w tym śnie — ciągnął „płaskogłowy”, ośmielony łaskawym uśmiechem swego władcy — że ksiądz, który panu dyrektorowi ślubu udzielał, miał twarz tego towarzysza broni, co...

— Brednie, idiotyzm! O swych obowiązkach proszę myśleć, nie o moim ślubie — zawarczał Rojek groźnie, wracając do biurka.

Sekretarz spłynął z otomany, niby zapomniany na pokładzie leżak, zmyty za burtę w czasie burzy. Drepcząc na chwiejnych nogach w stronę drzwi, zobaczył w lustrze, że ma kołnierzyk rozpięty i koszulę rozchełstaną jak mamka przy karmieniu niemowlęcia. Wydał stłumiony pisk zgrozy i cmoknął czołem w drzwi, które nie ustąpiły.

— Co znowu? Drzwi pan na klucz zamknął? — zawołał nafciarz perfidnie, a kiedy wymaglowany męczennik zniknął nareszcie z gabinetu, podkręcił węża z fantazją... — Z Ewą Turno, hm, czemuż by nie — mruknął. — Sny mądrych ludzi są zwykle głupie, więc sen idioty powinien mieć sens wcale zdrowy... Hm, Ewa Turno... Że też mnie to nigdy do głowy nie przyszło!

Zapalił cygaro i zaczął się rozczulać nad sobą. — Nie przyszło ci do głowy, Mateuszk, boś tylko o interesach myślał. O „płynnym złocie”, jak mówił towarzysz broni Smólski, żeby go

jasna cholera. Ale czas ci, chłopcze, pomyśleć o ślubnym kobiercu. Czas, czas! Dziewczyna śliczna, dobrze ją ubrać a prezentacja pierwszorzędna, tak, tak... kretynie! — wrzasnął, waląc się dłonią w czoło ku wielkiemu zdumieniu Trockiego, który miał tego popołudnia wiele powodów do zdziwienia... Idioto! Czy dopiero taki patentowany matolek, jak twój sekretarz, musiał ci podać najprostszy sposób opanowania Borów? Najprostszy i najtańszy, najrozkoszniejszy! — oblizał sobie wargi i zanurzył dłonie lubieżnie w jedwabistą sierść setera...

Rozdział XVII

WOŁANIE O RATUNEK

Do późnego wieczora czekała Ewa z kolacją na nieznanego przybysza, który jak mówił, miał być świadkiem ostatnich chwil jej ojca, lecz Jan Smólski nie przybył do Borów. Dopiero w dwa dni później otrzymała od niego kartkę, w której dziękował jej raz jeszcze za podwiezienie go bryczką i usprawiedliwił się, iż nieprzewidziane okoliczności zmusiły go do natychmiastowego wyjazdu z tych okolic. Przy końcu owej kartki, noszącej stempel poczty w Krakowie, donosił Smólski, że za jakiś tydzień zjawi się w Borach, jeśli do tego czasu załatwi to, co było przyczyną jego nagłego odjazdu i przywiezie wiadomość, która zelektryzuje cały powiat.

Tego samego dnia zjawił się w Borach gość, niezmiernie tutaj rzadki mianowicie Mateusz Rojek.

Nafciarz rozpoczął rozmowę od pamiętnego pożaru, dopytywał się z wielkim współczuciem o wielkość strat i ich oszacowania przez Towarzystwo Ubezpieczeń, aż Ewa uczuła się w obowiązku wyrazić mu ponownie podziękowanie, że tak szybko jej pospieszył z pomocą i swoją straż ochotniczą tu przysłał wówczas.

— Ach, nie dlatego o tym wspomniałem, aby mi pani znowu dziękowała, droga sąsiadko — powiedział z wyrzutem — spełniłem tylko swój zwykły sąsiedzki obowiązek. I jeżeli teraz pytałem o to, to jedynie przez szczerą życzliwość... Pani nawet nie przypuszcza, panno Ewo, jak oddanego człowieka pani we mnie posiada — rzekł dobitnie, ogarniając ją wzrokiem, który wprowadził ją w zakłopotanie.

— Wiem, wiem odparła. — Daliście panowie tego dowody w czasie pożaru, i pan, i pan Rogers. Doprawdy, nie mam dość słów wdzięczności...

— To jeszcze nic — przerwał z ożywieniem, skrzywiwszy się leciutko, kiedy wymieniła nazwisko Rogersa — chciałbym móc dać nowe dowody mej serdecznej życzliwości... Gdyby pani miała jakieś kłopoty, jakieś trudności finansowe, albo...

— Być może, że wtedy skorzystam z pańskiej uprzejmej oferty, ale chwilowo jest to nieaktualne — odparła dumnie.

— Czy naprawdę nieaktualne? dopytywał natrętnie. — A weksle Priwima?

Ewa zmarszczyła brwi i płomień gniewu strzelił jej z oczu.

— Skąd pan wie o tym, o tych wekslach? — spytała.

Rojek uśmiechnął się dobrodusznie.

— Czy mogłaby pani mieć do mnie zaufanie, gdybym jej zdradził moich informatorów? — odparł wykrętnie.

— Ale ja żądam... proszę bardzo — poprawiła się.

— Droga sąsiadko! Jest pani czarującą, dzielną, energiczną dziewczyną, ale doświadczenia ma pani bardzo małego, proszę wybaczyć szczerą. Zatem sądzi pani, że takie rzeczy można ukryć? Że całe sąsiedztwo o nich nie wie? Że Rogers już nie ostrzy sobie zębów na licytację Borów, która jest jego piuem desiderium? Że w Samborze już od tygodnia o tym nie mówiono? A wie pani o tym, że na stu cieszących się na myśl o możliwym bankructwie pani, jest

zaledwie jeden taki, który pani gorąco współczuje i chętnie jej dopomoże? Bezinteresownie!

Incognito tego jednego było nietrudne do zdemaskowania, bowiem Rojek, jakby przez roztargnienie, wskazał na siebie palcem i zapukał kilkakrotnie w gors swej jedwabnej koszuli. Lecz efekt chybił. Ewa była tak przybita, że nie zwróciła uwagi na tę wyraźną demonstrację.

— Och, zaraz bankructwo — rzekła, nadrabiając miną. — Żle by było ze mną, gdybym musiała bankrutować z powodu tego weksla.

— Ale jest ich więcej, a prócz tego ciężą na Borach inne krótkoterminowe długi, prawda? A weźmy choćby ten weksel jutrzejszy: czy pani ma przygotowane pieniądze na wykupienie go jutro przed południem?

— Mmmam — odrzekła niechętnie i... niepewnie.

— Całe trzy tysiące?

— Czemu całe trzy tysiące? Wierzyciel sprolonguje mi resztę, skoro z tysiąc zapłacę; tak się zawsze praktykuje, wiem o tym. Właśnie wybieram się dzisiaj do Immerglücka...

— ...który wczoraj wyjechał do Warszawy — odpowiedział z uśmiechem.

— Wyjechał? — Ogromne przygnębienie odmalowało się na twarzy Ewy. — Wie pan na pewno, że wyjechał? — spytała drewnianym głosem.

— Całkiem na pewno. Prosiłem go nawet, by mi coś w Warszawie załatwił... Ale choćby i nie wyjechał, nic by pani nie wskórała. Ja go znam jak zły szeląg...

Ewa zwiesiła głowę; nie wątpiła, że nafcjarz mówi prawdę.

— Co począć, panie Rojek? — wybuchnęła z determinacją i bezwiednie upozowała ręce w gest zupełnej bezradności, z którym kobietom jest bardzo do twarzy... Jak wybrnąć z tej sytuacji?

— Wyjście jest proste i... jedyne — odparł, pożerając ją wzrokiem i przysunął się z fotelikiem do kanapy.

— Mianowicie?

— Okazać trochę zaufania człowiekowi, który żywi dla pani afekt... ojcowski.

— To znaczy? spytała

— To znaczy, jeśli pani ma jakiegokolwiek zmartwienia, zwrócić się do mnie. a wszystko będzie dobrze... O, proszę — szybkim ruchem wydobył z kieszeni portfel i wyjął z niego kilka złożonych weksli... Poznaje je pani?

— Nie widziałam ich nigdy, bo Priwim samowolnie je wystawił bez mojej wiedzy i zgody... Ale skąd te weksle u pana?

— Wykupiłem je wczoraj, wiedząc, że pani chwilowo nie zdoła tego dokonać.

— Pan je wykupił?! Dlaczego?

— Dlatego, że nie mogę pozwolić, aby panią zlicytowano — przerwał szybko, dostrzegłszy cień podejrzliwości w jej zdziwionych oczach. Nie dopuścił jej do słowa i z wielką serdecznością zaczął ją przekonywać o swojej bezinteresownej sympatii... — Te dziesięć tysięcy to dla mnie głupstwo w tej chwili. Odda mi pani po żniwach, a tymczasem będzie sobie pani zaprzętała śliczną główkę jakimiś weselszymi sprawami, niż wstrętne weksle. Jeszcze pani ma skrupuły? A fe, któż widział... Więc woli pani mieć za bankiera Żyda, lichwiarza, czy życzliwego sąsiada, co? No, proszę się ładnie rozchmurzyć i podać mi rękę na znak swojej zgody.

Sam pochwyił obie dłonie umyślonej dziewczyny i obsypał je pocałunkami.

Łagodnie, delikatnie oswobodziła dłonie z jego łap gorących i powstała z kanapy.

— Przepraszam pana na chwilę rzekła — przyniosę ten tysiąc, który dla Immerglücka przygotowałam. Wdzięczna dłużniczka chce pokazać, że choć krucho z nią na przednówku, to jednak robi, co może.

— Proszę zostać, proszę zostać — protestował, podbity jej przyjaznym uśmiechem. —

Tysiąc złotych na przednówku przyda się ogromnie, a u mnie nie odegra żadnej roli. Później odda mi pani wszystko naraz.

Certowała się dla pozoru przez chwilę, lecz ustąpiła chętnie, bowiem, jak spod serca, wyrwała sobie ową tysiączkę.

— Zatem oddam panu całą sumę po żniwach... Zaraz, trzeba termin dokładniej określić, prawda?

— Nie trzeba, nie trzeba — upierał się; płomiennym wzrokiem wodził za Ewą, a jednocześnie z nieporównaną zręcznością zebrał rozłożone na stole weksle i dyskretnie ukrył je w portfelu.

— A zatem po żniwach wszystko zapłacę — powtórzyła. — Ale proszę mi powiedzieć tak szczerze, czy pan może poczekać, czy ta wielka przysługa, jaką mi pan wyświadcza, nie będzie panu czegoś psuła w jego interesach? Bo jeśli tak, to...

— Ustalmy więc takie warunki — przerwał jej — zasadniczo ma mi pani zapłacić całą sumę wraz z procentami po żniwach. Gdybym jednakże znalazł się wcześniej w trudnym położeniu, bo dzisiaj wszystko jest możliwe, niestety... Natenczas zawiadomię panią i w ciągu tygodnia otrzymam pieniądze. Zgoda?

— Zgoda — ucieszyła się, nie przeczuwając podstępu. — Dla porządku potwierdzę to panu pisemnie, dobrze?

— Owszem, jestem z całym uznaniem dla pani. Bo na ogół ziemianie nie grzeszą znajomością stosunków handlowych, a już do kupieckiej korespondencji żywią wstręt fizyczny, he, he, he. Pani jest chlubnym wyjątkiem, panno Ewo — dopingował ją z pomyślnym skutkiem, bo zaraz usiadła do pisania owego potwierdzenia ustnej umowy... To tylko dla porządku, jak pani sama trafnie nadmieniała — pocieszał ją. — Bo, na psa urok, nie przypuszczam, aby mi te dziesięć tysięcy było teraz do szczęścia niezbędne. Odda pani w grudniu, to także będzie dobrze.

— W grudniu? — zachnęła się.

— To się tak mówi *po żniwach*, ale przecież same żniwa nie napędzają jeszcze gotówki do kieszeni miłym hreczkosiejom, he, he, he. A młócka? Wiem, można zaraz młócić, ale w teorii, w teorii. Bo jak raz wtedy wypadnie orka ściemisk, potem wykopki ziemniaków, a buraki, a sto innych robót jesiennych? He, he, he. Znam się na tym po trochu, i dlatego gorąco proszę piękną sąsiadkę, by się o pieniądze na zwrot mojej pożyczki zaczęła trapić dopiero w listopadzie, dobrze?

— Byłoby dobrze, ale nie wolno mi wyzyskiwać haniebnie pańskiej uprzejmości — westchnęła, po czym jęła się krzątać koło przygotowania podwieczorku, bo i jakże tu nie ugościć serdecznie takiego sąsiada, który ogromny głąz z serca zdjął na poczekaniu, i pocieszył, i skoro ochotę do dalszych przysług okazywał.

— Z każdą sprawą proszę się zwrócić do mnie — mówił właśnie Rojek, dążąc konsekwentnie do wykonania swojego planu — poradzę na pewno lepiej, niż adwokat...

— Nigdy panu tego nie zapomnę — rzekła wzruszona — doprawdy, że obcy człowiek często więcej serca okaże, niż bliski krewny.

— To było wypite do pana Augusta — uśmiechnął się domyślnie.

— Tak. No, takiego listu jeszcze chyba nie dostał, jak mój ostatni — powiedziała twardo...

— Więc pisała pani w tych dniach do stryja? — zainteresował się.

— Oczywiście, że napisałam o sprawkach Priwima i oświadczyłam stanowczo, iż nie myślę dalej ponosić konsekwencji za brudne afery sekretarza mego opiekuna. Zagroziłam nawet, że pójde do Sądu Opiekuńczego.

— A cóż stryj na to?

— Jeszcze nie dostałam odpowiedzi, to byłoby zresztą niemożliwe, gdyż zaledwie przedwczoraj list wysłałam...

I odpowiedź w ogóle nie nadeszła, jak Rafał Królik słusznie przewidywał, natomiast list Ewy wrócił z Paryża z dopiskiem, że adresat wyjechał w *niewiadomym kierunku*. Tegoż dnia wydarzyło się coś, co zelektryzowało Rafała i utwierdziło go w nieśmiałych, niewyraźnych podejrzeniach.

Jęklive okrzyki, dochodzące z kuchni zwiastowały domownikom, że nowa jakaś krzywda spotkała Burusia, ulubieńca gospodyni i „jedyńka” po tragicznym zgonie królicy zastrzelonej ongiś przez Priwima. Jakoż niebawem wpadła Gładyszka do jadalni z zażaleniem na nieznanego psotnika, który znowu kotu pętlę na szyję zarzucił i nie zadowolając się tym okrucieństwem, przywiązał do sznurka kartę papieru.

— No, tym razem to nie ja, naprawdę — mruknął Rafał cichuteńko i zerknął dyskretnie na swoje trzewiki, znacznie porządniej wyglądające od czasu, jak zafasowały nowe sznurowadła: a stare, jak wiadomo, zabrał ze sobą sympatyczny kocur, ułatwiający się z ruin w czasie snu reportera.

— Szeleści to — narzekła zapłakana Gładyszka — chrzęści, szmery wydaje i hałas...

— Kotek? — spytał Rafał współczująco.

Amalia Pelagia Gładyszówna zmierzyła go karcącym wzrokiem.

— Papier! — wycedziła wzgardliwie i odtąd zwracała się wyłącznie do Ewy, usiłującej zachować powagę, choć kąciki ust drgały jej nieustannie na widok kapitalnych min rzekomego detektywa.

Po obiedzie udał się reporter do mieszkania Kochauta, który zajmował we dworze narożny pokój, tak samo położony jak pokój Priwima, lecz w drugim skrzydle budynku. Pan rządca wylegiwał się na łóżku, nawiasem mówiąc w butach, ale na widok wchodzącego zerwał się natychmiast: zaczął się też z miejsca usprawiedliwiać, że odpoczywa, wykorzystując południową przerwę, że jest obecnie kilka minut po wpół do pierwszej, dopiero o pierwszej ludzie i konie wychodzą w pole..

— Po co mi pan to mówi — obruszył się Rafał nie jestem Priwimem i nie przyszedłem tu po to, by badać, co pan robi. To mnie zresztą nic nie obchodzi... Ale, à propos Priwima, chciałbym się pana o coś spytać...

— Proszę bardzo — przysunął gościowi krzesło, a sam usiadł na skraju wymiętego łóżka.

— Swojego czasu, kiedy mówiliśmy o wekslach wystawionych samowolnie przez tego ananasa, nadmienił pan, że Priwim podpisywał się pod pieczętką *Zarząd dóbr Bory*.

— Tak było istotnie — potwierdził Kochaut.

— A u kogo w przechowaniu znajduje się ta pieczętka?

— Są dwie identyczne pieczętki, proszę łaskawego pana: jedną ma panna Ewa, drugą ja...

— Aha...

— Której z nich Priwim użył przy swoich wekslach, nie wiadomo, bo szwendał się wszędzie, zarówno po mieszkaniu panny Ewy, jak i tutaj. Zresztą, cóż to jest pieczętka? Priwim mógł sobie zamówić trzecią u jakiego bądź grawera. Warto by tak z ciekawości przetrząsnąć jego pokój; może by się tam niejedno znalazło, myślę.

— Nic nie ma w jego pokoju — westchnął Rafał melancholijnie.

— Pan tam był? — Kochaut ożywił się nagle.

— Byłem, upoważniony do tego przez pannę Ewę.

— I co? I co?

— Nic, już powiedziałem panu. Zabrał z sobą wszystko do ostatniego świstka i guzika... Kopertę tylko jakąś znalazłem.

— Co pan mówi? Czystą, czy zaadresowaną do kogo?

— Zdaje się, że jakiś adres był, nie pamiętam, bo zirytowany zawodem, wyrzuciłem ją zaraz...

— Aha, aha. — Kochaut mimowolnie zatarł dłonie, a jego wzrok zdawał się mówić: *Bujaj słonia, że nie pamiętasz...* zaś oczy Rafała odpowiedziały mu natychmiast: *Ja wiem, że mi nie wierzysz i masz rację.* Pomimo to okłamywali się w dalszym ciągu, aż żalosne miauknięcie przypomniało reporterowi nowe zmartwienie Gładyszki.

— Słyszał pan już pewnie o najświeższej sensacji Borów — zaśmiał się — no, o nowej straszliwej krzywdzie Burusia.

Kochaut skinął głową potwierdzająco; słyszał, opowiedziała mu o tym służąca, która mu obiad tutaj przynosiła z kuchni... Widząc, że Rafał podchodzi ku oknu, powstał również i naigrawając się z narwanej opiekunki kotów, wychylili się obaj przez parapet okna.

— Kici-kiciiii — zakwilił reporter, wabiąc kocura, a coraz wyraźniejsze miauczenie oznajmiło im, że czworonożna ofiara tajemniczych psotników przedziera się w tę stronę przez krzewy malin ogrodowych.

Jakoż po chwili wychylił się z zarośli okrągły łebek i żółte zmrużone ślepia spojrzały pytająco na dwóch mężczyzn stojących w otwartym oknie. Nieborak błagał ich wzrokiem, by go uwolnili od uciskającej pętli, lecz jednocześnie był zdecydowany dać drapaka przy każdym ich podejrzanym ruchu, podobnie jak uciekał przed Amalią Pelagią Gładyszówną.

— Jego ślepia przypominają mi oczy pana Rojka.

— Racja — parsknął Kochaut, a przestraszony kocur cofnął się zaraz w zarośla — obaj mają całkiem żółte oczy.

— Spłoszył mi go pan — rzekł Rafał i zabrał się znowu do cierpliwego wabienia zalęknionego kota, zaś Kochaut, znudzony nieciekawym widowiskiem, zaczął się przechadzać po pokoju.

Wytrwałość reportera została nagrodzona sownicą. Kocur pozostał co prawda w obrębie cienia, rzuconego przez krzewy malin, ale wysunął się całkiem korpusem na odkrytą przestrzeń i na tle jego szarej sierści zabieliła się postrzępiona ćwiartka papieru, na której było coś nagryzmołone.

Rafał wychylił się mocniej za okno.

— Kici, kiciątko, kiciuś malutki śliczny — pochlebiał poszkodowanemu, gdyż nagle tknęło go przeczucie, że ten ogłupiały czworonóg jest pocztynionem jakiejś sensacyjnej wiadomości wypisanej na owej kartce zabrukanej papieru.

— Ech, co tam głupi kot, porozmawiajmy lepiej — burknął rządca z głębi pokoju lecz karcące: — Pssst — Rafała uciszyło go od razu. Nakreśliwszy dużo mówiące kółko na czole, podszedł cicho na palcach i stanął za plecami małego reportera.

A ten był już bliski rozwiązania zagadki. Ku swemu ogromnemu zdumieniu odczytał koślawy podpis na owej kartce: **Priwim**

— Priwim?! — mruknął półgłosem.

Nieufnymi podchodami zbliżał się kot ku oknu, klucząc, robiąc zawile zakręty, które utrudniały zaciekawionemu reporterowi lekturę poprzednich wyrazów listu przesłanego w tak niezwykle sposób z niewiadomego miejsca.

Rafał poczuł na karku gorący oddech Kochauta. Odwrócił głowę.

— Widzi pan? — spytał szeptem.

— Istotnie... jakaś kartka — odparł zapytany.

— To od Priwima.

— Od Priwima?! — wrzasnął zdziwiony pan rządca.

—Ciszej, do diabła!... O, teraz się odwraca... czytaj pan... psia krew, nie kręć się, głupi kocie.... o, teraz! *Ratujcie... jes... jestem... uwięziony...* stójże, bydle strachliwe! — zasyczał Rafał, bowiem zaledwie zdołał odczytać pierwsze wyrazy, kocur uskoczył w krzaki, przerażony nie wiedzieć czym. Odwrócił się reporter, jakby chciał wziąć towarzysza na świadka, że tchórzliwość czworonożnego listonosza uniemożliwia mu racjonalną lekturę kartki i dojrzał opadającą w dół dłoń Kochauta. — Czyżby to on go spłoszył umyślnie? — błysnęło mu podejrzenie, ale rozwiąła je natychmiast wielka gorliwość pana rządcy, który palił się formalnie, by schwytać kota i zdobyć ową kartkę.

— Musimy go złapać, proszę pana — mówił rozgorączkowany, biegnąc ku drzwiom. — Więc mówi pan, że tam było coś napisane? Jakże to: *Ratujcie, jestem uwięziony*, prawda?

— Pan nie widział? — zdziwił się reporter, śpiesząc w ślady swojego towarzysza.

Przeszło dwie godziny chodzili po parku, szukali, lecz na próżno. Kocur jakby się w ziemię zapadł, a kiedy wieczorem powrócił do kuchni, z kartki i sznurka nie było już ani śladu.

— No, jakże będzie? — spytał rządcą, gdy strapiiony reporter odwiedził go po kolacji. — Da pan znać policji o tej kartce?

— Powiniennem — westchnął Rafał — ale cóż, uwierzą mi to? Na nieszczęście, nikt prócz mnie nie zdążył przeczytać zdania, ach, choćby tylko tego jednego zdania: *Ratujcie, jestem uwięziony...* Pan naprawdę nie widział... nie odczytał ani słowa co?

— Jakbym co widział, to bym przecież nie ukrywał — obraził się zainteresowany, po czym dodał łagodniejszym tonem: — zresztą choćbyśmy tę kartkę schowali, to i co? *Ratujcie, jestem uwięziony*, dużo kto wie z tego. Ale gdzie uwięziony?

— Może w dalszej części tego pisma była kryjówka wymieniona?

— Ech, łaskawy panie. Kryjówka, gdzie by można więzić człowieka? To przecież bujda na resorach. Szpilkę można ukryć, ale człowieka? Gdzie, pytam, w pustych stodołach? Czy może w stajni, gdzie wszyscy fornale się kręcą? Nie, łaskawy panie. Jeśli tam było naprawdę coś takiego napisane, jak się panu zdawało, to był chyba głupi żart jakiegoś idioty. Priwim uwięziony gdzieś tutaj? A jego telegramy z Przemyśla i z Warszawy.

— Z Warszawy? Wiem tylko o depeszy z Przemyśla.

— No to niech się pan spyta panienki. Mnie sama mówiła o tym.

Argumenty chłopskiego rozumu Kochauta rozproszyły podejrzenia Rafała, ale tylko częściowo. Bo kiedy rozmyślał o tej historii później, w samotności bezsennej nocy, to mu się wydawało, że potrafiłby, gdyby chciał wobec Kochauta mówić szczerze... rozwalić gmach jego trzeźwych argumentów.

Więc najpierw owe telegramy. Nie listy, ale **telegramy**, a przecież depeszę może każdy wysłać i podpisać cudze nazwisko. Zatem tajemniczy prześladowca Priwima, nie tego paryskiego oczywiście, mógł nadać depesze z Przemyśla i z Warszawy, co więcej, mógł, jeśli był taki przewidujący, wypełnić na maszynie blankiety nadawcze, aby go pismo nie zdradziło kiedyś w przyszłości, gdy władze rozpoczną śledztwo.

Dalej, kryjówka więźnia. Nikt nie byłby oczywiście tak głupi, by zamykać jeńca w pustej stodole czy w którymkolwiek innym budynku folwarcznym, ale istniała tu w pobliżu świetna kryjówka... ruiny starego dworu! Dość silnym dowodem, że właśnie tam ukryto Priwima, był ulubieniec gospodyni, kocur; jego to spotkał Rafał w czasie pamiętnego błądzenia po pustych, zasypanych gruzem izbach opuszczonego dworu i jego też zapewne schwycił Priwim, zamknięty w jednej z dalszych piwnic. Którędy się tam kocisko dostało, to była jego kocia tajemnica, prawdopodobnie pierwszą lepszą dziurą, zbyt wąską, aby człowiek mógł się przez nią prześlizgnąć.

Inne osobiste wspomnienia Rafała z pobytu w starym dworze potwierdzały hipotezę o

porwaniu i uwięzieniu zagadkowego sekretarza nie mniej zagadkowego Augusta Turno. Owe jęki, krzyki, odgłosy szamotania, walki, które uznał za sen, całkiem usprawiedliwiony po „straszliwych” przygodach w Czarcim Jarze, były prawdopodobnie echem dramatu, jaki się w ową noc rozegrał, a jakiego Priwim był bohaterem.

— I właśnie w tę noc nieborak stąd „odjechał”, w dodatku tak dyskretnie, że nikt nie zauważył ani kiedy, ani jak, ani którędy i czyimi końmi. Bo przecież nie poszedł pieszo do Sambora z całym bagażem — rozmyślał Rafał Królik, przewracając się na łóżku z boku na bok.

W końcu zasnął z niezłomnym postanowieniem, że nareszcie raz musi zbadać do gruntu wszystkie piwnice starego dworu. Ale z tym zamiarem zasypiał stale, co noc, i nazajutrz odkładał denerwującą wyprawę do „Hadesu”, do następnego dnia, wynajdując sobie zawsze jakieś pilniejsze zajęcie...

A o tej samej godzinie, kiedy sen skleił powieki Rafała Królika, rozległy się w podziemiach starego dworu jęki mordowanego człowieka...

Rozdział XVIII

WSTRZĄSAJĄCY SEANS

W niedzielę, jak zazwyczaj, wybrała się Ewa do kościoła w Samborze, zabierając z sobą swojego gościa i Pietrka, który miał bryczki pilnować. W powrotnej drodze z kościoła do miejsca postoju bryczki Rafał Królik napomknął z żalonym westchnieniem, że pora mu już wracać do Warszawy, gdzie czeka nań tyle zajęć i prac rozpoczętych, oraz wyraził swój żal z powodu, iż nie udało mu się zdemaskować „ducha”, który tyle zamieszania narobił w Borach.

— Tylko z mej winy nie powiodło się panu, mistrzu, gdyż babski język Gładyszki, a pośrednio mój własny, rodzony, zdradził pańskie incognito, zaś sam dźwięk pańskiego nazwiska przepłoszył naszego upiora. Tak, tak, kochany mistrzu Baltazarze. Że przez czas pańskiego pobytu „duch” nie pokazał się ani razu, to wyłącznie pańska zasługa.

— Nie przeczę — uśmiechnął się ze skromnością, godną autentycznego Baltazara Szafrana — jednakże nie zabezpieczyłem pani na przyszłość. Drab, zabawiający się w upiora, może powrócić po mym wyjeździe.

— Niestety, mistrzu — westchnęła i posmutniała — tego się właśnie obawiam... I dlatego gorąco proszę, aby mi pan zapewnił spokój choćby przez tydzień jeszcze, dobrze? Zostanie pan, mistrzu? Chociażby do przyszłej niedzieli.

— Dla pani wszystko! — huknął i pochwyił dłoń dziewczyny, by na niej złożyć szarmancki pocałunek... Ale nie doszło do tego. Spłoszył go czyjś śmiech rubaszny i ciężki, piekący klaps, jaki mu spadł na zginające się plecy. Odwrócił szybko głowę i ujrzał Rojka w towarzystwie inżyniera Andrzeja Barskiego.

— Nie można powiedzieć, żeby pańska dłoń była lekka — zauważył Rafał kwaśno, żałując, że nie wypada sobie roztrzeć tego klapsa palącego jak ogień. Chciał nawet ostrzej przymówić nafcierzowi, lecz zrezygnował pośpiesznie, dostrzegłszy złe błyski w jego oczach, drapieżnych, podkrążonych dużymi obwódkami i dziwnie kontrastujących z pulchną, roześmianą szeroko twarzą. Bowiem Rojek rżał jeszcze swym charakterystycznym śmiechem, głośnym, a jednak wybitnie nienaturalnym, dzwoniącym całą gamą fałszywych tonów.

— Przerwaliśmy sielankę, inżynierze, he, he, he — zwrócił się do milczącego towarzysza, który wpatrywał się w Ewę z widocznym uwielbieniem. Powiadam panu, że przychodzimy jak Piłat w Credo... Paż chciał właśnie ucałować dłoń dumnej księżniczki, a tu diabli nadali dwóch nafcierzy... Ale może wybaczycie nam państwo, skoro oznajmię, jaką niespodziankę szykuję dla was na dzisiejszy wieczór.

— Jakaż to niespodzianka? — spytała Ewa Turno z grzeczną ciekawością, bowiem wymowny wzrok Andrzeja powiedział jej już, że niespodzianka Rojka pokrzyżuje im plany wycieczki, jaką zamierzali dziś zrobić we dwoje.

Nafcierz zrobił minę niezmiernie tajemniczą.

— Proszę zgadywać — droczył się.

— Nie zgadnę na pewno.

— Seans spirytystyczny! — obwieścił, zacierając dłonie. — A co? Tego się pani nie

spodziewała, co? Mam nadzwyczajne medium, nawiasem mówiąc, wyznania mojżeszowego, ale to chyba pani nie robi różnicy, prawda? Przywiozę go z sobą i na powrót zabiorę... Tak, tak, jest to tutejszy jegomość, młody chłopak, „robiący” oczywiście w handlu. Opowiem pani teraz, wśród jakich okoliczności jeden z moich znajomych odkrył w nim mediumiczne własności.. Kapitalna historia.

Ruszyli ku postojowi wehikułów w dwie pary, przodem Ewa z Rojkiem, opowiadającym jej swoją „kapitałną historię”, za nimi Barski z Rafałem, którego szczerze ucieszyła perspektywa uczestniczenia w seansie, bowiem nigdy jeszcze takiego „kawału” nie widział. Był z góry przeświadczony, że to są kawały, sztuki, kuglarstwa, niemniej nie zamierzał rezygnować z widowiska.

— Pan także przyjdzie? — zagadnął nierozmownego towarzysza.

— Owszem — odparł inżynier Barski — panna Ewa zaprosiła mnie do Borów jeszcze w ubiegłą niedzielę. Mieliśmy zrobić małą wycieczkę konno, ale to pewnie nie dojdzie do skutku przez ten seans — dodał, posławszy niechętnie spojrzenie szefowi, który dotrzymywał Ewie towarzystwa.

Jednakże konna wycieczka we dwoje doszła do skutku, bowiem Rojek naznaczył swój przyjazd z nowo odkrytym medium dopiero na dziesiątą wieczorem, usprawiedliwiając się nawałem pracy, że wcześniej przybyć nie może. Było to wszystkim na rękę, a zwłaszcza już zakochanym, których Rafał ofiarnie, acz z sercem zboliałym, zwolnił od swego towarzystwa w przejażdżce w okoliczne lasy.

— Jedźcie państwo... jedźcie sami — zachęcał ich, kiedy z wątpliwą skwapliwością namawiali go, by zademonstrował swoje kawaleryjskie umiejętności — mam straszną migrenę i najlepiej, jeżeli się zdrzemnę troszkę.

Począwszy od kolacji żył dwór w Borach pod znakiem seansu spirytystycznego. Więc Amalia Pelagia Gładyszówna zabarykadowała się w swym pokoiku wraz z Burkiem, z kucharką, z kropidłem i flaszką święconej wody, jaka pozostała jeszcze od Wielkanocy, więc dwie młode dziewczyny „dochodzące”, aby pomagać w kuchni, wyniosły się do czworaków, aby nie przebywać pod tym samym dachem, pod którym będą się działy rzeczy straszliwe, więc Rafał na spółkę z Kochautem sprowadził z karczmy litrową butelkę starki i w apartamentach pana rządcy uraczyli się nią aż do dna, aby dodać sobie odwagi na wypadek konfliktu z nadziemskimi mocami, więc w końcu Ewa i Andrzej Barski przyciemnili światło w saloniku bardzo wydatnie i zasiedli razem na kanapce, pragnąc snadź skupić się odpowiednio przed seansem.

— Przykro mi, że nie mogę zaprosić Kochauta — rzekła Ewa, zanim jeszcze nastąpiło owo milczące skupienie — ale wobec twojego szefa byłby zbyt małą personą, co? Rojek jest bardzo uważający i, o ile zdołałam zauważyć, nie znosi patriarchalnych stosunków, którym ja hołduję.

Wreszcie, koło wpół do jedenastej zajechała limuzyna nafcjarza. Przeprosiwszy panią domu za spóźnienie, przedstawił jej Rojek swoje medium

— Oto pan Aaron Rosenduft, wobec którego nieboszczyk Guzik znaczyłby guzik — zahuczał tubalnie, wygłaszając „dowcip”, który jeszcze w samochodzie sobie obmyślił.

— Rosenfeld — poprawił cichuteńko przybyły, rozdając wokoło ukłony. Był to szczupły, mizernie wyglądający młodzieniec, cichy, nieśmiały, ale przykuwający uwagę i budzący zainteresowanie swą uduchowioną twarzą, a przede wszystkim oczyma. Oczy miał nieładne na pierwszy rzut oka, zbyt wielkie, niemal wyłupiaste jak ryba, lecz jakże przy tym wyraziste i bezdenne. Ewa, patrząca na młodego izraelitę z równą ciekawością, z jaką oglądałaby nieznany okaz fauny tropikalnej, doznała uczucia dziwnego lęku, kiedy z kolei na nią spłynęły nieruchawe spojrzenia tych wodnistych, wyblakłych oczu.

— To rozumiem — ucieszył się Rojek, dostrzegłszy butelkę koniaku na kredensie i półmisek z sandwiczami — zrobimy najpierw malutki seansik spirytusowy, a potem wielki spirytystyczny, he? Panie Rosenduft...

— Rosenfeld — wyszeptał młodzian błagalnie.

— Niech będzie: feld... Dostał pan mój list? — spytał cichuteńko Rafała, który otarł się o niego w tym momencie, bowiem chodził trochę niepewnie po wstępnym „seansie” u Kochauta.

— Jaki list?

— Pssst. To widocznie jeszcze go panu nie doręczono — wyjaśnił, dostrzegłszy zdumioną minę Rafała.

Kiedy przetrącili coś niecoś, Rojek oświadczył Ewie, że od tej chwili obejmuje dyktaturę, jako ten, który prowadzi seans.

— Musimy szczerze pozasłaniać okna brzmiał pierwszy rozkaz, wykonany przez Rafała z pomocą Barskiego bo duchy lubią światło księżycowe tylko w poezji. W rzeczywistości ich żywiołem jest ciemność.

Wybrał okrągły stolik, ustawił go mniej więcej w środku saloniku, a dokoła przystawił pięć fotelików. Potem powyznaczał miejsca w następującym porządku: medium, Rafał, Andrzej, Ewa i on sam, czyli medium miało siedzieć pomiędzy nim a Rafałem, którego to wyróżnienie napełniło porządnym strachem. Obiło mu się już dawno o uszy, że na seansach bywa najgoręcej koło medium, więc aż go ciarki przeszły, kiedy dotknął palcem chłodnej, lekko wilgotnej dłoni sąsiada.

— Pan zajmie się światłem — rzekł Rojek w stronę Barskiego — Tylko zaznaczam stanowczo, że nie wolno bez mego zezwolenia robić iluminacji. Każde przerwanie łańcucha wyczerpuje ogromnie medium.

Wierzyli we wszystko święcie, bowiem tak Barski, jak Ewa i Rafał uczestniczyli po raz pierwszy w takim spektaklu.

Kiedy już wszystko było gotowe. Rojek wskazał Barskiemu kontakt. Inżynier wstał, skreślił światło, po omacku dobrnął do stołu i połączył swe dłonie z łańcuchem rąk pozostałych osób. W absolutnym milczeniu upłynęło kilkanaście sekund, może minut kilka, aż Rojek przemówił półgłosem:

— Możemy rozmawiać, byle szeptem. Cisza pewnie panią denerwuje, panno Ewo?

— Och nie; bawi mnie to wszystko, jako coś niezwykłego.

— A mnie troszkę denerwuje — uśmiechnął się Rojek — może właśnie dlatego lubię seanse. Dostarczają pewnej emocji nerwom, stępionym www...

— Pssst syknął Rafał... Coś westchnęło.

— To nasze medium — uspokoił go Rojek — proszę patrzeć na moje cygaro. Dla ludzi lękających się mroków, nawet taka parodia światła będzie dużym odprężeniem napiętych nerwów.

— Nie boję się ciemności — oburzył się reporter, ale od tej pory patrzył, jak w tęczę, w rozżarzony koniuszek Rojkowego cygara.

Prócz Rojka nikt głosu nie zabierał, więc znowu zaległo milczenie, zakłócanie sporadycznymi westchnieniami Rosenfelda, który podobno zasypiał. I w tej ciszy w uszach dzwoniącej, w tych mrokach zaczęło się coś dziać nareszcie, wylęły się niewyraźne szmery, szelesty, oczekiwane przez całe grono z utęsknieniem i z jeszcze większą trwogą. Jakiś zimny podmuch wionął od ścian, podnosząc Rafałowi na głowie wszystkie włosy, jakiś daleki łoskot oznajmił zebranym, że Niewidzialni spieszą w te strony, zakłęci snadź wysiłkiem zbiorowej woli pięciu osób! — Czterech, czterech! — myślał reporter w przerażeniu — tylko czterech, ja wcale nie chcę!

— Jest! — zahuczał niski, przyciszony głos Rojka... — Przyszedł już, zdaje mi się... Czy ktoś z państwa czuje coś?

— Ja, ja, ja — wyjąkał Rafał.

— Dotyki?

— Dotyki? — powtórzył za Rojkiem, nieco ośmielony. — Nie, czosnek!

Ewa parsknęła śmiechem, za nią Barski, w końcu Rafał także, ale Rojek poprosił stanowczo, by zachować powagę, na jaką eksperyment zasługuje. Na Rafała podziałało najskuteczniej zapewnienie, że nic tak duchów nie irytuje, jak pokpiwanie z nich, że mszczą się często z wielką złośliwością.

— Ależ ja wcale się nie śmieję — zabełkotał przerażony perspektywą zemsty duchów — pytał pan czy coś czuję, a że od mego sąsiada czosnek zaleciał troszeczkę, więc...

— Proszę o spokój przerwał nafciarz głosem poirytowanym.

Nie potrzebował prosić, gdyż w tej chwili zatrzeszczało coś okropnie w przyległym pokoju i zaległa cmentarna cisza.

— Ach!... nie, co to?! — krzyknęła Ewa nagle, a pod Rafałem podłoga się ugięła, przywalona głazem trwogi. Ewa wyjaśniła drżącym głosem, że coś musnęło ją w głowę. Natychmiast Rafał odczuł to zjawisko na sobie i dopiero przyjazny ucisk palca Andrzeja przywrócił jego rozkołysaną odwagę do stanu jako takiej równowagi.

Lecz nie na długo!

Zagadkowe zjawiska zaczęły się rozwijać w przerażającym tempie. Coś, jakby chusteczka jedwabna, musnęło kolejno wszystkie twarze, coś zastukało w blat stolika od spodu, coś zrzuciło wazonik z okna, wreszcie coś wyrznęło Rafała w kark tak potężnie, że nosem w stół cmoknął i wrzasnął.

— Proszę o spokój — upomniał Rojek — jeszcze nic poważnego.

— Ładna perspektywa — jęknął reporter.

— Jesteśmy zaledwie na wstępie zwyczajnych przejawów emanaaaaa...

— Ach! — Ewa znowu krzyknęła i zaczęła prosić, aby zaświecić lampę. Twierdziła stanowczo, że coś ją mocno uszczypnęło w szyję.

— Jeżeli pani już tchórzy, panno Ewo, to możemy zapalić.

— Proszę nie zapalać! — odparła, zadraśnięta w swej dumie. Ona tchórzy, słyszane rzeczy? Ona, która sam na sam znalazła się z straszliwym upiorem i walczyć z nim chciała, ona miałaby teraz stchórzyć? Za nic!

Przyciszonym głosem zaczął Rojek opowiadać przebieg pewnego seansu, na którym zjawy materializowały się tak wyraźnie, że nieomal rysy ich twarzy można było rozpoznać. Oczywiście, że te historie wzmagały niesamowitość nastroju, co szczególnie reporter na swojej skórze odczuwał. Już nie rozróżniał, co było produktem niezrozumiałych zjawisk, a co wytworem jego rozgorączkowanej fantazji. Jeden zmysł, który go nie zawiódł, to był wzrok. Wzrok miał zbiegiem okoliczności najłatwiej przyzwyczajający się do mroków z tej piątki lub raczej czwórki, bo medium nie wchodziło w rachubę, pierwszy też zaczął w ciemnościach odróżniać kontury różnych przedmiotów, zwłaszcza takich, których barwa silnie kontrastowała z tłem. Z wielką radością stwierdził, że dostrzega na ciemnym tle stolika białe zarysy swoich rąk, potem swoich sąsiadów. Liczył w myśli... — Dziewięć? — zdumiał się i zaczął liczyć od początku. Nic nie pomogło. Na pięciu ludzi, trzymających na stoliku obie ręce, majaczyło w mrokach tylko dziewięć jaśniejszych, podłużnych plam, dziewięć dłoni. - Zamiast dziesięciu!

Zastanawiał się właśnie głęboko nad tajemniczym zniknięciem czy zdematerializowaniem się jednej dłoni, gdy otrzymał drugiego szturchańca w kark, jeszcze mniej „uduchowionego” niż pierwszy... — Uj — jęknął. Rojek spytał go, co zaszło. Spytał spokojnie, rzeczowo, lecz mimo

swojego strachu wylapał Rafał w brzemieniu tego pytania nutę szelmowskiego zadowolenia. — Czyżby on sobie „pomagał” w seansie jedną ręką, jak niegdyś Guzik? — pomyślał Rafał i postanowił obserwować figlarnego spirytystę.

Ale w parę sekund później zadźwięczały kieliszki, stojące na kredensie, który znajdował się zbyt daleko od stolika, aby najdłuższe ramię mogło tam sięgnąć, a potem powtórzyły się najrozmaitsze szmery pod ścianami, przy oknie, ba, na suficie, i rozpoczęły się denerwujące dotyki. Niewidzialne ręce obejmowały Rafała w pół, jednocześnie chwyciły go za nogi, którym galareta mogłaby drgawek pozazdrościć, a w tej samej chwili Ewa wydawała stłumione okrzyki przestraszenia i nawet Andrzej Barski pochrząkiwał niepewnie, snadź i oni zaznawali rozkoszy „obcowania z duchami”.

Bardzo powoli oswajał się Rafał z tymi niesamowitościami, ale szybciej pracowała jego myśl. Rozumował w ten sposób: — To nie duchy! Szczytem głupoty byłoby sądzić, żeby dusze ludzi zmarłych, dusze wyzwolone z wad i namiętności ciała, dusze, które być może patrzą już w słoneczne oblicze Niepojętego, ... żeby one nie miały nic lepszego do roboty, jak biegać z seansu na seans, pukać w stoliki, dzwonić w kieliszki lub zgoła w naczynia stojące pod łóżkiem i dostarczać dreszczyków emocji ludziom, żadnym nowych, nieznanym wrażeń. Z drugiej jednak strony nie można zaprzeczyć, że na seansach dzieją się rzeczy niezwykle, niepojęte, niezrozumiałe dla rozumu ludzkiego... na razie! Że istnieje tajemnicza siła, która dźwiga i przenosi różne przedmioty mocą niezbadaną.. na razie! Ale czyż nasza poczciwa elektryka, oświetlająca olbrzymie metropolie i poruszająca warsztaty pracy, czyż radio, telefon i tym podobne cuda współczesnej techniki nie przeraziłyby sympatycznego pana Zagłoby? Czy nie uznano by ich wtedy za szatańskie praktyki, czy nie wyklęto by wówczas genialnych wynalazców i nie spalono ich na stosie? Murowanie tak! A więc można spokojnie oczekiwać, że geniusz ludzki rozwiąże kiedyś zagadkę tak zwanego spirytyzmu i może nawet spożytkuje do celów praktycznych tajemniczą siłę, promieniującą z jednostek obdarzonych mediumicznymi własnościami, czy też z wysiłku zbiorowej woli grona ludzi. A zatem — reasumował dzielny reporter — niepotrzebnie się spietrałem. To, co się tutaj dzieje w tej chwili, to tylko przejawy owej niezbadanej na razie siły, z której pomocą moje wnuki (doczekasz się chyba potomstwa, Rafałku) będą sobie domy przenosiły na lotnisko i z powrotem gratis i franco, a zjawiska bliższe, zwłaszcza te złośliwe szturchańce, to kawały jowialnie usposobionego Rojka, któremu za chwilę się zrewanżuję. A duchy, to bluff, humbug najzwyczajniejszy.

Bardzo nieznacznie, ostrożnie i powoli zaczął Rafał przysuwać dłonie do siebie tak, aż prawa skryła się pod lewą. Wówczas wsunął kciuk prawej dłoni pod mały palec lewej ręki śpiącego izraelity i nie przerywając łańcucha, uwolnił sobie lewą rękę. Teraz wyciągnął ją za plecami medium, nisko schylonego nad stołem, pedantycznie obliczył odległość dzielącą dłoń od głowy nafcjarza i palnął go uczciwie w potylicę.

— Hhhaaa! — charknął Rojek chrapliwie.

— Co się stało? — spytał Rafał współczująco.

— Dotyki!

— Aha... Jednak pana to także denerwuje.

— Mówiłem przecież, że mnie denerwuje nawet bardzo.

— Więc po co...

— Bo lubię te dreszczyki, te emocje — wtrącił ostro.

Reporter zaaplikował mu drugiego klapsa, aby zwrócić uczciwie, co stamtąd odebrał, po czym musnął go pieścotliwie po ramieniu. Uśmiechnął się zwycięsko. Słusznie przewidywał, że Rojek „pomaga” serio śpiącemu medium. Prawa dłoń nafcjarza nie spoczywała na stole, lecz tkwiła w kieszeni marynarki i zadygotała wyraźnie, kiedy palce reportera zaczęły się ku niej

zsuwać po rękawie marynarki. Rafał miał teraz tyle tupetu, że zjechał niżej, aż do szerokiej kieszeni i nagle cofnął dłoń z przerażeniem. Namacał rewolwer. Drżące palce nafcjarza ścisnęły broń, a wskazujący palec przylegał do twardego cyngla. Przestraszony tym odkryciem, poniechał Rafał natychmiast swych figli i włączył lewą rękę do łańcucha rąk, leżących na podrygującym sporadycznie stoliku. — Ten narwany zwolennik spirytystycznych doświadczeń gotów mnie postrzelić w zdenerwowaniu — usprawiedliwił szybki obrót przed sobą samym i postanowił ograniczyć się do roli obiektywnego obserwatora. — Faktem jest, że to nie duchy — zapewniał się, posłyszawszy głośny łoskot, dochodzący z sieni.

— Słyszeli panowie? — spytała Ewa szeptem.

— Tak.

— Ooo, znowu!

Trzasnęły drzwi wiodące z sieni do przyległego pokoju, w którym z kolei zabrzmiały odgłosy ciężkich kroków.

— Idzie tutaj — wyrębał Rojek nieswoim głosem.

— Nononnsens — zadzwoniły zęby Rafała. — Duchów nie ma wcale, jest tylko niezbadaaa... — umilkł, gdyż w tym momencie rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi. Trzy silne stuknięcia w równych długich odstępach, a po nich cisza przeraźliwa, zapierająca oddech w krtani.

— Wejdz, ktokolwiek jesteś i skądkolwiek przybywasz — wykrztusił Rojek, wypychając z widocznym wysiłkiem słowa, uwięzłe w gardle.

— Seans zapowiada się ciekawie — rzekł Andrzej Barski, pragnąc uspokoić Ewę, bowiem przylgnęła odruchowo do jego ramienia i wyczuł drżenie jej dłoni — proszę się nie lękać, panno Ewo — wyszeptał. Przy ludziach nie mówili sobie na ty, konspirując się jak każda młoda para.

— Wejdz, skoroś przyszedł! — zawołał nafcjarz uroczyście.

Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, starając się przeniknąć nieprzebyte ciemności, ale tylko Rafał dojrzał mglisty prostokąt drzwi, odbijający niewyraźnie od ciemniejszego tła ściany. I zadygotał mimo przeświadczenia, że duchy nie składają wizyt spirytystom, kiedy połowa drzwi, czyli jedno ich skrzydło zniknęło, pociągnięte snadź na zewnątrz, a potem zerwało się z głośnym łoskotem.

— Przyszedł! — oświadczył Rojek, głosem już znacznie spokojniejszym, snadź opanował się albo zrozumiał, że jako prowadzący seans musi innym świecić przykładem odwagi; tak przynajmniej sądził Rafał, zazdroszcząc nafcjarzowi zimnej krwi.

— Myśli pan?

— Na pewno, inżynierze. Czyż nie odczuwacie państwo obecności jakiejś zjawy czy jak to nazwać... w pokoju?

— Hm, nic nie widzę.

— Ooo, westchnęło coś — wyszeptała Ewa. Inni także posłyszeli to ciężkie westchnienie, dobiegające skądś od drzwi. Znowu rozległo się pukanie trzykrotne, głośne, potężne, a kiedy echa tych trzech łoskotów rozpełzły po kątach pokoju i skonały, zadudniły ciężkie, powolne kroki.

— Idzie ku nam!...

— Może przerwiemy seans? — spytała Ewa prosząco.

— Teraz? — Rojek powiedział to głosem tak zgorszonym i oburzonym, że nie należała więcej, tylko jeszcze bliżej przysunęła się do Andrzeja. I nie oglądała się już w stronę drzwi, wolała tam nie patrzeć.

Tajemniczy przybysz postąpił cztery kroki i przystanął. Rafał, którego gmach poglądów

na istotę zjawisk mediumicznych rozsypał się w gruzy, widział olbrzymią, ciemną sylwetkę, i zapadł się w swój fotelik, żałując, że nie może zapaść się pod ziemię. Głowa prawie dosięga powały, zdołał pomyśleć i nagle wrzasnął przeraźliwie. Wysoko, tuż pod sufitem zabłysły dwa oślepiające światelka, a w półmroku, jaki wniosły do pokoju, zamajaczyły kontury ohydnej gęby pozbawionej nosa, ziemistej, prawie zielonkawej, jak u wisielca.

— Spokojnie — upomniał Rojek, choć jego głos wcale nie brzmiał spokojnie — zjawa materializuje się, jak tego pragnęliśmy.

— Ja? — oburzył się Rafał. — Ja wcaale nie chciaałem!

— Nie oglądaj się, błagam — wyszeptał Andrzej Barski, przysuwając usta do atlasowego uszka dziewczyny. Skutek takiego upomnienia musiał być opłakany, bo wiadomo, co znaczy dla płci ciekawej, zwanej niewłaściwie słabą płcią... zakazany owoc. Zaintrygowana, skąd przychodzi nagle rozjaśnienie mroków w pokoju, zdopingowana zakazem i przestrogą Andrzeja, odwróciła głowę czym prędzej, a w tym samym momencie rozwarła się paszcza upiora i zabłysły fosforyzującą jasnością olbrzymie kły aż do szczęk obnażone. Jak wówczas, jak w ową noc pamiętną, kiedy odważna dziewczyna strzelała dwukrotnie do niesamowitego intruza.

Medium poruszyło się gwałtownie i zaczęło wzdychać raz po raz, jak gdyby się budziło z głębokiego snu.

Wśród grobowej ciszy rozległ się suchy, metaliczny szczęk i niemal równocześnie z paszczy upiora trysnęła kaskada szatańskiego śmiechu.

Jak wówczas, jak w ową noc pamiętną! I jak wówczas nerwy Ewy Tumo nie wytrzymały próby.

— Jezus Maria! — wrzasnęła. Zerwała się i runęła zemdlona twarzą na stolik.

— Dość! — krzyknął Andrzej kategorycznie. — Światła, prędzej na Boga!...

— Stać! — sprzeciwił się Rojek, lecz Rafał już pędził w stronę kontaktu. Potknął się o skraj dywanu, wyrznął czołem w ścianę i obejrzawszy się trwożliwie, dostrzegł powolną rejteradę ducha ku drzwiom. Z gorączkowym pośpiechem suwał dłońmi po ścianie, aż znalazł kontakt. Kiedy go przekreślał, przemknęło mu przez myśl, że za sekundę rozstrzygną się wszelkie wątpliwości, czy ulegli wspólnie złudzeniu, czy naprawdę ktoś szósty znajduje się w pokoju.

Struga oślepiającego światła lunęła z trzech silnych żarówek, tworzących razem duży liść koniczyny. W przelotnym, odrętwiałym spojrzeniu ogarnął Rafał całą sytuację... Andrzej Barski podnosił Ewę, zsuwającą się bezwładnie ku podłodze, młody Rosenfeld kiwał się, jakby przy modlitwie w bóżnicy i dłońmi zakrywał sobie oczy, odwykłe od światła... Mateusz Rojek spoglądał nieustraszenie ku drzwiom, w pozycji tygrysa, gotującego się do skoku, a tam, tuż pod zamkniętymi drzwiami stał prawdziwy wielkolud w długim szynelu rosyjskim i czapie ogromnej nasadzonej z fantazją na podłużny, nadludzko wielki łeb. Są duchy jednak — wyszeptał Rafał z pokorną rezygnacją i zsunął się po ścianie do pozycji siedzącej.

Rozdział XIX

STRZAŁ I POCAŁUNEK

Mateusz Rojek zerwał się od stolika tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

— Giń łotrze! — ryknął, wyrwawszy błyskawicznie rewolwer z kieszeni.

Huknął wystrzał.

— O rrrany — zawył „duch” głosem zupełnie ludzkim. Postąpił dwa kroki naprzód, zasłaniając się rękoma, lecz druga kula zwała go z nóg. Rymnął jak długi na podłogę, a niesamowity łeb z wetkniętą nań czapą oderwał się siłą gwałtownego upadku, odsłaniając zwichrzoną czuprynę włosów i tył głowy, prawdziwej głowy przebranego.

Rojek, nie panując snadź więcej nad sobą, przyskoczył z wyciągniętym rewolwerem, zamierzając więcej kul wpakować w ciało przybysza, lecz przeszkodził temu Andrzej Barski.

— To człowiek, dyrektorze — perswadował.

— Łotr, zbrodniarz, podpalacz! — pieniał się nafciarz, odpychając brutalnie inżyniera.

Opamiętał się w końcu i chodząc nerwowo po pokoju, powtarzał w kółko: — Więc to był ten upiór, terroryzujący Bory, więc to był ten upiór! — Zatrzymał się nagle przed Rafałem, który, jak usiadł na podłodze w chwili zapalania światła, tak siedział nadal w tym samym miejscu, dzwoniąc zębami i tocząc mętne spojrzenia wokoło. — Kto to jest właściwie? Trzeba by zobaczyć — rzekł, podając łaskawie dłoń reporterowi. Podniesiony z podłogi, podreptał Rafał w stronę stołu i stamtąd zerknął nieśmiało na leżącego. — Bliżej, panie, bliżej, on już nikomu krzywdy nie zrobi — syknął Rojek zjadliwie, popychając ostrożnego reportera.

Ruszyli we trójkę, bo Rafał pociągnął z sobą bladego jak trup Rosenfelda i razem pochylili się nad bezwładnym ciałem. Odwrócili je wspólnymi siłami i reporter odskoczył wstecz bezgranicznie zdumiony.

— Kochaut?!

— Istotnie, to Kochaut powtórzył Rojek, okazując również wielkie zdziwienie. Kto by przypuścił, że to on?

— A ja myślałem...

— Co pan myślał? — spytał Rojek skwapliwie.

— Ja myślałem początkowo, że Priwim robi te maskarady.

— Był pan zatem na fałszywym tropie — odparł Rojek, pochylając się nad zdemaskowanym upiorem. — Nie żyje — obwieścił z westchnieniem.

Rafał Królik także westchnął, lecz z innych powodów.

— Szkoda — rzekł — teraz już nie dowiemy się niczego.

— Czegóż się pan jeszcze chce dowiadywać. Oto najlepszy dowód, że on był tym, który psy wytruł, i dwór usiłował podpalić i domowników terroryzował łajdackimi maskaradami.

— Tak — przyznał reporter ale to nie rozwiązuje mi jeszcze wszystkich zagadek.

W tej chwili Andrzej Barski przyłączył się do ich grona. Ocucił Ewę, która siedziała teraz w fotelu i wzrokiem pełnym zgrozy spoglądała na swojego rządcę. Pochylił się nad nim Andrzej, przykleknął, ostrożnie rozpiął płaszcz żołnierski i zaczął badać, czy nie wyczuje jakiejś iskierki

życia w Kochaucie.

— On nie żyje na pewno — upierał się Rojek.

— Tak — Rafał skinął oczyma potwierdzająco i zadarłszy głowę, jął głośno wciągać powietrze przez nos — mam wrażenie, że już się rozkłada... Czuje pan? — zwrócił się do nafcjarza.

Rojek zaczął także węszyć, zdziwiony tak nieprawdopodobnie szybkim tempem rozkładu trupa, i nagle odtrącił łokciem medium, słaniające się i bliskie omdlenia na widok krwi.

— Wstydziliby się pan, panie Rosenduft — syknął cicho.

— Rosenfeld.

— Hosenduft! — huknął nafcjarz, wskazując mu drzwi, ku którym izraelita ruszył teraz posłusznie, krokiem brzemiennej żyrafy.

— A jednak on jeszcze nie umarł — oświadczył Andrzej po dłuższej chwili i skinął na Rafała, by mu podał karafkę z wodą.

— Może mu sprowadzić księdza — wyszeptła Ewa.

— Najpierw lekarza — dodał Barski, lecz Rojek krzyknął z błyskiem dzikiej zaciętości w oczach:

— Policjanta przede wszystkim! — Dostrzegł snadź, że Ewa skrzywiła się z niesmakiem, bo dodał łagodniej: — Wszystko można załatwić za jednym zamachem. Inżynierze zwrócił się do Barskiego — proszę wziąć moje auto i przywieźć lekarza oraz księdza, jeśli uważacie państwo, że taki niewdzięczny łotr zasługuje na to. Niech pan jedzie przez wieś Rozłąki i wstąpi po drodze na posterunek policji. Międoła musi tu przyjść osobiście i spisać protokół. Bądź co bądź popełniłem zabójstwo i muszę ponieść konsekwencje tego czynu. Na szczęście wy wszyscy byliście świadkami zajścia, prawda? — skłonił się uprzejmie w stronę Ewy i Rafała.

— Tak jest — oświadczył reporter. — Pan jest zupełnie w porządku, panie Rojek — dodał, klepiąc ugrzecznionego nagle nafcjarza protekcjonalnie. — Ja sam chciałem właśnie strzelić do tego łajdaka, ale wyprzedził mnie pan o dwie sekundy.

— Taaak? — ucieszył się Rojek. — No, proszę, samiście państwo słyszeli... Nikt tedy nie powinien się dziwić, że mnie nerwy odmówiły posłuszeństwa i że strzelałem, czego teraz szczerze żałuję.. Należało tego draba żywcem schwytać — dodał, spoglądając nienawistnie na Kochautę. — No, drogi inżynierze, proszę w drogę. Ja tu zostanę, aby mój odjazd nie wyglądał na ucieczkę. Nie! — rzekł dumnie, klepiąc się potężną łapą w pierś. — Nie odejdę stąd, póki mi na to przedstawiciel bezpieczeństwa publicznego nie zezwoli... A pani, panno Ewo, zrobi najlepiej, jeżeli się natychmiast położy do łóżeczka. Międoła może panią jutro przesłuchać.

Zaprotestowała, lecz ustąpiła w końcu, kiedy spotkała żalony wzrok inżyniera. Żalony, bo Andrzejowi wydało się nagle, że kto, jak kto, ale on właśnie powinien zostać przy Ewie po tych wstrząsających wypadkach... Przynaglony dogadywaniem zniecierpliwionego szefa pospieszył na stryszek, zamierzając przywołać do Ewy Gładyszkę albo którą ze służ, lecz na próżno kołatał do drzwi zabarykadowanych od wewnątrz szafą i piramidą krzesel.

— Idź precz, szatanie! — zabrzmiał uroczysty ale skrzypiący od strachu głos dwojga imion Gładyszki. — Nie będziesz kusił służ bożych, czarcie, a ty święty Michale któryś zmógł moce piekielne... Buruś, choć tu robaczku maleńki... któryś zmógł moce piekielneeee...

— Bodajbyś pękła, historyczko! — krzyknął inżynier i zawiedziony, powrócił czym prędzej na dół. — Niech pan czuwa nad panną Ewą — szepnął w ucho Rafałowi i uściskał mu dłoń siarczyście.

— Jeszcze pan nie pojechał? zżymał się Rojek.

— Szukałem szofera — bąknął.

— U tej dewotki na strychu — parsknął mu w twarz.

Szofera znalazł Andrzej aż w czworakach i w dwie minuty później odjechał, zabierając z sobą Rosenfelda, który uparł się, że musi natychmiast odjechać. — Ja swoje zrobiłem i swoje zarobiłem, a ze strzelaniem nie chcę mieć żadnej styczności w ogóle! — oświadczył kategorycznie. Andrzej nie oponował, nie chcąc tracić cennego czasu, był zresztą pewny, że komendant Międoła przywiezie tu medium na powrót, nie pytając go o zgodę.

Rafał Królik odprowadził Ewę do jej sypialni, odprowadzony nawzajem aż do drzwi saloniku błyszczącym wzrokiem Rojka, po czym zaraz powrócił.

— Panna Ewa położyła się spać? — spytał nafcjarz, częstując reportera cygarem.

— Obiecała mi, że się położy, ale wątpię, by zasnęła po tych wypadkach.

— Tak, tak, narobiłem jej kłopotu, lecz z drugiej strony powinna mi być wdzięczna, że ją uwolniłem od tego łotra... Nie uważa pan?

— Oczywiście, że powinna być panu za to wdzięczna.

— Ale pan nie, co? He, he, he.

— Dlaczegoż to, ja nie?

— Bowiem zdemaskowanie upiora było pańskim zadaniem, kochany mistrzu Baltazarze.

— To prawda — westchnął Rafał, pojmując, że obecnie stracił wszelką rację do dalszego korzystania z gościny Ewy — ale cóż, ja nie miałem szczęścia. Nigdy tego draba nie widział w przebraniu upiora, aż dzisiaj dopiero. Inaczej byłbym pana uprzedził na pewno. O, ja strzelam bajecznie!

— Wierzę, wierzę; któż ma strzelać mistrzowsko, jak nie Baltazar Szafran, pogromca tylu bandytów — potakiwał nafcjarz zgodliwie, obracając w rękach ogromny łeb upiora, zrobiony z papierowej masy... — Takie maski widuje się na Riwierze w czasie karnawału — objaśniał Rafałowi, który z kolei zainteresował się głową upiora, szukając na niej śladów dawniejszych kul, śladów kul Ewy.

— Jednakże ona nie chybiła — zauważył z podziwem, pokazując Rojkowi małe otworki, wyrzeźbione przez kule. — A tutaj pan Kochaut zainstalował sobie małą elektrownię z suchej baterii. Za naciśnięciem guzika zapalał lampeczki umieszczone w oczodołach oraz trzecią lampkę w paszczy.

— Wie pan co? — zaczął znów Rafał po dłuższej chwili milczenia — mnie się jednak zdaje, że z bukietu skomplikowanych zagadek tylko najprostszą rozwiązały pańskie celne kule, panie Rojek.

— Celne kule? Jak to, więc strzelałem więcej razy?

— Naturalnie! Dwa razy pan wystrzelił.

— Co pan mówi! Byłbym przysiągł, że raz tylko... Oto jeszcze jeden dowód, w jakim nastroju nerwowym się znajdowałem, kiedy pan zapalił światło i kiedy mimo to zjawa, bo uważałem go za zjawę... nie zniknęła.

— Tak, tak, nie tylko pan. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, czego dowodem może być choćby casus pascudeus pana Rosenfelda. Ale nie odpowiedział mi pan jeszcze, czy podziela pan mój pogląd, że zdemaskowanie Kochauta nie wyczerpuje całokształtu tajemnic, ciężących nad Borami.

— Bo ja wiem. Rojek wzruszył ramionami i zerknął na zegarek, umieszczony w bransoletce. Ja uważam, że splot zagadnień jest rozwikłany ze śmiercią Kochauta. Jednakże miarodajnym musi tu być zdanie mistrza Baltazara Szafrana. Zresztą, he, he, he, między nami mówiąc, leży w pańskim interesie twierdzić, iż istnieją jeszcze inne zagadki.

— W moim interesie?

— Oczywiście, drogi mistrzu. Bo w przeciwnym razie nie miałby pan tu już nic więcej do roboty, he, he, he... Dla chleba, he, he, he.. No, no, proszę nie robić obrażonej miny. Ma pan tu

jeszcze do spełnienia misję, której się pan podjął wówczas u mnie, w zeszłą niedzielę, prawda?

Rafał skinął głową, ale zaraz zaczął się żegnać serio obrażony takim podejrzeniem. Oświadczył, że pójdzie się przejść po parku, a potem albo wyjdzie naprzeciw komendantowi Międoła, albo zdrzemnie się trochę, jeżeli w ogóle potrafi zasnąć tej nocy. Kiedy będę potrzebny do złożenia zeznań, proszę mnie przywołać dodał i skinąwszy głową oziębłe Rojkowi, wyszedł.

Nafciarz odprowadził go obłudnie zasmuconym wzrokiem, a kiedy się drzwi zatrzasnęły za wychodzącym, zatarł dłonie. — Nareszcie — westchnął.

Z zadowoleniem wsłuchiwał się w cichnący tętent kroków, potem podsunął się do drzwi, przekręcił cichutko klucz i zgasił światło. Przyświecając sobie ślepą latarką, podszedł do Kochauta, przykłęknął tuż obok, ostrożnie, by nie dotknąć ręcznika, którym Andrzej próbował krew zatamować, odchylił połę marynarki i wyjął z jej wewnętrznej kieszeni mocno sfatygowany portfel. — Sicher ist sicher — mruknął, chowając zdobycz do swej kieszeni, po czym wstał i zaświecił światło na powrót... Prawda, trzeba i drzwi odemknąć — przypomniał sobie.

Przypadkowo całkiem usiadł na fotelu, stojącym naprzeciwko drzwi, poza którymi zniknęła przedtem Ewa, odprowadzona przez Rafała. I te drzwi, przymknięte tylko, przykuły, niby potężny magnes, oczy nafciarza i wszystkie jego ruchliwe myśli pociągnęły ku sypialni dziewczyny. Nie był tam nigdy oczywiście, nie wiedział, jak ten pokój jest umeblowany, jak wygląda, a jednak widział go oczyma swej niespokojnej wyobraźni i widział Ewę leżącą w łóżku, jej twarzyczkę, jej dłonie rasowe i toczone, jędrne ramiona, które zawsze pozerwał wzrokiem, ilekroć widywał dziewczynę w lekkiej sukience bez rękawów.

— A gdyby tak? — mruknął, dyskutując snadź z głosem rozsądku: — Słyszałem pani wołanie, powiem jej, gdyby się oburzyła na moją inwazję, więc pospieszyłem czym prędzej. Ach, pani nie wołała wcale? No proszę! Byłbym przysiągł! Widocznie i mnie nerwy wypowiedziały posłuszeństwo... a co? Może zły prolog? Oczywiście to tylko prolog. Nie wyrzuci mnie pani przecież za drzwi, skoro już tu jestem, panno Ewusiu... He, he, he. Już tam języka mi w gębie nie zabraknie... Najważniejsze to, że jesteśmy tylko dwoje w tym domu, bo tamtych dewotek nie liczę — warknął, posławszy wzgardliwe spojrzenie w stronę sufitu, ponad którym gdzieś tam znajdowała się twierdza Gładyszki.

Wahał się jeszcze, aż nowa myśl rozproszyła resztki jego obaw, tak, tylko obaw, bo skrupułów zasadniczo nie uznawał i nie odczuwał.

— Przecież i tak się z nią ożenię — mruknął — a że tam noc poślubna nastąpi przed właściwym ślubem, to he, he, he, nie żadna krzywda chyba.

Po raz ostatni spojrzął na zegarek i obliczył, ile czasu zużyje powolny komendant Międoła na drogę z Rozłaki-wsi do dworu w Borach, bo o powrót inżyniera Barskiego, który musiał aż do Sambora odskoczyć, był spokojny. Uśmiechnął się zwycięsko. — Mam co najmniej godzinę czasu — stwierdził z radością.

Śmiało pchnął drzwi i znalazł się w sąsiednim pokoju. Było tu dość jasno, bowiem przez nie zasłonięte okna wdzieriała się zimna poświata księżyca.

— Sypialnia jest gdzieś dalej — kombinował, idąc na palcach w stronę przeciwległych drzwi. Te były zamknięte, ale ustąpiły, skoro klamkę nacisnął. — Całe szczęście — ucieszył się. Głupi klucz byłby mi wszystko pokrzyżował — rozmyślał, wkraczając ostrożnie do następnego pokoju. Serce zaczęło mu bić żywszym rytmem, gdy dostrzegł pod ścianą coś jakby łóżko i pochwyił szelest poruszonej pościeli. W tym pokoju, chociaż okno pozostawiono na oścież otwarte i chociaż także na park wychodziło, było ciemniej, gdyż jakieś bujnie rozgałęzione drzewo powstrzymywało inwazję księżycowych promieni. Pomimo to Rojek, oswoiwszy oczy z gęstym półmrokiem, zaczął szybko rozróżniać kontury poszczególnych sprzętów.

— Jakie to porządne dziewczątko — myślał — wszystko pochowało do szafy, a inna,

szast, prast, rzuciłaby suknię na ziemię. — Cieszył się, że będzie miał taką porządną żonę, lecz z drugiej strony wolałby był obecnie, gdyby tak z krzesła zwisała jedwabna pończoszka lub kombinacja. Niestety strona dekoracyjna pokoju nie przypominała drażniącej atmosfery buduaru czy sypialni kobiety z tak zwanego wielkiego świata, co zdaniem Rojka, świadczyło pochlebnie o surowości obyczajów Ewy Turno. Niemniej jednak podniecało go ogromnie przeświadczenie, że tam, pod tą kołdrą poruszającą się miarowo, śpi pożądana kobieta, którą za chwilę pochwyci w swoje objęcia i, choćby nie wiem co, nie wypuści ze stalowego oplotu ramion.

Zbliżył się cichuteńko, delikatnie odgarnął skraj kołdry i usiadł, powstrzymując dech w piersiach, w oczekiwaniu gwałtownej reakcji, objawów przerażenia, okrzyków dziewiczej wstydlivosti i całego tego repertuaru wykonywanego nieodmiennie od epoki kamiennej. — Śpi? — zdziwił się. Nie! Musiała się już ocknąć, gdyż stopa uchwycona leciutko w dłoń nafcjarza, zadygotała trwożnie. Ale nie cofnęła się bynajmniej. Znieruchomiała, a to przyzwalające odrętwienie udzieliło się zaraz całej nodze, którą dłoń Rojka głaskała przez kołdrę, coraz szybciej, coraz namiętniej, goręcej.

Opamiętał się. — Z nią nie można przecież, jak z pierwszą lepszą zreflektował się w myśli, biorąc pod uwagę także i tę okoliczność, że pieści swoją przyszłą małżonkę. Odchrząknął tedy i nie przerywając miłego masażu obydwóch nóg, drżących wstydliwie pod kołdrą, zaczął przemawiać głosem wezbranym wzruszeniem, które potrafił wywołać w sobie na poczekaniu:

— Nie lękasz się, prawda? O tak, słodkie maleństwo! Bo wiesz, kto jestem i jak ci jestem życzliwy.

Umilkł. W myśli nazwał się kretynek i postanowił sobie nazajutrz kupić w Samborze jakiś poradnik dla zakochanych, a przede wszystkim podręcznik do pisania listów miłosnych. Dotychczas pił z tego, aż okazuje się teraz, że nie ma zielonego pojęcia, jakimi słowami przemawiać do wybranej dziewczyny i plecie bzdury jak Piekarski na mękach. Nic dziwnego. Nigdy nie miał czasu na miłość, pochłonięty jedyną pasją: posiąść „płynne złoto”, ile go tylko jest w tej okolicy, a później, jeśli losy będą łaskawe, ile go jest w całym zagłębiu naftowym. Ale miłość? Wyznania? Oświadczenia?

Postanowił zastosować uproszczoną procedurę. Pochylił się, pochwycił w pół przez kołdrę wiotką, kulącą się sylwetę i wrzasnął: — Ewuś kochana! — Dokonawszy tego dzieła wsunął głowę pod górną część kołdry, pochwycił w żelazne dłonie rozpaczliwie wymykający się łebek, wpił żarłocznie usta w tamte usta strachem rozdygotane i odskoczył zdumiony. Ofiara usiadła gwałtownie na posłaniu, zdarła kołdrę i oto ukazała się głowa... Rafała Królika!

Spoglądali na siebie wzajemnie w bezgranicznym osłupieniu. Dużo czasu upłynęło zanim ochłonęli na tyle, by zdołali zastanowić się, w jaki sposób mogło w ogóle dojść do tak fatalnego qui pro quo. Albo to nie jest sypialnia Ewy, albo ten szczywany lis przeczuł moje zamiary i położył się tutaj umyślnie, aby mnie ośmieszyć... — pomyślał nafcjarz, hamując wybuch straszliwego gniewu... On nie jest normalny... — przypuszczał równocześnie reporter, który wrócił do swego pokoju przez okno, jak czynił to często, położył się do łóżka w ubraniu, a nakrył się kołdrą „na wszelki wypadek”, kiedy posłyszał skrzypnięcie drzwi, otwieranych ostrożnie, po złodziejsku... Upewniło go w tym podejrzeniu obecne zachowanie się Rojka, jego postawa, zdradzająca zamiar gwałtownego ataku.

— Świntuch! — zapał dzielny odtwórca roli detektywa, wyskakując na podłogę z łóżka. W trzech susach dopadł okna i przystanął tam w pozycji, pozwalającej się domyślać napastnikowi, że raczej mu ucieknie tą drogą do parku, niżby się miał stać ofiarą czyichś namiętności i pożądania. — Świntuch skończony!... Zboczeniec!... Pederasta!

Rozdział XX

PRZYJAZD SHERLOCKA HOLMESA

— Hallo, nie przerywać, do pioruna! — Mateusz Rojek zlinczował w myśli wszystkie telefonistki świata, ale rozchmurzył się natychmiast, kiedy w słuchawce zaszemrał znowu głos rozmówcy. — Przerwali nam, doktorze kochany, tak, tak, zwyczajne nieporządki — ubolewał, drżąc z niecierpliwości. — Ale wracajmy do przerwanej rozmowy... Zatem, drogi konsyliarzu, uważa pan, że stan Kochauta jest prawie beznadziejny, hm, hm... to straszne! A już się cieszyłem... Ach, nie chciałbym mieć na sumieniu życia ludzkiego...

— Nie twierdziłem bynajmniej, że stan jest beznadziejny — odparł lekarz — Budzi poważne obawy, powiedziałem wówczas dosłownie i dzisiaj to samo powtarzam...

— Hm, hm, hm, a przewieźć nie można by go? Powiedzmy do mnie tutaj. Jako mimowolny sprawca nieszczęścia, chciałbym, wie pan, dołożyć wszelkich starań, aby chłopca na nogi postawić... Mój Boże, Kochaut! Bardzo go lubiłem zawsze i kto by to pomyślał, że właśnie ja go postrzelę...

— Właśnie, właśnie, fatalny wypadek. — Lekarz potakiwał uprzejmie, bo nazbyt mu zależało na Rojku, lecz z drugiej strony jego ustawiczne, niekiedy czterokrotne na dzień, telefoniczne zapytania o zdrowie rządcy z Borów zaczęły zapracowanego eskulapa niecierpliwić.

— Żeby chociaż odzyskał przytomność, żebym mógł mu dłoń uścisnąć i otrzymać przebaczenie — wzdychał nafciarz głosem tak łzawym, że lekarz, który już zamierzał zakończyć rozmowę, dał się pociągnąć za język. Na projekt przewiezienia rannego dokądkolwiek nie zgodził się stanowczo, każdy ruch mógłby pogorszyć sytuację, twierdził. Na szczęście obie kule przeszły na wylot tak, że obyło się bez operacji, niemniej jednak pacjent stracił tyle krwi, że na razie nie wolno go ruszać; musi pozostać tam, gdzie dotychczas.

— A nie gorączkuje biedak, nie majaczy? — dopytywał niedoszły, a tak troskliwy zabójca. Kiedy go pan konsyliarz widział po raz ostatni?

— Wczoraj wieczorem — brzmiała odpowiedź. — Każdego dnia, gdy wracam z objazdu moich pacjentów, zajeżdżam do Borów. Częściej nie mogę, to znaczy gdyby pan dyrektor tego sobie koniecznie życzył, to...

— Ach nie, nie konsyliarzu. Nie śmiałybym w ogóle pana fatygować dwukrotnie, zresztą przez to mogłaby ucierpieć pańska praktyka... Nie, nie, kochany doktorze. Nawet mój biedny Kochaut nie ma prawa pozbawiać innych pacjentów pańskiej troskliwej opieki. Niech już zostanie tak, jak było dotychczas, prawda?

— Dobrze — ziewnął eskulap.

— Zdaje się, że zanudzam pana.

— Och, nie — zaprzeczył tamten grzecznie, wznosząc oczy do sufitu.

— Zatem kończę rozmowę i jeszcze raz proszę o natychmiastową wiadomość, gdyby w zdrowiu chorego zaszła jakaś odmiana... w ogóle, gdyby było coś nadzwyczajnego.

Lekarz chciał już odpowiedzieć, że nadzwyczajnego nic zająć nie może w takim wypadku, ale zląkł się możliwości przedłużenia rozmowy. Przyrzekł tedy, iż zatelefonuje

bezwłocznie, gdyby coś zaszło i z westchnieniem ulgi odłożył słuchawkę na widelki. — Ten mnie zawsze wyprasuje — pomyślał — ano, nic dziwnego, że się tak troska o swoją ofiarę. Przy jego stosunkach będzie można wszystko pięknie zatuszować, jeśli naturalnie tamten się wyliże... A nieboszczyka zatuszować trudno i roczek paki pewny. Hm, amnestia, zawieszenie kary, tak, tak, ale zawsze to nieprzyjemnie mieć coś w rejestrze karnym... zwłaszcza dla takiego Rojka. Nic dziwnego, że chciałby Kochauta postawić na nogi, jak powiada.

Przyjąwszy do wiadomości zwykły biuletyn o stanie zdrowia Kochauta, wezwał Rojek swojego sekretarza, polecił mu wziąć bloczek i pisać, co on podyktuje.

— Gotów pan?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— Dobrze. Zaczynam: *Wielmożna Pani Ewa Turno w Borach...*

— ... *w Borach* powtórzył nabożnie „płaskogłowy”; był to zwyczajny znak, że podyktowane zdanie już napisał i czeka.

— *Swojego czasu dyrektor nasz pan Mateusz Rojek udzielił Wielmożnej Pani pożyczki w kwocie...* Tu pan wpisze sumę...

— ...*wpisze sumę...* nie, nie, przepraszam — odwołał „płaskogłowy”, żgnięty szpiczastym spojrzaniem szefa.

— Dalej!... *którą to pożyczkę zużyliśmy na wykupienie weksli wystawionych przez Zarząd dóbr Bory, zgodnie z upoważnieniem Wielmożnej Pani, zawartym w Jej...* (Jej, dużą literą) *cennym piśmie z dnia...* poszuka pan daty...

— Poszukam, panie dyrektorze.

— Dalej! *Nieprzewidziane okoliczności zmuszają nas już dzisiaj do wypowiedzenia Wielmożnej Pani tej pożyczki, w umówionym terminie siedmiodniowym, licząc od daty listu niniejszego...* Zrobi minę, no...

— Zrobi? — Błagalny wzrok sekretarza pytał, czy wzmianka o zrobieniu jakiejś miny ma należeć do tekstu listu, czy też jest tylko luźną uwagą. „Boć każde pańskie słowo winno się ryc na marmurze”, schlebiał spojrzzeniami, nie mogąc niczego wyczytać z dyrektorskiego oblicza.

— Idiota — parsknął Rojek łaskawie i dodał z uprzejmą ironią: tego pisać nie trzeba. Dalej! *Jest nam niewymownie przykro, że nie możemy Pani nadal służyć kredytem, jednakże fatalna...* Co tam znowu?

— Nic, panie dyrektorze, *jednakże fatalna...*

— Nie do pana mówię — odburknął nafcjarz.

Teraz dopiero zapracowany po uszy sekretarz ujrzał, że w pokoju jest jeszcze trzecia osoba, lokaj. Kapitałny „Franciszek Józef I” kroczył majestatycznie w stronę chlebobawcy, niosąc na tacy czyjś bilet wizytowy. Rojek ujął go w palce z ciekawością, rzucił okiem i lekkie zdziwienie podniosło mu brwi krzaczaste.

— Baltazar Szafran? — przeczytał.

— Tak jest, panie dyrektorze — potwierdził „Franciszek Józef”.

— Niech zaczeka chwileczkę. Jak zadzwonię, wprowadzić.

— Tak jest, panie dyrektorze.

Wspomnienie fatalnego *qui pro quo* z gościem Ewy Turno rozproszyło już ostatecznie niespokojne myśli Rojkowe i dyktowanie zostało przerwane.

— Zakończy pan wersalskimi frazesami, że nam bardzo przykro, że w przyszłości chętnie będziemy służyli miłej sąsiadce, że okoliczności nas zmusiły itd., itd. List napisać mi na zwyczajnym blankiecie firmowym, pieczętka, a pan go podpisze...

— Ja?

— Mówilem, zdaje się, nie? Pan go podpisze, ale to jeszcze nie wszystko. Pan ten list

wysła bez mojej wiedzy, uważa pan? Powiedzmy, w czasie mojej nieobecności, co się będzie ślicznie zgadzało, bo dzisiaj wyjeżdżam na dwa dni do Lwowa... Kiedy wrócę i panna Turno tutaj do mnie przyleci przerażona, oczywiście bez pieniędzy, he, he, he, wtenczas ja pana zawołam i z lekka pana przejadę, rozumie pan?

— Z lekka, rozumiem — powtórzył z rezygnacją. Nie pierwszy raz się miało przytrafić, że sekretarz dostawał burę za list, podyktowany osobiście przez szefa. Oczywiście w takich wypadkach nie wolno było pisać, kto jest prawdziwym autorem odnośnego pisma.

— Pan będzie się wtedy tłumaczył, że poleciłem mu monitować wszystkich dłużników. A ja huknę: Ale nie upoważniałem pana do niepokojenia listami panny Turno, której wierzycielem nie jest firma, lecz ja osobiście! Oczywiście, uważa pan?... Coś w tym guście będę wykrzykiwał, a pan wzruszy ramionami... słyszy pan?

— Słyszę — potaknął, choć wiedział, że nie wzruszy ramionami w obecności szefa, siedzącego się, obojętnie, czy na prawdę, czy na żarty.

— Wzruszy pan ramionami i powie pan, że te dziesięć tysięcy, czy ile tam jej dług wynosi... jest akurat potrzebne do spłacenia raty podatku obrotowego... No, wymyśli pan coś, w każdym razie będzie mi się pan stawiał i robił takie miny, jak gdyby te parę tysięcy miało zadecydować o dalszym istnieniu mego przedsiębiorstwa, he, he, he.. I będzie się pan tak długo stawiał, aż pana delikatnie za drzwi wyrzucę, zrozumiano? Ja sam już resztę załatwię... No, teraz żegnam.

Rojek rozparł się w fotelu za biurkiem, zapalił cygaro, odmierzył sobie na zegarku piętnaście minut, aby petent zakosztował rozkoszy czekania na audiencję, przejrzał stos korespondencji, po czym, sprawdzwszy, że wyznaczony kwadrans minął wraz z małym przyczynkiem, zadzwonił.

Rozwarły się drzwi i dostoyny „Franciszek Józef” wprowadził do gabinetu bardzo wysokiego i bardzo chudego jegomościa, który w błyskawicznym, okrągłym spojrzeniu ogarnął cały pokój i otaksował sprzęty.

Mateusz Rojek, przygotowany na wizytę reportera, którego uważał za słynnego detektywa warszawskiego, zrobił minę wyraźnie zdziwioną.

— Pan w sprawie pana Szafrana? — spytał, nie podnosząc się z fotela, i skinął dość nieuprzejmie na przybyłego, aby podszedł bliżej.

— Zdaje się, że zachodzi tu małe nieporozumienie — uśmiechnął się gość — gdyż ja właśnie jestem Baltazar Szafran.

— Cooo? Pan? — Rojek zerwał się na równe nogi.

— Czy wolno spytać o powód pańskiego zdziwienia? — spytał gość chłodno i choć nieporuszony, usiadł naprzeciw gospodarza.

— Jak, jak to? Pan nazywa się Szafran? Baltazar Szafran?

— Pochlebiam sobie, że tak i powtórnie zapytuję, dlaczego pana to tak zadziwiło?...

— Dlatego, że jest tu w okolicy pewien jegomość, który także się podaje za słynnego detektywa, Baltazara Szafrana. Pojmuje pan więc, że widząc drugiego osobnika tegoż nazwiska, muszę, he, he, he...

— Oto moja legitymacja — rzekł przybyły. — A teraz zechce pan łaskawie objaśnić mnie, jeśli pan wie naturalnie, gdzie przebywa bezczelne indywiduum, podszywające się pod moje nazwisko.

— Niedaleko stąd, w Borach — odparł Rojek, na którym prawdziwy Baltazar Szafran uczynił poważne wrażenie; jego nie miał śmiałości traktować protekcjonalnie ani udawać poufałości jak z tamtym małym drapichrustem.

— Od dawna?

— Od kilku tygodni. — Tu nafcjarz, sam trochę zaciekawiony, co skłoniło Rafała do odgrywania roli detektywa, opowiedział pobieżnie wszystko, co mu było wiadome o gościu Ewy Turno. Przywiozła go z Warszawy, przedstawiła mi go, jako swojego kolegę ze studiów — ciągnął dalej, wyjawiając także kilka szczegółów, dostarczonych mu przez konfidenta, jakiego posiadał w domu uroczej sąsiadki.

— Zaraz, zaraz — hamował detektyw — teraz mówi pan znowu, że ten jegomość występuje tam pod nazwiskiem Rafał Królik i podaje się za redaktora jakiejś warszawskiej gazety... a przedtem powiedział pan...

— Powiedziałem to samo — przerwał nafcjarz popędliwie. — Gość mojej sąsiadki przedstawia się oficjalnie jako dziennikarz Rafał Królik, ale swoją drogą rozpuszcza wiadomości, że w rzeczywistości jest słynnym detektywem Szafranem i przybył do Borów incognito.

— Więc jaki cel tak niedołęznej...

— Teraz rozumiem! — wtrącił Rojek. — Panna Turno zaprosiła go zapewne w tym celu, aby ją uwolnił od upiora; nie wiedząc, jak się zabrać do dzieła, rozpuścił pogłoskę, że jest słynnym detektywem, licząc, że samo nazwisko polskiego Sherlocka Holmesa wypłoszy tajemniczego „ducha”.

— Upiór, duch, ho, ho, widzę, że tu i dla mnie znajdzie się robota wcale interesująca — uśmiechnął się przybyły.

— Uprzedziłem pana, choć całkiem mimowolnie.

— To znaczy?

— Ano, postrzeliłem draba, który się przebierał za to straszidło. Niestety, jestem zbyt zajęty, abym mógł panu opowiedzieć bliższe szczegóły owej tragifarsy. Każdy mnie w tym wyęczy, jeżeli to pana interesuje.

— Bynajmniej, skoro sprawa jest wyświetlona, a przestępca zdemaskowany. Natomiast interesuje mnie bardzo mój sobowtór, ów pan Królik, o ile to jego prawdziwe nazwisko. Czy bardzo podobny do mnie?

Mateusz Rojek parsknął śmiechem.

— Podobny, jak Pat do Patachona.

— Jak pan to rozumie? Wycedził gość, marszcząc brew nagle.

— Mam na myśli różnicę wzrostu — zapewnił skwapliwie nafcjarz, pomyślawszy, że nie ma najmniejszego sensu zrażać sobie sławnego detektywa. Udobruchał go też tym wyjaśnieniem i, jak mógł najlepiej, opisał małego reportera. — Czekał no pan — zawołał, sięgając do szuflady — przypadkowo posiadam fotografię całej grupy. Jest wprawdzie słabe, amatorskie zdjęcie, niemniej będzie pan mógł już potem rozpoznać „w naturze” uzurpatora, he, he, he, czy sobowtóra, jak go pan nazwał.

Wyjął kilka odbitek 9 na 12 centymetrów i położył je przed gościem. Były to amatorskie zdjęcia robione aparatem inżyniera Barskiego podczas jakiejś wycieczki w okolicę. Na wszystkich widać było Ewę, której raz Rafał dotrzymywał towarzystwa na fotografii, drugim razem Andrzej, snadź dublowali rolę fotografa; tylko w jednym wypadku wyęczeni się kimś trzecim, dzięki czemu na zdjęciu figurowała cała trójka, ale z nogami obciętymi po kolana...

— Czyżby to był ten sam bezczelny łajdak? — mruknął detektyw pod nosem, mając na myśli młodzieńca; którego niegdyś spotkał w drzwiach swojego mieszkania. — A ta dziewczyna była z nim — monologował półgłosem ku wielkiemu zaciekawieniu nafcjarza. — Tak, to ona, poznaję ją z całą pewnością... I pistolet mi ukradł; bardzo dobrze, mam przynajmniej doskonały pretekst, żeby go wziąć do galopu. Już mi on wszystko wyśpiewa... A kto jest ten trzeci dzentelmen? — spytał głośno. — Narzeczony?

— Narzeczony panny Turno? — powtórzył zdumiony Rojek. — Skąd panu to przyszło do

głowy?

— Och, wystarczy spojrzeć na to tutaj zdjęcie — odparł detektyw z uśmiechem, przysuwając w stronę gospodarza jedną odbitkę. — Czyż nie widzi pan, jak czule na siebie spogląda ta parka?

— Widzę istotnie — zasyczał Rojek z wściekłością. Nie mógł pojąć, jak się to stało, że on, który tyle razy oglądał wszystkie fotografie, nie zrobił tego trafnego spostrzeżenia sam, aż dopiero musiano mu zwrócić uwagę teraz. — Niebezpieczna intuicja — pomyślał, spojrzawszy na detektywa z uznaniem i jakby z odcieniem lęku.

Baltazar Szafran skierował z kolei rozmowę na list, jaki otrzymał od Rojka.

— Nie mogłem przyjechać wcześniej — mówił — a zapytywać pisemnie nie chciałem, wietrząc od razu, że coś tu jest nie w porządku. I nie zawiodło mnie przeczucie... bo oto wpadłem na ślad Rafała Królika, zagadkowego jegomościa, któremu... ech, mniejsza ugryzł się w język.

— Widzi pan, sprawa jest właściwie nieskomplikowana — zaczął Rojek po małym namyśle. — Pan Królik przybył tu do mnie w którąś niedzielę i ofiarował mi swoje usługi... a właściwie swoje pośrednictwo w celu doprowadzenia do skutku pewnej transakcji pomiędzy mną a panną Turno.

— Jakąż to transakcja?... Skoro pan z nim o tym mówił, nie widzę powodów, dla których te rzeczy miałyby pozostać tajemnicą dla prawdziwego Baltazara Szafrana — dodał gość, zoczywszy niecierpliwą zmarszczkę na czole gospodarza. — Może ja będę mógł być więcej pomocny, niż jakiś tam imię Rafał Królik, że sobie pochlebię...

— Zapewne, zapewne — potakiwał tamten w zamyśleniu — ostatecznie niech i tak będzie. Otóż chodzi tu o majątek Bory. Chciałbym go kupić albo wydzierżawić, niestety panna Turno nie ma żadnego zrozumienia dla potrzeb przemysłu naftowego. Jej zdaniem wykarczowanie zapuszczonego parku w celu pobudowania szybów, to zbrodnia o pomstę do nieba wołająca. Nic to, że setki ludzi znalazłoby pracę, że wzrosłoby majątek narodowy, że sama zarobiłaby ładnie, bo zawsze wyznaje zasadę: leben und leben lassen, to wszystko nic nie znaczy, wobec faktu, że trzeba by wyrwać kilka krzaków i popsuć kilka klombów z kwiatami. — Dosiadłszy ulubionego konika, rozwodził się Rojek długo i szeroko nad korzyściami, jakie by ludzkość odniosła na wypadek, gdyby on kupił Bory.

— Rozumiem — wtrącił domyślny gość. Pan Królik zobowiązał się wyplenić te uprzedzenia do przemysłu... w romantycznym serduszku panny Turno. I za tę przysługę miał mu pan wypłacić sześć tysięcy złotych, czy tak?

— Tak. I wziął zaliczkę.

— Której odbioru nie pokwitował jednak na nieszczęście, jak wynika z tego listu — potrząsnął kopertą. — Ach, gdyby pan miał ten kwit z fałszywym podpisem Baltazara Szafrana, nieprędko by Królik wyszedł z więzienia na trawkę... na kapustę, ha, ha, ha, wszak on królik.. Czy sprawa ta przestała już być aktualna?

— Sprawa kupna Borów przeze mnie? Hm, jakby to panu powiedzieć. Kupić ich jeszcze nie kupiłem, ale wobec tego, że Królik ani się tu zgłosić nie raczył po instrukcje, poprosiłem o pośrednictwo inne osoby.

— No tak, tak, lecz ten pośrednik otrzyma prowizję, który interes doprowadzi do skutku. Zatem nie tracę nadziei, że te sześć tysięcy wpadnie w moją kieszeń...

— Owszem, jeśli pan dokaże tej sztuki... Tylko, he, he, he, większą sztuką będzie odebrać Królikowi owe sześćset złotych, myślę.

— Już ja to z niego wycisnę — zagrzmiął detektyw, zaciskając chude, stalowe palce w twarde bryły kułaków.

— Powinien mu pan dobrze uszu natrzeć — podjudzał Rojek, któremu nagle żal się

zrobiło niepotrzebnie wyrzuconych sześciuset złotych. — Chociażby za to, że tak pana tutaj kompromitował.

— Kompromitował?

— Urznął się tu u mnie na proszonym obiedzie, trzeba go było położyć na otomanie, bo leciał przez ręce jak kłoda i w trakcie tych zabiegów wypadła mu z kieszeni garść cygar. Zważ pan tylko, panie Szafran: człowiek rozgłaszający, że jest polskim Sherlockiem Holmesem, będąc w gościnie, kradł gospodarzowi cygara! Nie dziwi się pan chyba, że wielki Baltazar Szafran nieszczególną markę sobie wyrobił w tych stronach.

— Duszę z niego wypruję! — huknął detektyw, tracąc nagle zimną krew i anielsko-angielską flegmę, jaką sobie przyswoił w trakcie pilnej lektury utworów Conan Doyle'a. Zadawszy gospodarzowi jeszcze kilka pytań, dotyczących zwłaszcza najbliższej drogi do Borów, pożegnał go zapewnieniem, że skoro ulokuje Rafała Królika w areszcie, zajmie się usilnie sprawą Borów. — Panu jest wszystko jedno, czy to będzie w formie kupna, czy dzierżawy, prawda? Doskonale, chodzi więc zasadniczo o to, aby eksploatacja terenów naftowych w Borach i w Rozłące, tak się, jeśli pomnę, nazywa ta wioska tutaj... była skupiona w rękach tej samej firmy... pańskiej.

— Tak, tak... tej samej firmy — Rojek powtórzył to z roztargnieniem, bowiem fotografia przedstawiająca Barskiego i Ewę znowu przyciągnęła jego wzrok ku sobie i wszystkie jego ruchliwe myśli.

— Może poleci pan przygotować umowę tej treści, albo ja ją napiszę i panu przedłożę, co?

— Niech pan napisze, owszem — mruknął nafcjarz, odsyłając gościa w myśli do wszystkich rogatych diabłów. A kiedy odszedł w końcu, zadzwonił Rojek i polecił sekretarzowi wezwać inżyniera Barskiego. — Jeśli się upewnię, że on jest moim rywalem, to go wyślę tam, gdzie pieprz, rośnie — warknął złowrogo, chowając fotografie do szuflady...

— Pan inżynier Barski czeka — obwieścił w dziesięć minut później „płaskogłowy” i cofnął się co prędzej, dostrzegłszy niebezpieczne błyski w żółtych oczach za biurkiem. — Ciepło ci będzie — pomyślał ze współczuciem, oznajmiając z kolei inżynierowi, że szef czeka w gabinecie... — w diabło kiepskim humorze — szepnął poufnie z szczerą życzliwością kolegi.

— Chcę z panem pomówić w pewnej sprawie prywatnej zaczął Rojek, wskazując przybyłemu miejsce naprzeciwko siebie.

— Doskonale się składa — odparł młody człowiek, patrząc wyzywająco w złośliwie zmrużone oczy swego chlebobdawcy — doskonale się składa, bo ja również mam z panem dyrektorem do pomówienia w pewnej prywatnej sprawie.

— Czy wchodzi w grę może... kobieta? — spytał nafcjarz zdumiony, że podwładny wytrzymuje tak pewnie jego wzrok, ten straszliwy wzrok węża, hipnotyzującego ptaka, wzrok, pod którego lodowatym tuszem taki „płaskogłowy” wił się formalnie jak glista naciśnięta patykami.

— Tak jest, kobieta... moja narzeczona, panna Ewa Turno!... Czy wolno z kolei spytać o czym pan dyrektor chciał ze mną mówić?

— Jaa? O pańskiej podróży, Panie Barski — zasyczał Rojek i dodał z ironicznym uśmieszkiem: — Swego czasu prosił mnie pan, bym nie pominął jego kandydatury, jeżeli trafi się okazja do dalszej podróży za granicę. I oto spełniły się pańskie marzenia. W interesach mojego przedsiębiorstwa wyjedzie pan do Holandii, a potem dalej, do Ameryki... Cóż, zadowolony pan, inżynierze? Spodziewam się, że tak. Przecież sam prosił pan o to.

Z mściwą radością spoglądał na Andrzeja, w którego wiadomość o dalekiej podróży, o wyjeździe stąd teraz, o rozstaniu z Ewą.. zbiła wprost z nóg, ogłuszyła, niczym potężny cios

pięścią między oczy.

— Wyjedzie pan najdalej za trzy dni — dorzucił Rojek, pasąc oczy widokiem pognębnego rywala.

Rozdział XXI

SPOTKANIE DWÓCH BALTAZARÓW

Rafał Królik rozduśił palcem słone łzy w kącikach oczu, westchnął boleśniej niż Małgorzata z *Fausta*, przeklęta przez umierającego brata, zamachnął się piórem i w te słowa żałobne zakończył swój list do Ewy:

Jeśli tedy w ciągu trzech dni nie wrócę, niech Pani da znać komendantowi Międole, po czym wykopcie dziurę w gruzie, aby się dostać do piwnic starego dworu.

Tam znajdziecie mojego trupa albo w podziemnym ganku łączącym ruiny z dawnym rowem strzeleckim, który ciągnie się środkiem Czarciogo Jaru. Byłem tam już raz, jak wspomniałem na wstępie tego listu, i cudem tylko wyszedłem z tysięcznych niebezpieczeństw.

A teraz, skoro Pani będzie czytała ten list, ja, już wtedy nieboszczyk, wyznaję to, na co nigdy bym się nie ośmielił za życia.

Kochałem Panią. Kochałem bezprzytomnie i zginąłem z miłości do Pani. Bo tylko szalona miłość skłoniła mnie do tego, że po raz wtóry zszedłem w straszliwe podziemia. Żegnam Cię, Ewo, i proszę, rzuć na moją mogiłę garść kwiatków. I bądź szczęśliwa z panem Andrzejem B., a tego rozpustnika Rojka strzeż się, jak ognia, czego Ci życzy oddany do grobowej deski,

Rafał Królik.

Oprócz tego pożegnalnego listu przygotował kartkę, z krótką notatką do Ewy, żeby na niego ani z obiadem, ani z kolacją nie czekała, gdyż udaje się na dalszą wycieczkę w okolicę. Kartkę zostawił w kuchni z poleceniem, aby ją doręczono panience, skoro wróci z pola, natomiast list włożył do swej walizki.

Pozostało jeszcze tak sprawę urządzić, aby Ewa dowiedziała się o liście nie wcześniej jak za trzy dni, ani też nie później. Poradził sobie w ten sposób, że w kalendarzu na kartce poświęconej najbliższemu poniedziałkowi napisał czerwonym atramentem:

Proszę natychmiast otworzyć moją walizkę. Będzie w niej list, który wszystko wyjaśni. Kluczyk od walizki ukryłem w zegarze, w jadalni.

Rafał Królik.

Wiedział, że Ewa oddziera codziennie rano kartkę ze ściennego kalendarza, oparł więc swoją kalkulację na Ewinyj skrupulatności...

— To się nazywa solidna robota — pochwalił się sam. — Wzmianka o kluczu w

kalendarzu, klucz od walizki w zegarze, a list dopiero w walizce; bajeczna prostota, a na pozór tyle komplikacji.

Wyekwipował się Rafał na tę wyprawę pierwszorzędnie, poczyniwszy uprzednio szereg zakupów w Samborze, jak dwie baterie do kieszonkowej latarki elektrycznej, paczkę świec, trzy rolki filmowe do aparatu fotograficznego i zapas magnezji do osiemnastu zdjęć, kilka tabliczek czekolady, dwa pudełka sardynek i tym podobne artykuły „pierwszej potrzeby”. Uzupełnił te zapasy w Borach, w spiżarni, do której się zakradł, wypłoszywszy z domu zacną Gładyszkę oświadczeniem, że koło ruin słyszał jęki kocura. Jak było do przewidzenia, Amalia Pelagia Gładyszówna wyruszyła na odsiecz ulubieńcowi i w pośpiechu zostawiła na stole pęk kluczy, którymi się Rafał skwapliwie zaopiekował. W pięć minut później jego stary plecak stał się bogatszy o słoik konfitur, drugi słoik miodu, spory kawał wędzonego boczku, bochen razowego chleba i odpowiednie ilości jaj, masła, sera.

Uzbrojenie „ekspedycji” prezentowało się o wiele gorzej, niż jej zaprowiantowanie, bowiem składało się tylko z ogromnego pistoletu zabranego ongiś z gabinetu Baltazara Szafrana, z laski zakopiańskiej i zardzewiałego pilnika, ściągniętego z kuźni, a stanowiącego cały sprzęt techniczny kierownika oraz jedyne go członka niebezpiecznej wyprawy w podziemia.

Obrzuciwszy gościnnie dworek Ewy pożegnaniem spojrzeniem, pomaszzerował reporter w głąb parku, podpierając się laską, gdyż wypchany plecak zdawał się ważyć cetnary i gniótł bezlitośnie. Zboczył w krzaki pośpiesznie, posłyszawszy głośnie biadolenie Gładyszki, która nie odnalazła kota, przeczekał w kryjówce kilka minut i resztę drogi do południowego muru parku odbył bez wszelkich zmartwień czy przygód. Dopiero tam, gdy zamykał za sobą furtkę, przypomniał sobie, że nie zaopatrzył się zupełnie w tytoń, co dla tak nałogowego jak on palacza byłoby prawdziwą klęską w razie dłuższego pobytu w „Hadesie”. Trzy na pół wykruszone ćmiki stwierdził ze zgrozą, zajrzawszy do wypłowiałej papierośnicy, która niegdyś wyglądała na skórzaną, lecz bardzo dawno temu, hen, w zamierzchłej przeszłości.

Po krótkim namyśle zboczył z drogi, zaszedł do wsi Bory i wstąpił do karczmy.

— Setkę egipskich proszę — huknął na zaspanego izraelitę przyglądającego się gościowi z natrętną ciekawością.

— Może świńsków?

— Sfinksów? Dziękuję, nie lubię prasowanej słomy — odparł Rafał wzgardliwie — palę wyłącznie egipskie-specjalne — dodał śmiało, przekonawszy się naocznie, że na brudnej półce za ladą leżą tylko najtańsze gatunki papierosów prócz kilku upstrzonych przez muchy pudełeczek sfinksów, czekających tu snadź od lat na burżuja-nabywcę.

— Specjalnie egipski? — zmartwił się Hebrajczyk. — Niestety! — westchnął. — Dżysz mi wiszły, ausgerechnet dżysz! Pech, co? A szanowny pan dobrodzi świńsków nie reflektuje? One si poprawiły w ostatni tydzień. Może na próóbe? — zapytał śpiewnie, słodko, przeciągle.

— Żądam egipskich specjalnych! — huknął Rafał; ryczący lew budził się w jego sercu, ilekroć spotykał osobników więcej bojaźliwych od siebie, a ten starozakonny o nerwowych, rozdygotanych dłoniach nie wyglądał groźnie ani trochę.

— Sza, już są.

— Ależ to są egipskie zwyczajne — oburzył się mały reporter, oglądając ze wzgardliwą miną podane sobie pudełko. — Ostatecznie mogę je wziąć — zdecydował łaskawie, sięgając do kieszeni po portmonetkę. Otworzył ją i stwierdził z przykrością, że cały jego majątek wynosi w tej chwili cztery złote z groszami; do portfela nawet nie zaglądał, wiedział, że nie posiada tam nic więcej, prócz legitymacji i bezwartościowych szpargałów. — A to mnie spłukał ten ekwipunek westchnął w duchu i zatroskał się szczerze, za co kupił bilet powrotny do Warszawy.

— Pan dobrodzi może zapłacić późni, jutro, czy kiedy — zaszemrał usłużny głos karczmarza — ja zwyczajny poczekać.

— Taaak? I nie bałby się pan, że tu już nigdy nie wrócę, że te pieniądze, co prawda grosze.. przepadną?

— Eeech, nie wrócę, nie wrócę — chwiał głową z dobrotliwym uśmiechem — takie osobe i nie zapłacić? Szwiety żart, szmonces... z przeproszeniem. Wiem przecie, kto mi zaszczyca mój interes...

— Oooo, wie pan kim jestem?

— Już to wystarcza, że widzę goszcza naszy dziedziczki z Borów. Całkiem wystarcza, auf meine munes! A co dopiero taki goszcz, cy, cy — cmokał z zachwytu, „nie widząc” zupełnie, że Rafał schował portmonetkę na powrót i przez roztargnienie nic z niej nie wyjął.

— Więc i tu już wiecie? Jużście mnie poznali? — udawał zdumienie i zaczął ciekawie oglądać większą butelkę koniaku z trzema gwiazdkami, którą dostrzegł od razu w ciżbie flaszek z tańszymi trunkami.

— Od razu! — zapewniał Żyd ucieszony, że może sobie nudę uprzyjemnić pogawędkę i to nie z byle kim, ale z Baltazarem Szafranem! Jakim sposobem wiadomość, iż gość Ewy Turno jest detektywem, dotarła aż tutaj, trudno by dociec, niemniej faktem jest, że wioskowi szynkarze wiedzą wszystko.

— Jest się trochę popularnym, jak z tego widzę — uznał łaskawie mały gość z dużym plecakiem, oglądając wciąż wybraną butelkę. — Prawdziwy pech, że musiałem zostawić we dworze — mruknął niby to do siebie, ale aż nazbyt głośno, jak na czuły słuch hebrajczyka.

— Nie szkodzi. Zapłaci pan wszystko razem jutro.

— Jutro? Powiedzmy w poniedziałek.

— Gemacht... w poniedziałek — przystał szynkarz i już owijał w papier butelkę koniaku... — Wie pan — zwierzał się, pragnąc podtrzymać rozmowę — jak pan tylko zaczął szukać w portmonetce, od razu weszło mi do głowy pytanie, czy pan sobi portfel nie zostawił w domu.

— Jest pan zatem dobrym psychologiem — pochwalił Rafał, udając, że nie odgaduje drażliwej tendencji tego oświadczenia, wyszedł z karczmy, rzuciwszy, przez plecy zdawkowe do widzenia. Z góry raźniej mu się szło, a plecak, przedtem ciężący nieznośnie, teraz jakby go popychał w marszu.

Czarci Jar cieszący się tak niesamowitą marką w okolicy, nie wyglądał strasznie za dnia. Był za to bardzo malowniczy, łącząc w przedziwny sposób charakter górskiego wąwozu z typem dobrze nawodnionej wąskiej a długiej doliny. Czarci Jar był niezawodnie dziełem erozji, lecz niepokazny strumyk, zamieniający się w czasie ulewnych deszczów w rwący potok górski, naniósł tu w ciągu stuleci tyle ziemi, że tylko ściana wschodnia zachowała pierwotny charakter skalistego wąwozu i tu właśnie wiła się u stóp potężnych głazów ścieżyna, z której Rafał zboczył ongiś spłoszony szyderczym hukaniem puszczyka. Za to dno Czarciego Jaru i jego zachodnia część była dżunglą krzaków, wśród której przeświecały kałuże, bajora, stawki maleńkie lub na przemian miniaturowe polanki wypasane nielegalnie przez mieszkańców wsi Roztoka i posiadające więcej krowich i baranich „biletów wizytowych” niżli kęp trawy. Grasowały tu chmury ptactwa wodnego, kumkały chóry żabie, prześladowane przez bociany i szybowały całe eskadry tęcoskrzydłych ważek niby samoloty z bajkowej krainy liliputów.

— Gdzież jest mój ganek podziemny, u licha? — dziwił się reporter, maszerując wytrwale i bez odpoczynków, bowiem szedł wciąż w sferze cienia, który kładł się hen poza ścieżkę od niemal prostopadłej ściany wschodniej, ale z wolna malał, odwrót czynił powinny przed zwycięskim pochodem słońca. — Jakże ja znajdę moją dziurę?

Obawy Rafała były dość uzasadnione, gdyż dach krytego rowu strzeleckiego zniknął całkowicie pod zielonym całunem darni, a kępy krzaków zakryły jego wypukłość, niewysoką zapewne już w czasie wojny, zaś obecnie skłęśła, wyrównaną z poziomem dna dolinki.

Dopomógł mu w zorientowaniu się potężny głaz, zawieszony groźnie nad ścieżką. Przypomniawszy sobie obecnie, odświeżył z nim znajomość zawartą w świetle błyskawicy i z zainteresowaniem zaczął mu się przyglądać..

— Gdyby to komu na łeb spadło — pomyślał — to marmolada z gościa.

Szybko przebiegł pod owym „mieczem Damoklesa”, po czym odsunawszy się na dystans wcale przyzwoity, spojrzawszy z należnym respektem na wysoką ścianę skalną, gładką, prawie prostopadłą; ów głaz był jej jedynym występnym, narodziła „czyrakiem”, jak go reporter w myśli określił.

Ukończywszy te obserwacje, przystanął w miejscu, z którego miał widok najlepszy i wznowił optyczne poszukiwania otworu, dzięki któremu zawarł wówczas znajomość z rowem strzeleckim i resztą podziemi. Najpierw odszukał cmentarzyk austriackich żołnierzy, poległych tu w roku 1915, potem nakreślił w powietrzu idealną przekątną trójkątnego terenu i wydał okrzyk radości. Na zielonym tle darni dojrzał niesymetryczną, czarną plamę.

— Moja dziura! — ucieszył się.

Jał się teraz rozglądać dokoła, czy nie ma w pobliżu jakich niepowołanych świadków i stwierdził z zadowoleniem, że pasterze rozłąccy urzędują tym razem w górnej części Czarciego Jaru, mniej więcej w połowie drogi od „jego dziury” do pałacyku Mateusza Rojka.

Nagle posłyszał odgłos szybkich kroków. Ścieżką, jedyną ścieżką Czarciego Jaru nadchodził właśnie jakiś jegomość, pochylony, sędziwy, sądząc po długiej, białej brodzie, lecz krzepki jeszcze, co Rafał wnet wymiarkował z szybkości jego chodu.

— Przeczekam, aż dziadyga tędy przejdzie — postanowił, siadając na głazie. Grał rolę zmęczonego turysty, majstrował coś przy swoim aparacie fotograficznym, ale spode łba śledził obcego. Idzie od Rozłaki ku Borom, ściśle mówiąc w stronę dworu w Borach, hm, hm, chyba że później do wsi wykręci. Ehe, będzie się rozpytywał o drogę — wykombinował, dojrzwawszy, że starzec zwolnił kroku. Jakoż nie pomylił się, gdyż tamten przystanął, skoro się zrównał z siedzącym. Jawnie już teraz obserwowali się wzajemnie, aż raptem siwobrody przystąpił do Rafała i położył mu dłoń na ramieniu.

— Kto pan jest? — spytał krótko.

— A co panu do tego? — odburknął reporter hardo. — I rączkę proszę trzymać przy sobie — dodał ciszej, bo diablo ciężka była ta starcza dłoń nieznanego. — To samo pytanie mógłbym i ja zadać.

— Pytam powtórnie, kto pan jest, i co pan tutaj robi?

— Ano, siedzę, to przecież nie trudno zauważyć — odparł. Przyszło mu na myśl, że ma przed sobą ekonoma lub gajowego z Rozłaki; pewnie Rojek polecił przepędzać włóczęgów z Czarciego Jaru i ten poczciwiec wykonuje tylko polecenie swego chlebodawcy, tak, tak, potwierdza to okoliczność i ta, że pasterze dziś tutaj nie przyszli. — No, ale ja nie wyglądam chyba na włóczęgę — obraził się. Chłodno, wyniośle oznajmił siwobrodemu, że nazywa się Rafał Królik, mieszka we dworze w Borach, a teraz idzie właśnie na obiad do swojego przyjaciela, pana Mateusza Rojka!... Omylił się jednak, oczekując, że gburowaty „ekonom” zzielenieje z przestachu, iż tak obcesowo zaczepił przyjaciela pana Rojka. Nic takiego nie zaszło. Siwobrody wysłuchał, kiwnął głową potakująco, potem zaś najniespodziewaniej w świecie parsknął Rafałowi w twarz śmiechem szyderyczym.

— I z plecakiem się na wizytę wybierasz, ptaszku? — wrzasnął.

— Nie jestem ptaszkiem, rozumiano? A teraz, precz mi z oczu, łobuzie, albo pożałujesz

swego zuchwalstwa!

— Nie odejdę, póki się nie dowiem, kim pan jest.

— Wariat? — mruknął Rafał z nagłym przestraszeniem. — Poczciwy, stary człowieku — zaczął łagodnie, podnosząc się z głazu — pamięć wam widać nie dopisuje, gdyż wymieniałem już swoje nazwisko przed chwilą.

— A gdzie pewność, żeś nie zełgał, młody człowieku? Możeś ty nie jest wcale królik, ani zając; ale inny ptaszek!

— Milczeć! — zapiał reporter. Oszczędzałem cię starcze lecz twoja bezczelność przekroczyła wszelkie granice... Chcesz? Dobrze, wymienię ci moje prawdziwe nazwisko, ale skóra ci wtedy ściernie.

— O, la Boga — przestraszył się tamten.

— Skóra ci ściernie i na kolanach będziesz błagał, bym ci darował szaleńcze zuchwalstwo — perorował Rafał, zyskując na odwadze w miarę, jak tamten garbił się i kurczył, przerażony snadź tą pogroźką.

— Czyżbym pana obraził?

— Obraziłeś Baltazara Szafrana!

— Ko... kogo? Jezu! Pan jest...

— Tak, stary człowieku — wtrącił reporter, nadymając się tak, że aż paski plecaka zaskrzypiały alarmująco. — Jam jest Baltazar Szafran, polski Sherlock Holmes... Słyszałeś, nieszczęsny?

— Aaaa, tum cię czekał, bratku! — ryknął nieznajomy. Błyskawicznie wyprostował zgarbioną sylwetkę, prawą ręką pochwycił Rafała za kołnierz marynarki, a lewą jednym szarpnięciem zerwał sobie przyprawioną brodę, i oto w miejsce pochylonego starca wyrósł, jakby spod ziemi, trzydziestoparoletni mężczyzna, wysoki, chudy jak szczapa, lecz jakże muskularny.

— Bal... Bal... Baltazar Szaaaafran! — wyjąkał przerażony reporter, poznając od razu słynnego detektywa, choć tylko raz widział go przelotnie.

— Tak, złodzieju — tryumfował tamten. — Baltazar Szafran, ale autentyczny.

— Nie jestem złodziejem... Jakim prawem...

— Nie jesteś złodziejem, ejże? A pistolet kto mi ukradł, he?

— Zostawiłem w zamian zegarek. To była taka... taka wymiana...

— Aha. wymiana!... A cóżeś zostawił Rojkowi na wymianę za świśnięte mu cygara?

— Ja.. jakie cygara? zabełkotał Rafał, blednąc, jak ściana.

— Te samiutkie, łotrzyku, które ci później z kieszeni wypadły, kiedyś bez ducha leżał na otomanie u Rojka... Zresztą o tym wszystkim pogawędzi z tobą sędzia śledczy... Mnie obchodzą moje interesy... Dawaj te sześćset złotych, któreś wycygał od Rojka.

— Pan oszalał, panie Szafran — pisnął płaczliwie. — Z cygarami coś tam było, przypominam sobie, zdaje się, że mnie częstowano nimi... ale sześćset złotych?

— No, oddasz forszę po dobroci, czy mam ci sprać jadaczkę, he? — ozwał się wielki Baltazar, używając tym razem fachowego żargonu. — I stój spokojnie, doliniarzu, albo ci bransoletki ubiorę.

— Ja... ja chciałem tylko wyjąć portfel.

— Wolę to sam zrobić. Łapy w górę, no!

— Proszę, niech się pan przekona, czy mam jakie pieniądze — kwilił Rafał. Powoli przychodził do siebie. — Pistolet to głupstwo — myślał — oddam go mu, ale zażądam zegarka; buchnięcie kilku cygar także nie zbrodnia, a pieniędzy żadnych nie wzięłem i ty, łapaczu, będziesz mnie musiał puścić wolno.

— W której kieszeni masz portfel?

— W spodniach z tyłu — odparł lojalnie, odwrócił się i zademonstrował swemu prześladowcy odwrotną stronę „medalu”.

— Jestem pewny, że ich tu nie ma — mówił Szafran, odpinając guziczek, zabezpieczający wstęp do tylnej kieszeni — ukryłeś je cwaniaku, ale zeznanie Rojka cię kładzie na obie łopatki.

Wyjął portfel i otworzył go tuż przed nosem reportera.

— A to co?! Ha, ha, ha — zarechotał zwycięsko, wyjmując z głębokiej przegródki kilka nowiusieńkich stułotówek. — Sześć! — rzekł przeliczywszy je powoli. No i co teraz powiesz, sympatyczny idioto? — spytał jakoś cieplej, bo ujęła go za serce tak bezprzykładna nieostrożność.

A „sympatyczny idioto” niepomyślnie, że mu kazano ręce trzymać wysoko, opuścił je i oburącz rozcierał sobie zdumione oczy, nie wierząc, że to rzeczywistość. Ależ tak, to nie był sen, niestety! Nosił, od Bóg wie jak dawna, sześć ślicznych banknotów stułotowych i dowiedział się o tym radosnym fakcie wtedy dopiero, gdy je stracił... Stracił? — On nie ma prawa — przemknęło mu przez myśl, która ujawniła się natychmiast w formalnym, słownym proteście.

— To są moje prywatne pieniądze!

— Od Rojka.

— A choćby! — odparł z zuchwałością, która go samego zadziwiła. Inna sprawa, że nie miał pojęcia, skąd się te sympatyczne banknoty wzięły w jego postrzępionym portfelu, który najczęściej dwudziestkom udzielał gościny, a tylko po pierwszym oglądał pięćdziesięciotłotowe banknoty.

— Jeśli od Rojka, to mnie się patrz, ptaszyno mileńka.

— Pan mi je zabiera? jęknął.

— Oczywiście.

— Ja to powiem w sądzie, panie Szafran!

— A ja zaprzeczę. Masz świadka, idioto?... No, ważniejsze tu mam kawałki do załatwienia, niż pogawędkę z moim so-bo-wtorem — dodał, porównując z szyderczym uśmiechem niskiego Rafała ze swoją tyczkową sylwetką. W drogę, mój malutki.

— Dokąd? Krokiem się nie ruszę!

— Ruszysz, na pewno ruszysz, ooo, widzisz? — Popchnął go żelazną ręką i Rafał Królik wbrew swojej energicznej enuncjacji przebiegł kilka kroków w tempie startującego szybkobiegacza. I nagle, to brutalne popchnięcie, ten przymusowy bieg dla złapania zachwianej równowagi, ten ruch po długim przystanku, natchnął reportera śmiałą ideą, wskrzesił zdrewniałą inicjatywę i niezwykłą energię rozbudził... Udając, że wciąż jeszcze leci pod wpływem tego pchnięcia, balansując rękami w powietrzu rzekomo, aby nie upaść, wziął nogi za pas i zaczął zmykać, co tchu w piersiach. — Do mojej dziury! Niech mnie tam szuka w podziemiach — huczało mu w głowie...

— Stój, drabie jeden — zabrzmiał z tyłu głos detektywa. — Stój, albo strzelę!

Zimny dreszcz przebiegł od czubka głowy aż po pięty uciekającego, lecz myśl posłała cierpiącym ze strachu członkom uspokajający telegram: *On nie ma prawa strzelać! Nikogoś nie zabił przecież*. I jakby na przekór tak oczywistemu dogmatowi z dziedziny przepisów o ściganiu przestępców, rozległa się detonacja wystrzału. Rafał Królik runął, jak długi, potknąwszy się na jakimś korzeniu, poczuł silne uderzenie w tylną część głowy, i przymknął oczy z rezygnacją. — Zabił mnie — wyszeptał — zabił, choć nie miał prawa strzelać, łotr, morderca! — Jednakże po kilku sekundach stwierdził z przyjemnością, że jeszcze żyje, że nie słabnie i jest w pełni sił swoich, jeżeli nie liczyć głuchego bólu w głowie, jak gdyby po ciosie zadany młotem narzędziem. — Ranił mnie tylko, ale teraz dobije pewnie, żebym go nie zaskarżył. Uciekać!

Skryć się przed prześladowcą! Gdzie moja dziura, u diabła! Och, krew mi uchodzi! — Chmara czarnych, pesymistycznych myśli opadła nieszczęśliwego reportera niczym sępy i szakale zdychającego na pustyni wielbłąda. W rozpaczliwym wysiłku poderwał się Rafał z ziemi, a dojrzawszy wreszcie „swoją dziurę”, czyli ów otwór w sklepieniu krytego rowu strzeleckiego, popędził żwawo ku niemu.

Tymczasem Baltazar Szafran, któremu ani się nie śniło nawet sięgać do kieszeni po rewolwer, rozglądał się dokoła, szukając sprawcy lub źródła detonacji. W trzy sekundy później zrozumiał co zaszło i parsknął śmiechem. Ujrzał bowiem kilka dzikich kaczek, opadających w sitowie maleńkiego stawku, a kiedy pobiegł wzrokiem w odwrotnym kierunku ich lotu, w górą część wąwozu, skąd sam nadszedł tu przed chwilą, zobaczył psa, aportującego ustrzelonego ptaka; potem zaś pies pozwolił mu odnaleźć myśliwego, mierzącego właśnie do innej kaczki.

— No, z takiej odległości śrut nawet nie mógłby króliczkowi zaszkodzić, uważam — mruknął polski Sherlock Holmes i zwrócił swoje spojrzenie z dość odległego terenu polowania na bliski teren własnych łowów. Nastąpiło to w tym samym momencie, w którym Rafał pozbiierał się z ziemi i rozpoczął drugi etap wspianego odwrotu na „poprzednio upatrzone pozycje”.

Odzyskawszy owe sześćset złotych, na które właściwie już nie liczył, nie zamierzał Szafran zawracać sobie nadal głowy nieszkodliwym blagierem, ale paniczna ucieczka reportera wzbudziła w nim najgorsze podejrzenia. — Ten ptaszek musi mieć grubsze kawałki na sumieniu, skoro tak wyrywa rozpaczliwie — osądził Szafran, rzucając się w pościg. Biegł żwawo, bo bez wszelkiego balastu, podczas gdy Rafał obciążony pękatym plecakiem, przerażony szumem w głowie i przekonany, że jego krew strumieniem uchodzi, człapał powoli na swoich krótkich nóżkach. Rezultat wyścigu z takim handicapem dla detektywa nietrudny był do przewidzenia. I oto w chwili, gdy tuż przed zbiegiem zaczęła się „jego dziura”, wyciągnięte palce Baltazara Szafrana wczepiły się w plecak.

— Mam cię, ptaszku — zgrzytnął polski Sherlock Holmes.

— Puść, morderco! — zapał reporter, szarpnął się rozpaczliwie, odbił, odepchnął stopami szarpnięty w tył korpus i pionowo wpadł w wąską szczelinę otworu w pozycji pływaka skaczącego z trampoliny na nogi. Prześlizgnął się z równą łatwością jak wówczas, kiedy tu zleciał całkiem niespodziewanie i odkrywał podziemia. Tak, ale wówczas był bez plecaka. A tym razem wypchany żywnością plecak ugrzązł w otworze, wzbronił promieniom słońca dostępu do mrocznego i tak rowu strzeleckiego i Rafał Królik zawisł na tak niezwykłym spadochronie w egipskich ciemnościach.

Rozdział XXII

ŻYWCEM POGRZEBANI

Baltazar Szafran uśmieł się wreszcie do syta. Obejrzawszy uważnie drgający plecak, pochwylił go z odpowiednim zamachem, szarpnął, potrząsnął głową. Nie myślałem, że taki ciężki odsapnął. Przy drugiej próbie usłyszał bełkot zbiega i złowrogie charczenie, świadczące, że szelki plecaka zsunęły się delikwentowi pod brodę. — Jeszcze mi się króliczek udusić gotów — mruknął. Rozstawił nogi szeroko po obu stronach otworu, przygotował się na największy możliwy wysiłek, oburącz dźwignął ciężki tobołek i... upadł na wznak, nie wypuszczając z objęć plecaka. — Urwał się mój lotnik — rzekł z humorem, oglądając pęknięte rzemienie. Czy sobie tylko nóg nie połamał? — zatroskał się, i odsunawszy plecak, przyklęknął przy otworze.

A w tej samej chwili Rafał Królik, ujrzawszy plamę cienia, rzuconego przez głowę swojego prześladowcy, rzucił się do ucieczki znajomą sobie drogą. Był wolny i nareszcie nie lękał się pościgu, sądząc, że detektyw nie zapaści się sam w nieznane mu podziemia, a w najgorszym razie zawróci, stwierdziwszy jak rozległy jest labirynt dawnych okopów.

Toteż rozczarował się przykro, kiedy w ganku zadudniło echo ciężkiego skoku i kiedy w chwilę potem rozbłysło światło silnej latarki elektrycznej. Wytropił go rychło ciekawy język owego światła i ścigał go uparcie wraz z odgłosami szybkich kroków detektywa.

— Nic to — pocieszał się Rafał, przyspieszając kroku. — Ja jestem tutaj, jak w domu, a ty się zapoznasz z nietoperzami i zwiejesz.

Pamiętał doskonale, że niebawem dotrze do niepozornego otworu w lewej ścianie: tamtędy pójdzie, podczas gdy Szafran pomaszeruje niewątpliwie prosto przed siebie głównym korytarzem, kończącym się ślepo, a właściwie małą pieczarą zamieszkaną przez nietoperze, które niegdyś reporterowi tyle strachu napędziły.

— Zgłupiejesz, Baltazarku — naigrawał się w duchu — zgłupiejesz, a zanim pojdziesz, którądy zbieg wywiały, ja będę już odpoczywał w głębszym tunelu.

Ogarnął go nagle strach, czy wieko nie będzie od wewnątrz zamknięte na skobel, jak się to zdarzyło wówczas, gdy po odkryciu na drzwiach piwnicznych krwawego odcisku ręki umykał tędy panicznie.

— W takim razie wpadłbym, jak śliwka w... kompot — zatrwożył się i pragnąc co prędzej rozproszyć te wątpliwości, zrezygnował z nadśluchiwania i z widowiska, jakiego oczekiwał na wypadek prawdopodobnego spotkania Szafrana z nietoperzami. Opuścił swój posterunek przy bocznym otworze i pognął jak strzała do jaskini, w której ongiś spotkał tajemniczego osobnika w ceratowym płaszczu z kapturem. Od razu skierował się do płytszej odnogi pieczary, zapalił swobodnie kieszonkową latarkę i szybko odnalazł zardzewiałe żelazne kółko. Pociągnął je, ustąpiło, a ciężkie wieko klapnęło przyjaźnie. Podniósł je Rafał natychmiast, ucieszony pomyślnym obrotem sprawy zszedł po drabinie, schował latarkę do kieszeni, za to wyjął nabitą papierosnicę.

— Jakie szczęście, że nie zostawiłem także i papierosów w plecaku, ani butelki — popieścił szyjkę butelki, która cudem wyszła cała z dotychczasowych przygód. Z rozkoszą

zaciągnął się egipskim i, odzyskawszy szybko pogodę ducha, ruszył dalej niefrasobliwie spacerowym krokiem...

Wtem przystanął. Krew mu nabiegła do głowy, a legion mrówek przedefilował mu po krzyżach.

— Zapomniałem opuścić wieko — jęknął. Istotnie zapomniał zarówno o zamknięciu wieka jak i o drabinie, którą można było położyć poziomo w głębszym tunelu, uniemożliwiając w ten sposób detektywowi pościg we właściwych podziemiach. — Może zdążę jeszcze — pomyślał i już pędził na powrót, ale nagle osadził go w miejscu strumień światła. Baltazar Szafran nie zabłądził snadź do niszy nietoperzy, poszedł właściwą drogą i zstępował właśnie po szczeblach drabiny, które skrzypiały pod jego ciężarem.

— Za późno!

Wydawszy ten okrzyk, utknął reporter w miejscu, zgnębiony przeświadczeniem, że przez własną niedbałość czy nieuważę, zaprzepaścił jedyną okazję do umknięcia zawziętemu prześladowcy. I stał tam, jak małżonka biblijnego Lota po solnej kuracji, aż spłoszył go okrzyk detektywa:

— Słuchaj no, mały drabie, długo jeszcze myślisz mnie wodzić po tym Hadesie?

— Trzy doby! odwrzasnął z rozpaczliwą energią. Czyż mógł przeczuć, że nie o wiele się pomylił, dając tę bezmyślną odpowiedź?

Lecz Baltazarowi uprzykrzył się już spacer po „Hadesie”. Nawiązując do zuchwałego okrzyku reportera powiedział coś à propos doba, choć w zmięczonym brzmieniu, odrzucił plecak, który do tej pory niósł z sobą jako corpus delicti, i odzyskawszy swobodę ruchów, puścił się wyciągniętym kłusem w pościg.

— Niezły sprinter — pochwalił zbiega, który znajdował się stale w sferze smugi światła jego silnej latarki, lecz utrzymywał wciąż dotychczasowy dystans — ale spuchniesz, bratku.. O, już puchniesz.

Tym razem omylił się nieomylny na ogół Baltazar. Bowiem Rafał zwolnił tylko z tej przyczyny, że przypomniał sobie fatalną jamę z błotkiem. Tam była, tam, zaraz za skrzyżowaniem. Rafał pamiętał o niej i myślał właśnie, czy kładki jakieś licho nie porwało... Nie! Była na szczęście, a nawet leżała poziomo, snadź jegomość w ceratowym płaszczu, przypuszczalnie mieszkaniec zakazanych podziemi, zapomniał o zwykłej ostrożności. — Tak, tak, zapomniał, Wszakże i wieka na skobel nie zamknął — myślał reporter, przebiegając z rozstawionymi rękami po wąskim elastycznym mostku.

Stanął jak wryty. — Tu cię osadzę, Baltazarku — warknął, pochylając się nad deską. Przeciągnął ją na swoją stronę tak, że tylko samym brzeżkiem opierała się o krawędź przeciwległego boku, po czym przystanął za zakretem i zaczął szybko przebierać nogami w miejscu, aby ścigający sądził, że zbieg w dalszym ciągu ucieka...

Odgłos kroków detektywa zbliżał się szybko, widać Szafran „szedł pełnym gazem”.

Nagle zatrzeszczała kładka, rozległ się głuchy łoskot spadającego ciała, cichy jęk bólu czy przerażenia, a potem nastąpiła wymowna cisza. Światło Baltazarowej latarki znieruchomiało na niskim suficie tunelu, opisawszy wprzód nierówny łuk, odpowiadający paraboli upadku rozpędzonego człowieka.

— Chyba się przecież nie zabił — zatroszczył się reporter, pochylony nad zdradliwą jamą. — Zemdlał tylko, wyrznąwszy głową o deskę. Tak zemdlał i oto... (tu Rafał wyprostował się dumnie) i oto wielki detektyw Baltazar Szafran leży u moich stóp. Któż tedy, pytam, z nas dwóch jest silniejszy?

* * *

Ocknąwszy się, stwierdził Baltazar Szafran ze zdumieniem, że nogi ma związane własnymi szelkami, a na rękach kajdanki, których dwie pary nosił „od wypadku” w kieszeni. Poprawił się z trudem w niewygodnej pozycji, usiadł i ujrzał swojego przeciwnika. Mały reporter siedział nad jamą i odżywiał się intensywnie zapasami z plecaka, który przyniósł tu sobie w międzyczasie. Ażebym okazać, jak mało się przejmuję bliskim sąsiedztwem słynnego detektywa, bimbał nonszalancko nogami, zwisającymi nad dnem jamy niemal nad głową związanego jeńca.

— Dzień dobry, Baltazarku — zaczął przyjaźnie, upuszczając tamtemu na nos niby to niechęć, kawałek sera — jakże to powiedział nieśmiertelny pan Zagłoba? Aha, wiem: *Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma*, prawda?

— Ja cię też przytrzymam, aż ci się babka w grobie obróci — zawarczał tamten z wściekłością, usiłując powstać... oczywiście na próżno. Stracił równowagę, usiadł z impetem w kałużę błota, aż się rozprysła.

— Fe! — skrzywił się Rafał. — Jakże niesmaczne aluzje. Proszę cię, miły Baltazarku, poniechaj wszelkich wzmianek o nieboszczykach, kiedy jem. Jestem ogromnie wrażliwy.

— Bez kpín, łotrzyku. Jak śmiałeś mnie związać, co? Mnie... Bal...

— Baltazara Szafrana?! — przedrzeźniał reporter. — Musiałem cię związać, koteczku, aby móc bez przeszkody rewindykować swoją własność. Domyślasz się zapewne, że mówię o moich sześciu stuzłotóweczkach. — Tu wyjął swój portfel, wydobyl z niego sześć banknotów, ułożył je w piękny wachlarz i strojąc miny gejszy, począł się nim wachlować.

— Ośmieliłeś się zabrać te pieniądze z mej kieszeni?

— Jaaa? Coś podobnego! Masz świadków, Baltazarku? — zakpił Rafał, chowając skrzętnie swój cenny „wachlarz” do portfela.

Zgrzytnął zębami detektyw, ale nic na to nie odrzekł, boć ten kuty frant użył w tym wypadku jego własnej broni.

— A teraz pomówmy o interesach — ozwał się reporter — zostałem tu umyślnie, aby ci, miły Baltazarku, zaproponować przymierze i spółkę w pewnym przedsięwzięciu.

— Spółkę z takim łobuzem?

— Nie masz wyboru, kochasiu. Albo spółka ze mną, albo głodowa śmierć w tej dziurze, nieprzyjemnie woniejącej, między nami mówiąc. Bo jakże stąd wyjdiesz bez mojej pomocy, mając w dodatku bransoletki na rączkach, a nóżki związane szelkami. Przy nierozsądnych poruszeniach porcięta ci opadną „poniżej godności osobistej”, jak mawia jeden z mych przyjaciół, uwikłasz się w nich beznadziejnie i jeszcze przed zgonem odmroziś sobie w tej kałuży to i owo. A gdybyś jakimś cudem stąd wylazł, to racz pamiętać o drabinie i ciężkim wieku, które przywalę głazami, usunąwszy wprzód drabinę, abyś się na próżno nie fatygował z tą klapą... Myślisz może, iż jest stąd jakieś inne wyjście? Ano, szukaj, szczęście ci Boże. Ja całą dobę straciłem na próżne poszukiwania... A jeśli liczysz na jakąś pomoc z zewnątrz, to czeka cię, biedaku, przykry zawód. O tych podziemiach prócz mnie wiedział tylko „upiór Borów”, którego pan Rojek postrzelił. Nikt się tu nie zapuszcza i nikt cię szukać nie będzie.

Detektyw nie przerywał mu, licząc, że gaduła powie wreszcie coś, co go zainteresuje.

— Nie musi jednak być tak źle, jak mówisz, inaczej nie zależałoby ci na przymierzu ze mną i uciekłbyś czym prędzej.

— Tak powinienem uczynić, zaiste westchnął Rafał — tak nakazuje rozsądek... niestety moje głębokie serce wzdyga się na myśl, że w tym samym czasie, w którym ja siedziałbym w wagonie, ciebie szczury by tu łaskotały. A szczury są tutaj tej wielkości — odmierzył prawą ręką na lewym ramieniu uczciwe pół metra i zabrał się znów do jedzenia.

— Która to godzina teraz? — spytał detektyw zniecierpliwiony.

— Złodzieju! Zegarek takżeś mi ściągnął?

— Pożyczyłem tylko — odparł reporter urażony oddam ci go pod słowem, skoro mój na powrót otrzymam. I pistolet ci oddam.

— Czwarta — mruknął detektyw do siebie. — Coś długo leżałem bez przytomności.

— Przyznaję, że długo. Już zaczynałem się lękać...

— Aha, teraz się wygadałeś, bratku. Zależy ci jednak, bym żył.

— Czyż kiedykolwiek twierdziłem inaczej? Nikomu śmierci nie życzę, takie już mam serce dobrotliwe... Ale abstrahując od wrodzonej mi humanitarności; także z innych powodów nie chciałbym, abyś umarł, drogi Baltazarku.. Forsa, ot co! Chciałby człek łyknać trochę grosza i chciałby wywdzięczyć się czarującej dziedziczce z Borów za gościnę. Ubrano mnie wbrew woli w twoją skórę, Baltazarku. Myślałem, że podołam zadaniu, ale przeliczyłem się trochę. Splot zagadek związanych z Borami jest tak skomplikowany, że autentyczny Sherlock Holmes, ten angielski, uważasz... nic by nie poradził.

— Chcesz mnie zaintrygować, co?

— Chciałbym cię zainteresować tą sprawą, ale tylko dlatego, aby być w porządku wobec Ewy Turno. Abym mógł sobie powiedzieć z czystym sumieniem, że nie zaniechałem żadnego środka... Lecz z drugiej strony nie mam ani krzty nadziei, byś tu coś pomógł w tej sprawie...

— W jakiej sprawie, u licha! Przecież Rojek zdemaskował tego draba przebiegającego się za upiora. Sam mi mówił... Więc o co chodzi?

— O wiele, wiele spraw daleko bardziej tajemniczych. Zważ tylko: Jest stryj, dziwak-milioner, który ukrywa się w kraju, a każe rodzinie pisywać do siebie do Paryża. Ma sekretarza Priwima w dwóch egzemplarzach. Jeden Priwim-malarz hula w Paryżu, drugi Priwim-gbur, o upodobaniach chłopca ze wsi, siedzi Ewie pół roku na karku i w nocy znika. Przychodzą od niego depesze, potem łapiemy kota z kartką przywiązaną do szyi, na której napisano: *Jestem uwięziony, ratujcie*. Ech, diabeł się nie wyzna w tym labiryncie tajemnic!

— Przesada, młody człowieku. Nie ma takiej zagadki, której by geniusz ludzki w końcu nie rozwiązał — odparł Baltazar Szafran sentencjonalnie i po chwili dodał ze skromnością: — Ja osobiście nie miałem jeszcze tak skomplikowanej sprawy, której bym w ciągu tygodnia nie rozwikłał.

— No to miałeś szczęście, kochasiu, żeś się do tej sprawy nie zabrał, bo tu byłby kres twej sławy, twej niezwykłości... Na zdrowie!... Sto lat... kryminału — rzekł uprzejmie, gdyż detektyw zaczął nagle kichać.. — Cztery? Pięć? Ho, ho, sześć, siedem? — liczył z podziwem donośne salwy kichnięć. — Ciekawym, czy dociągniesz do jedenastu...

— Dlaczego? Aaaa psik... aaa psik!

— Osiem, dziewięć... no, jeszcze dwa razy, a będzie pełen ceremoniał...

— Aaa psiakrew, psik! — zaklął i kichnął detektyw.

— Dziesięć! No, ostatni raz jeszcze.. Ustanowisz rekord, Baltazarku. Nie możesz? Zażądałeś się, biedaku; nie służy ci ta błotna kąpiel. Wyciągnąłbym cię chętnie, ale na razie nie mogę ze względów natury politycznej, bo nuż byś zamach stanu urządził, co?

— Daj mi trochę koniaku.

— Proszę bardzo. Powinniśmy wypić Bruderschaft, bo tykamy się dotychczas nieformalnie — odparł mały frant, pochylając się nad jamą. Trzymając butelkę za czubek szyjki, podał ją detektywowi, bacząc troskliwie, aby go za rękę nie schwycił i na dół nie ściągnął. — Wprawdzie jestem dziennikarzem, a ty tylko łapaczem w trochę lepszym gatunku, lecz polubiłem cię szczerze i gotów jestem patrzeć przez palce na przepaść, jaka nas dzieli — dowodził... — Wolniej, człowieku! Wszystko wyduldasz.

— Jakiś ty tam dziennikarz — powątpiewał Szafran, przerywając na chwilę czynność pompy ssącej. — Kolporter prędej.

— Oto moja legitymacja, spójrz tylko — obruszył się Rafał, a potem dodał w zamyśleniu — zresztą czymże jest dziennikarz jak nie kolporterem? Czyż nie rozpowszechnia i nie sprzedaje wiadomości, które zdobył, albo sam stworzył? Ty jednak nie jesteś wcale tak głupi, Baltazarku, jak sądzić by można z pozorów. — Ubliżył mu umyślnie, chcąc w ten sposób przerwać jego misterium koniakowe przeciągające się w sposób budzący niepokój. Ale Szafran wyższy był ponad te osobiste wycieczki i flaszki nie wypuścił. Uczynił to dopiero wtedy, gdy się zachłysnął, aż mu oczy kołem stanęły.

— Widzisz, widzisz — współczuł reporter — w czym, jak w czym, ale w picciu zawsze należy zachować umiar stateczny. Bierz ze mnie przykład. I po co ci to wszystko? Najpierw kichasz, zaziębiasz się, potem płuca chcesz sobie wykaszleć, a jutro będziesz zimnym trupem, jeżeli odrzucisz moją wspaniałomyślną ofertę i nie dojdziemy do porozumienia w sprawie zasadniczej. Mam na myśli spółkę, którą ci proponowałem.

— Nie, bratku. Nie zawieram spółek do nieznanych, ciemnych interesów.

— Ciemne one są, prawda, bo jądro ich spoczywa w podziemiach, ale są czyste, etyczne, bez skazy, jako i dusza moja.. Zresztą o spółce możemy pogadać później, a na razie zawrzyjmy pakt wzajemnej nieagresji.

— To znaczy? — zainteresował się wielki detektyw, którego koniak rozmarzył, udobruchał i na nutę pacyfizmu nastroił.

— To znaczy: dasz mi słowo honoru, że będę mógł stąd odjechać bez przeszkody, że mnie nie wsypiesz przed Ewą zanim nie wyjaśnimy tych zagadek stryjeczno-Priwimowych, i że mnie po sądach włóczyć nie będziesz. W zamian za to osiągniesz następujące korzyści: po pierwsze uwolnię cię, po drugie pomogę ci stąd wyleźć, po trzecie nakarmię cię, bo widzę, jak ci ślina gęstnieje na widok moich zapasów, po czwarte dam ci słowo, że cię nigdy nie uderzę...

— Owszem, uderz...

— Nie uderzę — ciągnął Rafał poważnie — i pozwolę ci wyjść stąd bez przeszkody na światło dzienne. Po piąte, skoro otrzymam mój zegarek, oddam ci ten tutaj oraz twoją przeklętą kolubrynę, która mi dwie kieszenie podarła.

— I sześćset złotych!...

— O, co to, to nie!... Niewdzięczny, dać mu palec, chce rączkę całą!

Te sześćset złotych stało się przedmiotem długich pertraktacji, aż pogodzili się „krakowskim targiem”, to znaczy wypadło „na twarz” po trzysta złotych. Potem Szafran, który od wczesnego rana nic w ustach nie miał (prócz fajki) i wstawił się średnio wypiwszy tyle koniak na pusty żołądek.. dał potrójne słowo honoru, iż umowy dotrzyma we wszystkich punktach, po czym odzyskał wolność.

— Przywracam ci obywatelską swobodę ruchów, ślubuję przemilczeć, iż tu w więzach leżał i w błocie, oraz przyjaźń ci moją ofiaruję, amen — zabrzmiał uroczysty, a nieufnością i lękiem drgający głos Rafała Królika, który wygłosił z należnym patosem ten edykt zniesienia niewolnictwa w swoich podziemiach, po czym z duszą w okolicy łopatki, choć jeszcze nie na ramieniu, zjechał po desce do jamy.

Kiedy wywindowali się viribus unitis z przepaści, która ongiś dla żołnierzy z okopów była doliną westchnień i ulgi, Baltazar Szafran rzucił się żarłocznie na zapasy z plecaka, a Rafał, chcąc go zainteresować zagadkami Borów, rozpoczął swoją opowieść da capo, ale porządnie tym razem i wcale treściwie, włączając w tok opowiadania to, co słyszał od Ewy, czy od innych osób, oraz to, co mu w dwóch listach z Paryża doniósł kapitalny Totek Rylski. Baltazar słuchał i jadł, jadł, jadł przerażająco dużo jak na tak chudą osobę, aż srodze zaniepokojony reporter rozpoczął

ostrzy finisz opowiadania. — Musimy oszczędzać zapasów, bo kto wie, jak długo przyjdzie nam tutaj siedzieć twierdził, usuwając zręcznie poszczególne artykuły spożywcze z pola widzenia detektywa, który z wolna zapadał w ociężały błogostan.

— Morowy chłop z ciebie — rzekł wreszcie, klepiąc Rafała przyjaźnie i trochę za mocno — ale jedno wielkie świństwo popełniłeś.

— Jedno? Możliwe... Mianowicie?

— Żeś mi na kark przysłał sekundantów tego tam posła. Zagroził mi jednostronicowym protokołem.

— Jednostronnym chyba...

— Może. Nie znam się na sprawach honorowych, czy jak je tam... Dość, iż musiałem wyszukać sobie dwóch tumanów, którzy tamtym idiotom wyjaśnili, że ich klienta ani rusz obrazić nie mogłem, skoro go na oczy nie widziałem, ani z nim nigdy nie rozmawiałem... To było świństwo, mój mały i za to muszę cię lekko wyboksować.

— Czekaj, potem — odsunął się przeczornie — skompensujemy wzajemne pretensje, bo tyś zrobił większe świństwo, Baltazarku. Strzelałeś do mnie dwa razy i zraniłeś mnie, na szczęście lekko.

Wyjaśnił tedy detektyw, iż strzelał jakiś myśliwy do kaczek, wyraził swoje zdziwienie, że śrut mógł donieść na taką odległość i polecił Rafałowi, aby pokazał ranę.

— O tutaj, widzisz? — reporter odwrócił się tyłem, pochylił głowę na piersi i ostrożnie dotknął palcem karku. — Nie ruszaj! Tam się utworzył ogromny skrzep, który znakomicie tamuje dalszy upływ krwi.

Spojrzał Baltazar na „ranę” i ryknął eksplozją śmiechu..

— Weźże na palec ten skrzep i zjedz go na deser.

— Niesmaczny dowcip — skrzywił się Rafał. — Więc cóż to jest właściwie? Naprawdę, nie krew? niedowierzał, dotykając palcem lepkiej masy.

— Konfitury, idioto! Musiały się wylać przy twoim upadku.

— Istotnie... konfitury... Hm, hm, a rany żadnej nie widzisz?

— Owszem, jest, ale wyżej i głębiej.

— Rany boskie, gdzie? — przeraził się.

— W twoim króliczym mózdzku. Ale to nie twoja wina. Dziedziczna tępota z pewnością.

Rafał wyprosił sobie stanowczo wszelkie aluzje do swej rodziny, po czym zaczął pakować swój plecak.

— Pójdziemy się przespać na słońce, co? — ziewnął detektyw.

— Możesz iść, skoro tchórzysz, ja pójdę zbadać podziemia dworu. Zatem, do widzenia, Baltazarku. — Jeszcze kilkoma zdaniem podrażnił ambicję detektywa i osiągnął pożądany skutek. Ziewając i pomrukując, że można by wyprawę odłożyć do jutra, a teraz się zdrzemnąć, powlókł się detektyw za swoim małym przewodnikiem i, aby sobie ulżyć w marszu, oparł się mocno na plecaku. Z szelmowską satysfakcją wsłuchiwał się w sapanie Rafała, nie pojmującego, dlaczego mu tak ciąży ten plecak obecnie, a potem zaczął drzemać w chodzie. Ocknął się dopiero, kiedy dostał porządnego szturchańca między żebra i posłyszał szept, nabrzmiały wzruszeniem:

— Patrz, to te drzwi!

Były to istotnie te same drzwi, za którymi dosłyszał Rafał niesamowity bełkot, jęki, szamotania. Tym razem tylko na jedną kłódkę były zamknięte i Baltazar Szafran, lubo dziwnie śpiący, zabrał się niezwłocznie do roboty. Z wypchanej teczki, z którą nie rozstawał się nigdy, wyjął olbrzymi portfel, otworzył go i oczom zdumionego Rafała ukazała się kolekcja błyszczących pilników, piłek i im podobnych instrumentów.

— Trzymaj to — mruknął detektyw, wręczając towarzyszowi portfel o tak niezwyklej zawartości. — Skobel jest diablo gruby, więc przepiłuję ucho kłódkę... Oliwiarkę podaj.

Rafał był w siódmym niebie. Tyle razy opisywał robotę włamywaczy, a nigdy dotychczas jej nie widział, co najwyżej jej skutki. Teraz zaś mógł podziwiać fachowca i podziwiał go, zapomniawszy o bożym świecie. Ciężki portfel rozłożył na spróchniałej skrzynce, przywleczonej ad hoc z kąta piwnicy i patrzył, doskakując niekiedy z oliwiarką czy innym narzędziem wymienionym przez Baltazara Szafrana.

— Przydałby ci się taki pomocnik jak ja, prawda? — zagadał tendencyjnie, bowiem marzyły mu się już romantyczne wyprawy w niezmierną dżunglę przestępstw, które oni dwaj tepiliby bezlitośnie. — I różniej by ci było we dwóch, Baltazarku... różniej, powiadam...

— Nie zwracaj mi teraz gitary — odburknął zapracowany Sherlock Holmes. — Oliwy jeszcze — komenderował... — Taaak, teraz poskładaj ładnie narzędzia.

Z rozkoszą spoglądał reporter na finisz krótkich zapasów z kłódką. Zazgrzytała żelaznym głosem, opadła na próg, skobel pohnął się wahadłowym ruchem i drzwi stanęły otworem.

— Gdzież ten odcisk ręki?

— Tu, Baltazarku, widzisz? Teraz jest całkiem czarny, ale wtedy był prawie purpurowy.

— Tak. to rzeczywiście ślady krwi... No, naprzód.

— Ale ci te drzwi grube, no! — Rafał obejrzał z należnym szacunkiem potężne wrota zbite z dwóch warstw półtoracalowych desek, wzmocnionych skośnym krzyżem listew i okute, jak się patrzy. Potem lekki strach go obleciał, bowiem przywidziało mu się, że gdzieś poza nim zaszeleściło coś i zastukało, a tymczasem nieustraszony Baltazar już wkraczał do następnej piwnicy. Puścił się więc Rafał wyciągniętym kłusem i rymnął na niedostrzeżonej przeszkodzie, która zadźwięczała blaszanym akordem tonów.

— Cóż ty tam wyrabiasz?

Szafran odwrócił się z progu następnej piwnicy i puścił strumień światła na podnoszącego się reportera, który też zaraz przybiegł do niego galopem.

— Wiesz co to było?

— No pewnie. Puste bańki z benzyny...

— Baltazarze, Baltazarze — chwiał głową z politowaniem czyś już zapomniął, co ci mówiłem o usiłowaniu podpaleniu dworu? W beczce przeznaczonej na deszczówkę była benzyna... **Benzyna!**

— No więc co z tego. Tu miał pan podpalacz swój skład podręczny, to jasne. Niemniej to odkrycie nie posuwa sprawę ani na krok naprzód.

— Przeciwnie, bo świadczy dowodnie, że jest stąd drugie wyjście... wyjście wiodące wprost do parku. Nie przypuszczasz chyba, że podpalacz po każdą konewkę benzyny odbywał dwukilometrowy spacer do Czarciego Jaru i że urządzał sobie z nią przechadzkę przez cały ten zakazany labirynt.

— A gdzież jest to wyjście?

— Musimy go szukać właśnie.

— No to szukajmy. Ty idź w jedną stronę, a ja w przeciwną...

— Nie, nie — Rafał obejrzał się niespokojnie. — Po co mamy się rozłączać? Mógłbyś wpaść znowu w jaką dziurę jak tam w korytarzu.

Detektyw zadarł głowę i zaczął rozgłośnie wciągać w nozdrza powietrze w podobny sposób, jak to czyni pies rozkopujący kretowisko.

— Zapachniało mi coś nieprzyjemnie — mruknął w odpowiedzi na trwożliwe zapytanie małego kompana, w jakim celu tak węszy, i ruszył naprzód w ciemny labirynt piwnic.

— Trupem tu śmierdzi — orzekł w końcu, a Rafała aż ciarki przeszły na te słowa. Stapał

niemal po piętach odważnemu towarzyszowi i czuł się jakoś pewniej, ile razy „niechący” dotknął ręką jego pleców.

— Teraz i ja już czuję, miałeś dobry węch, Baltazarku — pochlebiał mu, cierpnąc na myśl, co by począł, gdyby tak nagle Szafran zapadł się pod ziemię i jego samego tu pozostawił. — Ależ jest tych piwnic, jest do diabła i trochę — pomrukiwał, aby zakłócić cmentarną ciszę podziemi. Istotnie stary dwór, trzy razy większy od dzisiejszego, posiadał z górą dwadzieścia pomieszczeń piwnicznych, nie licząc na pół pozasypywanych pieczar, ganków, przejść i korytarzy wykopanych ongiś przez oddział żołnierzy, odciętych od swego pułku zaporowym ogniem Rosjan, a nie atakowanych bezpośrednio i przez to zmuszonych do kreciego żywota w tych piwnicach. Oni to właśnie rozpoczęli kopać ganek podziemny, którym chcieli się przedostać do starego rowu strzeleckiego w Czarcim Jarze, aby tamtędy uciec do swoich, ale powiodła się ucieczka tylko jednemu feldfeblowi Rojkowi. Inni zginęli nazajutrz od ognia artylerii austriackiej, której pierwsza salwa zaskoczyła ich w chwili, gdy znękani głodem przetrząsali budynki gospodarskie folwarku w poszukiwaniu jakiegoś worka ziemniaków. Zginęli wszyscy, oprócz porucznika Smólskiego, który jako ciężko ranny pozostał w jednej z tych właśnie piwnic i dostał się do niewoli rosyjskiej. Bowiem Rozłąkę, Bory i całą okolicę zajęli przejściowo Rosjanie, usiłujący wówczas sforsować przełęczę karpackie i oni to wykończyli ów podziemny ganek, w którym Rafał Królik odniósł walne zwycięstwo nad Baltazarem Szafranem, a potem zwyciężonemu wspaniałomyślnie przyjaźń swą ofiarował.

— Ohydnie śmierdzi — mruknął znów reporter. Wyrznął się nosem w plecy detektywa, gdyż Szafran przyspieszył nagle kroku, a potem równie raptownie stanął w miejscu jak wryty.

— Tam leży...

— Jezus! Maria! Kto?

— Trup!

— Trrrup?

— Nie widzisz?

— Prrraawie — zełgał reporter. Nie mógł absolutnie nic widzieć, skoro wtulił zimny ze strachu nos w plecy detektywa.

— Cóż tak kłapiesz zębami. Przecież to tylko trup.

Rafał pomyślał sobie, że właśnie o to „tylko” chodzi w danym wypadku, ale wyjaśnił towarzyszowi, że trzęsie się z zimna i „mężnie” ruszył ku zwłokom, doprowadzony tam pod ramię przez Baltazara. Z całej siły ścisnął wolną ręką nos, gdyż zwłoki były już zaawansowane w stadium rozkładu i skierował wzrok na twarz nieżywego.

— To Priwim! — wyszeptał z przejęciem. Poznał go, choć silny zarost, woskowa barwa twarzy oraz zastygły w niej grymas straszego cierpienia zmieniły ogromnie niesympatycznego „kuratora” Ewy.

— Czekaj no... Jeśli się nie mylę, to gość ma perukę.

— Nie tykaj! — wrzasnął Rafał.

— Hm, może masz rację. Nie trzeba go ruszać, zanim nie przybędzie komisja sądowo-lekarska. Ale perukę ma, to fakt. Widzisz?

— Widzę.

— Chociaż na nogi patrzysz w tej chwili, tchórzu.

— Widziałem, słowo daję. Odstaje ta peruka na skroniach. Baltazar?

— No?

— Chodźmy stąd... Chodźmy, Balciu drogi... już nie mogę dłużej, tak mnie mdli strasznie.

— To idź sobie ulżyć w kącie i wracaj... Słuchaj, powiedz mi lepiej, czy ci się nie zdaje,

że to może być właśnie August Turno?

— Tak i ja początkowo myślałem, ale Ewa zbiła mnie z tropu.

— Mianowicie?

— August Turno miał tylko pięć palców. Kciuka przy lewej ręce nie posiadał, stracił go jeszcze w młodości przy wypadku z bronią.

— Przy lewej, powiadasz?

— Możemy temu obie dłonie obejrzeć dla pewności.

Trup leżał pod samą ścianą, przylegając do niej lewym bokiem. Jego prawa dłoń czarna od krwi spoczywała na piersiach, prawdopodobnie na ranie, bowiem w tym miejscu zakrzepła dawno krew utworzyła największą kałużę. Lewe ramię dotykało ściany i dlatego właśnie Rafał stracił od razu pewność, przy której dłoni brakowało Turnie palca, aby złośliwy Baltazar nie kazał mu obejrzeć tamtej ręki; musiałby przy tym pochylić się nad zwłokami, może podnieść tamtą rękę, brrr, słabo mu się robiło na samą myśl o tym. A że był pechowcem, więc stało się, jak przewidywał.

— Tu ma wszystkie palce — mruknął detektyw — ale zobaczmy tamtą z kolei. Podnieś ją wyżej, a ja przyświecę... Prędsiej.

— Są wszystkie palce — stwierdził Rafał, nie otwierając oczu.

— Rzeczywiście są — potwierdził Szafran, sprawdzając to osobiście. — Zatem to nie August Turno.

— Powiedziałem od razu.

— Więc kto to jest? Hm, poczekaj, przejrzę mu z grubsza kieszenie...

— A ja ci latarkę potrzymam — ofiarował się Rafał.

Wynik rewizji był absolutnie negatywny. Nieboszczyk nie posiadał przy sobie żadnych dokumentów ani listów, które pozwoliłyby ustalić jego prawdziwie nazwisko; na pewno nie był Janem Priwimem, który obecnie przebywał w Paryżu... Ale w trakcie tych poszukiwań zobaczył Rafał, kierujący strugą jasnego światła.. na ścianie tuż nad zwłokami jakiś napis niezmiernie koślawy i niewyraźny. Wyglądał tak mniej więcej:

Zabił

mn

Ro

Nierówny rząd liter opadał przy końcu w dół, snadź piszącemu sił zabrakło i nie mógł dokończyć strasznego oskarżenia.

— Krwią pisał — wyszeptał reporter, domyślając się teraz, dlaczego prawa ręka jest taka zboczona i obok rany spoczywa.

— To poważna wskazówka. *Zabił mn* oczywiście: *mn*ie, ale któż to jest ten *Ro*? Czyżby on?

— Rogalik! — obwieścił Rafał triumfalnie.

— Któż to zacz?

— Dawny stróż nocny w Borach, którego za moją radą Priwim wyrzucił. Rogalik

odgrażał się wielokrotnie, że „zapłaci” za to Priwimowi. Zatem on go zamordował z zemsty. On, na pewno!... Albo...

— Mówisz *na pewno*, a teraz znów jest jakieś *albo*...

— Albo Rogers. Tak, tak, to on! Rewidując z upoważnienia Ewy pokój Priwima, znalazłem pod łóżkiem kopertę zaadresowaną do Rogersa. Z nim widać miał się spotkać tragicznej nocy. A trzeba ci wiedzieć, że Rogers reflektował na kupno Borów i miał z Priwimem jakieś konszachty.

— Na kupno Borów reflektował także Rojek. Jego nazwisko zaczyna się od tych samych dwóch liter.

— Tak, tak, o ile pierwszą literą jest *R*, nie zaś *K*, bo przyznasz sam, że jest bardzo do *K* podobna...

— A któżby to był na „*K*”?

— Na *Ko* powiedz. Po prostu Kochaut. Oczywiście, że on go zabił!

— Mamy w każdym razie w czym wybierać — mruknął kpiąco Baltazar Szafran. — Ładna kolekcja: Rogalik, Rojek, Rogers i Kochaut. Ustalić, który z nich i sprawa skończona. Bagatela!...

— Tsss... Słyszałeś? — wyszeptał Rafał, wpijając palce w ramię detektywa.

— Co takiego?

— Nie wiem. Coś jakby warknęło i jęknęło...

— W twojej mózgowicy chyba. Ja mam słuch dobry i... Cicho!

— Widzisz? A nie wierzyłeś.

Szafran zgasił latarkę i rozmawiali szeptem, nie ruszając się z miejsca. Jęku żadnego detektyw nie posłyszał, ani jakiegoś tam warczenia, natomiast obaj posłyszeli wyraźnie głuchy łoskot.

— Eeech głupstwo — rzekł głośno, zapalając znów światło po prostu osunęło się parę cegieł i cała parada.

— Osunęło się? Boże, a jeśli to nam odcięło odwrót? — przeraził się reporter, tknięty złym przeczuciem. Przekonał wreszcie upartego towarzysza, że nie ma najmniejszego sensu sterczeć tutaj przy cuchnących zwłokach, bo na świeżym powietrzu prędzej im jakaś zdrowa myśl do głowy „wpadnie”. I warto za jednym zamachem stwierdzić, co spowodowało ten łoskot, niezbyt głośny wprawdzie, ale głuchy, złowrogi, jak zatrzaśnięcie drzwiczek grobowca.

Szybko szli teraz, a Rafał wyprzedzał nawet długonogiego kompana i wracał mu humor w miarę, jak mijali jedną piwnicę po drugiej. Nigdzie nie widać było obłoków kurzu, które musiałyby wywołać osunięcie się kawałka ściany czy zerwanie się niskiego pułapu.

— Oto i bańki z benzyny ucieszył się, dojrawszy je z daleka.

— No widzisz. Tam nad nami musiało się coś oberwać, ale nie tutaj. Zaraz mówiłem.

— A jednak zmore przeczuc wciąż ciśnie moje serce.

— Przyciśnij ją nawzajem — parsknął Szafran. — Po cóżeś drzwi zamknął?

— Ja? Drzwi?! W imię Ojca i Syna!

Istotnie ciężkie, okute drzwi przylegały do futryny, co dojrżeli z daleka już w świetle doskonałej latarki detektywa. Runął w nie Rafał z impetem, sądząc, iż wiatr je przymknął w międzyczasie... ale odbił się, jak od ściany i usiadł na stopy nadbiegającemu Szafranowi, który w rozpędzie wielkim przewrócił się na tak nieoczekiwanej przeszkodzie.

— Zamknięte?

— Tak odparł głucho reporter, gramoląc się spod Szafrana.

Raz jeszcze sprawdzili obaj, że ciężkie wrota zamknięto na głucho w czasie, kiedy oni bawili w ostatniej piwnicy, po czym wymienili między sobą wymowne spojrzenia...

— To była pułapka.
— Niestety, Balciu kochany.
— Ale się z niej wydostaniemy, co? He, he, he, nie z takich pułapek wychodziłem cało.
— Podobnie i ja.
— No, bierzmy się do roboty. Może jeszcze dopędzimy figlarza, który nas tu chciał wraz z trupem pogrzebać...

— Po... pogrzebać? Brrr!
— Do dzieła, chłopcze — wołał z zapalem detektyw zdejmując palto. Rzucił je na głowę Rafałowi i huknął: — Dawaj narzędzia!

— Cooo?
— Narzędzia, mówię... Prędeż, guzdrało.
— Bal... Balciu kochany... ja... to jest... ty musisz je mieć przy sobie.
— Co, narzędzia? Zwariowałeś? Przecież dałem ci je do łapy!
— Oddałem ci je na pewno — wmawiał w niego, lękając się słusznie ucziwie zasłużonej awantury. — A tyś je może zostawił tam? — zabełkotał, wskazując na zamknięte drzwi.

Detektyw zrozumiał i lunął potokiem takich przekleństw, jakich nawet Rafał Królik, poczęty w łonie matki na Saskiej Kępie, a zrodzony i wychowany na Czerniakowie... w życiu swoim nie słyszał.

— Ja je tam zostawiłem, czy ty, idioto? — pragnął ustalić, maszerując z zaciśniętymi pięściami w stronę reportera, mistrza w odwrotach.

— Zawarliśmy przymierze, Balciu zawodził atakowany — Balciu drogi, pomnij: Treuga Dei!

Skończyło się na kilku półprzyjaznych kuksańcach, po czym przedsiębiorczy detektyw zaczął przeszukiwać kolejno wszystkie piwnice, szukając owego drugiego wyjścia, albo jakiegoś narzędzia, które by mu umożliwiło wyłamanie drzwi...

— Żeby tak siekiera — powtarzał, miotając się coraz niecierpliwiej w ponurym więzieniu. Niestety, siekiery tu nie było, natomiast znalazł niewielkie żelazne kleszcze, jakich używają kowale przy obrabianiu żelaznej sztaby na podkowę. Rzucił się z furią na drzwi, próbując poodrywać choćby te listwy ukośne, lecz niestety, listwy były zbyt szerokie; rozklekotana paszcza owych kleszczy nie mogła ich objąć, sam zaś „instrument” był zbyt lekki i kruchy, aby nim można było rozłupać grube deski, obficie nabijane potężnymi gwoździami i okute solidnie.

— To są właśnie te kleszcze, których na próżno w kuźni szukałem. Tak, tak, to one. Nimi to nasz „duch” zgniół lufę rewolweru Ewy.

Koło godziny siódmej wieczorem Baltazar Szafran cisnął z pasją owe płaskie obcęgi, które zdążył już złamać i obrzucił zadumanego Rafała stekiem jędrnych wyzwisk.

— Przez ciebie, capi synu, sufraganie, wyskrobku mizerny! Żebym miał tutaj moje narzędzia, już byśmy byli na posterunku policji. Na pomocnika mi się ofiarował, he, he, he. Kanarki ci iskać, tumanie, z taką kurzą pamięcią. — Przez dłuższy czas robił mu wymówki w ten sposób i w znacznie gorszy, aż w porywie gniewu użył pewnego rusycyzmu, w którym obrażający nie tyle atakuje obrażanego, ile jego rodzicielkę.

— Baltazarze! — skarcił go Rafał głosem grobowym — poniechaj matki mojej, bo jaka była, taka była, owszem, ale dziś już przebywa tam, dokąd i nam wybierać się pora... O duszy raczej pomyśl, Baltazarze!

— Bydlę! — ryknął rozjuszony detektyw i z dużym zamachem przymierzył pięść nie tyle do duszy, ile do krzyża Rafałowego.

— Uj... wstydzilbyś się, łapaczu ordynarny... Ale zniosę ten krzyż w pokorze, a ty, Panie,

przebacz mu, albowiem nie wie idiota, co czyni — modlił się reporter, gdyż pod wpływem żalosego przeświadczenia, że oto są żywcem pogrzebani wraz z trupem cuchnącym, obudziły się w nim bardzo głęboko drzemiące religijne uczucia. Jaka tam była jego matka, taka tam była, co Szafran przypadkiem odgadł, stosując ów epitet półrosyjski... ale, że w chwilach wolnych od zajęć zarobkowych dewocję uprawiała, przeto Rafał i pozostałe jedenaście sztuk jego rodzeństwa znało moc pacierzy na pamięć.

— Módlmy się, Baltazarku — krzyczał głosem wielkim, osuwając się na kolana... — Za dusze Priwima, Szafrana i Królika... Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...

— Oszalał! — wrzasnął detektyw, wrywając sobie piękne owłosienie garściami. — Żywcem zamurowany z trupem i z wariatem, oooooo — zajęczał i zaczął biegać w kółko z wszelkimi oznakami kołowaczny pospolitej...

Rozdział XXIII

WALKA O CNOTĘ

Ciężkie dni przyszły na Ewę Turno. Tam, w skrzydle dworku Kochaut, niewdzięczny sługa, walczył wciąż ze śmiercią, wytwarzając atmosferę grozy, lęku, napięcia. Trzydniowa nieobecność „mistrza” wyglądała na tajemnicze zniknięcie przypominające żywo nocny wyjazd Priwima. Stryj nie dawał znaku życia, podobnie jego nieznośny sekretarz, który tyle kłopotów narobił swoimi weksłami, a na domiar zmartwień ten list z firmy Rojka, list, wypowiadający tak niespodziewanie pożyczkę, którą, według zapewnień nafcjarza, miała dopiero w grudniu spłacić.

— Och, żeby mi raczej nie pożyczał tych pieniędzy — powtarzała Ewa, rozpaczając, skąd wytrzaśnie taką sumę w ciągu kilku dni. — Z Żydem, z lichwiarzem byłabym śmielsza.. a jego łaski nie chcę.

Była już dwukrotnie w Rozłące, ale wracała z niczym. — Pan dyrektor nie wrócił jeszcze ze Lwowa zapewnił ją płaskogłowy sekretarz, choć miała skądinąd wiadomości, że Rojek wrócił już dawno. — Czyli ukrywa się przede mną; to jeszcze gorzej — myślała. W końcu, kiedy znów dzień upłynął w denerwującej niepewności, wybrała się do Rozłaki z mocnym postanowieniem, że jeżeli Rojka znów nie zastanie, to spróbuje załatwić swoją sprawę z jego zastępcą, inżynierem Maciejem Mączyńskim. Z nim będą śmielsza dodawała sobie odwagi wspomnieniem dobrotliwego oblicza Mączyńskiego i jego noska, pocieszenie zadartego ku niebu. — Powiem mu tak: Z tego widzę, że będę musiała skorzystać z propozycji pana Rogersa, który mi oferuje kredyt itd., itd. To będzie kapitalne. Rogers z Rojkiem kochają się jak woda z ogniem. Dobre porównanie, słowo daję: zimny, spokojny Rogers, to woda, a tamten drugi to wulkan. Tak, to prawdziwy wulkan — dodała z zażenowaniem, bo Andrzej opowiedział jej coś niecoś o tym, co słyszał od Rafała o zuchwałych zamiarach nafcjarza w ową noc niezapomnianą, kiedy Kochaut otrzymał zasłużoną naukę za swoje łajdackie praktyki.

— Pan dyrektor już wrócił... Właśnie, przed chwilą — recytował sekretarz jakby wyuczoną, wykutą lekcję i wszedł do gabinetu szefa. — Pan dyrektor prosi panią — obwieścił po chwili, ocierając czoło zroszone potem, gdyż Rojek przypomniał mu, że za chwilę odegrają zwykłą komedię.

Nafcjarz zerwał się od biurka, kiedy weszła, wybiegł jej naprzeciw i z honorami poprowadził do fotela. — Rzadki gość, rzadki gość w tych skromnych progach — zachwycał się i cmokał grubymi wargami zgrabną rączkę Ewy.

— Ja tu do pana z interesem.

— Ooo, czym mogę służyć czarującej sąsiadce?

— List pański zaskoczył mnie tak niespodziewanie, że zdołałam zebrać ledwie półtora tysiąca. Chciałam właśnie prosić, aby resztę...

— Przepraszam — przerwał — nie rozumiem. Jaki list? — Odebrał z rąk Ewy pismo, które przed kilkoma dniami sam dyktował, przeczytał je i uderzył pięścią w biurko. To jakieś nieporozumienie!... Ach, naturalnie! Nie mój podpis... No tak, tak, chwalić Boga, pamiętam jeszcze treść listów, które sam podpisuję... Zaraz to wyjaśnimy.

Zadzwoił na sekretarza i we dwójkę zaczęli odgrywać zwyczajną farsę, z tym, że Rojek był aktorem pierwszorzędym, za to jego kompan zgrywał się haniebnie i umierał ze strachu, łapiąc rozdygotanym wzrokiem karcące, naładowane elektrycznością, „krótkofalowe” depesze szefowych spojrzeń. W końcu zgodnie z programem wyleciał za drzwi, zwymyślany, że miesza się do nie swoich spraw, bo panna Turno jest osobistą dłużniczką Rojka, nie zaś jego przedsiębiorstwa, o czym winien był wiedzieć...

— W takim razie poproszę o czek na dziesięć tysięcy, bo nie mam czym zapłacić podatku obrotowego — wystękał już z progu „płaskogłowy”, a wygłosiwszy to ostatnie zdanie ze swej roli, odetchnął z ulgą za drzwiami.

— Bardzo panią przepraszam za tę scenę — zaczął Rojek, pozwolewszy umyślnie, by przykre, uciążliwe milczenie trwało kilka minut i dobiło Ewę wystarczająco zgębną tym, co przed chwilą słyszała. *Panna Turno jest moją osobistą dłużniczką* brzmiało jej wciąż w uszach i utrudniało do reszty i tak już niezmiernie przykrą sytuację.

— Musimy znaleźć jakiś modus vivendi zagadał powtórnie, widząc, że dziewczyna siedzi osowiała, niezdolna do swobodnej rozmowy.

— Nie widzę wyjścia — wyszeptala jak gdyby do siebie. — Nie mogę pozwolić na to, by pan narażał się na konsekwencje niezapłacenia w terminie podatku, a z drugiej strony nie mam chwilowo więcej jak tysiąc pięćset złotych.

— Tylko półtora tysiąca? — westchnął przykro zdziwiony, choć zapewniał w trakcie rozmowy z sekretarzem, że cały dług Ewy jest dlań bagatelką. Przypomniawszy sobie snadź o tym, gdyż dodał zaraz: — Widzi pani, przed nim muszę inaczej gadać, bo szelma ma długi język, a źle by było, gdyby się rozniosło, że dla Rojka marne dziesięć tysięcy coś znaczy... A znaczy niestety, o, bardzo znaczy! — wzdychał cichuteńko, ale tak że nie mogła nie słyszeć.

Wstał, zaczął się gwałtownie przechadzać po gabinecie. Nie tylko dlatego, że grał swoją rolę, lecz i z tej przyczyny, że zapiekły go żądze na widok bezradnej rezygnacji, malującej się w słodkiej twarzyczce dziewczyny i w całej jej postaci lekko pochylonej, jak gdyby uginającej się pod brzemieniem niezliczonych kłopotów.

— Jesteśmy oboje w zupełnie podobnym położeniu — zaczął, przystając przed Ewą — ja nie mogę zdobyć kredytów, bo nie jestem jeszcze właścicielem Rozłaki, tylko dzierżawcą, a pani także nie otrzyma żadnej pożyczki, jak długo Bory będą tylko gospodarstwem rolnym.

— I zawsze nim pozostaną! — odparła z naciskiem, wyczuwając podskórnie tendencję tego przemówienia.

— Doskonale, jednakże, gdyby Bory stały się choćby fikcyjnie terenem naftowym... niechże pani nie marszczy ślicznego czółka... powiedziałem: fikcyjnie... to można by wydebić ładny kredyt na ich hipotekę. Pospłacałoby się wszelkie długi, weksle, och, zwłaszcza te przeklęte weksle i można by odetchnąć... A bank niech sobie czeka na rozpoczęcie eksploatacji ropy... niech czeka pół wieku, he, he, he...

Czuła, że on coś kręci i cała ta „fikcyjna” kombinacja wydała się jej bajeczką dla dzieci, ale zbyt mało znała się na transakcjach kredytowych, aby mu wykazać całą naiwność tego projektu.

— Jak pan sobie wyobraża ten interes? — spytała spokojnie, dodając, że nie zrozumiała w zupełności jego wywodów, nie zna się na tym...

— Wytlumaczę wszystko, ale czy może mi pani przyrzec, że cokolwiek powiem, nie będzie mi pani przerywała, póki nie skończę?

— Przyrzekam — zgodziła się po namyśle.

— Otóż, droga panno Ewo — rozpoczął z zapalem, przysunawszy sobie swój fotel w ten sposób, że kolanami niemal dotykał kolan dziewczyny — jak słusznie pani zauważyła, sytuacja

jej jest beznadziejna. Nie chodzi o te dziesięć tysięcy, choć i one wystarczą, żeby doprowadzić do licytacji Borów. Ale są inne długi, i przyjdą inne, nowe, zaciągane na spłatę starych: albo, co gorsza, na zapłatę tylko odsetek. Zadłużony majątek rolny to labirynt bez wyjścia.. Więc co pozostaje? Sprzedać Bory?! Ach, brońże Boże Łaskawy! Wyzbyć się ojcowizny?! O, spojrzała pani na mnie trochę pocziwiej, drogie dziecko.

Tak się wzruszył tym pocziwym spojrzeniem, że co prędzej pochwycił rękę Ewy i zapłacił za nie uczciwie w walucie pocałunkowej.

— Rozważmy z kolei inną kombinację... i teraz właśnie proszę o cierpliwość moją piękną słuchaczkę. Rozważmy tę kombinację ściśle teoretycznie, abstrakcyjnie, że tak powiem... Powiedzmy, bo cóż nam to szkodzi, powiedzmy, że... pani machnie się za męż... za mnie!... Oooo, zabrała pani kochaną rączkę — użalił się. — Małżeństwo z rozsądku, bo przecież wiem, że prócz przyjaźni i życzliwości nie żywi pani ku mnie innych afektów. Któż zresztą dzisiaj żeni się z miłości? I co to jest w ogóle miłość?... Daleko byśmy odbiegli, omawiając te kwestie wałkowane od wieków przez mądrzejszych od nas, nieprawda? Zatem rozważmy **teoretycznie** kombinację małżeństwa z rozsądku, z interesu, nazwijmy to po imieniu... i zastanówmy się, co by ta i tamta strona zyskała na tej transakcji. Moim zdaniem nieskończenie dużo!... Zaczynam od pani. Pozostałaby pani nadal wyłączną właścicielką Borów, bo w umowie przedślubnej zastrzeżlibyśmy, że każde z małżonków zatrzymuje swój majątek i że wyrzekamy się tak zwanego dopuszczenia do wspólności majątkowej. Zatem pozostaje pani dalej właścicielką Borów i tylko od pani będzie zależało, czy tam kiedykolwiek powstaną jakieś szyby, czy nie. Proszę tylko uważać — upominał, widząc, że Ewa patrzy w okno. Pomyślał sobie też jednocześnie, że będąc mężem Ewy, potrafiłby łatwo wymusić wszystko, czego by zapragnął i oczyma duszy widział już las wież wiertniczych na miejscu dzisiejszego parku.

— Słucham — wykrztusiła nieswoim głosem.

— To doskonale. Dalej odpadłyby pani wszystkie dzisiejsze ciężary, które byłoby moim obowiązkiem wziąć na swoje barki. W lecie mieszkalibyśmy w pani ślicznym dworku wsłuchani w szum liści z drzew parkowych — deklamował z sentymentalną łezką w głosie — w zimie podróżowalibyśmy za granicą, a wiosną i jesienią spędzalibyśmy choćby tutaj, albo gdzie by pani chciała. O, bo ze mnie, ze wstydem się przyznaję, straszny pantoflarz. Kobieta taka jak pani owinęłaby mnie dokoła palca.

Rafał Królik powiedziałby w tym miejscu: lekka przesada, bo w samej rzeczy Rojek nie nadawał się do owijania palca ani w przenośnym, ani dosłownym znaczeniu; ale Rafał sposobił się na śmierć w tej chwili, zaś Ewie, zupełnie wytraconej z równowagi ducha nieoczekiwaną propozycją nafciarza, takie figlarne myśli wcale nie spacerowały po główce.

— Uczciwość nakazuje powiedzieć prawdę, mianowicie, że i ja odniósłbym poważne korzyści z takiego mariażu. Przede wszystkim tę, że dostałbym żonę, o jakiej zawsze marzyłem: kobietę rozsądną, gospodarną, a przy tym reprezentacyjną, piękną, och, niebezpiecznie piękną — pochlebiał, przewracając wniebowziętymi oczyma jak kot pod gałęzią rozspiewanego słowika.

— Weźmy teraz korzyści materialne. Jako mąż właścicielki Borów, mógłbym, za jej zgodą oczywiście, zaciągnąć na hipotekę Borów większą pożyczkę z kredytów przeznaczonych na popieranie przemysłu naftowego, dzięki czemu nie tylko spłaciłbym wszystkie długi pani, ale pozostałoby mi jeszcze sporo grosza na ukończenie rozpoczętych inwestycji w moim przedsiębiorstwie... Zaznaczam raz jeszcze, drogie dziecko, że tak długo, jak długo by pani zechciała, Bory pozostałyby wyłącznie gospodarstwem rolnym. Wiem, że to pani pięta achillesowa, cenię niezmiernie jej... (pięty! — pomyślał z pasją) sentyment do tego pięknego skrawka ojcowizny i dlatego z naciskiem powtarzam po raz trzeci, że ani jedna wieża wiertnicza nie stanie na gruncie Borów, dopóki pani sama na to nie przyzwoli! Oto moja ręka... A proszę

jeszcze i to wziąć pod uwagę, że przyjęcie mej matrymonialnej oferty jest jedynym sposobem, jedynym środkiem, że tak powiem, do zjednoczenia wszystkich majątków Tumów w rękach ostatniej dziedziczki tego historycznego nazwiska... Nie rozumie pani oczywiście. Nic dziwnego, bo to na razie tajemnica. Otóż mogę panią zapewnić, że po długich tarapatach doszedłem w końcu do porozumienia z pani stryjaskiem i Rozłąka jest tak jakby moją. Pozostało trochę formalności do załatwienia. W ten sposób Rozłąka i Bory stałyby się własnością pani jako mojej małżonki..

— Przepraszam — wtrąciła Ewa, budząc się z dziwnego odrętwienia, kiedy Rojek napomknął o jej stryju — czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie obecnie przebywa stryj August? Bo mój list, pisany do Paryża, wrócił z dopiskiem, że adresat wyjechał.

— Gdzie w tej chwili przebywa stryj pani? — powtórzył w zamyśleniu i niesamowite błyski strzeliły mu z oczu. O, daleko stąd, panno Ewo. Adresu nie znam, oczywiście, ale wiem, że wybrał się w dłuższą podróż... Hm, tak, w dłuższą...

— A Priwim? — wykrztusiła po chwili. Nie śmiała już więcej dopytywać o stryja, nienawidziła go w tej chwili; więc z Rojkiem, z obcym człowiekiem, komunikował się, ale jej, bratanicy i pupilce, nie raczył kilku słów napisać.

— Priwim wyjechał za pani stryjem odparł Rojek, patrząc gdzieś w dal nieruchomo, jak gdyby coś za oknem przykuło jego spojrzenia.

Ocknął się w końcu z zadumy, zawiesił wzrok na twarzy dziewczyny i nowy potok wymowy chlusnął z jego ust wprawnych, niewyczerpanych w gładkich słówkach, komplementach, obiecankach, których nie miał najmniejszej ochoty dotrzymać kiedykolwiek. Tym razem jednak nie były to już „teoretyczne rozważania” na temat ewentualnego małżeństwa z rozsądkiem, ale zupełnie formalne oświadczenia, utrzymane oczywiście w duchu businessowej atmosfery.

Rojek rozumował logicznie, trzeźwo, jak na człowieka interesu przystało: nie oczekiwał zatem, że Ewa rzuci mu się na szyję lub wstydliwie poprosi o czas do namysłu. Te miłe ewentualności były nie do pomyślenia, wobec przykrego faktu, że zadrzyła się w Barskim. Ale Rojek wiedział, że czas będzie pracował na niego, a „studencka miłość” wywietrzeje skutecznie, skoro Andrzej Barski posiedzi za granicą choćby z pół roku...

— Niech pani mi nie daje żadnej odpowiedzi teraz, błagam. zaklinam panią — prosił, widząc, że Ewa także chce dojść do głosu — proszę zostawić wszystko tak, jak było dotychczas. Kiedyś, może za parę miesięcy, może później, przypomnę pani naszą dzisiejszą rozmowę („właściwie monolog” — pomyślał z humorem) i wtedy da mi pani odpowiedź. A na razie proszę mnie tylko uważać za życzliwego sąsiada, za przyjaciela, do którego proszę się zwracać z całym zaufaniem z wszelkimi kłopotami finansowymi czy innymi... Ten drobiazg (tu potrząsnął listem, zawierającym wypowiedzenie pożyczki, z którą się zresztą sam narzucił) niech pani główki nie zaprzęta. Rozliczymy się później, daj Boże, już jako zgodne, miłujące się małżeństwo, he, he, he.

— Zatem sprawa tej pożyczki wiąże się ściśle z pańską propozycją małżeńską, czy tak? — spytała poważnie, chłodno, ale coś, jakby ironia, zamigotało w kąciakach jej ciemnych oczu.

Wytrzymał jej wzrok spokojnie i odrzekł ze sztuczną żartobliwością:

— Pani to powiedziała! Nie ja, he, he, he.

— Czyli, że muszę w terminie wyrównać mój dług pod grozą.

— Ależ, drogie dziecko...

— ...pod grozą egzekucji, licytacji Borów, czy jakie tam są konsekwencje — ciągnęła dalej nieubłaganie i powstała z fotela — jeżeli na pańską propozycję, która, nawiasem mówiąc, jest dla mnie prawdziwą niespodzianką... jeżeli na nią odpowiem odmownie, czy tak?

— Nie chcę w tej chwili żadnej odpowiedzi — odparł skwapliwie, stając naprzeciw Ewy

— powiedziałem to już. Kiedyś, w przyszłości pomówimy. Sprawa jest zbyt poważna, aby taką, czy inną decyzję można było powziąć na poczekaniu.

— Żadna zwłoka nie wpłynie na decyzję, którą już powzięłam.

— To się tak mówi, drogie dziecko, to się tak mówi tylko — zapewniał z dobrotliwym uśmiechem. — Wiem, bo i ja to przechodziłem w pani wieku. *Ta, albo żadna!* myślałem za każdym razem, a potem: *andere Städtchen, andere Mädchen* i znowu się człowiek zadurzał bez pamięci w innej spódniczce. Toteż, jeżeli pani jest w podobnej sytuacji i serduszko zaangażowało się troszeczkę, to możemy patrzeć spokojnie w przyszłość; z tego się nie umiera, wręcz przeciwnie, po osiągnięciu wieku dojrzałego bawi się człowiek kosztem swoich dawnych, studenckich miłości lepiej niż na najweselszej farsie...

— Jak pan to rozumie? — spytała ostro, bowiem domyśliła się od razu, że są to aluzje do inżyniera Barskiego, do jej Andrzeja!

— Jak to rozumiem? Ależ ja tak tylko mówię, bez żadnych aluzji, czy myśli ukrytych. *Ohne Hintergedanken*, he, he, he — rechotał nieszczercze.. A po chwili zmiarkowawszy, że Ewa zabiera się do odejścia, podszedł do okna, od którego dzieliło ich ze dwa, trzy kroki i dodał poważnie, uroczyście, niemal surowo: — Wszystko jest głupstwem, drobiazgiem wobec tego tam. Bory! Widzi je pani? To pani ojcowizna, to ostatni skrawek ziemi, ostatni folwarczek z dawnego klucza Turnów. Czy zostaną w rękach ostatniej latorośli rodu Turnów, czy pójdą na licytację i kto wie, czy już nie wkrótce, to wyłącznie zależy od pani! A dla takiej stawki, droga panno Ewo, warto zaiste poświęcić wiele, bardzo wiele... znacznie więcej niż romantyczne widzimisię młodej, nie znającej życia dziewczyny. Oto, co chciałem pani powiedzieć na zakończenie naszej dzisiejszej rozmowy.

Jak zahipnotyzowana podeszła do okna i spojrzała w dal, w dolinę, ku Borom. Z wszystkiego, co Rojek powiedział w swym długim monologu, utknęły jej najbardziej ostatnie zdania; wżarły się jej w duszę, bowiem dotyczyły tego, co miała najdroższego na świecie. Bory! Lepiej niż ktokolwiek znała swoje położenie trudne, niemal bez wyjścia, wobec niezrozumiałej oziębłości stryja Augusta, milionera-skapca, który zamiast dopomóc pupilce, jeszcze naraził ją na poważne straty przez nieuczciwe machinacje swojego sekretarza.

— Nie ma wyjścia — wyszeptała, całując wzrokiem kontury odległych budynków i ciemno szmaragdowe czupryny drzew w swoim parku... — Lub raczej jest wyjście: przyjąć propozycję Rojkową... Andrzej! — jęknęło serce...

Rojek stał obok, czekał, patrzył, domyślał się, jaką walkę Ewa stacza w duszy i czatował na moment sposobny. Stał bez ruchu, kiedy głowa dziewczyny podniosła się dumnie. — To bunt, ostatnie podrygi — kombinował. Stał spokojnie, kiedy rozmiłowanym wzrokiem wodziła po swoich Borach. Aż kiedy w kąciakach ciemnych, podłużnych oczu dojrzał perełki łez, a w posmutniałej twarzyczce ową ponętą, drażniącą bezradność, słabość, rezygnację... uznał, iż nadeszła chwila działania.

Kocim ruchem przysunął się do Ewy, otoczył jej kibić prawą ręką delikatnie, ostrożnie, zbliżył usta do niesfornego loku wymykającego się z pod bereciku, a drugą rękę wyciągnął ku oknu...

— Bory! — wyszeptał. Twoje Bory, Ewo. Nie dasz ich, prawda?

Potrząsnęła głową przecząco, nieczuła na objawy tak poufałej serdeczności mężczyzny. O Borach tylko myślała, one jedynie istniały dla niej w tym momencie.

— I będą twoje zawsze!... jeżeli tylko zechcesz — ciągnął dalej sflumionym głosem, zaciskając nieznacznie objęcie zaborczego ramienia. Ośmielał się z wolna, lub raczej ośmielała go jej bierność, jej całkowita apatia do odrętwienia podobna. Niemniej jednak nie zapomniał, że czarodziejską różdżkę stanowi jeden wyraz: *Bory* i odmieniał go we wszystkich przypadkach.

— Tam się urodziłaś, prawda, kochanie? I rodzice twoi tam mieszkali i dziadkowie, wszyscy przodkowie.

Pomylił się trochę, bowiem przodkowie Ewy mieszkali w Rozłące, ale cóż znaczył ten drobiazg. Ewa z pewnością nie rozumiała, co do niej mówiono, ani nie czuła gorących ust, muskających niepewnie jej skroń. Otrząsnęła się dopiero wtedy, gdy zamiast Borów, wyglądających z tej odległości jak miniaturka, ujrzała przed sobą twarz mężczyzny i oczy błyszczące pożądaniem i zdyszane usta zbliżające się powoli lecz nieuchronnie, by spocząć na jej rozchylonych wargach. Szarpnęła się w tył, ale przytrzymało ją ramię silne, gniotące smukłą kibić jak żelazna obręcz...

— Puścić!... proszę. — Złagodziła rozkaz, bowiem znów stanęły jej w pamięci Bory i fatalna świadomość, że tego potężnego sąsiada i wierzyiciela w interesie Borów nie należy sobie zrażać odpowiedzią, na jaką zasłużył. Więc tylko szamotała się w kleszczach jego objęć i twarz kryła w dłoniach, na które spadł teraz gorący deszcz pocałunków. Ale kiedy oderwał jej rękę i dopadłszy wargami policzka, ust szukać zaczął, zbuntowała się nagle.

— Precz! — rzekła cicho, ale z miążdżącą stanowczością.

I wówczas to Rojek, przyzwyczajony do łatwych zwycięstw wśród niewiast lżejszego autoramentu, pozwolił sobie na poufałość, po której oczekiwał kapitulacji opornego przeciwnika i „powszechnego rozbrojenia”...

Ewa Turno oniemiała ze zgrozy. Okrzyk świętego oburzenia na brutalną, ordynarną zaczepkę i szloch obrażonej wstydlivosti dziewiczej uwiązał jej w krtani. Znieruchomiła na kilka sekund także i z tego powodu, że oszołomiła ją silnie ta pieśczoćta, pospolita, chamska, lecz nowa zupełnie dla niej, innych pieśczoćt prócz delikatnych pocałunków Andrzeja nieznającej. Ale bardzo niedługo trwało to oszołomienie i tym gwałtowniejsza była reakcja, że owa krótkotrwała słabość, ociężałość, bierność, przeraziła dziewczynę stokroć więcej, niż sam zuchwały czyn napastnika. Po raz pierwszy w swym życiu zrozumiała tę głęboką prawdę, że największe dla kobiety niebezpieczeństwo istnieje w niej samej, a to, co z zewnątrz zagraża, to tylko „okazje do grzechu”...

Rojek tryumfował. Nie wypuszczając małej piersi dziewczyny z gniotącego uścisku swej łapy i zasypując pocałunkami bladą jak opłatek twarzyczkę, ruszył powoli w głąb pokoju. Tak uszli razem dwa, trzy kroki... cztery. Jeszcze ze dwa metry tylko dzieliły ich od otomany, na której Rafał Królik odsypiał niegdyś swoje studia porównawcze nad koniakiem i jarzębiakiem.

— Maleństwo słodkie zabelkotał, czując, iż bezwładne. wiotkie ciało sztywnieje mu szybko w objęciach, jakby się do gwałtownego oporu sposobilo. Przypomniawszy sobie na poczekaniu niezawodne lekarstwo, ciągnął dalej pospiesznie: — Bory będą twoje zawsze... zawsze, Ewu...

Nie dokończył. Siarczysty policzek rozległ się głośnym echem w pokoju i kakofonią przestarzałej centrali telefonicznej rozdzwonił się w lewym uchu Rojka, który „źle się ustawił” w momencie, gdy nań spadła karząca dłoń dziewczyny.

Nafciarz stanął jak wryty, wypuścił wreszcie Ewę z obręczy swych ramion. Stał i mrugał gwałtownie, jak gdyby jeszcze nie rozumiał, co zaszło. A zaszło wiele. Jego strategia w zdobywaniu kobiety wzięła w łeb, co się zowie. W słabnącej i zrezygnowanej zda się dziewczynie ocknęła się rozpaczliwa energia, zapowiadająca gotowość walki do ostatka o cnotę. Lecz, szczyt wszystkiego, polski król naftowy Mateusz Rojek, apodyktyczny kacyk przywykły do tyranizowania swoich urzędników, robotników, służby, magnat finansowy, przed którym gięły się karki w pokorze... dostał w najpospolitszy sposób... w pysk! I od kogo?! Od tej smarkuli, od swojej dłużniczki, od jutrzejszej bankrutki!

— Pani śmiała?! — zasyczał złowrogo, pochylając swą kwadratową głowę, osadzoną na

krótkim, byczym karku. Zdawało się, że runie do ataku i wyboksuje dziewczynę, odda jej ten policzek z lichwiarskim procentem. Wyglądał na to w tej postawie tygrysa, gotującego się do skoku i wróżyły to żółte błyskawice spojrzeń strzelających z jego oczu i pięści zaciśnięte w żelazne kulaki, i ramiona lekko zgięte w łokciach jak u zapaśników na ringu, kiedy po uderzeniu gongu zrywają się z krzesel do nowej rundy.

Ewa wciąż jeszcze niezdolna do wypchnięcia głosu z krtani cofnęła się o krok instynktownie. — Czyżby on się ośmielił mnie uderzyć? — przemknęło jej przez myśl.

I oto, najniespodziewaniej w świecie Rojek ryknął salwą prostackiego śmiechu. *Policzek wymierzony ręką kobiety nie przynosi hańby mężczyźnie*, przypomniał sobie, jak mawiał jeden z jego warszawskich przyjaciół, opowiadając mu kawał o pewnym donżuanie, który często zbierał po buzi. *Zazdrośni mężowie biją mnie często, ale jak zrobię przy końcu roku bilans, to zostaje mi bardzo ładne saldo-credit*, powiedział bohater tego dowcipu. Uśmieł się wtedy Rojek, ale tym razem uśmieł się lepiej. — Uderzyła mnie? — rozumował.

— W porządku! Tak wypadło. Jest przecież panną z towarzystwa i musiała jakoś zademonstrować swoje oburzenie wobec mojej szybkiej ofensywy. Inaczej cóż bym sobie o niej mógł pomyśleć?... Ale uderzenie w twarz w takiej sytuacji jest nieomylnym znakiem, że obłączona zwątpiła w możliwość racjonalnego oporu. Jest jakby ostatnią honorową salwą ginącej twierdzy.

Uskuteczniejszy w sekundzie taką kalkulację swoich szans, udobruchał się Rojek momentalnie i przyskoczył do Ewy, już całkiem pewny łatwego zwycięstwa.

— Precz! — wykrztusiła zduszonym głosem. — Jak pan śmie? — cedziła przez zęby, zaciśnięte w skurczu niepohamowanego gniewu i posłała napastnikowi pełne wzgardy spojrzenie, którego jednak nie dostrzegł.

— Usteczka mi daj maleńkie — bełkotał, usiłując ją opasać ramionami, jak przedtem — pozwoliłaś, Ewuś, a teraz?

— To kłamstwo! — oburzyła się. — Proszę mnie natychmiast wypuścić, albo...

— Albo co? spytał beczelnie, zastępując jej drogę.

— Albo zawołam o pomoc!... Nie spodziewałam się, panie Rojek.

— He, he, he, wołać będzie, he, he, he — rechotał na myśl, czy „płaskogłowy” ośmieliłby się wkroczyć do gabinetu szefa w momencie, kiedy stamtąd dobiegają okrzyki kobiety.

— Uważałam pana dotychczas za dżentelmena.

Zuchwalstwo Rojka, który ją, przebywającą tu jako klientkę, ośmielił się zaczepiać w swoim dyrektorskim biurze, wytrąciła ją zupełnie z równowagi, a dobijała ją myśl: *może właśnie dlatego, że jestem jego dłużniczką, pozwala sobie na taką beczelność...* I pod wpływem tej bolesnej refleksji znowu opadła na siłach, znowu ręce jej zwisły wzdłuż korpusu w geście pełnej bezradności. — Bory! — Zahuczało jej w uszach. Nie wiedziała, czy to głos rozsądku, którym pogardzała jednocześnie, czy też słowo to wypowiedział Rojek, uciekając się do starej metody.

Wtem... uczuła, że podłoga uciekła jej z pod nóg. To Rojek, wykorzystując moment jej ponownego załamania się, podbiegł skokiem pantery, podniósł w górę dziewczynę. W przelotnym spojrzeniu dojrzała otomanę, ku której się zbliżali z przerażającą szybkością.

— Na pomoc! — wrzasnęła rozpaczliwie.

Wczepiła palce w czuprynę głowy napastnika wtulonej w jej suknię, oderwała ją, odciągnęła wstecz i w tej pozycji runęli wspólnie na otomanę, szamocąc się z wściekłością.

— Nie można... stanowczo nie można — doleciał ją skądś z dala znajomy głos.

Sekretarz? Tak, to on. Drżącym głosem przekładał właśnie komuś: — Pan dyrektor ma... konferencję.

Huknęło coś, jakby jakiś ciężar na drzwi się zwałił i z progu zabrzmiał głos:

— Co tu się dzieje?!

Rojek skoczył na równe nogi. Na progu otwartych drzwi kurczył się sekretarz, uwieszony niepewnie przy ramieniu barczystego mężczyzny. — Smólski? — mruknął nafcjarz, nie wierząc oczom. A Jan Smólski strząsnął „płaskogłowego” takim ruchem, jakim niegdyś w wojsku plugawe wszy z siebie strącali i ujawszy się pod boki, ruszył powoli w głąb pokoju.

— Won! — ryknął nafcjarz, nie panując nad sobą.

Sekretarz wziął to „zaproszenie” do siebie i zniknął błyskawicznie, zamykając drzwi za sobą. Nawet podsłuchiwać nie miał ochoty, przewidując, co go czeka później, w „czułym” sam na sam z szefem. — Przekłety towarzysz broni — narzekał — zawsze mi pecha przynosi... Robiłem co można — usprawiedliwiał się przed sobą — trzymałem go, ale mnie szelma rzucił w drzwi, jakby piłkę. Silna bestia — szepnął z uznaniem, rozcierając sobie poszkodowane części mizernego cielesnego pokrowca, w którym mieszkała dusza równie mizerna.

Rojek ochłonał, zrozumiał, że tak będzie lepiej. Bądź co bądź, to był Jan Smólski, czyli John Smool, czyli prawie milion funtów szterlingów. I Jan Smólski mógł być jedynym świadkiem w razie, gdyby Ewie przyszedł do głowy „niedorzeczny” pomysł wyciągnąć konsekwencje z brutalnej napaści, jaka ją tu spotkała. Tak, tak, stanowczo nie kalkulowało się zadzierać z tym jegomościem.

— Co tu się dzieje? — powtórzył spokojnie przybyły.

Nafcjarz zrobił najprzyjaźniejszą minę i zaczął zacierać dłonie.

— Trafił pan na maleńką scenkę, he, he, he — ozwał się, spoglądając na Ewę ogromnie rozkochanym wzrokiem. — Moja narzeczona nie pozwoliła mi się dzisiaj pocałować, wobec czego postąpiłem, jak powiada poeta niemiecki: *Und bist du nicht willig, so brauch ich Gewalt*. He, he, he.

Zdumienie i coś jakby współczucie, odmalowało się w oczach Jana Smólskiego. Nie patrząc na Rojka, rzekł w stronę Ewy pytająco:

— Pani jest narzeczoną tego człowieka?

— To fałsz! — krzyknęła. — Nienawidzę go!

— Ot i stałość kobieca — wtrącił Rojek wesoło, robiąc dobrą minę do złej gry — wczoraj całuje, kocha nad życie, dzisiaj znów nienawidzi. Ot wdzięczność — dodał, wzdychając ze smętną rezygnacją — jak cię potrzebują, to wszystko jest dobrze, a potem: *Nienawidzę go!*

Dalsze słowa skonały Ewie na ustach, kiedy to usłyszała. Istotnie ten człowiek zrobił dla niej wiele, sądziła. Uwolnił ją od przekłetej zmory upiora, terroryzującego jej kochane Bory, wykupił jej weksle, chciał ją poślubić, na co zresztą nigdy by nie przystała, niemniej nie mogła zaprzeczyć, że z jego strony była to propozycja rzetelna, nawet wspaniałomyślna, biorąc pod uwagę różnicę majątkową: ona prawie bankrutka, on milioner. To wszystko zapisała mu „na dobro” jego rachunku, zaś „obciążyła” go tylko za dzisiejszą napaść. Ale i tu znalazła okoliczności łagodzące, wynikłe z uczciwego przeświadczenia o swej urodzie: *gdybym była brzydka, nie byłby się tak zachował*. Oczywiście! Był mężczyzną, co się zowie, krew nie woda, w dodatku początkowa bierność dziewczyny mogła wprowadzić go w błąd. I został ukarany! Ewę jeszcze piekła dłoń po tym policzku, jaki mu wymierzyła. Czyż więc należało dążyć do zerwania wszelkich stosunków? Choćby przez wzgląd na Bory? Nie! Nigdy! — Tylko na przyszłość będę ostrożniejsza i będę się wystrzegała wszelkich sam na sam z tym ognistym przebojowcem — postanowiła w myśli.

— Czy rozstaniemy się w niezgodzie? — zaszemrało pytanie Rojka, jakże uprzejme, jakże zaprawione smutkiem i żalem za grzechy.

Podawała mu rękę i przez wzgląd na świadka tej sceny uśmiechnęła się nawet, choć blado i

nie bez przymusu. Z kolei podeszła do Smólskiego.

— Spodziewam się, że tym razem wpadnie pan do Borów — rzekła, podając mu rękę.

— Na pewno — odparł.

— Może dzisiaj?

— Dzisiaj? Nie ręczę, ale dam znać uprzednio.

Dopiero w drzwiach przypomniała sobie Ewa, że najważniejszej sprawy, tej, która stanowiła właściwy cel dzisiejszej wizyty... nie załatwiła. Ale Rojek dojrzał już z daleka w jej ręku pismo z wypowiedzeniem kredytu i podbiegł do niej co prędzej.

— O tym proszę nie myśleć, drogie dziecko; wszystko załatwi się pomyślnie. Przyjadę w tych dniach do Borów i wytłumaczę... — trąkotał jak dobrze chodzący motor, aby jej nie dopuścić do głosu i aby Smólski nie narzucił się, broń Boże, na wierzyciela; tego by jeszcze brakowało! — A teraz ponownie proszę o przebaczenie za mój zuchwały napad. Ale tyś sama winna, Ewo, tyś winna, bo oszaleć można, taka piękna jesteś dziewczyno — dodał z pochlebstwem, ogarniając jej twarzyczkę roziskrzonym wzrokiem.

— Proszę o tym zapomnieć — odparła poważnie, choć zadowolenie, z lekka niewieścią próżnością zaprawione, drgało jej w kącikach ust uśmiechem, gwałtem tłumionym, na widok radykalnej zmiany w zachowaniu Rojka. Już go całkowicie rozgrzeszyła w myśli, skoro potwierdził trafność jej domysłu, że przyczyną jego zapomnienia się, była jej uroda.

Przez wzgląd na sekretarza, odprowadził nafciarz Ewę aż do najbliższego hallu, szepcząc jej coś z najśłodszy uśmiechem, kiedy przechodzili przez pokój „płaskogłowego”. Ów zaś tylko łypał oczyma i błogosławił w duchu dziewczynę, iż rozchmurzyła szefowe oblicze do pyska buldoga podobne, kiedy zabrzmiał rozkaz przyspieszonej ewakuacji z gabinetu, to *Won!* straszliwe. — Mój sen, mój proroczy sen — myślał z dumą, odprowadzając dobrotliwymi spojrzeniami swata kroczącą zgodnie parę, póki nie zniknęła za drzwiami. Potem zadrżał. Szef, wracający solo, miał znów jowiszowy gniew w oczach.

— Pary z gęby! — warknął. — Uważa pan?

— Bo... rozumie się, panie dyrektorze przyznał z głębokim przekonaniem, niezmiernie dumny, że ma stać na straży tajemnicy dyrektorskiego serca. A co się tyczy tego towarzysza broni, to...

— ...to rozmówimy się później! — zgrzytnął bóg płaskogłowego, znikając za drzwiami swojego gabinetu. Nieszczęsny sekretarz natarł z furią na swoją płaską łepetynę, wrywając z niej ostatki włosów. — Po cóżeś mu o tym przypomniał, idioto?

Nagle dusza zamarała w rozpaczającym sekretarzu. W przyległym pokoju, w gabinecie groźnego chlebobdawcy zabrzmiał złowrogi okrzyk:

— Zdrajco! Morderco!!!

Rozdział XXIV

UCHYLENIE RĄBKA TAJEMNICY

- Baltazarze!
- Czego? — burknął niechętnie wielki detektyw.
- Przebacz, mi jako i ja ci przewiny twoje odpuściłem.
- Całuj psa w nos idioto. Znowu zaczynasz?
- Kończyć zamierzam właśnie — odparł ponuro Rafał Królik, przydreptując z nogi na nogę.
- Powiedz mi lepiej, ale nic nie blaguj, francie przeklęty, gdzie zostawiłeś list do Ewy Turno... Chcę się nareszcie raz. zorientować, czy warto liczyć na pomoc z zewnątrz, czy nie warto... Więc gadaj.
- List zostawiłem w mej walizce.
- Którąś, bałwanie skończony, musiał na klucz zamknąć, tak?
- Tak się rzecz ma cała — westchnął obwiniony.
- A klucz schowałeś w zegarze, tak?
- Przecz pytasz, skoro ci są znane uczynki moje? — Rafał używał teraz bardzo chętnie archaicznego języka z Biblii Wujka, zapewne na skutek kontemplacyjnych rozważań o znikomościach tego świata.
- Pytam, bo chcę ci wykazać, jakim tumanem jesteś.
- Znam swoją wartość — obruszył się reporter, lecz natychmiast przemówiła przez niego pokora chrześcijańska — znam swoją wartość mizerną, nędzną, ale niebawem nadejdzie kres doczesnej wędrówki i wkroczę w krainę, o której powiada Budda...
- Jak cię kopnę, to ci Budda od razu z głowy wyskoczy.
- Memento mori, Baltazarze! zgromił go surowo.
- Zatem klucz schowałeś w zegarze. Szkoda, żeś go do studni nie wyrzucił, może by go prędzej tam znaleźli.
- Napisałem w kalendarzu, że klucz jest w zegarze.
- A pies kulawy do tego kalendarza nie zagląda.
- Ewa codziennie odrywała z niego kartkę, to znaczy z kalendarza.
- Ale widocznie panna Ewa poniechała tych praktyk, skoro jeszcze tutaj siedzimy.
- Widocznie tak nam było pisane, Balciu kochany. Kismet!... Kiedyś znajdzie tę kartkę...
- Kiedyś! — zachnął się Baltazar. — Koło Bożego Narodzenia, jak będzie kupowała nowy kalendarz.
- Nic nie poradzisz przeciwko przeznaczeniu. — W przedziwnej harmonii kolegował w umyśle Rafała mahometański fatalizm z wiarą w wędrówkę dusz i z dogmatami innych religii. — Znajdą tu nasze kościce wtedy, gdy wybije godzina zapisana w księdze przeznaczeń. Kiedy to nastąpi? Drobnostka. Cóż znaczy kilka czy kilkaset lat wobec wieczności?... A nasze dusze wyzwolone z jarzma cielesnych namiętności i chuci nieczystych, nasze dusze, powiadam... Auuuu

— jęknął, bowiem zniecierpliwiony detektyw wykonał swą pogroźkę i kopnął go przyjaźnie w część ciała ze wszech miar najlepiej się nadającą do futbolowego treningu.

— Perły rzucam świniom — westchnął reporter z goryczą i odsunął się przezornie od zatwardziałego grzesznika.

— Powiedz lepiej, czy masz jeszcze trochę chleba w plecaku.

— Wiesz przecież, że zjedliśmy resztę wczoraj, w obawie, aby nie stwardniał na kamień. Jest jeszcze miód. Jeśli chcesz...

— Daj się wypchać z miodem. I tak mnie już pragnienie pali żywym ogniem...

— A mnie nie, myślisz? Alem ci jest uzbrojon w pancerz męczeńskiej cierpliwości i przeto męka pragnienia mi nie doskwiera jako tobie.

Dalszych słów Baltazar Szafran nie słyszał, gdyż zakrył sobie uszy dłońmi. Był to najskuteczniejszy sposób na kaznodziejskie zapędy Rafała, który, jak zauważył przed chwilą, z poświęceniem tylko rzucał „świniom perły”, a do murów mówić wcale nie chciał. Tak było i tym razem. Zobaczywszy, że towarzysz pozbawił się znowu przyjemności słuchania jego wywodów, wziął świecę i podszedł z nią do najdłuższej ściany piwnicy. Była ona pokryta gęstymi rządkami pisma, jeśli tak godzi się nazywać koślawe gryzmoły nabazgrane węglem, którego kilka kawałków Rafał znalazł tu onegdaj.

Z radosną dumą spoglądał reporter na swoje dzieło „pośmiertne”, jak je zwał niewłaściwie. Namęczył się też uczciwie, nim jako tako odrapał taki szmat muru z pleśni, grzybów i z brudu, ale za to przyszył odkrywca tych podziemi miał zapewnioną łatwość zidentyfikowania trzech szkieletów. Środek zajmowały trzy nekrologi, Priwima, którego Rafał określił po królewsku Priwimem II, obok Kaspra Melchiora Baltazara trojga imion Szafrana, wreszcie własny. Zaś pod nimi i po obydwóch bokach tych „tablic grobowych” widniała cała epopeja, opisująca dokładnie przygody bohaterów Szafrana i Królika, którzy śmiało wtargnięcie w te podziemia bohaterską śmiercią przyplacili.

— Cóż tam jeszcze gryzmolisz? — Warknął z drugiego kąta detektyw.

— Wpisuję datę mej śmierci, to jest dzień dzisiejszy.

— Bydlę — jęknął polski Sherlock Holmes miękko, serdecznie.

— Czy i ty chcesz dziś umrzeć. Balcu najdroższy? — spytał Rafał wzruszony pełnym współczucia okrzykiem.

Nie było odpowiedzi. Wielki detektyw coraz częściej myślał o tej przykrej ewentualności i ani rusz nie mógł się z nią pogodzić. Jak to? On, który z podobnych opresji wyszedł cało nie raz i nie pięćdziesiąt razy, miałby szczerząc marnie tu w labiryncie głupich piwnic? A jednak... Jednak nie było stąd wyjścia. Dwa dni mordował się przy przeklętych wrotach, ubranie na sobie poszarpał i nic nie wskórał. Potem obszedł wszystkie piwnice, z dziesięć razy opukiwał ściany, szukał jakiegoś okienka i znowu spotkał go zawód. Uspokoiło go opowiadanie Rafała o pozostawionym przezeń liście do Ewy Turno. Wolałby co prawda wyleźć stąd własnym dowcipem, jak na polskiego Sherloka Holmesa przystało, ale z dwojga złego lepsza już była pomoc z zewnątrz niż beznadziejny pobyt w cuchnących podziemiach. Och, jakże cuchnących! Choć wspólnie zabarykadowali gruzem wejście do ostatniej piwnicy, gdzie leżały zwłoki, to jednak straszliwy odór trupi przenikał stamtąd wszędzie, uprzykrzając do cna ponure więzienie... Głód im nie dokuczył jeszcze, bowiem nieprzebrane zapasy żywności krył w sobie plecak przezornego Rafała, ale obecnie i z tym było coraz gorzej; pozostały resztki konfitur w rozbitym słoiku, miód, czekolada, słowem same słodczyce, po których pragnienie stawało się nie do zniesienia...

— Więc chciałbyś naprawdę umrzeć dzisiaj? — spytał reporter z radością, przerywając smętną zadumę detektywa. — Balcu kochany, wiedziałem, że nie rozłączymy się ani tam nawet.

— Czy mam cię znowu sprać tak jak wczoraj?
— Oto odpowiedź mężczyzny. — Rafał aż ręce załamał z rozpacz, dzięki czemu świeca spadła i zgasła.

— Durniu, szanuj ostatnie zapałki — warknął tamten.
— Tak, z zapałkami jest krucho. I pomyśl tylko, że mogłem ich w karczmie wziąć na kredyt pół cetnara. Zapomniałem niestety...

— Jak moje narzędzia tam — wybuchnął Szafran, wskazując z wściekłością na niewyciężone drzwi.

— Już niedługo będziesz na mnie narzekał — odezwał się reporter po dłuższej chwili milczenia... Słuchaj znalazłem sznur.

— To się powieś na nim.
— Właśnie to zrobić zamierzam. Nie wierzysz? Więc sądzisz, że wybiorę straszliwą śmierć głodową? Nie, Balcu drogi. To już postanowione nieodwołalnie. Powieszę się za pięć minut, a ty odetnij później mego trupa i podąż za mną tą samą drogą... Biedny Balcu... Ciebie nikt nie odetnie — pożałował go.

Baltazar przyzwyczajony już do pustej gadaniny swego towarzysza niedoli, nie przywiązywał i tym razem żadnej wagi do jego słów. Nawet pokpiwać z nich nie miał ochoty, przybity myślą, że posiada w portfelu weksel swego klienta, płatny pojutrze i że nie złożył go do inkasa. Żeby się pozbyć nudziarza, mruknął na odczepnego *przebaczam*, kiedy reporter zaczął go znów molestować o *odpuszczenie przewin wszelkich*. Tępy, nieczułym wzrokiem odprowadził Rafała aż do końca piwnicy, mruknawszy tylko, aby świecę oszczędzał...

— Przyjdź ją zdmuchnąć, Balcu — odparł reporter z miodową słodyczą w głosie. — Patrz na zegarek, a za dziesięć minut zacznij mnie szukać..

— W kryjówkę mamy się bawić, co? Powtarzam: oszczędzaj światło.

— Żegnaj mi, Baltazarze... Lub raczej: do widzenia, albowiem wierzę, że tam coś jest!...
— (Miał na myśli życie pozagrobowe).

— Jest trup — burknął detektyw.

Rafał skurczył się na wspomnienie nieboszczyka, łypnął niespokojnym okiem w stronę, skąd zalaływał nieznośny odór rozkładających się zwłok, po czym szybko skręcił w boczną piwnicę. — Czegóż się lękam właściwie? Przecież, za chwilę będę także zimnym trupem — monologował półgłosem, bowiem nic go tak nie denerwowało, jak ta cisza przeklęta, i tu właśnie była główna przyczyna jego gadulstwa, które tak się dało we znaki towarzyszowi. Reporter kroczył pewnie, bowiem znał tu każdy zakręt, każdą kupę gruzu. Niebawem wkroczył do małej piwniczki, którą najrzadziej odwiedzali, gdyż była najwilgotniejsza. Dno jej pokrywała warstwa gęstego błota, a któregoś ranka, po bardzo burzliwej nocy, zastali tu ogromną kałużę wody. Była to jedna z piwnic posiadających tylko jedno wejście podobnie jak tamta ostatnia, w której leżały zwłoki. Przy tylnej ścianie znajdowało się sporo gruzu, a w samym kącie zwiisał ku ziemi sznur.

— Oto i moja szubieniczka — mruknął Rafał z szubienicznym humorem, przylepiając płonąca świecę do jakiejś cegły. Wszystko już obmyślił, przygotował do „autoegzekucji” (taki bowiem neologizm ukuł na oczekaniu, niezmordowany w swych wysiłkach nad wzbogaceniem ojczyznojęzyka), wszystko, nawet „szafot”, który zastąpić miała skrzynka ustawiona na wysokości, czyli na swoim najmniejszym dnie. Pozostało jeszcze wypróbować moc sznura. — Zawodu nie przeżyłbym — sądził Rafał, nieubłagany w morderczych zamiarach wobec własnej osoby. Obwiązał sobie lewą dłoń końcem sznura, prawą uchwycił go nieco powyżej i zaczął szarpać.

— Bardzo solidny postronek — uznał z zachwytem — dziw, że nie zbutwiał tu jeszcze. Odciął go z połowę, gdyż był za długi do celu, do jakiego miał służyć obecnie, odrzucił

niepotrzebny skrawek i raz jeszcze upewnił się, że skrzynka stoi mocno. Z bijącym sercem wstąpił na nią, znowu wypróbował, czy dno jej nie zarwie się pod jego ciężarem, po czym zgrabiętymi palcami zaczął wiązać pętlicę. — Szkoda, że Balciu tego nie widzi — żałował, ale pocieszał się, iż w końcu, zaniepokojony długą nieobecnością towarzysza, zacznie go szukać, przybiegnie tutaj i zrozumie poniewczasie, jak krzywdził straszliwie Rafała, nazywając go nieodmiennie tchórzem.

— Bo samobójca, to bohater — zaczął z patosem, a skończył tremolando, posłyszawszy cichy szmer kroków. Był to rzeczywiście odgłos kroków... Baltazara Szafrana. Wspomniawszy sobie słowa reportera, pomyślał w końcu: — Ten idiota gotów się naprawdę powiesić — i cicho na palcach ruszył na poszukiwanie desperata.

Ale Rafałowi przywidziało się nagle, że to duch kroczy w tę stronę lub widmo jakieś upiorne i zimny strach go obleciał. Przez dwie sekundy nadśluchiwał z wzrastającym przerażeniem, biorąc głośnie łomotanie swojego serca za tupot kroków, aż doszedł do wniosku, że z dwojga złego lepsza śmierć niżli spotkanie z duchem, zwłaszcza że i tak umrzeć postanowił. Wsunął tedy z determinacją głowę w kółko pętlicy...

— Ufff — odsapnął — gorszą połowę już załatwiłem, reszta, to bagatelka... A psiakrew. Zapomniałem sprawdzić, czy ten hak siedzi pewnie — a, do licha — irytował się i cieszył zarazem, że ma doskonałą sposobność do wysunięcia głowy ze stryczka „niemilego w dotyku”, jak stwierdził. Ale nie wysunął jej, spłoszony bliskim szelestem. Zadał tylko głowę do góry i spostrzegł, że haka w ogóle nie ma a sznur zwisa jak gdyby z jakiegoś otworu tuż przy powale.

Opuścił głowę i w tym momencie dojrzał przy wejściu długi cień, jaki rzucała przyczajona sylwetka Baltazara w głąb dalszej piwnicy. Wrzasnął przeraźliwie ze strachu, stracił równowagę, skrzynka się zachwiała, runęła i Rafał Królik zawisł według wszelkich reguł sztuki wieszania.

— Ratuj! — zapiał zduszonym głosem, chwytając oburącz sznur. — Ratuj, duszę się... nie chcę, ooooch!

Baltazar Szafran parsknął serdecznym śmiechem i wylazł z kryjówki.

— Czego ryczysz? Przecież stoisz na ziemi... Co to?! — krzyknął nagle, pędząc w stronę Rafała, który istotnie stał na własnych nogach, zarzucił ramiona na szyję nadbiegającemu towarzyszowi i zachłysnął się goryczą, kiedy tamten odepchnął go brutalnie. Odwrócił lekko głowę, o ile na to pozwalała pętla, do której już zresztą dobrały się jego dłonie i oczy szeroko otworzył ze zdumienia. Poza nim, w ścianie czernił się duży prostokątny otwór, z którego wionęło czyste, świeże powietrze szeroką strugą. Otwór znajdował się dość wysoko nad poziomem dna piwnicy i dlatego nie odkryli go, opukując troskliwie ściany wszystkich piwnic. — Na to zgoda — mruczał Rafał, rozplątując pętlicę na szyi — ale jak to możliwe, abyśmy nigdy nie spostrzegli takiej wielkiej dziury?

Nie mógł sobie dać rady z pętlą. Nie zapierała mu tchu, ale cisnęła uczciwie, a węzeł zacisnął się tak, że nie można go było palcami rozwikłać.

— Mój przyjaciel Aleksander Macedoński wiedział dobrze, jak sobie radzić z takimi szypułkami — zaczął Rafał z humorem, wydając z kieszeni scyzoryk! — idźmy jego śladem i przetnijmy węzeł gordyjski... Powoli, Balciu, zaczekaj na mnie — dodał z przestachem, bowiem detektyw już przyniósł sobie przewróconą skrzynkę, podsunął ją do ściany, wlaź na nią i do połowy ciała wciągnął się w otwór, odkryty tak nieoczekiwanie.

Rafał, pragnąc podążyć w ślady towarzysza i dygocąc na samą myśl, że mógłby tutaj sam pozostać, ciachnął co prędzej postronek nożem i odskoczył zdumiony.

Sznur podskoczył do samego sufitu jak sprężyna, strącił stamtąd moc tynku, a jednocześnie ciężka, drewniana kłapa zsunęła się z góry, zakrywając otwór na powrót.

— Auuuu — zawył polski Sherlock Holmes, któremu ta dziwna zasuwa spadła na okolice położone nieco poniżej krzyża i osadziła go w miejscu..

— Rozumiem — domyślił się Rafał, podziwiając zwariowane płasy rozhuśtanego sznura. — Rozumiem teraz, dlaczego się nie udusiłem. Po prostu ciężarem mojego ciała podniosłem w górę to wieko, które obecnie samo opadło... Mam, Balciu — cieszył się, nie słysząc jęków poszkodowanego, który ani w tę, ani w tamtą stronę ruszyć się nie mógł... — Mam!...

— Ja cię też mam! — zahuczał głos Baltazara, nabrzmiały wściekłością trzeciego stopnia. — Podnieś klapę, idioto.

— Ba, ale jak?

— Za sznur ciągnij... Że też takiego głupstwa nie pojmujesz.

— Ależ wiem, wiem — obraził się niedoszły wisielec, podchodząc z wyraźną nieufnością do sznura. — Prędzej od ciebie domyśliłem się, na czym ten mechanizm polega.

— Uch — stęknął detektyw, masując sobie stłuczone miejsce — teraz podaj mi świecę i zaczekaj, ja pójde zbadać ten ganek...

— Za nic! — wrzasnął Rafał. — Mógłbyś wpaść gdzie znowu. Idę z tobą, Balciu kochany, złoty.

I nie ustąpił. Razem wkroczyli w ciasny, niski ganeczek, będący niewątpliwie dziełem towarzyszy broni Smólskiego oraz Rojka. Posuwali się z zachowaniem wszelkich ostrożności, uszczęśliwieni orzeźwiającym technieniem przeciągu, lecz wciąż jeszcze nieufni, niedowierzający po tylu zawodach, jakie przeżyli w ponurym, cuchnącym więzieniu... — Światło — huknął Baltazar Szafran i przyspieszył kroku tak, że krótkonogi reporter musiał biec kłusem, aby nadążyć.

— Tylko pamiętaj, Balciu; przed Ewą nie możesz mnie wsypać, przyrzekłeś — przypominał towarzyszowi, deptając mu po piętach. — Nie chcę ci wymawiać, Baltazarku, ale żeby nie ja, nigdy byś wyjścia z podziemi nie znalazł... No, sam przyznaj.

— I żeby nie ty, nie siedziałbym w tych smrodach tyle dni beczynnie.

— Przepraszam, więc uważasz, że wśród takich zapachów nie powinno się siedzieć beczynnie? — spytał Rafał. — Oto wniosek logiczny z twojej odpowiedzi. Zresztą, czemuś gnuśniał w beczynności? Ja pracow...

— Ech, nie zwracaj mi głowy swoją logiką i twoją pracą. Wykombinuj raczej coś takiego, abyśmy mogli od Rojka wydebić resztę z owych sześciu tysięcy.

— Zrobi się, chłopcze; licz na mnie. Daleko tam jeszcze do świata Bożego? — niecierpliwiał się.

— Dochodzimy! mruknął detektyw z żywym zadowoleniem...

* * *

Po powrocie od Rojka zasiadła Ewa do pisania zażalenia na Priwima do Sądu Opiekuńczego; pomimo całej urazy, jaką żywiła do stryja, nie chciała jego atakować bezpośrednio, choć on, jako opiekun, był odpowiedzialny za majątek pupilki, ale wymierzyła ostrze swojego zażalenia przeciwko Janowi Priwimowi. Do tego pisma zamierzała dołączyć swoje podanie o uppełnoletnienie, motywując swoją prośbę tym, że i tak za pół roku ukończy lat dwadzieścia jeden, że i tak samodzielnie gospodaruje w swym majątku, lecz obecny stan rzeczy przy ciągłej nieobecności opiekuna i jego zastępcy (tak określiła Priwima), wiąże jej ręce i uniemożliwia zaciągnięcie pożyczki długoterminowej, której pragnęłaby użyć na spłatę

uciążliwych długów wekslowych, itd., itd.

Napisawszy te dwa elaboraty na brudno, zajrzała do kalendarza, aby czystopis uświetnić datą, jak należy. Oderwała stare kartki i zdumiała się, ujrawszy, że na jednej z nich napisano coś czerwonym atramentem.

— Ciekawam, kto mi tu gospodarował na moim biurku — wyraziła swe niezadowolenie i z ciekawością zaczęła czytać z wzrastającym zainteresowaniem: — To od mistrza — domyśliła się, zanim ujrzała podpis. Czytała:

Proszę natychmiast otworzyć moją walizkę. Będzie w niej list, który wszystko wyjaśni. Kluczyk od walizki ukryłem w zegarze w jadalni.

Rafał Królik.

Ewa zerwała się od biurka.

— Co to znaczy?! powtarzała, tknięta niedobrym przeczuciem.

Pobiegła czym prędzej do jadalni, istotnie jakiś mały kluczyczek leżał obok mechanizmu wielkiego stojącego zegara, ale tak schowany, że gdyby nie wskazówka w kalendarzu, nigdy by go nie znalazła...

— Przecież wczoraj nakręcałam ten zegar — przypomniała sobie, zamykając oszklone drzwiczki jego szafki.

W pokoju gościa wszystko znajdowało się na swoim miejscu jak w dniu, w którym wyruszył na ową wycieczkę. W dziwnym podnieceniu odemknęła Ewa Rafałową walizkę i znalazła list. Rozdarła kopertę tak gwałtownie, że przedarła kartki sążnistego listu, po czym spadła niecierpliwymi spojrzeniami na gęste rzędkę znajomego pisma. Wtem... zachwiała się na nogach. Z sercem ściśniętym odczytała półgłosem złowrogi ustęp:

Jeśli tedy w ciągu trzech dni nie wrócę, niech Pani da znać komendantowi Międole, po czym wykopcie dziurę w gruzie, aby się dostać do piwnic starego dworu.

Tam znajdziecie mojego trupa... itd., itd.

Całkiem pobieżnie prześlizgnęła się wzrokiem po dalszych wierszach listu, zawierających kwestie tak na wskroś osobiste, jak wynurzenia Rafała o jego platonicznej miłości ku adresatce. Już nie rozumiała co czyta, bowiem w głowie huczały jej nieustannie te cztery słowa? *Tam znajdziecie mojego trupa...*

— Trupa? Więc on nie żyje? — monologowała głośno, nie dowierzając oczom i nie chcąc uwierzyć w tę straszną wiadomość. — Zaiste słusznie rzekłam kiedyś, że przekleństwo ciąży nad tym domem — dodała ponuro i nagle wybuchnęła rzewnym płaczem...

Uspokoili się dopiero wtedy, gdy w przyległym pokoju posłyszala posuwiste człapanie pantofli Gładyszki. Nie lubiała nigdy robić widowiska z swoich zmartwień, a zwłaszcza już wobec tej pocziwej bajczarki.

— Szukam panienki po całym domu, a panienka tutaj — zaskrzeczała Amalia Pelagia, stając w progu.

— Co tam nowego? — spytała głucho dziedziczka Borów, bowiem wydało jej się, że każde odezwanie się do niej musi być nieodwołalnie nową wieścią hiobową pod tym dachem, tak ukochanym, a tak pechowym.

— Przyszła Kaniowa. Chce o coś prosić panienkę.
— Naturalnie! Po cóż innego mogłaby tu przyjść Kaniowa? Niech czeka, proszę jej powiedzieć. Mam ważniejsze sprawy na głowie.
— Panienko?
— No? — spytała Ewa z wyraźnym zniecierpliwieniem.
— Czemu panienka taka smutna? I płakała panienka, widzi mi się bardzo — indagowała zacna przyjaciółka zwierząt.

Ewa już chciała odburknąć coś w rodzaju: często się Gładyszównie coś widzi, ale nagle żalność ją ogarnęła wielka i rozpłakała się na nowo.

— Pan Królik nie żyje — wykrztusiła.

— Pan Królik? Święty, Mocny a Nieśmiertelny! Umarł?... No, tak, pewnie, skoro nie żyje — wyjaśniła sobie sama i jak nie beknie do wtóru. Serce miała „miękkiejsze niż ciepłe masło”, jak często mawiała, więc wybaczyła wszelkie urazy gościowi panienki i opłakiwała jego śmierć tym rzewniej, że swym nazwiskiem przypomniał jej inną bolesną stratę, ową belgijską królicę, która padła z ręki Priwima.

Ewa pierwsza przerwała ten żalobny duet. Poleciała, aby jakoś zgrabnie odprawiła Kaniową i żeby kazała Pietrkowi duchem zaprzęgać do bryczki. — Pojedzie do Rozłaki po pana komendanta dodała.

— Po Międołę? A po co, panienko? Zginęło co, czy co?

— Pan Międoła musi być przy tym, jak zabitego będziemy wynosić. No, niech Gładyszka się pospieszy.

— Zabitego? Kogo, Naczynie Duchowne?! Kogo zabili?

— Pana Królika, mówiłam przecież.

— Bramo Niebieska! — wrzasnęła gospodyni i oczy jej kołem stanęły, ale Ewa popchnęła ją stanowczo ku drzwiom, a sama wybiegła do swego pokoju i po chwili już pisała na swoim bilecie wizytowym:

Panie Komendancie!

Uprzejmie proszę o natychmiastowe przybycie do Borów w sprawie bardzo ważnej. Chodzi tu o życie ludzkie, obawiam się, że zaszła nowa zbrodnia.

Wysyłam bryczkę po Pana.

Z poważaniem

Ewa Turno

Piotrek uwinął się migiem i niebawem zajechał przed dwór bryczką, po czym, otrzymawszy małą zalakowaną kopertę i dokładną instrukcję od panienki, popędził na posterunek Policji Państwowej do Rozłaki. Z kolei zajęła się Ewa przygotowaniem ekspedycji, aby nie tracić czasu i przystąpić do roboty skoro tylko komendant przybędzie; wybrała więc kilku fernali, poleciała im wyszukać w szopie z narzędziami dwa kilofy, kilka łopat, kopaczek oraz taczki, i przykazała czekać w pogotowiu na przyjazd kierownika wyprawy, pana komendanta Międoły.

Wróciwszy do swego pokoju, zabrała się do powtórnej lektury listu Rafała i teraz dopiero zwróciła uwagę na ustęp końcowy. — Więc i on się podkochał we mnie? — westchnęła zdziwiona, ale na ogół przyjemnie, boć była stuprocentową kobietą.

Ani dwadzieścia minut nie upłynęło od odjazdu Piotrka, gdy zaturkotały koła bryczki przed oknami dworu. Ewa wybiegła naprzeciw.

— Galopowało się, co? — syknęła w stronę małego stangreta, zdziwiona tak nieprawdopodobnie szybkim przyjazdem i troskliwym wzrokiem popieściła grzbiety zdyszanych koni.

— Nie bardzo, panienko, bo my się na drodze spotkali.

— Istotnie — wtrącił chmurny komendant posterunkowy — szedłem w te strony, choć nie do dworu, i spotkałem bryczkę. Cóż tutaj **znowu** się wydarzyło? — spytał z wyraźnym przekąsem, bo gardłem mu już wychodził dwór w Borach z jego tajemniczymi podpalaczami, „duchami” i podobnymi ewenementami zakłócającymi spokój i „bezpieczeństwo publiczne”, czyli następczającymi mnóstwo zajęcia władzy od Boga danej na to, aby zażywała zasłużonego odpoczynku. — Ej, gdyby to była karczma, dawno bym budę zamknął, opieczętował i postarał się o odebranie koncesji — wzdychał nabożnie...

Ewa wprowadziła gościa w progi swego pokoju i wręczyła mu pismo Rafała Królika. Międoła wziął papier w swoje urzędowe ręce i zaczął czytać półgłosem, a miał osobliwy sposób czytania. Najczulsze ucho nie dosłyszałoby nic, prócz monotonnego, jak dudnienie okrętowej śruby, mrużenia, z którego wystrzelały najniespodziewaniej sylaby lub całe słowa głośno, wyraźnie wypowiedziane, po czym znów następowało złowrogie mamrotanie; podwładni komendanta Międoły wiedzieli, że wymawia on tylko słowa posiadające największą wagę w odczytywanym dokumencie, ale niewtajemniczonych dziwny lęk przejmował przy takim czytaniu.

Końcowy ustęp listu reportera wyglądał w tej audycji następująco:

— ...emmm, emmm, trzech dni, emmm, emmm, Międole, emmm, dziurę, emmm, emmm, trupa, emmm, emmm. Jaru, emmm, emmm, cudem, emmm, emmm, Kocham bezprzytomnie, emmm, emmm, miłość...

— Ach, przepraszam — zaprotestowała Ewa, czerwieniąc się po uszy — tam już nie ma nic istotnego.

— To się okaże... emmm, emmm, garść kwiatków...

— Ależ to są moje sprawy osobiste, komendancie!

— Były osobiste! — odparł Międoła surowo — ale przestały być, kiedy mi pani ten list wręczyła. Od tego momentu sprawa wzięła tok urzędowy.

Rada nie rada musiała przystać, że przeczytał list aż do końca.

— Co pan sądzi o tym? — spytała nieśmiało, kiedy skończył wreszcie lekturę i skierował na nią wzrok pełen srogiego wyrzutu.

— Co sądzę? — zachnął się. — Sprawa jest prosta, jak sierp. Tu już w zagadkach błędzić nie będziemy, jak z tym podpaleniem przekl... em, tego. Tu jest sprawa jasna; Samobójstwo z miłości!

Mimo całego współczucia dla doli mistrza nie mogła się Ewa powstrzymać od śmiechu, kiedy nasrożony policjant wygłosił tę hipotezę tonem najgłębszego przekonania.

— Pani się śmieje? Proszę nie zapominać, że, jak wynika nieomylnie z tego tu pisma... pani jest moralną sprawczynią śmierci desperata!

Ewa Turno zmarszczyła brwi.

— Może pozostawimy to uznaniu sądu, kto jest moralnym sprawcą śmierci pana Królika, a zajmiemy się odkryciem sprawcy jego śmierci fizycznej, rzeczywistej, a przede wszystkim:

odszukaniem zwłok w ruinach — rzekła chłodno, wyniośle, kierując się ku drzwiom.

— Zaraz, zaraz, gołymi rękami kopać nie można; trzeba narzędzi.

— Są przygotowane.

— A ponadto, ani pani, ani ja kopać nie będziemy. Trzeba ludzi.

— Czekają od pół godziny.

— Łopatą z gruzem nie poradzi. Przydałby się kilof.

— Są dwa i taczki, i wszystko. Czekaamy tylko na pana!

Bardzo nieprzychylnie spojrział komendant na „moralną sprawczynię zgonu desperata”, że tak o wszystkim pamiętała, pozbawiając go przyjemności osobistego organizowania wyprawy, ale musiał się pogodzić z tym „stanem faktycznym” i objąć dowództwo nad ekspedycją, skoro „sprawa wzięła tok urzędowy”. Schował tedy list do kieszeni, jako corpus delicti i w dziesięć minut później przystąpił do pracy.

Robota szła jak z płatka. Dwóch mężczyzn rozdziobywało kilofami porośłą mchami kupę gruzu, inni odrzucali potrzaskane cegły, kamienie i niebawem najdalej w stronę ściany wysunięty fornal wydał okrzyk triumfu.

— Co tam? Widać trupa? — zainteresował się komendant PP.

— Do okienka dochodzę — brzmiała odpowiedź.

— Rozszerzyć mi dziurę, sam zobaczę.

Nie bez obawy o czystość munduru położył się Międoła na gruzie i poczołgał się do okienka za ledwie w połowie odgrzebanego. Wetknął w wyłom głowę i, zamknawszy w ten sposób dostęp światłu... nic nie zobaczył. Cofnął się zatem, a w miejsce głowy wsunął rękę z latarką elektryczną. Anemiczne i żółte było jej światelko, snadź bateria sfatygowała się przy częstym używaniu, niemniej jednak zobaczył komendant jakieś masywne drzwi na bocznej ścianie i zawieszane przy nich dwie ogromne kłódki. Była to bowiem ta sama piwnica, w której Rafał Królik zostawił przez zapomnienie portfel z narzędziami detektywa.

— Hallo! Odezwać się! — zahuczał Międoła tubalnie. — Na nic; nie można zresztą wymagać, aby nieboszyk się odezwał — zauważył trafnie, kiedy trzykrotne upomnienie przeszło bez wszelakiego echa. I nic dziwnego, bo w tym samym momencie Rafał Królik i jego towarzyszy znajdowali się po przeciwnej stronie rozwalonego gmachu, a nawet wkraczali o tej porze w ganek odkryły dzięki samobójczym zamiarom reportera.

— Trzeba powiększyć otwór, aby człowiek mógł przejść tamtędy i dopiero zaczniemy poszukiwania — orzekł komendant posterunku, otrzepując się z kurzu...

W gronie domowników, zgrupowanych dokoła Ewy i czekających na rezultat wyprawy w niesamowite podziemia, brakło tylko Amalii Pelagii Gładyszówny. Obwieściwszy urbi et orbi nowinę o zabiciu wielkiego detektywa, który pod nazwiskiem Rafała Królika bawił w gościnie u paniąki, poczłapała gospodyni z kotem w objęciach do swojej „świątyni dumania”. Było to miłe ustronie parku, pokaźna kępa ogromnie rozkrzewionych bzów, otaczających gęstym pierścieniem starą, wyschniętą dawno studzienkę. Pompę wraz z całym urządzeniem zabrano dawno do nowej studni, a starej pozostawiono tylko na pół rozwalone ocembrowanie i zbutwiałe wieko, ażeby kto w jamę nie wleciał. Ogrodnik zamierzał tu niegdyś wpuścić dużą beczkę z wodą do podlewania kwiatów, ale rządcą Kochaut wyperswadował mu, że to będzie nieporęczne i polecił urządzić zbiornik w zachodniej stronie parku obok strumyka. I za to urządzenie Gładyszka była niezmiernie wdzięczna Kochautowi, z którym zresztą darła koty często. Jej „świątynia dumania” ocalała, pozostała miejscem ustronnym, do którego nikt nie zaglądał. Tutaj pogrzebała własnoręcznie ciało belgijskiej króliczki i tutaj chodziła wypłakać wszelkie frasunki i roić niezszywalne marzenia, aby właśnie tutaj ją pochowano, pomiędzy grobem królicy a mogiłą Burusia po najdłuższym życiu tego ostatniego.

— Ale ty mnie przeżyjesz, maleńki, musisz! — twierdziła stanowczo, tuląc kocura do bujnego łona, a potem wspomniała sobie tragiczny zgon gościa panienki, a potem spojrzała na drewnianą tabliczkę na grobie swojej skrytobójczo zamordowanej ulubienicy i zapłakała rzewnie nad Królikiem i nad króliczką. Rozżaloną, spłakaną, na wieku starej studni siedzącą zmorzył sen niespodzianie; bowiem na zmianę pogody się zanosilo, a wiadomo, że wtedy najłacniej senność człeka ogarnia. Znieruchomiła zacna gosposia w pozycji lekko schylonej nad kocurem, śpiącym na jej kolanach, błogie, barwne miraży krainy snów rozświetliły jej twarz dobrotliwym uśmiechem i wyglądała (z małą przesadą) jak posąg szczęśliwej babuni, która drzemie nad uspionym wnuczkiem. Wyglądała jak posąg także i dlatego, że nakryte ocembrowanie przypominało niski cokół pomnika, umieszczonego w parku, a gęste krzewy bzów stanowiły tło przepiękne dla tak sielankowego obrazka.

Lecz w pewnej chwili złociste sny pierchły w popłochu przed korowodem niesamowitych poczwara, widm, upiorów, jak łatwo można było wywnioskować, patrząc na twarz śpiącej. Miejsce dobrotliwego uśmiechu zajął grymas panicznego lęku, a czoło sfałdowało się siecią zmarszczek. Ale myliłby się ten, co by sądził, że tylko reminiscencje niedawnych wypadków spowodowały taką snów odmianę. O, nie. Inne były przyczyny, bliższe, bardziej realne, niż smętne wspomnienia, bardziej zewnętrzne, niezależne.

Albowiem tuż pod dwojga imion Gładyszówną, dosłownie pod nią, pod owym wiekiem dziurawym i zbutwiałym, działy się w tej chwili rzeczy dość niezwykle... Na dnie studni w rzadkim błocie po kostki stał chudy, wysoki mężczyzna i sapiąc z wysiłku, windował na siebie małego towarzysza.

— Nieporęcznie mi będzie, Balcu — rzekł piano ów mały, kiedy stanąwszy na ramionach kolegi podparł dłońmi wieko. — Czy nie mógłbym ci stanąć na głowie? W twoim interesie! — zapewnił skwapliwie, posłyszawszy z dołu niedźwiedzi pomruk niezadowolenia.

— Zwariowałeś, co? Czekał, stanę na palcach, będziesz trochę wyżej... Psiakość, tu była przedtem drabinka, widzę ślady — mamrotał chudy.

Z góry doleciało go podejrzané stękanie..

— Ty, słuchaj!... — rzucił ostro tonem pogroźki.

— A dajże mi święty spokój. Jakiś kamień leży na wieku. Ani drgnęło, choć pcham z całej siły.

— Kamień? Uważaj, wariacie, żebyś go sobie na łeb nie zrzucił.

— Bądź spokojny, Balcu, prędzej tobie zleci.

— Żałuję, że nie mogę cię kopnąć w tej pozycji.

— Spróbuj, może sięgniesz... No, cicho teraz. Gdzie siłą nie można, tam chytrą siłą próbuj... Hallo, Balcu? Wytnę nożem dziurę... Drzewo zmurszałe, jak masło będzie się krajało, zobaczysz.

— Byle prędko — wzdychał detektyw, gdyż uciskały go w ramiona trzewiki Rafała, a potem posypał się z góry deszcz drzazg, wiórów oraz większych kawałków zbutwiałej deski. — Całkiem mi oczy zaproszyłeś żalił się, ale stał cierpliwie, widząc, iż ostry scyzoryk towarzysza kraje pokrywę naprawdę jak twarde masło. — Czy już? — spytał, plując wiórami.

— *Rafałek, jeszcze kawałek* — zanucił sobie reporter z wielką fantazją, czując, że za chwilę skończą się ich cierpienia. — Wiesz, Balcu, oczyma duszy mej widzę już kurczaki, szparagi, truskaweczki, ach, czuję je na moim języku spragnionym solidnych witamin...

— Ja czuję na razie tylko drzazgi na języku. Kończ — mówię, albo...

— Czekałże trochę. Muszę pamiętać o kamieniu, który wieko przygniata. Czy mam ci go na łeb zrzucić? No, widzisz. Nie chcesz, ani ja także.

— I co mu zrobisz?

— Co mu zrobię? Spróbuję go podbić nożem i spychać powoli...

— Złamiesz ostrze i tyle... Ale rób, jak chcesz, byle prędko.

— Teraz, uwaga: drzys! — Z całej siły wbił Rafał nóż w wieko.

— Jezu Nazareński! — zawyła Gładyszówna, wyrwana ze snu szatańskim sztychem scyzoryka w... udo, a właściwie trochę powyżej. Chciała się zerwać, ale podskoczyła ledwie na dwa centymetry, przygwożdżona od spodu ostrzem nożyka. Więc tylko ryknęła przeraźliwie, usiadła całym uczciwym ciężarem swej osoby na podminowaną pokrywę i nagle zapadła się w czeluści piekielne, o których śniła co dopiero.

Sądny dzień nastał na dnie starej studni. Baltazar Szafran wdeptany w grząskie błoto służył za materac gimnastyczny parze, a raczej trójce akrobatów, bowiem sympatyczny kocur podzielił los swej opiekunki i prychając z wściekłości, obrabiał pazurami wypięte siedzenie Rafała, który zajęty uspokajaniem gospodyni klęczał mu na ogonie. Ale był to trud Syzyfowy uspokajać Gładyszkę, która miała jeszcze przed oczyma wizje scen dantejskich, a teraz stała (ściśle biorąc, leżała) twarzą w twarz z człowiekiem, którego podobno zamordowano, zatem z jego duchem.

— Panie, wybaw sługę twoją — modliła się żarliwie, kiedy jej się wreszcie udało uklęknąć na brzuchu detektywa.

— Ależ, kochana pani, ja wszystko wytłumaczę — uspokajał Rafał.

— Później, na Boga, najpierw zlećcie ze mnie — jęczał Baltazar.

— Znikaj, a kysz, a kysz, tfu, tfu, tfu! — splunęła trzykrotnie na reportera, później przeżegnała go trzy razy i... nic. Nie zniknął, nie zapadł się pod ziemię, jeszcze, aby powiększyć jej serdeczną mękę, zaczął kota tarnosić za ogon; nie wiedziała oczywiście, że pomiędzy tymi dwoma dżentelmenami, to jest między kocurem a Rafałem, już w chwili upadku nastąpiło silne oziębienie się stosunków dyplomatycznych.

Baltazar Szafran miał tego stanowczo dosyć. Szczypnął ciężką babę tuż koło mięśnia nadnerczanego, zmuszając ją do wyszukania sobie innego klęcznika, niż jego żołądek, wyrznął pięścią Rafała i wreszcie sam zdołał uklęknąć.

— Puść tego kota, albo mu łeb ukręcę... Drapnął mnie, bydlę.

— A mnie? — pisnął reporter płaczliwie. — Przez tydzień nie będę mógł siedzieć.

— Nie becz, pani, nic się nie dzieje. Proszę wstać, pomogę.

Szafran podał jej rękę, (ujęła ją, by go nie drażnić) i zaczął ją windować z klęczącej pozycji. Poderwała się i wrzasnęła tak nieludzko, że cała ekspedycja Międoły przerwała pracę.

— Co to jest? — spytał komendant, marszcząc brwi krzaczaste.

— Gładyska — odparła bez wahania jedna z dziewczyn z kuchni, wychylając czerwoną fizjonomię spoza pleców panienki.

— Skąd wiesz, że to ona?

— A kto by się tak darł, jak nie Gładyska?

— Zabili!... Zamordowali! przyniosło echo od środka parku.

— Znowu morderstwo?! huknął Międoła strasznym głosem.

— Pewnie jej kota spotkała jakaś przygoda — wyjaśniła Ewa, znając dobrze swoich ludzi.

— Kota? — W pytaniu Międoły zadźwięczało niedowierzanie i jawne szyderstwo.

Tak się o kota nie krzyczy! O, proszę słuchać...

— Zamiast słuchać, biegnijmy jej z pomocą — odparła Ewa, którą także niepokój ogarnął, gdy ponownie zabrzmiało rozpaczliwe wołanie o pomoc. Przycichało z wolna, aż zupełnie umilkło, gdy cała gromada znalazła się w pobliżu miejsca, gdzie tak fatalna przygoda spotkała gospodynię Ewy.

— I co teraz? — zafrasował się komendant. — Nieprędko ją znajdziemy w takich zaroślach.

— Panienko? — odezwała się czerwonolica dziewczoja. — Ona pewnie będzie przy grobie, hi, hi, hi, hi.

— Przy czym znów grobie? — wrzasnął komendant, nie panując już dłużej nad sobą. — Co tu jest, pytam!... dwór, czy cmentarz i...

— Niech się pan uspokoi, komendancie, jeśli łaska. Kasiu, wytłumacz panu, przy czym to grobie spędza gospodyni wolne chwile.

— Ano, przy grobie swojego królika.

— Jak to? Nic nie rozumiem — pienił się Międoła. — Więc szukamy zwłok Królika, a teraz dowiaduję się, że on dawno pochowany. Bez mojej wiedzy! Bez zawiadomienia władz!

— Istotnie — zaczęła Ewa ze zjadliwą ironią — nic nie wiedzieliśmy do tej pory, że o zakopaniu psa, kota czy królika trzeba także zawiadamiać władze. To pewnie jakaś nowa ustawa, co?

Ochłonawszy, wyjaśniła spokojnie z lekką oglupiałemu przedstawicielowi porządku publicznego, że królik belgijski, własność gospodyni nie jest identyczny z jej gościem, Rafałem Królikiem. Międoła przyjął to do łaskawej wiadomości, po czym cała ekspedycja wyruszyła w dalszą drogę, prowadzona przez chichoczącą wesoło dziewczoję.

Wtem... cały korowód przystanął w miejscu. Ze środka kępy i jakby skądś spod ziemi zabrzmiał stłumiony złą akustyką, lecz rozdzierający nerwy głos Amalii Pelagii.

— Niech pan to wyjmie, na litość boską!... Niech pan to wyjmie, nie wytrzymam, ooooch!

Komendant zrozumiał, co się święci, szarpnął wąs z zażenowaniem i odwrócił się do Ewy, kroczącej tuż za nim:

— To nie dla pani widowisko, nie dla młodej dziewczyny — rzekł, przestępując z nogi na nogę. — Ja sam pójdę... Zresztą wy dwaj możecie iść ze mną, przytrzymacie tego bezwstydnika — dodał, wyznaczając dwóch najbliższych stojących fernali. Hm, hm, ładna kolekcja — mrucał, sunąc z rewolwerem w dłoni ku studni — podpalenie, morderstwo, zgwałcenie!

— Cóżem ci zrobiła, człowieku — jęczała gospodyni. Pozwoliła się nareszcie przekonać, że bynajmniej nie widły szatana tkwią w... oficynach jej korpusu ale tylko zwyczajny scyzoryk będący własnością pana Rafała Królika, lecz tym większe jezioro goryczy zalało jej serce. — Po diable wszystkiego się można spodziewać, ale żeby człowiek wykształcony, miastowy pan, robił takie zamachy na niewinną kobietę, to wstyd, hańba, skandal, obraza boska! — mamrotała, patrząc z wyrzutem na reportera.

— Nie widzę innej rady, tylko musisz wyjść i przyprowadzić ludzi z drabiną. Nie wywindujemy jej inaczej — orzekł Baltazar, ustawiając się jak przedtem, kiedy Rafał wyruszał do walki z pokrywą studni. Tym razem Królik posiadał już rutynę i zamiast wieka przywalonego rzekomym głazem miał nad sobą pogodne niebo, toteż z zapalem wygramolił się na ramiona towarzyszowi, chwycił się oburącz za krawędź ocembrowania, podskoczył i... ujrzał tuż przed nosem lufę rewolweru, a za nią wąsate, nasrożone oblicze komendanta Międoły. Zaskoczony, chciał właśnie zrobić „padnij” z zeskokiem, ale już cztery silne łapy schwyciły go za kark, za ręce, piąta dłoń nawet za włosy i reporter Królik po krótkim locie w powietrzu, wylądował po zewnętrznej stronie ocembrowania.

— Aaaa, to ty, ptaszku! — ucieszył się komendant mający niejaki porachunki z gościem dziedziczki z Borów.

— To nie ja, to on! — odparł szybko, wskazując na studnię. Nie wiedział co prawda jeszcze o co chodzi władzy, ale na wszelki wypadek wołał się asekurować zawczasu.

Międoła łypnął niedowierzająco okiem w głąb okrągłej jamy i ku swemu zdumieniu ujrzał drugiego obdartusa, jeszcze bardziej zarośniętego i brudnego niżli ten mały frant o chytrym obliczu dziwnie do pyszcza wiewiórki podobnym.

— Aha, jest i drugi ptaszek — zatarł dłonie.

— Proszę przynieść drabinę — zażądał detektyw.

— Dobrze, dobrze; idźcie tam który po drabinę — rozkazał Międoła; po czym zainteresował się znowu osobą małego „urwipołcia”. — Władzę w błąd wprowadza, tak? Pisze listy, że zginął, ażeby tym swobodniej grasować, tymczasem żyje, co? — syczał zjadliwie, używając w przemówieniu trzeciej osoby, bo per pan mówić „takiemu” nie chciał, a na ty jeszcze nie śmiał; zaimponował mu rozkazujący ton tamtego wysokiego „ananasa”, oraz „inteligentne” słowa, jakimi ów starał się uspokoić wciąż zawodzącą gospodynię. — Gdzież, ten trup, pytam, którego mieliśmy szukać w jakichś tam piwnicach, he? — indagował, trzymając Rafała za kołnierz.

— Jest trup, do usług, panie komendancie. Troszkę już nieświeży, ale zawsze trup, całkiem autentyczny. Można sprawdzić.

— Czyj?

— Priwima, choć to nie jest właściwy Priwim.

— Ehe, ehe, obwiniony miesza się w zeznaniach.

— Jak to, obwiniony?! — oburzył się Rafał. — Pan mnie posądza?

Tymczasem Baltazar Szafran zdołał się wydostać ze studni bez pomocy drabiny, wziął komendanta posterunku na stronę i pokazał mu jakąś legitymację. Skutek był piorunujący. Srogi policjant zmiażdżył jak wosk i niewiadomo dlaczego, zaczął Szafrana tytułować „panem nadinspektorem”.

— A ten mały czegoś nie przeszkrobał, panie nadinspekt...

— Nie. Ręczę za niego.

— Jak to, nie przeszkrobał? — zakwiliła gospodyni na dnie studni. — Przebił mnie, ranił nożem w... plecy!

— Hm, ciężkie uszkodzenie ciała? — rzekł Międoła, patrząc pytająco na wielkiego detektywa; strasznie go korciło, by „tego małego zahaczyć” o jakiś paragraf kodeksu karnego. — Nie pomnę, który to paragrafik kaka — zaczął słodko.

— Kaka? Co to znaczy? — spytał z uśmiechem Szafran.

— Kodeks karny — wyjaśnił komendant, dziwiąc się w duchu, że pan nadinspektor nie zna najpospolitszych skrótów prawniczych.

Nadbiegł fornal z drabiną i Międoła zajął się osobiście mozolnym windowaniem z jamy Amalii Pelagii, która przy każdym poruszeniu wrzeszczała, jakby ją nie tylko ze skóry obdzierali, ale jeszcze solili.

— Zaraz pani udzielę pierwszej pomocy i ranę opatrzę.

— Nie, nie — piszczała wstydliwie — rana jest w takim miejscu, że nie można, auuuuu!... Nie szarpcie tak.

Tymczasem Rafał witał się już z Ewą, mającą łązy radości w oczach, że „mistrz” ocalał.

— Pozwolisz, drogie dziecko, że ci przedstawię pana Melchiora Kasperskiego, mojego najzdolniejszego pomocnika — rzekł, odsuwając się od detektywa, który pomrukiwał coś pod nosem, jak gdyby nie był olśniony nadaną mu godnością.

— Bardzo się cieszę — Ewa uściśnęła przyjaźnie dłoń Baltazara, po czym znowu zwróciła się do reportera. — Mistrz żyje. Boże, jakież to szczęście! Żebym śmiała, to bym pana uściskała serdecznie...

— Może później, bo teraz nie jestem w swej zwyczajnej formie; fatalnie się zaniedbałem

ostatnio — przyznał zażenowany, zakrywając dłonią rzadki, ale długi jak szczecina zarost na brodzie. — Ach, cośmy tam przeszli, powiadam pani. Straszne! Na szczęście mój hart ducha...

— A ci śmierdzą, co? Hi, hi, hi — zabrzmiał niefrasobliwy chichot kuchennej dziewczyny, nieliczący zupełnie z poważną wzmianką o harcie ducha. Toteż Rafał odłożył opowiadanie o swych bohaterskich wyczynach do sposobniejszej chwili, a na razie wyjaśnił Ewie, dlaczego ich ubrania tak nasiąkły trupim odorem. — Priwim nie żyje, ale to nie jest Priwim — zaczął podobnie, jak przed chwilą wobec komendanta, który w międzyczasie ukończył windowanie Gładyszówny. Z wszelkimi ostrożnościami odniesiono ją do domu, gdzie zaopiekowała się nią natychmiast pielęgniarka, czuwająca przy wciąż nieprzytomnym Kochaucie. Było z nią sto pociech i dwieście kłopotów, bowiem Rojek, płacący wszelkie koszty leczenia Kochauta, przywiódł nazajutrz po fatalnym seansie pielęgniarkę Niemkę, nie rozumiejącą ani słowa po polsku; jak większość „siostrzyczek” z wrocławskiego *Elisabethheimu*.

W tym samym czasie, w którym rutynowana pielęgniarka wyjmowała scyzoryk tkwiący naprawdę dość głęboko w ranie, pozostałe osoby powróciły do na pół odgrzebanego okienka. Szybko powiększono wyłom tak, że nawet rosły komendant Międoła mógł się zmieścić bez trudu i jeden po drugim zaczął wskakiwać do piwnicy.

— Sądzę, że tym razem dasz sobie beze mnie radę, mój chłopcze — rzekł Rafał protekcyjnie do Baltazara i zaraz jął go wychwalać przed Ewą. — Jeszcze kilka lat mojej szkoły, a będziesz się mógł ze mną mierzyć, taka szelma pojętna — mówił, podnosząc głos wydatnie, gdyż doleciał go lekki pomruk „pojętnego ucznia”: — Jak ja cię zmierzę, to ci się niedobrze zrobi, wałkoniu jeden! — Potem detektyw odciągnął reportera na stronę, uszczypnął go serdecznie i dodał: — Możesz zostać, tchórzu, ale ja twoich nekrologów zacierać nie będę; Ewa przeczyta je i dowie się nareszcie, kim jesteś naprawdę, chroniczny blagierze. Więc do widzenia...

— Stop! — huknął Rafał w stronę Międoły, przeciskającego się właśnie przez otwór. — Obejmuję kierownictwo wyprawy.

Mimo ogólnych sprzeciwów Ewa uparła się, że pójdzie z nimi. Silne, głęboko wbite skoble wyjechały jak z masła, kiedy je podważono kilofami i oto stanęły otworem ciężkie, okute drzwi, które przez tyle dni stawiały gwałtowny opór wysiłkom detektywa. Ale jego narzędzia zniknęły bez śladu. Rafał wskazał skrzynkę, na której je położył wówczas; stała na dawnym miejscu, lecz ogromny portfel Szafrana ulotnił się, zabrany snadź na pamiątkę przez tajemniczego osobnika, który dwóch naszych bohaterów w podziemiach uwięził.

— Oto bańki z benzyny, której podpalacz chciał użyć do „gaszenia” pożaru... Oto kleszcze z kuźni, którymi Kochaut zgniółł lułę pani rewolweru, panno Ewo — wyjaśniał reporter z zapalem, zagadując słuchaczy, aby broń Boże nie spojrzeli na ścianę największą, gdzie onegdaj uwiecznił swoją odyseję czarnymi gryzmołami. Udało mu się tak pomanewrować, że na chwilę pozostał sam w tej piwnicy i co prędzej zamazał owe nekrologi wiechciem z trawy, który zabrał z sobą przezornie. Dokonawszy tego dzieła, pobiegł za towarzyszymi i połączył się z nimi w chwili, gdy formale rozkopywali barierę z gruzu, jaką uwięzieni pragnęli się oddzielić od źródła straszliwych wyziewów.

— Byłoby dobrze — rzekł Rafał postawić kogoś na straży przy tamtych przeklętych drzwiach, aby nas znowu kto nie zamknął.

— Przecież mamy już inne wyjście — mruknął Baltazar, ale tym razem komendant Międoła przychylił się do poglądu reportera i dwaj formale (żaden nie chciał iść sam) wyruszyli na wyznaczony posterunek. Powoli cichły ich kroki, a potem doleciały stamtąd nagle odgłosy szybkiej rozmowy, w której wziął udział także głos kobiety... Nie zwracali na to uwagi i po chwili stanęli nad trupem.

Zwłoki wyglądały wprost strasznie, gdyż w ciepłej piwnicy proces rozkładu odbywał się bardzo szybko... Ewa odwróciła głowę; żałowała teraz, że nie usłuchała swych towarzyszy i drżała na myśl, że przyśni jej się kiedyś ten trup pozornie drgający w migotliwym świetle świec, że utkwi jej na długo w pamięci ta ponura scena i straszyć ją będzie, podobnie jak straszyla ją wspomnienie nocnej wizyty upióra... aż do pamiętnej chwili, w której celne strzały Rojka go zdemaskowały.

— Dobrze byłoby to sfotografować — mruknął komendant, spluwając na uboczu. Szafran wyjaśnił, że uczynili to jeszcze w pierwszym dniu swojego pobytu w tych podziemiach, gdyż przypadkowo jego towarzysz zabrał z sobą aparat i magnezję.

— W takim razie możemy stąd odejść, a drzwi się opieczętuje. Nic tu nie wolno ruszać, aż do przyjazdu komisji sądowo-lekarskiej.

— Czy nie mówiłem ci kubek w kubek to samo? — wtrącił reporter, zwracając się do Baltazara.

— A protokół można spisać w lepszym powietrzu, niż tutaj — ciągnął nosowym głosem Międoła, gdyż ścisnął sobie palcami organ powonienia, czując, że bez tego zabiegu dłużej tu nie wytrzyma.

— Pozwólcie — poprosiła Ewa, przyklękając zmówmy choć „wieczne odpoczywanie”.

— Koniecznie tutaj? Rafał skrzywił się, ale obnażył głowę za przykładem innych mężczyzn i nastąpiła minuta absolutnego milczenia. I nagle pośród tej uroczystej ciszy, zakłóconej tylko skwierczeniem którejs świecy, zatętniły bardzo szybkie kroki.

Wszyscy odwrócili głowy w stronę wejścia, w którym zamajaczyła ludzka sylwetka.

— Nie żyje? — zabrzmiał głos niewieści, bezbarwny, blaszany jak dźwięk pękniętego dzwonu.

— Kaniowa? — W pytaniu Ewy zadźwięczało ogromne zdziwienie. Ale wnet przypomniała sobie, jakim protektorem był zmarły dla tej chciwej wieśniaczki i pojęła przyczynę jej zjawienia się tutaj; tak, tak, już pewnie i we wsi wiedziano o zagadkowej tragedii, jaka się rozegrała w podziemiach starego dworu. Nic więc dziwnego, że dowiedziała się Kaniowa, czekająca cierpliwie przed kuchnią na audiencję u panienki.

— Widzicie przecież, że nie żyje — burknął miłosiernie Międoła.

Chustka zsunęła się z ramion przybyłej kobiety i okrzyk, rozdzierający okrzyk rozpaczy targnął ciszą tego grobowca.

— Synku mój!

Jakby na skrzydłach przebiegła całą długość piwnicy, roztrąciła dwóch skrobiących się w ciemność fernali, którzy stali jej na drodze, przypadła do trupa i runęła na niego jak długa. Nic to, że cuchnął straszliwie, że wyglądał odrażająco, potwornie. Żywy czy martwy, urodziwy czy ohydny i rozkładający się był zawsze umiłowanym dzieckiem dla serca matki, dla serca najwierniejszego na świecie, dla serca, które w ostatnich drgnieniach przebaczyłoby nawet matkobójcy.

Gorącymi pocałunkami obsypywała Kaniowa lepkie, galaretowate dłonie nieżywego, a z jej ust wraz ze szlochem serdecznym wydzierająca się skarga zbolełego serca matki: — Zabili cię, synku... zabili!

Rozdział XXV

STRASZNE OSKARŻENIE

W godzinę później w saloniku nowego dworku zebrało się pięć osób, mianowicie: Ewa, Szafran, Międoła, reporter i Kaniowa, którą siłą trzeba było od zwłok oderwać. Posiedzenie zagał oczywiście Rafał Królik, któremu okrzyk nieszczęśliwej matki tym razem naprawdę wiele wyjaśnił.

— Uchylono przed wami rąbka tajemnicy — zaczął poważnie, ale niedługo wytrwał w tym nastroju — przed wami, powiadam, albowiem ja od początku się domyślałem, że znany nam tutaj Jan Priwim jest w rzeczywistości Pawłem Kanią z Rozłaki, czyli dawnym lokajem Augusta Turno. Potwierdził te domysły list mego przyjaciela radcy Tot..., ehm, Ryłskiego, który doniósł mi, że malarz nazwiskiem Jan Priwim przebywa stale w Paryżu. Tylko jakiś zwariowany spirytysta mógłby sądzić, że zachodzi tu wypadek rozdwojenia jaźni. Ja jednak, człowiek trzeźwy i trzeźwo myślący, powiedziałem sobie od razu: nie ma dwóch Priwimów, jest tylko jeden, ten w Paryżu, zaś nasz rzekomy sekretarz świętej pamięci Augusta Tur...

— Świętej pamięci? — krzyknęła Ewa. — Jak... jak to, mistrzu... Pan powiada... Boże! Nie! To niemożliwe! Więc stryj August...

— Niestety, drogie dziecko. Tu nie ma co owijać w bawełnę. Pani stryj został zamordowany!...

— Jezu! — Zerwała się, ścisnęła głowę w dłoniach i zastygła w tej pozycji na długą chwilę.

— Zabity — dodał Rafał, sądząc, że to określenie brzmi najłagodniej i stopniował w dół dalej, w najlepszej intencji — zgładzony, powiedzmy wreszcie: usunięto go.

— Skąd pan to wie?

Rafał spojrzał wyniośle na Międołę:

— To moja rzecz, komendancie. Jeśli pan ma wątpliwości co do tego, czy pan August Turno żyje, to proszę spytać tej kobiety — tu wskazał na stojącą pod ścianą wieśniaczkę. Stała, bo stać kazali, ale przysięgła sobie, że żadne męki z niej słowa nie wydobędą, toteż komendant Międoła, który już kilkanaście pytań jej zadał i ani sylaby odpowiedzi nie otrzymał, machnął tylko ręką tym razem. A reporter ciągnął dalej coraz głośniejszym, coraz patetyczniejszym głosem: — Ona wie, że pan Turno nie żyje od lat, że nie było go nigdy w Paryżu, że pochowany jest hen, na drugiej półkuli globu, na owej wyspie dalekiej, u której brzegów jego jacht się roztrzaskał. Ona wie wszystko, ale słowa nie pisnie, bo tak zaprzysięgła synowi, bo gdyby chciała mówić prawdę, to musiałaby, chcąc nie chcąc, wyjawić, kto zamordował Augusta Turnę...

— No, a kto go zamordował? — spytał Międoła.

Wspaniałym ruchem skrzyżował Rafał ręce na piersiach, głowę wstecz zadarł, jakby na suficie szukał natchnienia i obwieścił po chwili:

— Zamordował go ten, który z tego korzyści oczekiwał i który z owej zbrodni czerpał korzyści przez długie lata...

— To znaczy — warknął Szafran, zniecierpliwiony krasomówstwem małego reportera.

— To znaczy, PAWEŁ KANIA! Jej syn!

— Fałsz! Kłamstwo! — wrzasnęła Kaniowa i jak furia ruszyła w stronę Rafała, zastygłego w bezruchu, w dramatycznej pozie aktora, który w roli oskarżyciela publicznego godzi wyciągniętym palcem w zdemaskowanego przestępcę.. Ten sam instykt, który słabej kotce pozwala zapędzić do budy ogromnego kundla napastującego jej potomstwo, ten sam instykt macierzyński wyrwał z bolesnej drętwy milczącą kobietę, zmienił ją nagle w rozwścieczoną megierę, którą Międoła na spółkę z Szafranem ledwie utrzymać zdołali, tak się rwała do reportera, któremu znów instykt samozachowawczy i wrodzona przezorność pozwoliły w porę uskoczyć poza stół.

— Prawda w oczy kole! — grzmiał stamtąd, mierząc pośpiesznymi spojrzzeniami odległość dzielącą go od otwartego okna.

— Prawda? Nie! Prawdę zniosę, ale wara komu bądź szczekać oszczerstwa na mojego syneczka — pieniała się.

— Nie jestem „kim bądź” i nie szczekam — obruszył się i stanął na palcach, aby groźniej wyglądać — i sto razy powtórzę, że wasz syn był mordercą, dopóki mnie nie przekonacie, że nim nie był — wołał, mrugając porozumiewawczo na Baltazara. Słwał mu wzrokiem dwie depesze. Pierwsza była upomnieniem: — Trzymaj ją mocno, tę lwicę rozzartą — a druga lekkim domawianiem się o pochwałę: — A co? Dobrze powiedziane? Zażyłem ją z mańki, zobaczysz, jak tu śpiewać będzie za chwilę.

Kaniowa zwiotczała nagle w stalowym uścisku czterech silnych rąk męskich.

Załamano się psychicznie, opadła na siłach i załkała żałośnie.

— To fałsz... dziedzic sam umarł... na rękach Pawła umarł, wiem przecie, bo mi opowiadał i zaprzysiągł na Krzyż, że mówi świętą prawdę, jakby na spowiedzi — mamrotała, pochlipując coraz rzewniej... — Pawełek miałby zabić człowieka? Jeszcze takiego dobrodzieja, jak dziedzic nieboszczyk? Żeby pana Pan Bóg nie skarzał za takie posądzenie krzywdzące, oooooo.

Usiadła na krześle, które jej ktoś podsunął, wsparła głowę na rękach i ulżywszy sercu przez płacz, mówiła dalej głosem cichym, smutnym, zbolalym:

— Nie byłabym słowa pisnęła, ale nie mogę ścierpieć, żeby kto na mojego syna takie kłamstwa wygadywał... Na Mękę Pańską się klnę, że dziedzic sam umarł.

— Wierzimy wam, Kaniowa — przemówiła łagodnie Ewa, a to oświadczenie spłynęło jak balsam na zranione serce wieśniaczki. Cmoknęła w rękę panienkę za „dobre słowo” i opowiadała za porządkiem, co jej syn ongiś opowiadał, kiedy pod cudzym nazwiskiem i w przebraniu do Polski powrócił...

Było więc tak:

Kiedy żeglarze stracili panowanie nad jachtem, August Turno rozdzielił pasy ratunkowe, choć, jak sam do Pawła powiedział: *to tylko na to, żeby nasze trupy wyłowili i w ziemi pochowali, inaczej na dno opadną*. Cud to był prawdziwy, że mimo tych usprawiedliwionych przewidywań, dwóch rozbitków dotarło do brzegu. Dwóch tylko: August Turno i jego wierny sługa, Paweł Kania. Ale Paweł był zdrow jak rydz, gdy jego chlebodawca, obarczony ciężką wadą sercową, dogorywał po straszliwych zapasach z żywołem.

Umierając na rękach wiernego sługi, który wyniósł go z wody i potem włókł go po brzegu, chcąc dotrzeć do ludzkich siedzib... August Turno wręczył mu swój portfel z dokumentami. Bełkotał coś przy tym, ale Paweł ani słowa nie zrozumiał. Z wykopaniem grobu był straszny kłopot, bo w skalistym wybrzeżu bez żadnych narzędzi nie dało się nic zrobić. Wówczas Paweł Kania przerzucił sobie zmarłego przez ramię i szedł, szedł z tym ciężarem pod gorącym tuszem podzwrotnikowego słońca, aż dotarł do jakiejś plaży. Tam rękami wykopał

jamę, włożył w nią ciało nieboszczyka, przysypał je kopcem piasku i sam wyruszył w dalszą drogę. Któregoś dnia upadł wyczerpany, a kiedy oczy otworzył, znajdował się w jakimś szpitalu...

— Rozumiem! — Rafał nie utrzymał na wodzy obrotnego języka. — I tam na podstawie znalezionych przy nim dokumentów wzięto go za Augusta Turno. Oczywiście, woda morska zepsuła wyrazistość fotografii w paszporcie, zresztą nawet sam Turno po takich przejściach, byłby zupełnie niepodobny do dawnej swej fotografii.

— Jesteśmy z najwyższym podziwem dla tak fenomenalnej przenikliwości — zaczął słodziutko Szafran — jednakowoż wolelibyśmy te rzeczy usłyszeć.. że tak powiem, z pierwszej ręki...

— Z ręki usłyszeć? Ileż razy będę cię uczył, chłopcze, abyś się logicznie wyrażał?...

Kaniowa mówiła dalej:

— Było tak, jak to wielmożny pan właśnie powiedział potwierdziła i po raz pierwszy spjrzała na reportera życzliwszym okiem...

Tak było istotnie, jak Rafał odgadł. Trzy miesiące przeleżał Paweł w szpitalu, przeszedł szczęśliwie zapalenie mózgu, aż kiedy rozpoczął okres rekonwalescencji, lekarz obdarzył go sporą paką korespondencji. Były tam listy od Ewy i dalszej rodziny, były gratulacje związków sportowych w Polsce, wyrażających swoją radość z powodu cudownego ocalenia, były sprawozdania od ówczesnego administratora Kochauta-seniora, były przekazy do banków i gazet całe sterty. Paweł rozumiał, że uważają go za Augusta Turnę, że w zamian jego matka, biedna chałupniczka z Rozłaki, dowiedziała się już z gazet, iż jej najukochańszy syn, żywiciel jej i swego młodszego rodzeństwa... nie żyje. Oplakała go już pewnie, może pogodziła się ze smutnym losem.

I tu w duszy ocalonego chłopaka rozegrała się zawzięta walka, której Kaniowa nie umiała odmalować w swych niewyszukanych słowach, ale którą Ewa odgadła, pojęła i oceniła w zupełności. Paweł Kania miał do wyboru: albo grać dalej narzuconą przez los rolę Turny, albo wyjawić, skoro tylko spotka jakiegoś rodaka i z nim się wreszcie dogada... że on nie jest Turną, lecz jego lokajem, Pawłem Kanią. Troska o matkę, a w dużej mierze chciwość, zadecydowały, że wybrał to pierwsze. Chciał raz zakosztować beztroskiego, jak sądził, żywota burżujów, chciał, aby matka dochrapała się własnej chałupy i kilku morgów pola, chciał, by rodzeństwo mogło do szkół chodzić zamiast gęsi pasać i jagody czy grzyby kraść w lasach...

Z początku wszystko szło gładko. Zamieszkał w Paryżu, odgrodził się skutecznie od ludzi, listy wystukiwał na maszynie, aby go pismo nie zdradziło, poduczył się znakomicie naśladować podpis nieboszczyka, matce polecił wypłacić większą kwotę jako odszkodowanie za stratę syna, a potem wypłacać jej stałą pensję miesięczną, poza tym zadowalał się niewielką sumą na własne utrzymanie, nie chcąc grabić cudzego majątku. A w niespełna rok po katastrofie jachtu pojechał do Polski, do matki, za którą stęsknił się i którą chciał pocieszyć, że żyje przecież, a tamten umarł...

— Przyjechał chyba z fałszywym paszportem — mruknął Międoła.

Kaniowa przyznała, iż tak było rzeczywiście. Od jakiegoś biednego emigranta odkupił paszport, ucharakteryzował się według tamtej fotografii i przyjechał...

— A tamtego zamknęli do dziury...

— Eee, panie komendancie. — Chytry uśmiezek przewinął się po zasmuconej twarzy kobiety. — Tamten odczekał, aż mój Paweł wrócił, a potem zameldował w kostu... jakoś inaczej...

— W konsulacie — pomógł Szafran, na co Rafał zauważył słodko: — Prosimy, nie przerywać Kaniowej w opowiadaniu.

— Uhu, zameldował w konsulacie, że paszport zgubił. I wierz tu takim gagatkom — oburzał się komendant posterunku.

Kaniowa zaczęła opowiadać o przebiegu swojego spotkania z synem, którego uważała za straconego. Ostrożny Paweł wywabił ją do Sambora i tam dopiero wyjaśnił jej, co zaszło. Roztkliwiała się nad ową sceną tak długo, że zniecierpliwiony Szafran uważał za stosowne spytać:

— I nikt się nie poznał na tym oszustwie?

— Jeden się tylko poznał — warknęła Kaniowa, a z oczu strzeliły jej błyskawice zawziętego gniewu na jaki tylko chłop potrafi się zdobyć.

Zacząła mówić o Rojku. On to właśnie przeniknął zagadkę, której nikt po nim nie potrafił rozwiązać. Zamierzając kupić Rozłękę, wyjechał do Paryża i odszukał łatwo hotelik, w którym mieszkał rzekomy August Turno. Paweł, który przecież dlatego siedział z dala od ojczyzny, aby go nie zdemaskowano, nie przyjął Rojka, przez tydzień z domu nie wychodził, ale trafiła kosa na kamień. Rojek wprowadził się do tego samego hotelu i pewnego wieczora wtargnął do pokoju fałszywego Turny...

— Taki ci chytry jest ten zbój, złodziej...

— Liczcie się ze słowami, kobieto — upomniał Międoła, ale ta przestroga tylko rozwścieczyła wieśniaczkę.

— Nie będę się liczyła! Będę głośno krzyczała: on zabił mojego synka! On!

— Kaniowa! — huknął komendant posterunku. Czy zdajecie sobie sprawę, co mówicie? Byliście przy zabójstwie? Widzieliście?

— Nie byłam! — dyszała wieśniaczka, w której znów obudziła się megiera. — Nie widziałam, ale mówię i przed sądem powiem to samo. Serce mi to mówi... A któż by go zabił, hę? A z kim się żarł nieboszczyk Paweł, jak nie z tym zbójem, z tym...

— Kaniowa, po raz ostatni zwracam wam uwagę, że lekkomyślnie rzucacie straszne oskarżenie, że jakieś tam widzimi się matczyne serca to nie dowód rzeczowy, ani porcus delicti...

— Corpus, komendancie — poprawił uprzejmie Rafał — ale nawiasem mówiąc, wyrwał się pan z tym, jak Filip z konopi — dodał ciszej.

— Jeśli nie potraficie dowieść tego — perorował Międoła — pójdziecie do więzienia za oszczerstwo. Takich rzeczy nie puszcza się płazem; za takie babskie gadanie skarży się i zamyka do ula.

— Taaak? — Kaniowa zadrzała. Zobaczyła nagle siebie zamkniętą w więzieniu, a swoje dzieci, Pawełkowe rodzeństwo, przymierające głodem, wypędzone z chaty przez sublokatora, robotnika z kopalni, z którym od dawna była na wojennej stopie. Tak, tak, wygnałby dzieci, skoro by jej zabrakło, skoro by ją Rojek za oszczerstwo zamknął do paki. Bo i cóż z tego, że uważa go za sprawcę nieszczęścia? Potrafi to udowodnić? Przygada takiego bogacza, pyskacza, pieniacza ona głupia kobieta wiejska? — Byłaś przy tym, widziałaś? — spytają sędziowie, jak przed chwilą spytał Międoła i co im odpowie? — Nic! Za to oni jej powiedzą słodziutko: — Lu, babo, na rok do kozy!

Kaniowa pożałowała nagle, że dała się pociągnąć za język i tyle nim namieliła bez potrzeby, nieostrożnie. Trzeba było raczej milczeć, jak to sobie ślubowała tam, przy zwłokach syna. Stało się, ale teraz więcej słowa nie piśnie. Żebyście mnie krajali, cholery, pary z gęby nie puszcze, zaprzysięgła sobie i... zaniemówiła nagle ku wielkiemu zawodowi słuchaczy.

Próżno Ewa prosiła, a Międoła groził, próżno Rafał rzucał podchwytliwe pytania i od nowa zaczął powątpiewać w to, czy Paweł naprawdę nie był mordercą. Zmierzyła go nienawistnym wzrokiem, ale zaciśniętych szczęk nie rozwarła, milczała, zacięła się w uporze

milczenia, gotowa raczej zginąć, niż się dać znowu wyciągnąć na słówka.

W godzinę później odjechała wraz z komendantem Międołą, który zarzekał się, że już z baby prawdę wycisnie „swoim sposobem”. — Prędzej mi pan flaki wycisnie, niż jedno słowo o... tym — odzarła się, a potem z wielkim tupetem zaczęła mu grozić adwokatem i panem starostą, gdyby jej jaką krzywdę wyrządził w trakcie owego „wyciskania prawdy”.

— Idiota! — wybuchnął Rafał, kiedy komendant opuścił pokój. — Zepsuł wszystko, co mają wymową zdziałalem z tą babą.

— Niepotrzebnie ją przestraszył — dodała Ewa.

— Ach, wyrwał się z tymi pogroźkami, ni przypiął, ni wypiął!... Ale, głupstwo. Dowiedzieliśmy się i tak wiele. Resztę potrafię już dośpiewać — dowodził Rafał, gestykulując tak żywo, że wytrącił z zębów fajkę flegmatycznemu Baltazarowi. — Posłuchajcie tylko: Rojek wtargnął do mieszkania rzekomego Augusta Turny. Znając go z dawniejszych czasów, zdemaskował od razu oszusta, który, być może, dał się zaskoczyć w momencie, kiedy nie był ucharakteryzowany na swego zmarłego chlebodawcę. Cóż wtedy robi Rojek, który chce kupić Rozłękę i wiercić ropę? Biegnie na policję? Każe uwięzić oszusta? Nigdy! Przeciwnie, jest uszczęśliwiony takim obrotem rzeczy. Nie potrzebuje teraz pilnować ziemianina, by mu sprzedał Rozłękę, nie potrzebuje jej kupować, przepłacać, woli te pieniądze przeznaczyć na inwestycje, na kapitał obrotowy... Po prostu bierze Pawełka za kark i spisuje z nim kontrakt dzierżawy Rozłęki i płaci mu grosze, grosze, zamiast setek tysięcy! Prawdopodobnie nie powiedział nawet tamtemu, że zamierza wiercić ropę. Po co? Udaje zwykłego hreczkosieja, aby mieć pretekst do niższego czynszu dzierżawnego...

— To możliwe — bąknęła Ewa.

— To pewne, drogie dziecko — wołał „mistrz”. — Ha, oto nowy dowód! Czy nie uderzyła was wszystkich pozorna lekkomyślność Rojka, który takim wspaniały pałac wystawił na nieswoim gruncie?

— Istotnie.

— A widzicie! Mógł sobie stawiać pałace i zbiorniki kosztowne, wiedząc, że ta dzierżawa będzie trwała tak długo jak długo on zechce.

— Zaraz, zaraz, mnie mówił dzisiaj — przypomniała sobie Ewa — że doszedł do porozumienia z moim stryjem i niebawem zostanie właścicielem Rozłęki...

— To znaczy, że wydębził jakiś nowy dokument od rzekomego Priwima. Aha, nie wyjaśniliśmy jeszcze sprawy Priwima.

— Rozumiem ją teraz — powiedziała Ewa. — Paweł Kania, zasypany listami, jakie pisałem do stryja, wierząc, że stryj żyje... musiał w końcu jakoś zareagować na moje żądania. Przecież grał rolę mojego opiekuna, nieprawda? Jako August Turno przyjechać tu nie mógł, gdyż każdy by go poznał od razu, jako Paweł Kania również nie mógł, skoro Kanię uznano za zmarłego, więc wynalazł sobie tego malarza Priwima, trzecią osobę i przyjechał do Borów z paszportem Priwima, a w charakterze sekretarza mego stryja. Zaopatrzywszy się w potrzebne pełnomocnictwa, które sobie sam sfabrykował, a których tutaj nikt zresztą nie badał... mógł się w Borach rządzić jak szara gęś... Teraz wszystko mi się staje jasne, nawet ów nieprawdopodobnie brzmiący ustęp listu pańskiego przyjaciela, mistrzu, że August Turno wyjechał pół roku temu do Polski i wszelką korespondencję kazał sobie z Paryża odsyłać... Oczywiście, ów prawdziwy Priwim, otrzymujący tysiąc franków miesięcznie za swoją przysługę, był przekonany, iż ma przed sobą prawdziwego Augusta Turnę, nie zaś jego lokaja...

— Nieźle, nieźle, drogie dziecko — pochwalił Rafał, choć był trochę niezadowolony, że wyręczyła go w łatwym zadaniu. — Oto najpiękniejsza nagroda dla mistrza, jeżeli widzi postępy zdolnych, pojętych uczniów. Poklepał laskawie zamyślonego Szafrana i złożył etykietalny

pocałunek na dłoni Ewy. — Jestem z was obojga zupełnie zadowolony — dodał.

— Interesuje mnie jeszcze jedna kwestia — mruknął Baltazar Szafran, który dotychczas nie wtrącał się do rozmowy.

— Mianowicie? Mów śmiało, chłopcze — zachęcał reporter — wyjaśnię ci wszystko.

Detektyw powiedział mu wzrokiem „coś do słuchu”, gdyż zniecierpliwiły go już trochę ustawiczne dawki autoreklamy małego samochwalca, ale odparł spokojnie przez wzgląd na obecność Ewy:

— Mianowicie, czy Rojek poznał się na tej nowej maskaradzie Pawła Kani i wiedział kim jest w rzeczywistości „sekretarz Augusta Turno”.

— Na pewno!

— Co, na pewno? — zwrócił się do Rafała. — Na pewno wiedział, czy na pewno nie wiedział?

— Na pewno tego ustalić nie można wybrnął reporter.

Ewa była zdania, że wiedział.

— Jeżeli tamtą zagadkę, której nikt ani przed nim, ani po nim nie umiał przeniknąć...

— No, przesada, przesada, drogie dziecko. Wiedziało się także...

— Mistrza nie liczę, mam na myśli siebie, dalszą rodzinę i inne osoby... Otóż uważam, że jeśli Rojek potrafił w Paryżu zdemaskować Pawła Kanię, to tym łatwiej poszło mu to tutaj, kiedy już znał głos Pawła, jego sposób wyrażania się i tak dalej... Poznał go z pewnością!

— A co? Nie mówiłem!/? — Tym okrzykiem skarcił reporter Szafrana, który nie potrafił zrozumieć jego odpowiedzi jasnej jak wyrocznie Pytii delfickiej.

Niby ciasto na stolnicy wałkował ten temat aż do kolacji, a ściśle biorąc to wymowny reporter, bo Szafran umiał myśleć tylko w skupionym milczeniu, zaś Ewa ze swoimi trafnymi uwagami coraz rzadziej mogła dożyć do głosu.

— A jednak — mruknął detektyw, jak gdyby do siebie — jednak on maczał w tym palce.

— W czym? — przeraził się Rafał i z obrzydzeniem spojrzął na salaterkę kwaśnego mleka, którą kończył pałaszować właśnie w ostrym finiszu.

— W zabójstwie Pawła Kani.

— Ale kto?

— Ten, którego jako sprawcę śmierci syna wymieniła Kaniowa... Te dwie litery wypisane krwią na ścianie, obciążają go fatalnie.

— Ach, mój drogi, zgodziliśmy się już na to, że owe dwie litery mogą równie dobrze oskarżać Rogalika, Rogersa, a wreszcie Kochauta, bo to *R* jest tak nagryzmlone, że można je wziąć za *K*, albo za *B*...

— A co słyhać z Kochautem? — zainteresował się detektyw. — Ten niefortunny „duch” mógł nam resztę zagadek wyświecić, myślę. Czy nie zaszła poprawa w jego zdrowiu?

— Na razie nie, lecz doktor twierdzi, że jest to kwestia dni.

— Musimy poczekać — orzekł Rafał stanowczo, chwytając oburącz okazję do pozostania jeszcze choćby kilka dni w gościnnym domu Ewy.

Kiedy dwaj bohaterowie wyprawy w podziemia znaleźli się w pokoju, w którym niegdyś Rafał omal nie padł ofiarą fatalnej pomyłki nafcjarza, Baltazar Szafran, olśniony nagłą myślą, trzepnął małego towarzysza w kark tak przyjaźnie, że tamten się przewrócił na łóżko.

— Wiesz, co mi przyszło do głowy? — huknął.

— Oby ci nareszcie coś mądrego przyszło — jęknął reporter, rozcierając sobie kark i okolice.

— Że tym łobuzem, który nas zamknął w podziemiach, był Rojek.

— Fi, nowość mi powiedział. Byłem tego pewny od początku!... Więc powiadasz, że on?

Ha, łotr skończony! — wykrzykiwał, rozbierając się szybko, bo tęsknił za wygodnym legowiskiem po tyłu nocach spania w ubraniu na twardej skrzynce w sąsiedztwie trupa...

— Czekaj, ja go sobie „pożyczę” jutro. Pójdę do niego niby w sprawie umowy, którą tobie podobno proponował... Tak, powiedział mi nawet, żebym ją przygotował na piśmie... Świetnie! A przy okazji pogawędzę z nim sobie o Pawle Kani, o Priwimie, o tych dwóch literach na ścianie.

— A mów sobie z nim nawet o czterech literach, a teraz daj mi święty spokój. Jestem śpiący jak syjamski delegat w Lidze Narodów na posiedzeniu, które rozstrzyga spór graniczny między Wenezuelą a Urugwajem...

— Czy ci pokarm na mózg uderzył? Gdzie Urugwaj, a gdzie Wenezuela. Ich posiadłości nie stykają się z sobą...

— Nie stykaaaaają? — ziewnął Rafał. — Tym gorzej dla Syjamu — bełkotał od rzeczy, wsuwając się z rozkoszą pod puchową kołdrę. Ale tamten wziął się chyba, żeby mu przeszkadzać; skarżył się, że nie zaśnie, że głowa mu pęka z bólu i w ogóle czuje się jak struś, który nazbyt wiele połknął ciężkostrawnych przedmiotów.

— Żołądek, rozumiem, obstrukcja, wiem, wiem — współczuł mu Rafał, a potem zadeklamował tak, jak to on tylko potrafi: — *Znam ten ból serdeczny, wszakem ci ja też była matką...* Nie, to był inny wiersz jakiś — zreflektował się... — Sięgnij tam, Balcu do mej walizki. W przegródce toaletowej, że tak powiem, znajdziesz małe, blaszane pudełeczko z pigułkami. Weź je i czynj twą powinność, kacie snów moich, aaaa.

— Ziewasz tak zachęcająco, a mnie się nawet oczy nie kleją — mamrotał detektyw, grzebiąc we wnętrzach małej walizeczki reportera. Znalazł wreszcie potrzebne pudełeczko i zdziwił się, widząc iż jest ze szczerego srebra. Komu to zginęło, francie, he? — dopytywał, łykając jedną pigułkę po drugiej, bo małe mu się wydawały niezmiernie. — Jestże to pewny środek? Ty, gadaj — tarosił zasypiającego towarzysza.

— Co? a bodaj cię!... Czy pewny? Nadzwyczajny środek! Działa bezboleśnie, nie przerywając snu.. Kiedy się zbudzisz, staniesz już wobec faktów dokonanych.

— Eeee, straszysz chyba? — zaniepokoił się tamten. — Po pięciu takich kuleczkach?

— Pięciu! — Rafał aż podskoczył na łóżku i zaczął pisać z radości. — No, bądź zdrow, a do łóżka wcale się nie kładź, to ci radzę ze szczerego serca. Geograficznych wskazówek nie potrzebuję ci dawać, przecież to wieś. Wskoczysz przez okno i wio w krzaki! Tak, tak, miły Balcu, tu nie ma nowoczesnych „słwojek”, o których powiada poeta: *z dziecinną radością pociągnął za sznurek...* Widzisz, wtedy był sznurek...

— Żebyś skisł, małpo zielona! — huknął Baltazar i z taką pasją cisnął srebrne pudełeczko na dno walizy, że cenne pigułki „nie przerywające snu” rozsypały się z suchym szelestem.

Przestali rozmawiać, lecz Rafał wybił się ze snu. Walizeczka przypomniała mu list do Ewy, list, w którym on, wyruszając w nader pesymistycznym nastroju na sławetną wyprawę, wyjawiał najskrytszą tajemnicę swojego serca. Zatem Ewa czytała te słowa. Czytała i była dla niego nadal taka uprzejma i serdeczna jak dawniej, ba, uściskać go chciała i miała łzy radości w oczach, że ocalał. Czyli dziewicze serduszko robi: puk, puk, puk... dla ciebie, Rafciu, dla ciebie — szeptał wzruszony i tulił w objęciach pękaty rożek poduszki.

Rozdział XXVI

UPIÓR MÓWI

Nazajutrz koło dziesiątej rano przybył komendant Międoła. Sprawdził naocznie, czy pieczęcie przy drzwiach piwnicy są nienaruszone, po czym oznajmił Ewie, że komisja sądowo-lekarska zjedzie tutaj dopiero nazajutrz; wcześniej z jakichś tam powodów nie może.

— A cóż tam Kaniowa? — wtrącił Rafał.

— Odwołała wszystkie zeznania.

— Masz babo radio!... czyli kłopot. Wszystko odwołała?

— Wszystko niby to, co mówiła o panu Rojku, więc tego całkiem nie pakowałem do protokołu, bo po co robić bałagan; prawda panie nadispektorze? — zwrócił się do Baltazara, ignorując wzgardliwie reportera.

— Hum — brzmiała ostrożna odpowiedź.

— Aleś pan wymiędolił tę sprawę, panie Międoła. — Za plecami „kochanego Balcia” Rafał był nieustraszony i używał sobie, co wlezie, na komendancie posterunku. — Sprawa była jak kryształ, jak woda, a pan z wody zrobiłeś maślankę, ot co!

Międoła omal sobie wąsów ni wyrwał z korzeniami, tak go poniosło po Rafałowym „dictum acerbum”, lecz pohamował się, jak przystało na przedstawiciela porządku publicznego i miodowym głosem jął rozpytywać o Gładyszkę.

— Przykro mi bardzo, proszę pani — kiwnął głową ku Ewie — ale tej historii pod korcem trzymać nie mogę. To rzecz poważna; ciężkie uszkodzenie ciała; przy najlepszych okolicznościach łagodzących mniej niż trzy miesiące paki nie dostanie. Tak, tak, trzy miesiące albo i pół roku — wzdychał obłudnie, pasąc wzrok nagłym przerażeniem Rafała. Potem skłonił się obecnym i odmaszerował.

— Słyyyszysz. Bal... Balcu? — zaszemrał cichy szept za plecami detektywa. Przecież ja nie widziałem, nie mogłem widzieć przez deskę. Sądziłem, że to kamień a nie comber...

— Nic się nie trap — pocieszał go Baltazar — wszystko głupstwo, jeżeli tylko gospodyni nie będzie oskarżenia popierała jako poszkodowana. Musisz się z nią porozumieć, ugłaskać babę, kapujesz?

— Oświadczę się jej! — Rafał klasnął w ręce z zapalem. — Będę jej kwiaty znosił, rozkocham babinę w sobie na umór i... drapnę, rozdarłszy jej serce. Będzie wtedy miała dwie rany — trajkotał, bo równie szybko odzyskiwał swój pyszny humor, jak go tracił w niektórych momentach — dwie rany, Balcu. Jedną w sercu i drugą w... no, tam, gdzie ją niechący skaleczyłem.

W pół godziny później wpadł przez otwarte okno w kuchni bukiet niezgorzej przywiedłych kwiatów i wpadł w balię z „małym praniem”.

— Naczynie Poważne! — krzyknęła przestraszona dwojga imion Gładyszówna, która mimo swej rany wołała urzędować w kuchni, gdzie miała się przed kim wygadać i uzalić. Czerwonolica dziewczoja wyjęła bukiet z mydlin, machnęła nim jakby kropidłem i oto sfrunęła na podłogę kartka, na której bardzo wyraźnym pismem było coś pięknie wykaligrafowane...

— Cóż to jest takiego?
— Wiersz, hi, hi, hi... o pani gospodyni.
— O mnie?!

Od razu zapomniała o bólu, przyczłapała do kuchennej, wyrwała jej kartkę i czytała chciwie, zrazu szeptem potem coraz głośniej:

Niechaj te fiołki, konwalie

pocieszą piękną Amalię,

i niech rozgrzeszy kanalię,

który ach!... zranił ją w talię!

Konwalii co prawda nie było ani na lekarstwo w bukietiku skąpanym w mydlinach, ale któryż inny kwiat rymuje się tak pięknie do Amalii?

Gładyszówna odgadła podskórnie, że to jest pewnego rodzaju licentia poetica, a rycerski gest małego zamachowca na jej... „talię”, olśnił ją i podbił z miejsca, choć się do tego przed służbą nie przyznała. Ale po chwili powędrowała na pięterko do swego pokoju, zabierając niby to przez rozartgnienie bukiet i kartkę. Odczytywała ten wiersz z piętnaście razy, na pamięć go umiała nieomal i upajała się tym spóźnionym hołdem dla swej urody, bardziej przywiedłej niż owe kwiatki, pościągane przez Rafała z wazonów w różnych pokojach.

— Konwalie, Amalie, kanalie... co to takiego?... i talię, balię... Nie, o balii tu nic nie ma.
— Przerwała ten monolog, zdumiona bezgranicznie, że i ona niechcący znalazła piękny, rymujący się z tamtymi wyraz.

— Wieżo z kości słoniowej! Ja też potrafię! — krzyknęła i w wieszczym natchnieniu zaczęła rodzić dalsze rymy, równie czarujące, jak tamte z wiersza „miastowego pana”: — Balie, Eulalie, bakalie, azalie... same mi wychodzą. Tom ja jest taka?! I nicem nie wiedziała?! — Zdumiała się, szukając jakiego ołówka, aby zapisać to, co z natchnionych ust „samo jej wychodziło” hurtownie...

W taki sposób Rafał Królik nie tylko zjednął sobie ofiarę swych nożowniczych występów, ale i zapłodnił ją iskrą świętego ognia, który ongiś tryskał Pegazowi skądś tam w okolicy ogona, a który po wsze wieki płonąć będzie w sercach czcicieli skrzydlatego rumaka.

W samo południe zajechała przed dworek w Borach limuzyna Rojkowa i wysiadł z niej... Jan Smólski! Po obiedzie Ewa wyszła z nim w pole, aby mu pokazać swoje gospodarstwo i bez świadków posłyszeć smutną historię o ostatnich chwilach ojca, który, jak Smólski twierdził, umarł na jego rękach.

Przez ten czas Baltazar Szafran naszkicował i przepisał w dwóch egzemplarzach umowę, jaką zamierzał Rojkowi przedłożyć do podpisania, zaś Rafał Królik, nie przeczuwając, że już przebłągał zagniewane serce Gładyszówny, komponował dalsze wiersze na każdy dzień tygodnia. Utknął dopiero przy ósmym sonecie, nie mogąc znaleźć rymu do „dyszel” i wybiegł do parku w nadziei, że w kalejdoskopie różnych barw, kształtów, zapachów dostrzeże jakieś drzewo, krzak, kwiat, liść czy inne lichy posiadające końcówkę, która fonetycznie „pasowałaby” dobrze do upartego dyszla... I tutaj spotkał go Smólski.

— Jużeście państwo wrócili? — zagaił Rafał uprzejmie, namyślając się w duchu, czy by tego obieżyświata nie zapytać o rym tak fatalnie trudny. Tyle w życiu widział, to chyba zna kilka

przedmiotów, kończących się na fatalne ...yszel... niechby było: *iszel*, godził się z góry zawsze skłonny do kompromisów.

— Wróciliśmy lub raczej ja wróciłem — odparł zapytany śpiewnie, z rosyjska, po czym obejrzał się dokoła nieufnie i głos zniżył — tak, wróciłem, bo mam do pana jeden interes...

— Do mnie? A proszę, bardzo proszę. — (Czyżby mnie chciał naciągnąć na parę złociszów? O-hooooo, nic z tego bratku!).

— Panna Ewa powiedziała mi o panu wszystko.

— A-ha. Zatem pan już wie. — (Chyba o moich wynurzeniach w liście mu nie mówiła. No, pewnie, pewnie. Gdzieżby? Osobiste sprawy!).

— Da, wiem. I w związku właśnie z pańskim pięknym zawodem, chciałby m panu zrobić pewną propozycję.

— Słucham z ciekawością. — (Propozycję? Byle nie belwederską!)

— Chciałbym mianowicie oddać się panu w opiekę na dzień dzisiejszy... Kto wie, może i na dłużej.

— Doskonale! Dyskretna inwigilacja, obserwacja, czuwanie nad znakomitymi osobistościami, itd., to moja specjalność. (Z tego może być forsa! Poczciwa Ewunia.)

— Zatem zgadza się pan?

— Z największą przyjemnością. Od tej chwili aż do odwołania znajduje się pan pod moją opieką i protektoratem...

— A co się tyczy...

— Wynagrodzenia?

— No, skoro pan chce koniecznie mówić o honorarium.

— Naturalnie. Business first... Ba, ale ile. Nie chciałbym skrzywdzić ani pana, ani siebie... Hm, wolno wiedzieć, ile pan dziennie zarabia? Oczywiście przeciętnie. Bo rozumiem tak, że jeśli pan będzie czuwał nade mną, to nie będzie pan mógł równocześnie zajmować się innymi sprawami.

— Słusznie, słusznie. — (Bardzo przyjemny staruszek!)

— Zatem przeciętnie zarabia pan...

— Plus minus dwieście złociszów dziennie. (Czy nie za dużo?)

— All right. Oto należność za dzień dzisiejszy.

Jan Smólski wyjął z portfela dwa banknoty stułotowe i wręczył je Rafałowi, który teraz dopiero zgłupiał i zbaraniał ze zdumienia. — To może wariat? — przemknęło mu przez myśl. Na wszelki wypadek schował zainkasowane honorarium do kieszeni i dla dodania sobie animuszu zapalił papierosa.

— A teraz — zaczął znów Smólski, siadając na najbliższej ławeczce i wykonał zapraszający gest ręką, aby Rafał usiadł obok — teraz potrzeba zapewne, abym pana zorientował w mej sytuacji i wyjaśnił skąd mi zagraża niebezpieczeństwo.

— Oczywiście, oczywiście. — (Hm, niebezpieczeństwo, to już gorzej.)

— Skąd może mi zagrażać, muszę się poprawić, bo nie mam żadnej pewności, że mnie coś spotka dzisiaj w Czarcim Jarze...

— Gdzie?! — Rafała lekki dreszczyk przeleciał po krzyżu gamą chromatyczną, a potem szybkim pasażem.

— Ano w Czarcim Jarze. Tam na dzisiaj wyznaczono mi schadzkę.

— Na dzisiaj? Czy się pan nie spóźni?

— Och nie. — Flegmatycznym ruchem wyjął Smólski zegarek, stwierdził, że piętnaście minut brakuje do piątej, wobec czego on ma mnóstwo czasu; przecież stąd niedaleko do Czarciego Jaru. — Mam spotkanie dopiero wieczorem...

— Wieczorem — powtórzył reporter, jak echo, i myślał równocześnie: — Miłe perspektywy: niebezpieczeństwo, Czarci Jar, w dodatku wieczorem! Hm, może by mu oddać te dwieście złotych i wykręcić się z tego? Tak, tak, ale dwieście złotych piechotą nie chodzi... Mam! Od czego Baltazar? Naturalnie! On się pali do takich awantur, ja do gotówki, więc możemy się tutaj znakomicie uzupełnić... — Te rozważania przywróciły Rafałowi zwykły tupet.

— Ściśle biorąc, pod wieczór naznaczono mi spotkanie, które, obym był złym prorokiem, wygląda mi na zasadzkę.

— Mówi pan? Hm, w takim razie wszystko przemawia za tym, by wyruszyć tam natychmiast, przyciąć się w dobrej kryjówce i czekać cierpliwie, aż przestępcy nadciągną. To moja metoda, z której dotychczas byłem bardzo zadowolony... Pan może myśli, że ja się boję iść tam wieczorem? Ha, ha, ha, noc, ciemności to mój ulubiony żywioł!

— Skądże, łaskawy panie. Panna Turno powiedziała mi przecież, że ma zaszczyt gościć w swym domu najślawniejszego detektywa polskiego.

— No tak, no tak, jest się trochę sławnym — przyznał skromnie.

— Ja, co prawda, nigdy o panu nie słyszałem, ale proszę wziąć pod uwagę, że bardzo niedawno jestem w kraju.

— Istotnie w ostatnich latach trochę mniej za granicą pracowałem, przygwożdżony tutaj nawalem roboty, zamówień, tajemniczych afer.

— Ale, wracajmy do naszej sprawy... Otóż pewnie musi pan wiedzieć, z jakiej strony lękam się napadu... Tylko, widzi pan, z pewnych względów musiałbym prosić o dyskrecję.

— Oto moje słowo! — Wspaniałym ruchem wyciągnął dłoń i uściśnął mocno rękę Smólskiego. — Teraz może pan mówić jak do studni.

— Jest w sąsiedztwie niejaki Mateusz Rojek...

— Znam go. — Chciał dodać: *to mój przyjaciel*, ale bożek łgarstw zdrzemnął się widocznie i na szczęście to nowe kłamstewko nie spłynęło z ust reporterskich.

— Tak, lecz pan zna tylko Rojka nafciarza, bogacza, gładkiego człowieka, uśmiechniętego, prawda? A ja go znam z innej strony. Żeby pan to zrozumiał, muszę opowiedzieć pewną dłuższą historię.

— Posłucham ze szczerym zainteresowaniem. (Tylko streszczaj się kochasiu, dałeś dwieście złotych, masz prawo się za nie wygadać, trudno, ale mów prędzej i zajmująco. Może z tego jaki felietonik wykroimy — dodał w myśli.)

Smólski zaczął teraz opowiadać o znanych nam już wypadkach z okresu wielkiej wojny, które się tutaj rozegrały. Potem bardzo pobieżnie opisał Smólski swoje przejścia na Syberii, w Chinach i w południowej Azji, aż w końcu przedstawił już szczegółowo swoją pierwszą wizytę u Rojka w Rozłące w owym dniu, w którym on, Smólski, poznał Ewę Turno.

— Świnia — oburzył się Rafał. — Tak przyjąć dawnego towarzysza broni, któremu zawdzięczał przecież swój majątek? Bo gdyby nie pan, poruczniku, nieprędko by kto wpadł na to, że w owej okolicy jest ropa.

— To jeszcze nic. Niech pan słucha dalej... Otóż nie skorzystałem z limuzyny Rojka, z jego nagłej uprzejmości dla firmy *John Smool* i poszedłem pieszo. Po drodze do tego dworku (bo chciałem skorzystać z gościny, ofiarowanej mi uprzejmie przez panią Turno) wstąpiłem do małej karczmy we wsi Bory. Jest tam Żyd karczmarz...

— Znam go — wtrącił Rafał, notując sobie w pamięci, że trzeba wyrównać swój dług za papierosy, bo nuż karczmarz rachunek przyśle do Ewy?

— Ooo, widzę, że pan zna całą okolicę... Otóż ten karczmarz siedzi tu już od lat dwudziestu, toteż zgadaliliśmy się rychło o wojnie i o wypadkach, o których przedtem mówiłem. Od słowa do słowa wyszło na jaw, że we wsi żyje jeszcze inwalida, który służył w moim

batalionie. Dowiedziałem się, że w czasie wojny z bolszewikami utracił nogę, że biedę klepie, no i zapragnąłem go zobaczyć. Karczmarz wskazał mi chałupę, wziąłem butelczynę, aby się język na sucho nie postrzępił, i odwiedziłem drugiego po Rojku towarzysza broni. I jakże innego doznałem przyjęcia!... Ale mniejsza o te refleksje... Mój inwalida najpierw mnie nie poznał, a potem przeląkł się, gdyż, podobnie jak wszyscy, uważał mnie za zmarłego, aż wreszcie zaczął mnie ścisnąć serdecznie... I teraz, szanowny panie detektywie, proszę słuchać bacznie.

— Słucham pana.

— Ścisnął mnie wtedy i powtarzał: — Więc pan żyje poruczniku. Rojek meldował, żeście wszyscy zginęli, że Moskale zajęli Bory...

— Co pan mówi! — zdumiał się Rafał. Ależ to zdrada, jeśli inwalida nie łgał: albo mu się wypadki pomieszały w głowie po tylu latach...

— Tę drugą możliwość uważam za najprawdopodobniejszą i dlatego postanowiłem zbadać rzecz gruntownie, zanim zacznę jakieś kroki. Najpierw wymagałem dokładnie mego inwalidę. Mówił całkiem do rzeczy, pamiętał nawet drobiazgi, pamiętał nazwiska niemal wszystkich oficerów z naszego batalionu. I twierdził, że był przy tym, jak Rojek składał ów łajdacki fałszywy meldunek... Pomyśl pan tylko. Tam koledzy przymierali głodem, czekali na odsiecz jak na wybawienie od śmierci... tu dwa bataliony gotowały się do kontrataku, który miał odwrócić uwagę Rosjan od Borów... i w takim momencie przychodzi przekłety drań Rojek meldując, iż sam tylko ocalał, że cała reszta padła do nogi w czasie nocnego ataku (którego nie było), że we dworze przebywa sztab jakiegoś pułku rosyjskiego itd., itd. Cóż miał zrobić Austriak? Ano to, co zrobił. Wysłanie odsieczy stało się nieaktualne, za to artyleria zaopiekowała się Borami.

— A łajdak! O naftę mu pewno chodziło, co?

— Oczywiście! Chciał się pozbyć wszystkich współników.

— I co pan uczynił, dowiedziawszy się o łotrowskim meldunku?

— Co uczyniłem? Postanowiłem pomścić poległych kolegów. Ale chodziło mi o pewniejsze dowody winy Rojka. Wynająłem furmankę we wsi, powróciłem do Sambora, a stamtąd dojechałem do Krakowa. Czas biegnie, więc powiem krótko: zdobyłem potrzebne dowody! Udało mi się odszukać jeszcze dwóch eks-wojskowych, którzy byli przy tym jak Rojek składał ów fałszywy meldunek. Uzyskałem, że dali mi to na piśmie, i teraz, mając już trzech świadków (licząc w to mego pierwszego informatora, inwalidę), przyjechałem ponownie w te strony. Było to wczoraj. Udałem się do Rojka, aby z całą lojalnością uczciwego przeciwnika oznajmić mu, że rozpocznę z nim nieubłagana walkę. Tymczasem zaszło coś, co mnie przyhamowało raptownie. Dowiedziałem się, iż Rojek ma narzeczoną, dobrą, uczciwą dziewczynę, do której od pierwszej chwili poczułem sympatię wielką i apetyt, jakby tu powiedzieć... ojcowski. Zawahałem się nagle.

— Słowem opadły pana skrupuły — wtrącił Rafał, zerkając niespokojnie na słońce. — Streszczajże się, człeku — prosił Smólskiego oczyma.

— Właśnie... Nie wiedziałem, co począć, ani co gadać nawet, aż on sam spowodował mój wybuch. A po tym, gdy mu oświadczyłem, iż wiem jak było z jego meldunkiem, parsknął mi w twarz śmiechem. — Możesz mnie pan skarżyć do dyrekcji gazu. Austrię diabli wzięli, co mi pan zrobi? — sztychł. Uniosłem się. — Ale ci żołnierze byli Polakami, sami Polacy z krakowskiego pułku, i za ich śmierć odpowiesz zdrajco! Zobaczymy czy kto ci rękę poda, czy narzeczoną zechce poślubić łajdaka mordercę — wołałem. Spozstrzegłem, że ta ostatnia pogrożka zrobiła na nim najsilniejsze wrażenie. Zgnębiony upadł na fotel, nazwał mnie szantażystą i spytał czego żądam. — Ile chcesz pan wymusić za milczenie?

— No, ja bym go do czysta oskubał! — wyrwało się Rafałowi.

— Powiedziałem mu — ciągnął dalej Smólski — że dla siebie nic nie potrzebuję, ale będę występował jako zastępca rodzin żołnierzy, którzy polegli z jego winy. — Wyszuka pan ich adresy, a potem przedstawi mi pan bilanse i księgi swego przedsiębiorstwa. Od dzisiaj będzie pan właścicielem tylko połowy swego przedsiębiorstwa, druga połowa stanie się własnością rodzin naszych towarzyszy broni. Na poczet zysków przekaże pan każdej rodzinie po dwa tysiące złotych w ciągu tygodnia. Poza tym na swój koszt ogrodzi pan żelaznymi sztachetami cmentarzyk w Czarcim Jarze, postawi pan tam jakiś przyzwoity pomnik albo tablicę pamiątkową. Oto moje warunki. Za tę cenę będę milczał, w przeciwnym razie między nami wojna! — tak mniej więcej mi powiedziałem. Czy sądzi pan, że to za wiele?

— Za mało, drogi panie! Skórę bym zdarł z łobuza. No, a cóż Rojek?

— Zażądał dnia zwłoki do namysłu... Żeby mu patrzeć na palce i poirytować trochę widokiem mej osoby, oświadczyłem, że na razie zamieszkać w jego pałacyku i tak też zrobiłem.

— Bardzo dobrze — powiedział reporter. — Zuch z ciebie, ja bym tam dobrowolnie lwu w jamę nie włożył — pomyślał, patrząc z podziwem na sąsiada.

— Dzisiaj, kiedy zażądałem jakiegoś wehikułu, który by mnie odwiózł do Borów, zostałem przez Rojka przyjęty w całkiem inny sposób. Wyglądał na skruszonego, dał mi do dyspozycji swoją limuzynę i oświadczył, że prawdopodobnie przyjmie moje warunki. — Nie mam zresztą innego wyjścia. Zanadto kocham tę dziewczynę, abym mógł ryzykować wojnę z panem — mówił. Prosił mnie w końcu bym dzisiaj po siódmej wieczorem przybył na cmentarzyk w Czarcim Jarze i na miejscu wyjaśnił mu dokładnie gdzie, i jak ma być zbudowane owo ogrodzenie i pomnik. Przynależem, że przyjdę i musiałem mu przyrzec, że w czasie mej dzisiejszej wizyty w Borach nic mu nie wspomnę o...

— Przepraszam — wtrącił roztrzępany Rafał — więc pan sądzi, że narzeczoną Rojka jest panna Ewa?

— Tak mi powiedział. Zresztą zastałem ją u niego i...

— Zastał ją pan, bo była tam w sprawie pożyczki, z którą się jej narzucił. Wiem to od niej, łaskawco. Ha, ha, ha. Rojek narzeczoną Ewy! Nie, kochany panie! Tu się pan grubo pomyliłeś. Wybrańcem panny Ewy jest na szczęście ktoś inny, człowiek ze wszech miar więcej na to szczęście zasługujący, niż taki tam Rojek — dodał wzgardliwie.

— Co pan mówi?! Ależ to nowość dla mnie Kto inny? Któż więc?

— Nie jestem upoważniony przez pannę Ewę do wyjawienia tej tajemnicy — odparł reporter skromnie, dziwiąc się niedomyślności Smólskiego. — Prócz Rojka, o którego kandydaturze dowiaduję się teraz ze zdumieniem, miała panna Ewa jeszcze drugiego facyganta, pewnego inżynierka, ale koniec końcem zrozumiała, że to dobre na flirt czy miłość sezonową. Na męża taki tam pętać, młodzik się nie nadaje... I znalazł się pewien dżentelmen, stateczny człowiek, przystojny, inteligentny, wykształcony... oświadczył się formalnie na piśmie i milczącą zgodą został przyjęty...

— Toś mi pan klina zabił do głowy, że nie Rojek. A ja tylko dlatego oszczędzałem tego łotra, no, no...

— W takim razie może pan już nie iść na dzisiejszą schadzka, prawda? podchwycił skwapliwie. Naturalnie! Po co się zadawać z Rojkiem.

— E, co to, to nie! Słowo się rzekło przyjść muszę.

— Ha, skoro pan uważa, że słowa należy dotrzymywać zawsze, nawet jeśli się je dało opryszkowi...

— Zawsze trzeba dotrzymać

— Lecz po cóż panu asysta, skoro Rojek okazuje skruchę?

— Bo, widzi pan, ja w szczerąść tej skruchy jakoś nie mogę uwierzyć. Patrzył mi szelma

prosto w oczy, ale diabeł chichotał w jego ślepiach. Coś mi mówi, że on tam dobrą zasadzkę przygotuje i oto dlaczego zwróciłem się do pana, panie detektywie, z prośbą o dotrzymanie mi towarzystwa... I widzę teraz, że pan miał rację mówiąc, żeby tam wyruszyć jak najwcześniej. Tak, tak, to zdrowa myśl. Trzeba ubiec Rojka przyczaić się i ubiec jego każdy ruch, każde spojrzenie, kiedy będzie nadchodził, a poznawszy od razu, czy przybywa jako uczciwy, lojalny przeciwnik, czy też może nasłał zbira albo inną przygotował niespodziankę... Chodźmy, panie...

— Zaraz, zaraz, muszę najpierw przynieść lampę, latarkę elektryczną i zawołać swojego towarzysza, mojego pomocnika, uważa pan? Oczywiście nie będę go wtajemniczał — dodał, widząc chmurkę niezadowolenia na czole Jana Smólskiego. — Och, ja go w ogóle nie wtajemniczam w bardziej skomplikowane sprawy. Jeszcze nie dorósł do tego, ale kompan z niego nadzwyczajny.

— No, tak, dobrze. Niech pan idzie po niego, ja zaczekam tutaj. Cieszę się, że przy tej sposobności odwiedzę podziemia starego dworku, z którymi tyle wspomnień mnie łączy...

— Tylko część pan zwiedzi. Tamte piwnice — mówił Rafał, wskazując ręką zachodnią część ruin — są zamknięte, opieczętowane przez policję aż do przybycia komisji sądowo-lekarskiej... Proszę tedy poczekać tutaj, za pięć minut wrócę tutaj z moim uczniem i z latarkami.

Z latarniami Rafał nie miał kłopotu, ale „uczeń” zniknął jak kamień w ocean wrzucony. Na próżno go szukał po całym dworze, i wołał głosem coraz żałośniejszym i na próżno rozpytywał domowników. Dopiero mały Pietrek, pełniący obowiązki dworskiego stangreta wyjaśnił mu, że ten „długi” pan pojechał na rowerze.

— Skąd mógł rower wytrzasnąć? — niedowierzał.

— Pewnikiem se pożyczyl od pana rzomcy — brzmiała odpowiedź.

Istotnie tak było. Baltazar Szafran pojechał do Rojka ze swoim kontraktem na rowerze Kochauta.

Rafał Królik z nosem na kwintę powrócił do Jana Smólskiego, który zauważył z uśmiechem, że pięć minut trwało nieomal pół godziny.

— Mego pomocnika nie zastałem, zawieruszył się gdzieś urwis, więc musiałem mu zostawić instrukcje, co ma robić, gdy powróci — odparł zgnębiony przeświadczeniem, że bez „drogiego Balcia” będzie musiał maszerować przez ponury labirynt podziemi. Z tą „instrukcją” wyjątkowo nie zełgał, bowiem pozostawił w pokoju błagalny list do Szafrana, aby natychmiast po powrocie przybył do Czarciemu Jaru, gdzie tego wieczora rozegra się straszliwa tragedia, jak napisał, chcąc zdopingować detektywa.

— Wczoraj przysięgłem sobie, że moja noga więcej tu nie stanie nigdy — mrucał z wściekłością mały reporter, krocząc podziemnym gankiem w stronę rowu strzeleckiego — tymczasem leżę tędy znowu. Ale jeśli to nie jest mój ostatni spacer przez te wertepy, to pozwolę sobie... nno!

* * *

Baltazar Szafran powrócił do Borów w kilka minut później, gdyż Rojek go nie przyjął, wymawiając się nawałem pracy. Przedłożoną sobie umowę podpisał bez wahania, jej tekst przebiegł tylko wzrokiem, kopię sobie zatrzymał, po czym kazał oświadczyć detektywowi, że chętnie z nim porozmawia, ale jutro; dziś niestety nie może.

Pełen zaklęć list reportera nie wywarł najmniejszego wrażenia na Baltazarze. — Co? Mam drałować do wąwozu, dlatego, że ciebie tam jakieś licho poniosło? — polemizował z nieobecnym Rafałem. Niedoczekanie! Muszę odpocząć. — Był naprawdę zmęczony po

dwukrotnej turze Bory–Rozłąka, odbytej na przestarzałym ciężkim rowerze w terenie tak górzystym i trudnym, jak ta droga. Wyciągnął się więc na łóżku, zdjął marynarkę i trzewiki, lecz niedługo danym mu było zażywać rozkoszy lenistwa. Spłoszyło go pukanie do drzwi i dobiegający spoza drzwi świeży głosik Ewy dopytującej o „mistrza”.

— Mistrz wyszedł do Czarciego Jaru — odparł z ironią Baltazar — na mój koszt mistrzem się zrobił nieprawdopodobny blagier — mruknął pod nosem.

— Ach, to fatalnie!... A pan nie mógłby go zastąpić?

— Spróbuję, może potrafię — odparł z wyraźnym szyderstwem. Zerwał się z łóżka, uzupełnił garderobę i wyszedł do Ewy, czekającej w przyległym pokoju z jakimś młodym dżentelmenem, którego Szafran nie znał jeszcze.

— Mój narzeczony, inżynier Barski, a to, drogi Andrzeju... to jest pan Kasperski, pierwszy asystent mistrza Szafrana. — Ewa zapoznała mężczyzn z sobą wzajemnie, dodając z westchnieniem żalu, że narzeczony wyjeżdża dziś służbowo za granicę i przyjechał się z nią pożegnać...

— A teraz, do rzeczy. Sprawa jest bardzo ważna, niecierpiąca zwłoki, toteż sędzę, że mistrz nie pogniewa się, iż nie będziemy na niego czekali... Pan może go zastępować w nagłych wypadkach, prawda?

— We wszystkich, proszę pani — warknął Baltazar, ślubując w duchu, że ostatni dzień dzisiaj trwa ta zamiana ról z Rafałem. — O cóż chodzi?

— Przed chwilą przybiegła pielęgniarka z wiadomością, że Kochaut odzyskał przytomność i wzywa mnie, chcąc poczynić jakieś ważne zeznania. Sądziłam więc, że byłoby wskazane, aby jakaś urzędowa osoba była przy tym obecna. Może to będzie potrzebne później w śledztwie?

— Oczywiście proszę pani. Idźmy tam bezzwłocznie.

— Nie wiemy tylko — wtrącił Andrzej Barski — czy Kochaut zechce przy nas mówić swobodnie. Tylko ciebie wzywał, Ewo.

Obawy Barskiego nie sprawdziły się jednak. Kochaut, jakże zmieniony po tak znaczącym upływie krwi, nawet nie spytał kim jest ten chudy, wysoki jegomość, wkraczający do jego pokoju w towarzystwie Ewy i Andrzeja.

— Nie myślcie sobie, że jakaś skrucza skłoniła mnie do zeznań. Na to gwizdzę — zaczął słabym głosem zapatrzony gdzieś w okno. — Chcę zeznawać, bo chcę, aby prawdziwy winowajca odcierpiał za swoje. Nie wiem czy wyciągnę kopyta, czy z tego wyjdę... do kryminału. Ale tego drania muszę wysłać pod szubienicę, muszę!... Muszę!

— Nicht doch. Seien sie ruhig, bitte — upominała pielęgniarka.

Kochaut skinął potakująco głową w jej stronę.

— Niemkę mi przysłał, hycel, myślał, że ja nie rozumiem po niemiecku, co? — wyszeptał, a grymas szydery wykrzywił mu bladą bezkrwistą twarz. — Wiem, że dużo mówić jeszcze nie mogę. Będę mówił to, co najważniejsze, resztę powie wam detektyw Szafran, on się domyślił wszystkiego.

— He? — spytał prawdziwy Szafran.

— To mądry łeb, tylko język ma za długi i z tego wynikły niektóre ostatnie nieszczęścia, do których byłoby nie doszło.

— Do rzeczy, panie, do rzeczy — upomniał Baltazar i pomyślał sobie w duchu: — Ten idiota tu narobił ładnego bałaganu, widzę. No, ja mu!

— Upiorem byłem ja, to wiecie, ale nie wiecie, że straszylem was za pieniądze tego arcyłotra Rojka!

— Cooo?! — Ewa zerwała się z krzesła. — To on panu kazał...

— Kazał, nie kazał — przerwał jej ranny — obiecał mi pół roku temu sześć tysięcy, jeżeli w jaki bądź sposób zmuszę panią do sprzedania Borów jemu. Słyszałem raz jak Gładyszka opowiadała w kuchni o duchach, widziałem, jak cała służba dygotała ze strachu, więc wybrałem ten sposób, a Rojek go pochwalił. Co tu wyrabiałem, wiecie. Później, kiedy nie pomagało, Rojek kazał mi dwór podpalić, co mi się w całości nie udało.

— Boże! — Ewa ukryła twarz w dłoniach.

— Benzyna była od Rojka. Ze sto litrów wlałem do beczki, stertę tylko z dołu podlałem, założyłem lonty, żeby mieć czas uciec do siebie i do łóżka się położyć, tymczasem ten mały detektyw zepsuł pół roboty. Nie wiem czy niechcący (noc była ciemna), czy naumyślnie wyciągnął lont, który miał zapalić beczkę koło dworu. Śledził mnie, słyszałem, jak chodził i na moje szczęście wyrznął się o coś tak, że zemdłał. Stałem nad nim, mogłem go zabić, ale takim draniem jeszcze nie jestem, żeby ludzi mordować. To tylko Rojek potrafi!... Resztę znów wiecie.

Ranny odsapnął ale niedługo odpoczywał. Zawziętość, mściwość i obawa, że może stracić przytomność, zanim wroga ostatecznie pogiębi swoim oskarżeniem, dodały mu sił i nie pozwoliły na długie pauzy. Mówił dalej:

— Nazajutrz, to była niedziela, jeśli pomnę... szedłem po coś do kuchni. Przypadkowo usłyszałem, co panienka mówiła do Gładyszki, która koniecznie chciała odejść z powodu występów „ducha”. Dowiedziałem się, że ten mały pan, który dom od pożaru ocalał, to sławny detektyw Szafran! Przeraziłem się. A potem z rozmowy z Szafranem wymiarkowałem, że on wie prawie wszystko... Od tej chwili przestało „straszyć” jak wiecie. Bałem się, nie wstyd wyznać...

— To się zgadza — mruknął Barski. — Przez jakiś czas był spokój.

— Właśnie. Z Rojkiem zacząłem drzeć koty, bo Szafran wytłumaczył mi, że w moim interesie jest, aby Bory zostały przy panience. Jednej niedzieli poszedłem do Rojka na stanowczą rozmowę. Ale cóż.. lubię wódkę, spił mnie drań i powiedział, że musimy porwać Priwima, który nam obu najgorzej bruździ. Tak podobno powiedział mu detektyw Szafran. ,

— Nie rozumiem — bąknęła Ewa. — Mistrz miałby powiedzieć Roj...

— Też go spił, panienko — wtrącił Kochaut... — Nie przeszkadzajcie mi, słabnę, chcę skończyć... Wywabiałem Priwima do parku, choć już spał, kiedym pukał do niego. Powiedziałem, że Rojek czeka, a Priwim nie wiem dlaczego bał się Rojka jak ognia. Poszedł. Rojek dał mu w łeb czymś ciężkim, zawlekliśmy go do piwnic starego dworku. On tam leży!...

— Wiemy to już — rzekł detektyw... — Priwim nie żyje.

— Taaak? Wiecie już? — zdumiał się ranny, lecz wnet uśmiech radości zaigrał na jego wargach, spękanych z goryczki. — Tym lepiej! Ale powiem czego nie wiecie... Cisnęliśmy Priwima, a sami poszliśmy po jego rzeczy do narożnego pokoju. Tam Rojek podrzucił kopertę adresowaną do Rogersa i zaczęty list, że niby Rogers winien, jakby ktoś znalazł Priwima. Szafran znalazł tę kopertę, sam mi mówił... Ale, do rzeczy. Kiedy zeszlśmy z rzeczami, Priwima nie było. Przyszedł do siebie i uciekał na oślep w stronę ganku. Złapaliśmy go, opierał się przy drzwiach, a Rojek go walił...

— W porządku, znalazłem te krwawe ślady na drzwiach.

— To klawo, panie! — cieszył się zawzięty Rusin, dziękując wzrokiem Szafranowi. — Widzę już, że Rojek się nie wykręci z tego.. otóż związaliśmy Priwima i zamknęliśmy go jak się patrzy. Rojek nie chciał go od razu zabijać, wolał wpierv wymusić na nim jakieś podpisy na nowej umowie, czy coś takiego. I wtedy to Priwim podpisał także weksle, które panience tyle kłopotu narobiły, a które Rojek dał Immerglückowi... Potem historia z kotem. Jak się ten kocur do piwnicy dostał, nie wiem, dość, że go detektyw Szafran ujrzał w parku z kartką od Priwima przypiętą, przywiązaną na szyi. Złapałem kota, kartkę zniszczyłem, a wieczór zameldowałem Rojkowi, że z nami krucho. Tegoż wieczora Rojek zastrzelił Priwima.

— Jedno pytanie wtrąć — ozwał się Baltazar. — Czy pan wie kim był Priwim?

— No, pewnie! Sekretarzem pana Augusta Turny.

— Aha. — Szafran pochylił się do Ewy. — Nie wie — szepnął jej.

— Zabitego Priwima złożyliśmy w ostatniej piwnicy, po czym udałem się do pałacu Rojka zaproszony przez niego na kieliszek. Tuśmy sobie przymówili szpetnie. Powiedziałem, że mam tego dosyć i że nie chcę się narażać, aby mi detektyw parę kul w brzuch wpakował, jak obiecał...

— Jak to w brzuch?

— Ano, mówił, że jak spotka tego upiora, to będzie strzelał nie w głowę, jak panienka, ale w brzuch. Wszystko bestia przewidział, nawet to, że przywdziałem na siebie głowę z tektury...

— Mistrz wie wszystko — westchnęła Ewa z głębokim przekonaniem.

— Wygarnąłem Rojkowi trochę prawdy w serce i zażądałem moich pięciu tysięcy.

Mówię pięciu, bo tylko tysiąc złotych dostałem dotychczas... Wtedy Rojek, zaczął mi dowodzić, że nagle uspokojenie się „ducha” właśnie obudzi podejrzenie, że muszę jeszcze jeden raz się pokazać i nastraszyć panienkę. Obiecał mi przy tym pomóc i pilnować detektywa, aby do mnie nie strzelił przypadkiem. Miał urządzić seans, niby takie wywoływanie duchów, umówiliśmy wszystkie znaki, kiedy mam się pokazać, kiedy odejść, wszystko. A pieniądze miałem dostać w poniedziałek... Zbój przekłety! Wiedziałem, że mi ich nie da. Już mu byłem niepotrzebny, skoro miał weksle Priwima i mógł panienkę gnębić z innej strony. Już mu byłem niewygodny!... Resztę wiecie. Wszedłem, oniemieliście z przerażenia, a ten morderca strzelił do mnie dwa razy... No, i to wszystko, co chciałem powiedzieć. On kazał podpalić dwór w Borach, on zastrzelił Priwima, on mnie chciał zastrzelić. Wystarczy? Powiedźcie mi, czy to wystarczy, aby zadyndał ten cholernik, ten łotr najgorszy, jakiego ziemia wydała... Mówcie... Wystarczy?

— Aż nadto — odparł Szafran, uspokajając wzburzonego Kochauta. Zadał mu jeszcze kilka pytań, zanotował sobie odpowiedzi i oświadczył, że bezzwłocznie zawiadomienie komendanta Międołę, aby Kochaut mógł te zeznania powtórzyć wobec kompetentnej władzy. Potem wyszli we troje, Ewa, Andrzej i rzeczywisty Baltazar Szafran. Ewa, ochłonawszy nieco z wrażenia po tych okropnościach, wyraziła swój żal, że „mistrz” nie mógł być przy tym...

— Czekaćcie no państwo — zawołał Szafran, sięgając do kieszeni po list Rafała. Z tego tu wynika — rzekł potrząsając listem że Rojek planuje jakieś nowe łotrństwo na dzisiejszy wieczór. Pozwólcie, że odczytam odnośny ustęp:

...i umówił się ze Smólskim na cmentarzyku w Czarcim Jarze. Zważ tylko kochasiu: wieczór, cmentarz, zakazany Jar, spotkanie dwóch wrogów! Ładny jadłospis, co? Smólski się trochę pietra, ja, przez grzeczność dotrzymuję mu towarzystwa. Zatem przybądź natychmiast, bo czuję, że będzie gorąco i że straszna tragedia rozegra się tam dzisiaj. Tylko spiesz, Miły Idiot...

to jest tego... no, tu już nie ma nic ciekawego — dodał Szafran, chowając list do kieszeni. — W każdym razie po tym co słyszałem przed chwilą, idę natychmiast do Czarciego Jaru.

— Ja także — rzekł Andrzej Barski.

— I ja z wami... Tak, Jędrus, tak, koniecznie! — upierała się, aż musieli w końcu ustąpić. Poszli tedy we trójkę, lecz inną drogą niż Rafał, mianowicie przez park i małą furteczkę w ogrodzeniu, a jednocześnie Pietrek wyjechał bryczką po Międołę, gdyż Kochaut był jeszcze przytomny i pragnął koniecznie dopełnić swej zemsty na perfidnym wrogu...

Rozdział XXVII

POTWORNA ZASADZKA

Mateusz Rojek zerkał na zegarek i uśmiechał się z przymusem.

— Co, u diabła? Nigdy jeszcze nie miałem takiej tremy jak dzisiaj. Spokojnie, chłopie — upominał siebie.

Chcąc odwrócić w inną stronę rwący potok zbrodniczych i niespokojnych myśli, postanowił zająć się swoimi zwykłymi czynnościami. O tej porze zazwyczaj podpisywał pocztę; dzisiaj nie przyniesiono mu jeszcze koszyczka z listami do podpisu, w ogóle robota opóźniła się trochę. Wstał więc i zaczął się przechadzać po gabinecie. Stanowczo nie mógł dziś usiedzieć przy biurku. Raz po raz spoglądał na zegarek, aż w podnieceniu stracił go na podłogę i zbił szkiełko.

— Zły znak? — mruknął. Roześmiał się głośno, zarechotał w swój charakterystyczny sposób — Stłuczone szkiełko oznacza szczęście, czyli John Smool powiększy grono aniołów dziś jeszcze.

Zapukano do drzwi. Kapitałny „Franciszek Józef” zameldował, że obaj polowi przyszli i czekają w hallu... — Wprowadzić — rozkazał nafcjarz. Po chwili ukazali się dwaj „dżentelmeni”, mocno obszarpani i czerwonoskórzy na nosie, co świadczyło, że są abstynentami od... wody.

Rojek wsiadł na nich tak, jak on to potrafił. Że nie wypełnili jego rozkazu, że chłopci z Rozłąki-wsi po dawnemu pasą bydło w Czarcim Jarze, że szwenda się tam każdy, kto chce, że pasterze sobie ogniska rozpalają i dynamitem strzelają, że tak dalej być nie może, że na co on płaci im, polowym, stróżom, których psim obowiązkiem jest pilnować itd., itd.

Polowi zafrasowali się srodze, po czym rozpoczęli replikę, z której miało wyniknąć, iż nie jest dokładnie tak, jak pan dyrektor mówił, tylko całkiem na opak. Że rozkazy wypełnili, że nikt w Jarze bydła nie pasie, nikt się nie szwenda, ognisk nie pali, ani nie strzela.

— Taaak? A co to jest? Sznurek czy lont, pytam.

— Tak jakby lont, wielmożny panie dyrektorze.

Aby nie mieli żadnych wątpliwości, Rojek podsunął im pod same czerwone nosy metrowy odcinek lontu, zakończony małą kiszeczką lub rulonem tłustego papieru, w którym znajdowała się jakaś ciężka masa.

— To znalazłem dzisiaj w Czarcim Jarze. Powąchajcie-no... — perorował, rozwijając rulonik na jednym końcu. Wewnątrz ukazało się coś takiego, jakby mielona cegła, albo piasek zabarwiony na różowo.

— Dynamit! — zdumieli się polowi.

— Niestety, dynamit!

— Ale skąd się wzion, panie dyr...

— Skąd? — huknął Rojek. — Pewnie, że nie z nieba, tylko z mojej kopalni. Robotnicy kradną go, nie wiedząc po co, a ich synalkowie urządzają sobie pukaninę... Mniejsza o pukaninę, niech się tym komendant Międoła przejmuje, ale kto mi ręczy, czy rozzuchwalone smarkacze nie będą jutro robiły tych fajerwerków koło wież wiertniczych?

— Absssolutnie, panie dyrektorze...

— Wy jesteście odpowiedzialni. Płacę wam, ale wymagam uczciwego spełniania swych obowiązków. Żebym tego drugi raz nie znalazł! — potrząsnął raz jeszcze rzekomo znalezionym lontem, który to gest polowi powitali z ulgą jako znak zakończenia przykrew audjencji.

— Do późnej nocy będziemy tam stróżowali, panie dyrektorze.

— Ach, tak. Teraz, prawda? Nie, moi drodzy! Teraz pod wieczór pies z kulawą nogą nie zapuści się do Czarciego Jaru. Za to trzeba tam być już o świcie i pędzić bez litości tych małych skurczybyków... A teraz pójdziecie do... — tu Rojek wyznaczył im posterunek, odległy o przeszło dwa kilometry od Czarciego Jaru, bowiem właśnie w tym celu wezwał polowych do siebie. Chodziło mu przecież o to, aby nie mieć żadnego świadka w fatalnym wąwozie, kiedy on sam wyruszy na spotkanie ze Smólskim. W tym celu także wydał dzisiejszego poranka zakaz wypasania bydła w Jarze, zakaz, który wywołał niemiłą konsternację we wsi. — Zrozumieliście?

— Co by nie — brzmiała zgodna odpowiedź obdartusów. — Ludzki pan, choć krzyczeń lubi — orzekli już za drzwiami, gdyż obdarzył każdego cygarem, i z wielką ochotą pomaszerowali na nowy posterunek tak odległy od niesamowitego Czarciego Jaru.

Rojek stwierdził, że pora nadeszła. Co prawda, było dopiero trzy na szóstą, a mieli się zejść ze Smólskim kwadrans po siódmej, ale pozostało jeszcze ukończyć „robotę”, rozpoczętą tej nocy.

Rojek polował często, nie przestrzegając nigdy ochronnego okresu poszczególnych gatunków zwierzyny, toteż jego wymarsz w pole z Trockim u nogi, ze strzelbą na ramieniu nie wzbudził najmniejszej sensacji. Prostaczkowie podziwiali go tylko, że przed wieczorem nie boi się wałęsać w Czarcim Jarze i dzięki temu miał we wsi opinię nieustraszonego.

Tym razem jednak wyruszył ostentacyjnie w inną stronę i dopiero, kiedy zasłoniły go pagórki i drzewa, zawrócił wielkim łukiem do wąwozu. Zatrzymał się na jego krawędzi, położył się tam i przez lornetkę zlustrował całą okolicę... Powstał uśmiechnięty, zadowolony. — Ja bym na jego miejscu był ostrożniejszy mruknął przyszedłbym o trzy godziny wcześniej.

W tym miejscu brzeg wąwozu był zbyt wysoki i urwisty nawet dla wspinaczki, a co dopiero dla zsuwania się na dół. Rojek pomaszerował więc jeszcze kilkaset kroków dalej na północ i dopiero tam opuścił się na brzeg wąwozu. Tutaj przy pierwszym solidniejszym krzaku uwiązał Trockiego. Znał chyba najlepiej ogromną żywość setera, toteż musiał się chwilowo pozbyć jego towarzystwa. — Waruj, pies, ładnie warruj — upominał go, widząc, jak się rwie i szarpie, uspokoił się dopiero wtedy, gdy Rojek położył przy nim strzelbę; teraz już był pewny, że pan nie będzie takim egoistą, aby polować bez niego.

Rojek pomaszerował ścieżką w tym samym kierunku, co niegdyś Rafał przed spotkaniem z Szafranem, czyli od Borów ku Rozłące. Szedł, rozglądając się ustawicznie, a od czasu do czasu odwracał się, podnosił lornetkę ku oczom i w stronę parku spozierał, bowiem stamtąd należało się spodziewać przybycia Smólskiego. Oczywiście, że stamtąd. Rojek dał cichą instrukcję szoferowi, aby natychmiast powrócił skoro Smólskiego odwiezie do Borów. Wyobrażał sobie teraz dalszy tok wypadków: Ewa zatrzyma gościa na podwieczorku, może go na kolację zaprosi. Zasiedzą się, wreszcie Smólski spostrzeże, że dochodzi siódma. Cóż pocznie? Czy będzie prosił o konie do Rozłaki? Nonsens, bo stamtąd miałby równie długą drogę, jak z parku na przełaj przez Czarci Jar.

— A jeśli w ogóle nie przyjdzie?

Rojek aż przystanął, tak go zaskoczyła ta trzecia ewentualność.

— Przyjdzie na pewno — pocieszał się — on jest słowny, to mu patrzy z oczu...

Nafciarz zatrzymał się niemal u stóp zwisającego kamiennego bloku. Tu było już wszystko przygotowane, nie darmo fatygował się tutaj ostatniej nocy i trzy godziny „pracował” z

nerwami, napiętymi jak struny. Bo przecież lada nieostrożność, nieuwaga, poślizgnięcie się mogło spowodować wybuch ręcznego granatu, któremu miała przypaść rola kapsli czy zapalnika dla potwornej miny umieszczonej w głębokiej szczelinie niemal tuż pod owym kamiennym „mieczem Damoklesa”. Pozostało tylko przeciągnąć drut w poprzek ścieżki, umocować go z jednej strony do drzewka, potem z drugiej do postronka, przywiązanego do rączki ręcznego granatu, zresztą wszystko było już obmyślane, przygotowane. Nawet po stronie skalnej ściany był już wbity mały skobel, przez który należało elastyczny koniec drutu przeciągnąć, zanim go się przeciągnie do postronka.

— Wyszedł człowiek z wprawy — żartował Rojek, wspomniawszy sobie utarczki z patrolami rosyjskimi w karpackich lasach, kiedy to w taki właśnie sposób zabezpieczali się przed nocnymi wizytami nieprzyjaciół. Tylko że wtedy zadawała się człowiek granatami ręcznymi, a ja tu na przyjaciela Smólskiego lepszą pigułkę przygotowałem!

Ukończywszy robotę, a znajdował się w tym momencie po stronie południowej złowrogiego drutu, zaczął raz jeszcze obliczać szanse ewentualnej ucieczki Smólskiego.

— Granat nie wybuchnie od razu — mamrotał niezadowolony. Jednak uspokoił się szybko. Wydało mu się mało prawdopodobne, by ktokolwiek rzucił się do ucieczki z powodu tak bardzo błahego jak zaczepienie nogą o jakiś tam drut leżący na ścieżce. — Kopnie go i pójdzie spokojnie dalej. Ba, może się zatrzyma i zacznie oglądać moje arcydzieło? Tym lepiej! Oby tak zrobił, pocziwiec! A może uwikła się i upadnie?... Tak, tak, raczej wszystko nastąpi, niż to, by miał zmykać... Zresztą zabezpieczymy się i na ten wypadek — dodał, ruszając w dalszą drogę.

W miejscu gdzie nastąpiło pamiętne spotkanie „dwóch Baltazarów” leżało sporo głazów, kamieni i okruchów wietrzejącej skały, słowem, znakomity materiał do wzniesienia małej barykady zamykającej wąziutką ścieżkę.

— Wybuch i tak to wszystko rozniesie na cztery wiatry — rozumował, pracując ze wzrastającym pośpiechem. Potem obejrzał swe dzieło i otrzepał dłonie. — Zasadzka gotowa, panie Smólski — rzucił w przestrzeń wyzwanie teraz czekam spokojnie na naszą stanowczą rozmowę...

Rozdział XXVIII

„PŁYNNE ZŁOTO”

Ciepłe tchnienie południowego wiatru przyniosło psu zapach ludzi obcych przyczajonych w wąwozie. Wierny seter skoczył na równe nogi i zaczął ujadać gwałtownie, szukając wzrokiem pana oraz tamtych nieznanym.

Rojek drgnął, spojrzął na zegarek, stwierdził ze zdziwieniem, że dochodzi siódma. Teraz należało wrócić szybko do psa, potem wzdłuż rowu strzeleckiego pobiec szybko na cmentarzyk i tam stanąć w łatwo widocznym miejscu, aby Smólski szedł pewnie fatalną ścieżką w stronę czekającego przeciwnika. Ale zawzięte naszczekiwanie Trockiego oznaczało, że wróg jest już blisko. Rojek sądził, że gdyby teraz pobiegł do psa, to tam właśnie spotka Smólskiego, jakże wtedy się od niego odczepi, jak bez wzbudzenia podejrzeń wyperswadować mu, że powinien zaczekać jeszcze z kwadrans i ruszyć w dalszą drogę dopiero wtedy, gdy on, Rojek, minie pułapkę? Nonsens! Absurd!

— Muszę już tutaj poczekać — zdecydował, odsuwając się w stronę cmentarzyka. Ale to tylko zwiększyło przestrach przywiązanego setera; jego pan kroczył wprost w kierunku zarośli ocieniających groby, skąd lekkie podmuchy wiatru niosły woń obcego człowieka kryjącego się, więc nieprzyjaciela. Trocki ujrzał go nawet przelotnie, jak wychylił głowę i cofnął ją pospiesznie. Szarpnął się więc z całej mocy, i oto gałąź krzaka pękła!...

Rojek obejrzał się wstecz, skamieniał ze zgrozy. Seter pędził w jego stronę jak strzała, wlokąc za sobą oderwaną gałąź. — Fuj! — ryknął Rojek, wymachując rękami. — Fuj! warrruj, pies! Fuj — wył, spiesząc naprzeciw rozpędzonego ulubieńca, który jednak tylko świst pędu miał w uszach, a swego pana nie słyszał, i już nawet nie widział wpadłszy w zygzaki zakrętów.

Nafciarz stanął jak wryty. Zrozumiał, że pies znacznie wcześniej dopadnie złowrogiej mety ich wyścigu, że jeśli nawet spostrzeże wyprężony nad ziemią drut i go przeskoczy, to gałąź, wleczona na smyczy spowoduje wybuch. — Bydlę przekłete! — zmełł w zębach. W ułamku sekundy ogarnął konsekwencje przedwczesnej eksplozji: Smólski ocaleje, co gorsza zrozumie po co go tu zaproszono i... ach... nie pora o tym myśleć; trzeba własne życie ratować! Rojek obliczył błyskawicznie wszystkie odległości, czasy, szanse, możliwości i rzucił się do ucieczki w stronę otworu, wiodącego do rowu strzeleckiego...

Rafał Królik, umieściwszy Smólskiego na cmentarzyku, przyczał się sam tuż koło „swojej dziury” i zasnął niefrasobliwie, zapominając o swej opiekuńczej misji, za którą zainkasował owe dwieście złotych. Obudziło go dopiero naszczekiwanie psa. Wysunął głowę i ujrzał scenę, której absolutnie nie rozumiał: Rojek wymachiwał rękami jak opętany, ryczał *Fuj! waruj!*, biegł w stronę głazu zawieszzonego nad ścieżką, potem zawrócił nagle i puścił się na złamanie karku wprost w kierunku kryjówki małego reportera. — On chyba zwariował, albo ucieka przed czymś — przemknęło przez głowę Rafałowi. Nie namyślając się długo, spuścił nogi w „swoją dziurę” i wbrew niedawnym przewidywaniom, że jego noga nie stanie więcej w podziemiach, znalazł się znowu w rowie strzeleckim. Odbiegł też w głąb kilkanaście kroków, spłoszony dudnieniem ciężkich kroków nafciarza i nagle jasna plama otworu zniknęła. Z

głośnym sapaniem przeciskał się przez niego Rojek, zmuszając Rafała do dalszego odwrotu w ciemności. — Idioto, lampa została z tamtej strony. — Zaspany Rafał znowu zrobił głupstwo brzemienne później w skutki. Istotnie, jeszcze wtedy, gdy ze Smólskim wychodził tędy na świat Boży, pozostawił przykręconą latarkę naftową tutaj, ale po drugiej stronie otworu, czyli już w tej odnodze rowu strzeleckiego, która dochodziła niemal do Rozłęki.

Rojek zawisł na łokciach, by patrzeć, a widział stąd wszystko jak na dłoni. W dwóch wspaniałych susach przesadził seter drut i barykadę z kamieni i popędził w stronę cmentarzyka, zniżając nos ku ziemi, aby zwęszyć trop kroków swego pana...

— Ocalał!

Nafciarz odetchnął z ulgą, bo chociaż bez skrupułów usuwał wszystkich, którzy stanęli w drodze jego planom, to jednak wierny seter był jedyną żyjącą istotą, którą kochał naprawdę i z wzajemnością.

— Ocalał, ale gdzie gałąź?

Spojrzał w stronę pułapki, na mgnienie oka zobaczył gałąź kołyszącą się na rozhuśtanym drucie, lecz w sekundę później błysnęło się i ogromne głązy podskoczyły w górę z lekkością pierza podrzuconego silnym dmuchnięciem. Potężna detonacja wstrząsnęła ciszą niesamowitego wąwozu, a zanim przebrzmiały jej echa, grad kamieni, okruchów skalnych i deszcz startej na proch ziemi spadł dokoła.

Seter ogłuszony hukiem, ugodzony w łapę jakimś odłamkiem, pokuśtykał na trzech nogach w stronę domu, skowycząc więcej ze strachu niż z bólu.

— Ocalał — cieszył się Rojek, patrząc wciąż w stronę ulubieńca, który z podwiniętym ogonem uchodził jak zmyty...

— Co to?!

Nie wierzył oczom, kiedy na powrót przeniósł wzrok ku miejscu, gdzie założył ową minę. Tam gdzie przedtem wyrastał z prostopadłej ściany skalnej ogromny gład zawieszony nad ścieżką, a siłą eksplozji wyrwany i rozniesiony na cztery wiatry... tam teraz tryskała kaskada, rosnąca w oczach i coraz wyżej bijąca.

— Ropa! — wrzasnął Rojek, przygwożdżony do miejsca niespodziewanym odkryciem. I jakim odkryciem! Bez żmudnych, kosztownych wierceń natrafić na wspaniałą ropodajną żyłę, i nie głęboko, nie paręset, czy przeszło tysiąc metrów pod powierzchnią, ale u podnóża wysokiej ściany wąwozu, toż to prawdziwa niespodzianka geologiczna jak na Małopolskę, gdzie, w przeciwieństwie do takiej na przykład, Kalifornii regułą są bardzo głębokie wiercenia. I to bajkowe źródło „płynnego złota”, to źródło niezmiernych w przyszłości zysków znajduje się na jego gruntach, nie w Borach, jak przypuszczano ogólnie. Niechże sobie teraz Smólski robi, co chce, niech go denuncjuje przed Ewą. — Gwiżdżę na nich i na Bory — myślał Rojek, całując zachłannymi spojrzeniami kaskadę, która już stała się ogromnym gejzerem i niezmordowanie rosła, pęczniała, huczała.

Ocknął się z radosnej zadumy. Należało pobiec do kopalni, zaalarmować ludzi i pochwycić w zbiorniki niezliczone hektolitry i cysterny cennego płynu, aby się nie marnowały bezużytecznie; dość go już chyba wsiąknęło w ziemię i dużo go jeszcze spłynie do strumyka, zanim uda się ujarzmić tę cudowną kaskadę... Rojek dźwignął się na łokciach, zamierzając wyleźć na powierzchnię, ale w tej samej chwili chlusnęło mu na plecy, na kark i na głowę parędziesiąt wiader cuchnącej cieczy; to jeden z niezliczonych strumyków ropy okrążył go łukiem i tocząc się wciąż równo ze spadkiem terenu, doskoczył do otworu rowu strzeleckiego. W przelotnym spojrzeniu nafciarz dojrzał, że całe potoki wałą z różnych stron w to zagłębienie i machinalnie cofnął się do swojej kryjówki, przemoczony do nitki, uwalany w błocie...

— Za długo się gapiłem w beczynności, psiakrew! — zaklął, usuwając się spod

potężnego tuszu. Cofnął się o kilkanaście kroków, mniej więcej do miejsca, w którym przed chwilą stał Rafał Królik i patrzył z irytacją na ropę, wlewającą się szeroką strugą do dawnych okopów. Nie mogło być mowy, by wyjść na powierzchnię znanym otworem, bo jego całą szerokość zajął strumień „płynnego złota” i z tej samej przyczyny nie mógł już Rojek nawrócić do górnej odnogi rowu strzeleckiego, aby tą najkrótszą drogą dotrzeć do Rozłaki. Nie pozostało mu nic innego, jak iść gankiem w dół ku Borom i znanym sobie wyjściem wydostać się z piwnic starego dworku do parku.

— Gdybym kogo spotkał w parku, powiem, że chciałem sobie obejrzeć ruiny, w których znaleziono zwłoki Priwima — mruknął; była to nienajgorsza wymówka, wszakże dziś przy śniadaniu opowiadał mu lokaj o wczorajszych wypadkach w Borach. — Ale ileż czasu tracę na tę drogę — zachnął się.

Już chciał ruszyć w drogę, gdy przed nim w ciemnościach zaszeleściło coś i znajomy dobrze głos spytał bardzo uprzejmie:

— Panie Rojek, czy to oberwanie chmury, czy powódź, czy co?

Wyjął z kieszeni latarkę, i poznavszy małego reportera odetchnął.

— Ach, to pan. Skąd się pan wziął znowu?... Ale, ale możemy sobie pogawędzić w drodze inaczej nas tu ropa zaleje...

— Rrrropa?! Rany boskie! A ja tam lampę zostawiłem zapaloną!

— Gdzie?! — ryknął Rojek strasznym głosem. W świetle latarki ujrzał wyciągniętą rękę przygodnego towarzysza, odwrócił się w stronę szumiącego „wodospadu” i teraz dopiero ujrzał po przeciwnej stronie mdłe światelko. Wrzasnął przeraźliwie, rzucił się w tamtą stronę, ale uskoczył błyskawicznie wstecz. Było już za późno! Światelko podskoczyło, snadź jakiś jęczor rozlanej ropy ogarnął już lampę... Trysnęły płomienie, zatańczył wir dymu.

— Łotrze! Zbrodniarzu! — zacharczał nafcjarz. Jak tygrys runął na Rafała, lecz mały reporter był mistrzem w strategicznych odwrotach. Uskoczył w porę i rzucił się do ucieczki tą samą drogą, którą tu przyszedł przed dwoma godzinami ze Smólskim, ślubując, że to już stanowczo po raz ostatni.

Rojek gnał, jak gdyby go furie ściagały. Teraz kiedy wybuchnął pożar należało tym szybciej zmobilizować ludzi i ratować bogate źródło „płynnego złota”, lecz to nie było jedyną przyczyną pośpiechu nafcjarza. I nawet nie lęk o własną skórę, bowiem było mało prawdopodobne, by powoli sunąca struga ropy dopędziła człowieka. Lecz było coś ważniejszego zdaniem Rojka, który nie przeczuwał, że już trzech ludzi oskarżyło go o straszliwe zbrodnie i sądził, iż po sprzątnięciu Priwima oraz Kochauta pozostało mu tylko załatwić się ze Smólskim...

— Ten mały drab mnie śledził... widział, jak zastawiałem pułapkę na Smólskiego... widział wszystko... musi zginąć! — powtarzał sobie z głuchą zawziętością, podniecając się w ten sposób do szybszego biegu. Tu go cisnę gdziekolwiek... ogień zatrze ślady... popiół z niego zostanie! — sapał.

Reporter zmykał równie szybko, jak wówczas kiedy poza zamkniętymi drzwiami posłyszał nieartykułowane dźwięki i bełkot rzekomego Priwima, który na próżno usiłował wypluć knebel z ust. Uciekał dotychczas tylko przed pożarem, ale nagle huknął wystrzał rewolwerowy, po chwili drugi, trzeci, czwarty, a te szybko po sobie następujące detonacje przypięły zbiegowi jaskółcze skrzydła u ramion. W obłądnym przestkach omal nie przeskoczył bocznego otworu w murze, omal nie popędził w ślepy korytarz, zakończony niszą nietoperzy. Na szczęście nad zwykłym jego roztrzepaniem zapanował instynkt samozachowawczy i on pokierował jego dalszymi krokami.

Rafała zapiekło coś nagle w lewym uchu, a kiedy zapalił swoją latarkę, zstępując po drabinie w dolny ganek i mimowolnie spojrzawszy na rękę, ujrzał nitkę krwi. — No, tym razem to już

nie konfitury — rzekł z dumą, jak na bohatera przystało, trafił stopą pomiędzy dwa szczeble drabiny i rymnął jak długi, wypuszczając z dłoni latarkę...

Krótki przystanek zwiększył wydatnie odległość między Rojkiem a ściganą ofiarą. Kiedy nafciarz, trzymając rewolwer gotowy do strzału, wkroczył w boczny otwór i wpuścił tam, niejako w przedniej straży, snop światła z latarki, Rafała już nie ujrzał. — Muszę go dopędzić! — warknął. — Teraz już nie mam innego wyjścia, skoro strzelałem — upomniał się, szukając z utęsknieniem śladów krwi na ziemi jako dowodu, że nie wszystkie kule chybiły.

— Nic nie ma. Pudłowałem haniebnie — wściekał się.

Przybywszy do pieczary z dwiema niszami, pobiegł natychmiast do płytszej i z wielkim zamachem pochwycił za kółko opuszczonej kłapy, lecz tylko sobie rękę sforsował w nagłym, a bezskutecznym szarpnięciu...

— Zamknął na skobel! A, chytra sztuka! — stwierdził ze zdumieniem, które natychmiast ustąpiło miejsca bezsilnej wściekłości. Wsunął rewolwer do kieszeni, latarkę postawił na ziemi, tak że oślepiające kółko światła padło na sklepienie, i oburącz pochwycił za kółko. — Żeby się tak nie urwało to skobel puści — pocieszał się, czując, że opór wieka, zamkniętego na skobel nie jest nieprzewyciężony. Był nie lada siłaczem, a szczególnie ręce miał jak z żelaza, lecz tutaj wszystko zależało od owego kółka; gdyby pękło albo się urwało... — to zginąłem! — ryknął, bowiem uprzytomnił sobie nagle, że nie ma innej drogi z tych podziemi. Odsapnął, szarpnął obolałymi palcami, wyjął chusteczkę, obwiązał nią kółko, aby mu się znów nie wżynało w dłonie i wznowił swoje wysiłki...

— Co to?! — wrzasnął, przerywając robotę. W przeciwległej niszy zapiszczało coś żałośnie, zaszeleściło sucho, nieprzyjemnie, a szmer ten płynął w stronę Rojka, zbliżał się i rozdzielał na coraz więcej szelestów. Pochwycił latarkę i skierował światło w tamtą stronę...

— Nietoperze — odetchnął z ulgą. Zaczął sobie wymyślać od tchórzy, że denerwuje się lada szmerem i dla takich głupstw przerywa zajęcie, które być może ma zadecydować o jego życiu.

Lecz niebawem wtargnęło do pieczary to, co wpędziło tutaj przerażone nietoperze. Dym! Gęsty, gryzący dym!

Rojek zaczął wyć. Walił na oślep głową w oszalałe stworzenia, krążące wokół niego, jak gdyby od niego tylko oczekiwały ratunku. Kopał w wieko, skakał po nim, usiłując złamać choćby jedną deskę i w ten sposób wyłom uczynić, potem znów szarpał za nieustępliwe żelazne kółko i kłął, kłął jak pijany majtek. Przeklinał wszystkich, w szczególności Rafała i siebie za nieostrożność.

— Po cóż go straszylem i strzelałem, po cóż — bełkotał, kaszląc raz po raz. Trzeba było szczeniaka ugłaskać obłaskawić, a dopiero potem przystawić mu lufę do łba.

Nowy pomysł przyszedł mu do głowy. Błyskawicznie zerwał z siebie szelki, przeciągnął je przez kółko, związał końcami, wsunął głowę w pętlę, rozkraczył się i szarpnął głową wstecz, prostując grzbiet jednocześnie. Aż się na ścianę zatoczył w zerwanym rozmachu, bo szelki trzasnęły, jak papierowy sznurek.

Zrozumiał w końcu, że tym sposobem wieka nie otworzy. — I po cóż tyle czasu straciłem bezpowrotnie? — jęczał, kopiąc obcasem w klapę. — Tyle cennego czasu, tyl... ehe, eheee — zakrztusił się dymem i chwycił go atak suchego kaszlu.

Znowu pracował rozważnie. Wybrał sobie w świetle latarki jedną deskę wieka, środkową, więc przypuszczalnie najmniej posiadającą punktów oparcia i kopał ją niezmordowanie w jedno i to samo miejsce, aż drzazgi leciały. Kiedy sobie odłamał obcas przy prawym bucie, rozpoczął dalsze bombardowanie lewą nogą, a potem skoczył z impetem w osłabiony już punkt raz, drugi, trzeci, dziesiąty, nie dbając, że może się zarwać i zlecieć.

Wreszcie!...

Z trzaskiem pękła mała lecz gruba deszczułka. Rojek padł na kolana, nacisnął pęknięte drewno ręką z całej siły i wgniół je do środka. Teraz przesunął błyskawicznie dłoń, wymacał skobel i wyjście stanęło przed nim otworem. A czas już był najwyższy, bo w ślad kłębow dymu dławiącego dech w piersiach, spieszyła w tę stronę mała struga płonącej ropy...

— Gdzie drabina? — ryknął pochyliwszy się nad ciemną czeluścią.

Z trudem otwierał oczy, załamane, piekące, toteż wydało mu się, że popełnił omyłkę, wydało mu się, że dostrzega jasne zarysy strzebli pod sobą, wśród wirów dymu płasającego w objęciach niezatrutego jeszcze powietrza, które wionęło z właściwych podziemi.

Śmiało spuścił nogi w otwór, wyciągnął prawą dłoń po latarkę, lewą do skobla, chcąc wieko zatrzasać za sobą i zabezpieczyć się przed dymem, zsunął się lekko i stracił równowagę. Nogi nie znalazły żadnego punktu oparcia. Ręce porzuciły latarkę i wieko, pospieszyły na ratunek, wczepiły się w ramę otworu, podtrzymując korpus zawieszony w powietrzu...

— Bydle!...Łotr!... Zabrał drabinę! — charczał nafcjarz, muskając nogami ściany tej jakby studzienki czy małego szybu... w rozpaczliwych poszukiwaniach pewnego oparcia.

W końcu, gdy znowu dym mu dokuczył, zdecydował się na skok...

— Przecież to nie bardzo głęboko — dodał sobie odwagi, rozluźnił niechętnym wysiłkiem woli kurczowy uchwyt rąk, runął w dół, w mroki, spadł na dno niższego podziemnego ganku i w oczach mu pociemniało z bólu.

— Zwichnąłem nogę — wyszeptał, próbując na próżno powstać. Nie dało się. Co najwyżej mógł pełzać na rękach i zdrowej nodze, włócząc tamtą za sobą, a i tak każde pół metra opłacał nowym haraczem cierpień. Ongiś na polowaniu nadwyrężył sobie ścięgna, innym razem zwichnął nogę, pamiętał ówczesne swoje cierpienia o tyle, o ile w ogóle się pamięta ból fizyczny, lecz obecne męczarnie nieludzkie nie dały się z niczym porównać; przy najlżejszym poruszeniu czuł, że jakieś niewidzialne noże prują mu nogę, drą ścięgna, mięśnie, nerwy na strzępy. Czyżbym ją złamał? A może kość złamana przebiła ciało? — przypuszczał, dobijając się tymi myślami...

Jednak czołgał się dalej i dalej bez wytchnienia, przeczuwając, że nie uciekł jeszcze straszliwemu niebezpieczeństwu. Z zazdrością liczył nietoperze, oszołomione, pijane dymem, ocierające się o niego, o ściany, spadające na dno ganku, lecz po chwili znowu zdolne do ucieczki. Ratowały się, pragnęły żyć, uchodziły przed wrogiem straszliwszym niż kłęby dymu...

W podziemnym ganku robiło się coraz widniej, ale człowiek ogłuszony przejmującym bólem, nieprędko zdał sobie sprawę z niezwykłości tego zjawiska. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił głowę.

— Zginąłem! — jęknął, czując zimne perełki potu na skroniach.

Płonący strumyczek dotarł już do otworu w podłodze, gdzie Rojek stracił tyle cennego czasu na walkę z zamkniętym wiekiem. Dotarł tam i znalazłszy nowe zagłębienie, nowy zbiornik niżej położony, runął w dół cienką kaskadą. Dym spychany przez silny przeciąg powietrza. Kłębił się i wił wokoło niej i uciekał ku górze, nie przysłaniając złotej świecącej strugi ropy, która obecnie naprawdę wyglądała jak płynne roztopione złoto. Był to widok tak piękny i malowniczy, że Rojek, choć o kilkadziesiąt kroków zaledwie oddalony od tego miejsca, choć zagrożony straszliwym niebezpieczeństwem, nie mógł przez dłuższą chwilę oderwać oczu od niego i spoglądał jak urzeczony na kaskadę mieniącą się u dna wszystkimi barwami, lecz złotą powyżej, w pionowym zeskoku.

— Uciekać! — radził instynkt.

Rojek zacisnął zęby, ogłuchł na wściekłe ataki bólu, ruszył w drogę gankiem prostym, jak strzelił, a za nim sunęło powoli, majestatyczne „płynne złoto”.

— Chciałeś mnie? Oto jestem, idę do ciebie — zdawało się mówić zjadliwym sykiem.

Człowiek pełzał niezmordowanie, słabł, przystawał niekiedy, oglądał się z trwogą, lecz natychmiast znajdował nowe siły do zwalczania potwornych cierpień i czołgał się jeszcze szybciej, pragnąc odrobić zwłokę odpoczynku. — Byle do zakrętu, byle tam dotrzeć — zachęcał się. Liczył na sprzymierzeńca, którym według jego obliczeń miał być ów dół głęboki, gdzie wojowniczo wówczas usposobiony Baltazar Szafran musiał skapitulować przed chytrym przeciwnikiem... a przyjacielem dzisiaj. Rojek liczył ogromnie na ową jamę. — Zanim ropa ją napęlni, będę dawno w parku.

Zaniepokoiło go trochę wspomnienie Rafała, który pewnie nie puścił płazem tych strzałów. — Przekupię go — myślał głośno, aby zagłuszyć nieprzyjemny syk brudnej ropy. — A zresztą niech się dzieje co chce, lepszy kryminal niż śmierć... w dodatku taka!

Nie wiadomo dlaczego zbudziły się w nim nieoczekiwane refleksje, jeśli tak można nazwać jego rozmyślania nad dziwnym zbiegiem okoliczności:

Od piętnastu lat od owej pamiętnej chwili, gdy półprzytomny oficer usiłował skrzepić żołnierzy na duchu perspektywą niezmiernych korzyści z przypadkowego odkrycia terenów naftowych, „płynne złoto” stało się dla Rojka wszystkim! Żeby je osiągnąć samemu, bez udziału innych, nie cofał się nigdy przed niczym. Mało to zbrodni popełnił aby osiągnąć swój cel?

Dla niego, dla „płynnego złota” skazał na śmierć towarzyszy broni...

Dla niego dopuścił się oszustwa, zawierając kontrakt dzierżawy z lokajem Augusta Turny, grającym rolę swego zmarłego pana.

Dla niego, zastrzelił na polowaniu starego Kochauta, który omal nie zdemaskował tego oszustwa, a w każdym razie był na jego tropie.

Dla niego torturował Pawia Kanię, który wchodził w konszachty z Rogersem.

Dla zdobycia Borów, więc znowu dla „płynnego złota”, zmusił Kanię do podpisania łajdackich weksli, a potem zgładził niepotrzebnego świadka.

Dla niego usiłował zamordować Kochauta.

Dla niego chciał unieszczęśliwić Ewę i Andrzeja.

Dla niego zmierzał zgładzić Smólskiego, dla niego popełnił sto innych fałszerstw, oszustw, wymuszeń, dla niego strzelał do Rafała Królika.

Wszystko dla niego, dla „płynnego złota”. Posiadł je, ale zawsze nienasycony, pożądał więcej i więcej, marzył o nowych terenach, nowych szybach, nowych wytryskach obfitych.

Aż teraz on... właśnie on... umykał ostatkiem sił przed „płynnym złotem” i dygotał z trwogi, by go nie doścignęło.

Aż teraz ono, niewdzięczne płynne złoto, pędziło ku miejscom, których po uwięzieniu Szafrana i Królika, postanowił nie odwiedzać więcej, pędziło go ku miejscom, gdzie największe zbrodnie popełnił.

Czyżby chciało odegrać rolę mściciela?

— Oszalałem chyba — krzyknął zdumiony napadem tych myśli, niezwykłych u niego, człowieka bez skrupułów, człowieka nie mającego czasu na „głupie” refleksje.

Odetchnął z bezmierną ulgą. Struga „płynnego złota” utknęła w pochodzie, napotkawszy jakieś małe zagłębienie terenu, a tymczasem on zbliżył się do celu wędrówki, do owej jamy. Ból w nodze zelżał znacznie, stępił się, za to ogólne zmęczenie dawało się we znaki dziwnym szumem w uszach i silnymi zawrotami głowy. Widział jakby przez gęstą mgłę, nie dostrzegł przedmiotu takiego jak kładka nad dołem, natomiast ujrzał to, czego tam chyba nie było, a co mu stworzyła rozgorączkowana wyobraźnia.

Ujrzał widma!

Stały po drugiej stronie jamy, patrzyły nań szyderczo zwycięsko.

Przetarł oczy kułakiem, spojrział... widma zmętniały, lecz po chwili stały się tym wyrazistsze.

— Stary Kochaut? Paweł Kania? — wymamrotał nieprzytomnie tonem zdziwienia, ale bez strachu.

Wydało mu się, że tamci dwaj rozstąpili się, rozepchnęli sobą ciasne gardło podziemnego ganku, ukazując tłum obdartych, wynędzniałych żołnierzy, stojących czwórkami...

— Wy?! Skąd wy?!

Poruszali ustami, widział to i słyszał słowa, które jemu się lęły w mózgu:

— Tu nas wymordowałeś, zdrajco! I ty tutaj szejniesz!

Oderwał przemocą rozpalony wzrok, potarł sobie dłonią rozpalone czoło. Ulżyło mu trochę.

— Mam gorączkę, zaczynam majaczyć szeptać, ujarzmiając stalową wolą i zdrowym rozsądkiem niesforne oszalałe myśli. Zmusił się, by myśleć głośno, by słuch kontrolował każde drgnienie umysłu. — Pożar się znowu przybliżył. Trzeba uciekać. Kładka jest, ten mały łotrzyk nie usunął jej na szczęście... Przejdę i...

— NIE PRZEJDZIESZ!

Rojek zadygotał w paroksyzmie obłąkanej trwogi.

— Kto tu jest?! — wrzasnął rozdzierająco i zbliżając się nieustraszenie do krawędzi jamy, powtarzał swój szalony okrzyk: — Kto tu jest w tej piwnicy?

— MY! — odpowiedziało znowu echo.

Nie podnosił wzroku, póki rękoma nie dotknął grubej deski, zawieszanej nad jamą, póki nie wciągnął na nią górnej połowy korpusu. Wówczas zadarł głowę śmiało, wyzywająco spojrział w ciemną czeluść po drugiej stronie dołu i obwieścił swój triumf pełnym brawury pytaniem:

— Mówicie, nie przejdę? Nie przejdę?

— NIE PRZEJDZIESZ!

— No to patrzcie, ha, ha, ha, haaaa ach!

Histeryczny śmiech załamał się nagle i Mateusz Rojek spadł na dno jamy, nie wypuszczając z zaciśniętych rąk swego końca deski. Nie wiedział oczywiście i nie dowiedział się nigdy, że zawdzięczał to reporterowi, który ułożył zdrażliwą kładkę w sposób, jaki wypraktykował na Baltazarze Szafranie.

Upadek z tej wysokości rozpętał piekło bólu w złamanej nodze. Wiele, wiele minut upłynęło zanim Rojek zdołał się podnieść. O wydobyciu się z jamy o własnych siłach nie mógł nawet marzyć, zrozumiał to rychło. Pokuśtykał tylko do przeciwległej krawędzi dołu, stanął tam na zdrowej nodze i zaczął wzywać pomocy, sam nie bardzo wierząc, aby go ktoś mógł tutaj usłyszeć. Wrzeszczał nieludzko, wył, ryczał jęczał, byle tylko zagłuszyć niesamowite chichoty szydercze, które rodziło echo...

A w pewnej chwili na przeciwległej krawędzi, tam gdzie oparta deska pewne wgłębienie wyrzeźbiła, pojawił się maleńki płomycek. Podskoczył figlarnie, parsknął śmiechem błękitnym, seledynowym, wreszcie rozwarł paszczę, błysnął dwurzędem złotych plomb i rzygnął do jamy płonąca strugą ropy.

— Płynne złoto, płynne złoto — powtarzał Rojek zahipnotyzowany widokiem maleńkiej kałuży, jaka utworzyła się u stóp kaskady i rosła, rosła, zbliżając się powoli lecz nieuchronnie do wszystkich ścian jamy... — Płynne złoto... płynne złoto, przeklinam cię! — jęknął, zanosząc się kaszlem.

Z kałuży zrobił się stawek wciąż zasilany przez kaskadę. Jedna z jego odnóg najbardziej przedsiębiorcza, zatoczyła misterny es-flores, podbiegła do ściany, rozpląszczyła się w cienki sznurek i zdradziecko dopadła do obcasa trzewika, do długiego strzępu materii, zwisającego z

rozdartego mankietu spodni. Musnęła ostrożnie te przedmioty, jak gdyby nieufnie polizała tylko z ciekawości i pochwyliła przyjemny dla podniebienia płomieni smak ropy! I nagle Rojek, cały skąpany w ropie jeszcze tam, gdzie chciwymi spojrzeniami ogarniał ogromne strugi zalewające dno Czarciego Jaru, jeszcze wtedy gdy nie przeczuwał pożaru... nagle stał się „płonącą pochodnią Nerona”...

— Jezus! — jęknął, zasłonił dłońmi oczy i runął na twarz w środek płyciutkiej kałuży.

A „płynne złoto” przyjęło nafciarza w swe objęcia ze szkarłatnym uśmiechem upojenia.

EPILOG

Wspaniały gejzer ognia lizał krwawym jęzorem łunę, wiszącą nad Czarcim Jarem i spadał w szerokie morze płomieni, zasilając je nowymi tonami ropy. Płonęły niebiosa i ziemia, lecz człowiek, mały, słaby stwór nie dbał o to. W azbestowych kurtkach, w hełmach błyszczących z dala, sunęła nieustraszona garstka ku źródłu szalejącego pożaru, niosąc z największymi ostrożnościami skrzynkę spowitą w mokre szmaty.

— Boże, miej go w swej pieczy — powtarzała Ewa sercem, ściśniętym trwogą o ukochanego człowieka, ilekroć dym przysłonił jej bohaterską garstkę, którą prowadził on, Andrzej Barski!

Wydało jej się, że chyba wieki upłynęły od chwili, gdy tamtych spowiły gęste sploty dymu. Chciała biec w ogień, mówiąc, że chce zginąć, skoro on zginął, i Jan Smólski wraz z Baltazarem Szafranem musieli ją trzymać za ręce. Wtem... klasnęła w dłonie. Z gęstej chmury wijącej się u stóp ściany skalnej wybiegł jeden strażak, potem drugi, piąty, dziesiąty. Liczyła niespokojnie. Powinno być ich piętnastu, zatem czterech brakuje, i jego w tej liczbie. I jego, Andrzeja! Poznałaby go natychmiast po smukłej sylwetce, niemożliwe, aby się pomyliła ona, Ewa, kiedy o jego życie chodziło.

— Są, widzi pan? — Jakoż ukazało się znowu dwóch strażaków, niosących wspólnie trzeciego kolegę, a na samym końcu kroczył wódz tej garsteczki, inżynier Andrzej Barski. Przede wszystkim tu spojrzął, ręką machnął kilka razy ku ziemi, po czym znowu kroczył powoli, uważnie, jakby się bał o coś nogą zaczepić...

— Dał, znak że mamy już upaść na ziemię. Za chwilę huknie.

— Ech, możemy spać spokojnie. — Baltazar machnął ręką lekceważąco. — Nie lubię bez potrzeby życia ryzykować, ale tu nam na pewno nic nie grozi. Zresztą, jak chcecie koniecznie, to zrobimy „padnij”.

— Zrobmy, Andrzej tak radził — wtrąciła Ewa.

W pół minuty później inżynier Barski nacisnął guziczek kontaktu elektrycznego i huk potężnej eksplozji, potężniejszej niż owa pierwsza, spowodowana przez wiernego psa nafcjarza... wstrząsnął powietrzem. Jeszcze wyżej wystrzelił gejzer ognia, ale zgasł natychmiast bowiem głązy i tony ziemi wyrwane przez minę Barskiego zasypały ujście naturalnego szybu. Ropa zapełniająca dno wąwozu i rów strzelecki, paliła się dalej, ale niewyczerpane jej źródło wyschło nagle i przestało zasilać tamto jezioro płomieni łatwopalnym materiałem.

Kiedy Ewa, w towarzystwie trzech mężczyzn zbliżyła się w powrotnej drodze do ogrodzenia parku, w Czarcim Jarze płonęła tylko wąska, długa kreska, dawny rów strzelecki, którego „dach” zapadł się obecnie...

— Straszną śmierć mieli ci ludzie — rzekł Andrzej.

— Rojek zasłużył sobie na nią! — Jan Smólski, który patrzył ze swej kryjówki na cmentarzu na łotrowskie przygotowania nafcjarza i dowiedział się przed chwilą o innych jego zbrodniach, powiedział te słowa tonem nieubłaganego wyroku.

— Ale mistrz, biedny kochany mistrz! — westchnęła Ewa.

— Drodzy państwo przemówił Baltazar Szafran uroczyście. — Jaki był ten mały hultaj, taki był, ale swoją straszną śmiercią odpokutował aż nadto za wszystkie głupstwa, przechwałki i

różne psie figle. Więc wybaczcie mu, sądzę, że wybaczycie mu, że was trochę podszedł. Bo on był...

— O kim to chcesz mówić, drogi chłopcze? — zabrzmiał nagle dobrze znajomy głos i w otwartej furcie parku stanęła mała figurka jakiegoś inwalidy. Wspierał się na lasce, lewą rękę miał na temblaku, a z głowy, pokrytej grubą warstwą bandażu i ręczników, że wyglądała jak wielki, biały globus, wyzierał tylko pyszczek podobny do pyszczka wiewiórki i nosek lekko zadarty, i oczka małe, ruchliwe, przebiegłe. Dziwny inwalida wysunął się z furtki i kulejąc okropnie na obie nogi, pokuśtykał naprzeciw garstki osób, którą ukazanie się ducha mogłoby więcej zaskoczyć...

— To mistrz? Kochany mistrz żyje? — zawołała Ewa.

— Żyje, drogie dziecko, acz w ręcznym spotkaniu z Lucyperem odniósł niejake kontuzje. — Tu Rafał Królik wskazał kolejno z wielką skromnością swoją głowę, rękę i obie nogi. — Nie wszystkie punkty mej cielesnej powłoki nadawały się do bandażowania, jak twierdzi miła pielęgniarka Kochauta, toteż musicie się zadowolić tym, co widać.

— Co było naprawdę? — spytał sceptyk Baltazar.

— Walczyłem w podziemiach z Rojkiem, który do mnie dziesięć razy wystrzelił. Walczyliśmy wśród płomieni i ognia, i huku walących się sufitów... I Allah dał zwycięstwo... mnie — skłonił się obecnym.

— To bohater! — zawołała Ewa. Przyskoczyła do reportera, nachyliła się nad nim, albowiem wzrostu mu natura poskąpiła i ucałowała go w oba policzki.

Wówczas stał się cud prawdziwy. Rafał odrzucił laskę zerwał temblak i zaczął tańczyć z radości wojenny pług Siuksów, ciskając zwycięskie spojrzenia na wszystkich trzech mężczyzn, nieco zdziwionych tak cudownym uzdrowieniem.

Ewa podeszła do Andrzeja i zarzuciła mu ręce na szyję:

— Mój przyszły pan i władca nie jest chyba zazdrosny? Zresztą i ty także spisałeś się po bohatersku — dodała, wysuwając usta ku jego wargom.

— Och! — jęknął Rafał, waląc się na trawę z „pękniętym” sercem. Baltazar dzwignął go jednym szturchnięciem i powlekli się na końcu, bowiem reporterowi mózg „cicho stanął” na widok Ewy, tulącej się do Andrzeja...

— Słuchaj-no, mało zielona, ale dość sympatyczna — zaczął Szafran — z kontuzją na głowie to pewnie taka sama prawda jak i z tą ręką na temblaku, co?

— Błóżniesz! Tam jest jedyna prawdziwa rana, krwią serdeczną brocząca.

— Krwią? Może znowu konfiturami, jak wtedy, pamiętasz?

— Pamiętam i sam nie dowierzam, ale to naprawdę krew tym razem. Nawet pielęgniarka to przyznała... Ach co ja tam przeżyłem!...

— To mi już może rano opowiesz dobrze? Na dziś mam dosyć wrażeń...

Ale nazajutrz rano, kiedy dwaj przyjaciele zjedli w łózkach śniadanie i Rafał Królik rozpoczął swą opowieść, z lekka tylko przekoloryzowaną, jak przyznał lojalnie, zdarzył się nieoczekiwany wypadek. Oto przez okno wpadła do pokoju olbrzymia wiecha kwiatów, prawdziwa miotła, jeśli chodzi o rozmiary tego bukietu z przypiętą doń z pomocą potężnej purpurowej szarfy... laurką. Baltazar wychylił się z łóżka, sięgnął po ten pachnący pocisk, rzucił go na Rafała, a sam rozwinął laurkę.

— Wiersze, jak Bożię kocham! — huknął na całe gardło.

— Jak powiadasz?

Rafała tknęło niedobre przecucie i dlatego wyraźny niepokój zawibrował w jego pytaniu.

— Wiersze, mówię. Zresztą posłuchaj.

— Pewnie jakieś wypociny, odpisane z podręcznika *Powinszowania na wszystkie*

uroczystości rodzinne. Szkoda czasu.

— Nie, to wiersz miłosny. Bo zważ tylko: *Śliczne fiołeczki, konwalie do łez wzruszały Amalię...* Ki czort ta Amalia? Nie wiesz?

— Pojęcia nie mam — bąknął Rafał, stojąc w pozodze dziewiczych rumieńców. — Jakiś idiotyzm nędzny. *Konwalie – Amalie*, to mają być rymy? To ma być poezja? Eeech, Balcu drogi! Gdybyś się znał na sztuce, cisnąłbyś to w kąć bezzwłocznie... Posłuchaj lepiej, co było z Rojkiem...

— Czekałże, chłopie! Rojek nie ucieknie, swoje zełgane przygody i tak mi dziesięć razy opowiesz, a tu są pyszne kawały!

— Nonsensy, Balcu, bzdury. Ciekawym kto to jest ta Amalia.

— Posłuchaj, czytam dalej: *Amalia kocha zwierzęta, psy, koty, wieprzki, cielęta, więc też pokocha królika...*

— Łiesz — pisnął reporter, wyskakując na podłogę. Był purpurowy na twarzy, z bandaża zrobił się turban, a kołdra zastąpiła tożę i oto przed zdumionym Baltazarem stanął pałający świętym gniewem rzymski senator... w złośliwej karykaturze.

— Jak to łżę? Czytam, co tutaj napisane.

— Gdzie Balcu? — Z senatora zrobił się znowu mały chytry urwis, czający się, by wydrzeć przyjacielowi z ręki kompromitującą laurkę.

— Aaaa, rozumiem teraz! — domyślił się detektyw. — To do ciebie ten poemat „pięknej Amalii”. Przeczytam go dziś przy stole.

— Wara — zapiał reporter.

— Przeczytam!

Rafał skurczył się w chwili, gdy Szafran tarzał się ze śmiechu, skoczył susem pantery na łóżko przyjaciela, chwytając oburącz za fatalny rulonik papieru. Z nieszczęsnej laurki tylko strzęp niewielki pozostał w dłoniach rozochoczonego detektywa, ale i tam znalazła się perła poezji, dwuwiersz, zawierający przejrzystą konkluzję tych strof dźwięcznych, a przez znakomitą Amalię Pelagię Gładyszównę dopełnionych:

— *Przyleć, ach, przyleć kanarku, Amalia czeka cię w parku* — odczytał Baltazar Szafran i wyskoczywszy z łóżka, zaczął tarzać się na podłodze, chcąc dać upust swej żywiołowej wesołości...

Rafał pakował swą walizkę z gorączkowym pośpiechem, potem zamknął ją na klucz, wcisnął sobie czapkę na głowę i wraz z bagażem ruszył w stronę drzwi.

— Mam zaszczyt pożegnać pana — rzekł oschle, przystając koło Szafrana, który siedział na dywaniku z podwiniętymi nogami i trzymał się za zapadnięty, brzuch, obolał) ze śmiechu. — Wyjeżdżam stąd natychmiast!

— W nocnej koszuli?! — parsknął detektyw, a zerwawszy się sprężyste z podłogi, popchnął towarzysza przed lustro. Ku wielkiemu swojemu zdziwieniu stwierdził reporter, że ma na sobie czapkę, trzewiki, nawet krawat, a „tylko” o ubraniu zapomniał!

— Jestem trochę roztargniony — bąknął, po czym spojrzał w kierunku krzesła, na którym zawsze wieszał swój garnitur, swój jedyny garnitur. Nie było go tam i na próżno przeszukiwał wszystkie kąty pokoju z wzrastającym przerażeniem. W końcu napadł na Szafrana.

— Słuchaj, ja dzisiaj nie jestem usposobiony do żartów — zaczął bardzo energicznie. — Gdzie moje ubranie?

— Nie wiem. Wyfruń przez okno, kanarku, może ubranie jest w parku, he, he, he. Wybacz, iż ośmieliłem się trochę sparafrazować te strofy wspan...

— Przestań! — Reporter tupnął z wściekłością, ale podszedł do okna i wyjrzał do ogrodu, szukając swej zguby. Na próżno. I nadaremnie przetrząsał wszystkie szuflady w szafie po raz

drugi, trzeci, dziesiąty. Jego jedyny garnitur ulotnił się, jakby go ziemia pochłonięła... Zrozpaczony usiadł na łóżku i zapadł w ponurą zadumę, z której wyrwał go dopiero głośny, siarczasty klaps. To Baltazar Szafran, olśniony wynikiem dedukcyjnych rozważań na temat zniknięcia ubrania, bił się dłonią w czoło.

— Idiota skończony — zawołał — a w walizce szukałeś?

— Nonsens! Przecież walizkę ja sam pakowałem.

— Właśnie dlatego!... Dawaj kluczyk.

Baltazar miał rację. Ubranie wymięte, jakby psu z gardła wyciągnięte, spoczywało w walizce. Rafał rzucił się na szyję przyjacielowi...

— Balciu, tyś jest naprawdę genialnym detektywem — oświadczył bez cienia zazdrości. — Wprawdzie nie umiałeś się wydostać z podziemi, w których ja jestem jak w domu, ale teraz rozwikłałeś celująco zagadkę, wobec której nawet Rafał Królik stał bezradny. Cześć ci, o Mistrzu!

* * *

W biurku Mateusza Rojka znaleziono wiele dokumentów, wyjaśniających dostatecznie tajemnicę Augusta Turny i Priwimów.

Znaleziono tam między innymi formalny testament Augusta Turny, przechowywany troskliwie przez Pawła Kanię, a później zabrany przez nafcjarza wraz z innymi papierami rzekomego Priwima. W owym akcie ostatniej woli spadkobierca ustanowił dziedzicami swego majątku w dwóch trzecich częściach bratanicę Ewę, a w jednej trzeciej siostrzeńca swej zmarłej dawno żony... Andrzeja Barskiego, nakładając na dziedziców obowiązek wypłacenia kilku legatów służbie, w szczególności zaś wiernemu lokajowi Pawłowi Kani.

Po spadek po Rojku zgłosili się jacyś dalecy krewni, którzy z pocałowaniem ręki przyjęli ponętną ofertę milionera Smólskiego, ofiarującego im pożądaną gotówkę w zamian za zadłużone przedsiębiorstwo, za budynki pobudowane na obcych gruntach, słowem za niezmiernie skomplikowany węzeł interesów, z którymi nigdy by sobie nie potrafili dać rady. Za to energiczny Jan Smólski umiał sobie radzić znakomicie, a dzięki przyjęciu do spółki Ewy i Andrzeja, właścicieli okolicznych terenów naftowych, wybił się niebawem na czoło nafcjarzy. Nie zapomniał też o rodzinach dawnych towarzyszy broni, którzy zginęli przez zdrajcę Rojka, jak nie zapomniał też o rodzinach innych ofiar szaleńca, opętanego przez swoje „płynne złoto”, i tak wypełnił wszelkie zobowiązania tragicznie zmarłego nafcjarza. A wobec tego wypłacił bez wahania kwotę pięć tysięcy czterysta złotych panom Szafranowi i Królikowi, którzy bądź co bądź przyczynili się do tego, że majątek Bory i Rozłąka znalazły się w posiadaniu tych samych właścicieli, jak opiewał odnośny kontrakt podpisany przez Rojka na trzy godziny przed jego zgonem.

Kochaut wyzdrowiał, uzyskał przebaczenie swej panienki, obecnie pani inżynierowej Barskiej, pozostał na dawnym stanowisku „pana rzomcy”, a jedynym jego strapieniem są umizgi i sonety dwojga imion Gładyszówny, która po zdradzie małego reportera, jego wybrała sobie za obiekt swych poetyckich westchnień.

A sympatyczny Rafał Królik? Rafał jest obecnie pierwszym asystentem Szafrana, ale nadal pozwała łaskawie tytułować się mistrzem. Bierze udział w niebezpiecznych wyprawach swego „długiego” przyjaciela, i Czytelnik posłyszy jeszcze nieraz o jego dalszych przygodach. Jednak Rafał pozostał nadal takim roztrzępalcem i gadułą, ale znakomity detektyw posiada wypróbowany sposób na to, by mu od razu zamknąć wymowną buzię. Ile razy uprzykrzy mu się

trajkotanie małego kolegi, Baltazar Szafran przybiera tragiczną pozę i deklamuje z patosem:

Poleć do Borów kanarku,

Amalia czeka cię w parku!

Skutek jest wtedy niezawodny i piorunujący...

Ajaccio – Golfe Juan w roku 1930.

